

C. J. Cherryh

Region węża

przełożył Piotr W. Cholewa

Piekary Śląskie 1991

Tytuł oryginału Serpens Reach

Copyright © by C. J. Cherry h, 1980

Copyright © for the Polish edition by

Wydawnictwo Gandalf, Piekary Śl. 1991

KSIĘGA PIERWSZA

Jeśli gdziekolwiek na świecie można być dzieckiem w Rodzinie, to z pewnością w Kethiuy na Cerdinie. Niewielu przybywało tu obcych, niewiele było bezpośrednich zagrożeń.

Posiadłość leżała w pobliżu miasta i Dawnego Hallu Alfy, lecz wzgórze i zajęcia mieszkańców pozwalały na izolację od polityki Rodziny. Były tam pola i jezioro, sad świecodrzew wyrastających niby pierzaste iglice między czternastoma kopułami; wokół doliny wznosiły się kopce. Wszyscy mająt kontaktujący się z Ludźmi robili to za pośrednictwem Kethiuy, oddzielającego poszczególne kopce i

utrzymującego pokój dzięki specyficznemu talentowi Meth-marenów, septu i Klanu Rodziny, który zarządzał tą ziemią. Pola - te ludzkie i te mająt - rozciągały się z jednej strony, z drugiej stały laboratoria, z boku magazyny, gdzie azi, klonowani ludzie, zbierali i doglądali bogactw pochodzących z handlu z kopcami, produktów pracy laboratoriów i komputerów, będących głównym artykułem wymiennym. Kethiuy było miastem, nie tylko Klanem; spokojne, samowystarczalne, niezmiennie niemal w opinii swrych właścicieli. Kontrin bowiem mierzyli swe życie raczej w' dekadach niż w latach i rzadko spotykane dzieci zrodzone, by zastąpić zmarłych, nie miały żadnych wątpliwości, kim muszą się stać i jaki jest porządek świata.

Raen bawiła się, odcinając liście dziennorośli krótkimi, celnymi wystrzałami. Wiał wiatr, czyniąc zadanie trudniejszym, więc starannie mierzyła cienkim jak igła promieniem. Miała piętnaście lat, a odkąd skończyła dwanaście nosiła u paska nieduży miotacz. Kontrin byli potencjalnie nieśmiertelni, lecz ona przyszła' na świat wyłącznie dlatego, że pewien bliski krewniak zginął przez własną nieuwagę. Nie chciała, by jej następca pojawił się zbyt szybko. Była dobrym strzelcem; jedną z niewielu jej zabaw było robienie zakładów i teraz właśnie rozstrzygał się jeden z nich, z którymś z dalszych kuzynów, dotyczący odległości od celu.

Strzelanie do celu, zakłady, biegi wśród żywopłotów na pola, by zobaczyć pracujących azi, albo głęboki trans hipnostudiów w Kethiuy, czy praca z komputerami w laboratoriach, dopóki maszyny nie zaczęły jej umożliwiać komunikacji z obcymi mająt... takie sprawy wypełniały jej dni, niezmiennie do siebie podobne. Nie korzystała z rozrywek; na to miała jeszcze czas, gdy znudzi się perspektywa nieśmiertelności i trzeba będzie rozrywek, by przyspieszyć przemijanie lat. Teraz miała się uczyć, zdobywać umiejętności pomocne w chronieniu tego długiego życia. Wyszukane rozkosze dorosłych były jeszcze nie dla niej, choć obserwowała je już z rosnącym zainteresowaniem. Siedziała teraz na zboczu wzgórza i szybkimi, celnymi strzałami ścinała liście z kołysanego wiatrem pnącza. Zdecydowała, że jeśli zaraz pójdzie do laboratorium i spędzi wymagany czas przy komputerze, skończy przed kolacją i będzie mogła wieczorem popływać po jeziorze. W dzień było zbyt gorąco. Woda odbijała rozpalone do białości niebo i nie dało się nawet spojrzeć na nią bez wizjera. Nocą jednak wszystko, co w niej żyło, unosiło się z dna, a łodzie jak świetliki sunęły po czarnej powierzchni, łowiąc ryby, będące rzadkim przysmakiem na stołach Kethiuy. W innych dolinach żyła zwierzyna, trzymano nawet stada, lecz w Kethiuy nie pozostało żadne żywe

stworzenie prócz ludzi. Nie mogło.
Raen a Sul hant Meth-maren była wysoką,
chudą piętnastolatką. Prawdopodobnie
osiągnęła już swój pełny wzrost. Mieszane
pochodzenie, Illit i Meth-mareń, dało jej długie
ręce i nogi oraz wąską twarz. Na prawej dłoni
nosiła chitynowy, lśniący wzorzec, żyjący w jej
ciele: swój identyfikator, rękojmię wobec
kopców, symbol rozpoznawczy wszystkich
Kontrin. Był to znak dla majat, których oczy nie
rozpoznawały rysów twarzy. Bety nie były
znaczone, azi mieli maleńki tatuaż. Oznaką
Kontrin były żywe klejnoty, które nosiła i ona.
Pęd opadł wreszcie, przepalony na wylot.
Wsunęła miotacz do 'kabury i wstała.
Naciągnęła na głowę kaptur solskafu -
kombinezonu słonecznego, i zanim wyszła z
cienia, ustawiła wizjer tak, by ochraniał oczy.
Czekała na nią nauka, więc nie spieszyła się
zbytnio. Poszła okrężną drogą skrajem lasu,
gdzie było chłodniej i nie tak stromo.
Jej uwagę zwrócił natarczywy, jednostajny
dźwięk. Rozejrzała się i popatrzyła w niebo.
Przelatujące wtedy helikoptery nie były niczym
niezwykłym; jezioro Kethiuy stanowiło
widoczny z daleka drogowskaz dla wszystkich,
którzy sterowali ręcznie i kierowali się do
posiadłości północnych.
Lecz te dwa były za nisko. Zbliżały się.
Goście. Ucieszyła się. Nie będzie musiała dziś
siedzieć przy komputerze. Skręciła z drogi do

laboratorium i zbiegła w dół przez kamienie i krzaki z dziecięcą bez troską lawirując po stromym zboczach, ucieszona przewidywaną zabawą i odwołaniem lekcji.

Coś poruszyło się między drzewami. Zatrzymała się natychmiast i położyła dłoń na rękojeści miotacza. Nie bała się zwierząt, lecz ludzi i wszystkiego, co kryło się i czaiło.

Majat.

Zdumiona dostrzegła ciemną postać pośród liści, znieruchomiałą w pozycji obronnej i półtora raza od niej wyższą. Fasetowe oczy migotały przy najmniejszym ruchu głowy. Chciała zawołać przekonana, że to jakaś Robotnica zgubiła drogę z laboratoriów - czasem zawodziły je oczy i oszołomione chemikaliami traciły orientację. Ale nie powinna zejść tak daleko... Głowa obróciła się w jej stronę. To nie była Robotnica. Teraz widziała wyraźnie masywne szczęki i pancerz.

Nie mogła dostrzec emblematów kopca, a ludzkie oczy nie rozróżniały kolorów majat. Ten przykucnął wśród plam światła przebijającego się przez liście. Wyglądał jak luźny zestaw wystających stawów i skórzastych kończyn - Wojownik, do którego nie należało się zbliżać. Wojownicy pojawiali się czasem, by popatrzeć na Kethiuy, na to, co zdołają dostrzec ich ślepe oczy,

po czym oddalali się, nie zdradzając swych

tajemnic. Żałowała, że nie widzi jego emblematów; mógł pochodzić z każdego z czterech kopców, podczas gdy tylko łagodni niebiescy i zieloni kontaktowali się z Kethiuy. Handel z czerwonymi i złotymi odbywał się za pośrednictwem zielonych. Czerwony lub złoty Wojownik byłby bardzo niebezpieczny. Zresztą nie był sam. Inni podnosili się wolno: trzech, czterech. Lęk ścisnął jej żołądek - irracjonalny lęk, przekonywała sama siebie. Jeszcze nigdy w historii Kethiuy majat nie skrzywdził nikogo w granicach doliny.

- Jesteście na ziemi Kethiuy - oznajmiła unosząc dłoń, która identyfikowała ją w ich oczach. - Wracajcie. Wracajcie.

Majat patrzył na nią przez chwilę, po czym cofnął się. Nie miał emblematu, dostrzegła ze zdumieniem. Obniżył nieco pozycję na znak zgody; przynajmniej miała nadzieję, że to właśnie chciał wyrazić. Stała nieruchomo, czekając na jakąkolwiek zmianę, atak. Serce biło jej mocno. W laboratoriach nigdy nie zostawała z nimi sama i teraz widok potężnego Wojownika i jego towarzyszy, cofających się na jej rozkaz, zdawał się zbyt fantastyczny.

- Władca kopca - syknął majat i niespodziewanie ruszył z oszalamiającą szybkością przez krzaki. Inni pobiegli za nim.

Władca kopca. Gorycz przebijała w równym głosie Wojownika. Przyjaciele kopca woleli mówić majat w laboratoriach, delikatnie

**dotykając ludzi i chyląc głowy z pozorną
szczerością.**

**Huk silników zapowiedział lądowanie
helikopterów. Raen czekała rozglądając się
uważnie. Nigdy nie odwracaj się do nich plecami
- słyszała to przez całe życie, nawet od ludzi,
których kontakty z kopcami były najbliższe.
Majat poruszali się zbyt szybko, a zwykle
zadrapanie, nawet przez Robotnicę, było
śmiertelnie groźne.**

**Cofnęła się, uznała, że można już odwrócić się
bez ryzyka i pobiec dalej... lecz cały czas
ogłądała się przez ramię.**

**Śmigłowce stały już na ziemi. Strugi powietrza
spod wirników przyginały żdźbła trawy pod
bramą, tuż przy brzegu jeziora.**

**Głos dzwonu oznajmił Klanowi, że przybyli
obcy. Raen raz jeszcze spojrzała za siebie, by
stwierdzić, że majat zniknęli na dobre, po czym
lekkim truchtem pobiegła w stronę
helikopterów. Były czerwone w zielone pasy:
kolory Klanu Thon, przyjaciół septu Sul Meth-
marenów. Silniki ucichły i z wnętrza zaczęli
wysiadać mężczyźni i kobiety. Otworzono
bramy i Meth-marenowie wyszli powitać gości,
większość z nich bez solskafów - tak
nieoczekiwana była ta wizyta i tak wielka radość
z odwiedzin Thonów.**

**Pierwsi goście nosili płaszcze Thonów. Między
nimi widać było biel i żółć Yaltów, także
witanych serdecznie. Lecz po nich wyszli z**

helikopterów ludzie w czerni otoczonej czerwienią Haldów i inni, w błękie Meth-marenów, lecz z czarną obwódką zamiast białej septu Sul.

Sept Ruil Meth-marenów i Hałdo wie. Raen stanęła jak wryta. Pozostali także. Powitanie przestało być serdeczne. Gdyby nie ochrona przyjaznych barw Thonów, żaden Ruil ani Hałd nie odważyłby się postawić tu nogi.

Po chwili jednak jej krewniacy odsunęli się i pozwolili im wejść. Helikoptery wypluły jeszcze kilku Thonów i Yaltów, lecz nikt ich już nie witał. I jeszcze kogoś - dwie dziesiątki azi, w solskafach, z opuszczonymi wizjerami, anonimowych.

Uzbrojeni azi. Raen patrzyła na nich z niedowierzaniem, nerwowo przemykając się dookoła lądowiska. Oglądając się co chwilę dotarła do bramy. Była oburzona do głębi swego niewielkiego doświadczenia życiowego. Była zła na Ruil, drugą odnogę Meth-marenów. Ruil oznaczali kłopoty, a azi-strażnicy byli dowodem ich bezczelności. Była tego pewna. Thonowie nie potrzebowali ochrony.

Z pozornym lekceważeniem przedelfowała przez bramę. Azi septu Sul zamknęli ją dokładnie, pozostawiając azi przybyszów na słońcu. Raen życzyła im udaru. Ponuro ruszyła w stronę domu. Cały dzień miała popsuty.

Wciąż czuła zdziwienie, widząc czerń septu Ruil pomiędzy biało obramowanymi płaszczami Sul,

a tym bardziej, widząc czerwień i czerń Haldów; szokował fakt, że wpuszczono ich do jadalni, gdzie odbywały się narady Klanu.

Raen siedziała obok matki i czuła się przy niej bezpiecznie. Jej matka, Morel, poczęła ją z jednym z Illitów, który sam był spokrewniony z Thona-mi. Zastanawiała się, czy ktoś z obecnych nie jest jej dalekim kuzynem. Jeśli nawet tak było, to matka, która musiała wiedzieć, milczała, a hipnostudia także nie dały żadnych wskazówek. v

Dziadek zasiadł u szczytu stołu... więcej niż dziadek, ale tak było krócej - najstarszy z Meth-marenów, ten Meth-maren, siwowłosy i przygarbiony pod ciężarem przeżytych dziesięcioleci, pięciuset obiegów Cerdina wokół jego słońca. Był najstarszy z septu Sul i z Ruil także, więc musieli go szanować. Raen zawsze spoglądała na niego z lękiem, ostatnio niezbyt często, gdyż rzadko opuszczał swoją pustelnię w zachodnim skrzydle, by wtrącać się w sprawy domowe. Częściej wyruszał na Alfę, by wziąć udział w Radzie, gdzie dysponował sporym blokiem głosów. Meth-marenowie, w przeciwieństwie do innych Klanów, których członkowie rozproszyli się po wszystkich światach Regionu, trzymali się blisko domu, blisko Kethiuy. Ze wszystkich dwudziestu siedmiu Klanów i pięćdziesięciu ośmiu septów w ramach tych Klanów, jakie tworzyły razem Rodzinę, Meth-maren Sul byli jedynymi,

którym obowiązki z rzadka tylko kazały wyjeżdżać gdzieś dalej od Cerdina i kopców. Tutaj mieściła się placówka Rodziny, pomiędzy kopcami a Ludźmi, gdy tymczasem Meth-maren Ruil, bezdomni od czasu rozpadu, przynosili się z miejsca na miejsce po całej Alfie i gdzie tylko mogli korzystali z gościny.

Hałdo wie pamiętali dzień, gdy walczyli Meth-marenowie z Meth-marena-mi. Zapłacili krwią za udzielenie schronienia mordercom Ruilów, więc potężne musiały być argumenty, które doprowadziły do spotkania Haldów i obu septów Meth-marenów pod jednym dachem.

IO

Yaltowie i Thonowie musieli użyć wszystkich swoich wpływów, by skłonić dziadka do wyrażenia zgody na to zebranie. Haldowie i rozbici Meth

-marenowie siedzieli przy tym samym stole, starannie rozdzieleni przez Yal-tów i Thonów. Haldowie i Ruilowie wykazywali odwagę graniczącą z brawurą, jedząc i pijąc to, co podawali Jm Sul.

Sama Raen odczuwała pewne dolegliwości żołądkowe i odmówiła, gdy kelner-azi podał kolejne wyszukane danie.

- Kawę - powiedziała i azi Mev szeptem przekazał jej polecenie innym: Filizanka stanęła przed nią natychmiast, gdyż była córką prawnuczki najstarszego, potomkiem w prostej linii, a w Klanie obowiązywała hierarchia

dziedziczna. Z jednej strony 'pochlebiało jej to, z drugiej zaś przysparzało problemów.

Pozwalało zasiąść dziś przy stole i z konieczności przebywać wśród starszych od niej, z których większość czuła się tym urażona. Raen starała się zachowywać jak matka, z wystudiowanym lekceważeniem dla wszystkiego, co się rozgrywało. Niestety. Naprzeciw siedział Ruil, kuzyn Bron. Unikała jego wzroku, gdy tylko mogła, ponieważ był zuchwały i wyzywający.

- Przybyliśmy w nadziei na pojednanie - mówił starszy Thonów na drugim końcu stołu. Wstał właśnie, by wygłosić swą mowę. - Meth-marenowie, czy pozwolicie, by Ruil zabrał głos w tym miejscu? Czy nadal wolicie pośredników?

- Chcesz powiedzieć - zaczął dziadek uroczystym tonem - że winniśmy przyjąć do siebie tę naszą nieprawą gałąź. Oderwali się z własnej woli. Nie są w Kethiuy mile widziani. Sprawiają nam kłopoty, a kopce starają się ich unikać. Sept Ruil zraził je i nie jest to naszą winą. To jest teren kopców. Ci, którzy nie potrafią żyć w tych warunkach, nie mogą tu mieszkać.

- Nasze zdolności - wtrącił Tel Ruil Meth-maren - kierują nas ku innym kopcom, niedostępnym dla Sul.

- Do czerwonych i złotych - podbródek dziadka drgał z gniewu.

- Sam siebie oszukujesz, Telu a Ruil. One nie żywią miłości dla rodzaju ludzkiego, a już najmniej dla Ruilów. Wiem, że macie kontakty

wśród czerwonych. Pogłoski o tym docierają wszędzie. Wiem, o co wam chodzi i dlaczego zadaliście sobie trud wciągnięcia do tej sprawy Thonów i Yaltów. Wasze plany budowy na jeziorze Kethiuy są nie do przyjęcia.

- Jesteś głową Klanu - odparł Tel. Miał nieprzyjemny głos, nosowy i jękliwy. - Powinieneś być bezstronny w sprawach septów. A jednak trwasz w nienawiści, która zaczęła się, zanim większość z tu obecnych przyszła na świat. Być może sept Sul odczuwa zazdrość, gdyż Ruil potrafią rozmawiać z dwoma kopcami, do których oni sami nie mogą się zbliżyć. To mająt do nas przyszli, nie my do nich. Nas wybrali. Thonowie widzieli; Thonowie mogą zaświadczyć. Wszystko zgodnie z Paktem. Czerwony kopiec obiecał nam współpracę pod warunkiem, że zabezpieczymy posiadłość w pobliżu ich terenów, na jeziorze. Przybyliśmy prosić, Najstarszy. To wszystko. Prosić.

- Popieramy ich prośbę - odezwał się Thon.

- Yalt zgadzają się - rzekł drugi starszy. -

Rozsądek nakazuje Meth

-marenom zakończyć spory i wyciągnąć korzyści z tej decyzji.

ii

-7- Czy Hald proszą o to samo?

Zapadła cisza. Raen siedziała bez ruchu, czując, jak mocno bije jej serce.

Wstał starszy Haldów.

- Jesteśmy w pewien sposób zamieszani w

obecną sytuację, Meth-mare-nie. Dawna zwada trwa już za długo. Jeśli ma się teraz zakończyć, musimy się w to wmieszać. Gdybyśmy tego nie zrobili, Meth-marenowie mieliby pokój, a my nie. Chcemy zapomnieć o przeszłości.

Zrozumcie to.

- Jesteście tu, by poprzeć Ruilów.

- Stare zobowiązania, Meth-marenie.

Nie mówili o przyjaźni. Nawet Raen to zauważyła. Przez chwilę panowała nieprzyjemna cisza, a Ruilowie spoglądali groźnie.

- Mamy takie możliwości - kontynuował Hałd - których nie można lekceważyć. x

- Wracaj do rzeczy - wtrącił Yalt. - Prosimy cię o to.

- Nie - odezwały się głosy członków Klanu. Lecz Najstarszy nie sprzeciwił się. Z wolna przebiegł wzrokiem po twarzach obecnych i pokiwał głową.

Matka Raen zaklęła cicho.

- Wyjdz - powiedziała. A kiedy Raen spojrzała na nią z urazą, dodała - No, idź.

Inni, nawet dorośli, także opuszczali to, co stawało się radą starszych. Nikt nie mógł się sprzeciwić. Raen pocałowała matkę w policzek, ścisnęła jej rękę i ponuro wycofała się między młodzież poniżej trzydziestki oraz starszych trzeciego i czwartego stopnia, nie mających głosu w radzie.

Wszyscy pomrukując niechętnie zebrali się w

hallu, tuż obok. Kuzyni Raen także nie byli zadowoleni z tego, co miało się zdarzyć. Nie będzie pokoju, słyszała. Nie % Rut łam i. A także: czerwoni i %łoci, co przypomniało jej o dziwnym spotkaniu na wzgórzu. Nikomu o nim nie mówiła. Była zbyt dumna, by dodawać do ogólnego zamieszania jeszcze i tę informację bez znaczenia. Wyminęła swych rozbawionych kuzynów i kuzynki, nie zwróciła uwagi na usłużnych azi i ruszyła korytarzem zagniewana - na to, że ją wyrzucono i na to, co proponował sept Ruil. Jezioro Kethiuy, dziewicze i piękne, należało do sepu Sul. Sulowie dbali, by zachować brzegi w nienaruszonym stanie, maskować przystanie łodzi, ukryć wszelkie ślady ludzkiej obecności. Ruilowie chcieli zbudować tam siedzibę, która będzie wiecznie zasłaniać widok, chcieli zająć miejsce tam, gdzie Sulowie stale musieliby na nich patrzeć^ godzić się z ich obecnością. Te interesy z czerwonymi i złotymi na pewno wymyślili Ruilowie, żeby zyskać poparcie innych Klanów. Niemożliwe, żeby tak, jak się chwalili,, nawiązali kontakt z dzikimi kopcami.

Kłamstwa. Bezczelne kłamstwa.

Przebiegła niemal obok azi trzymających wartę przy drzwiach i wybiegła na ganek, na chłodne, świeże powietrze. Wciągnęła je w płuca.

Spojrzała w ciemność, pomiędzy świecodrzewa na brzegu jeziora Kethiuy, lecz w polu widzenia stał lśniący światłami, paskudny helikopter.

Usłyszała kroki. Obejrzała się i dostrzegła trzech mężczyzn, z których najbliższy nosił ciemną Barwę Haldów. Zamarła bez ruchu. Przyszła tu prosto od stołu i była bezbronna a Dziecinna duma powstrzymała ją od ucieczki, jaką nakazywał rozsądek.

Stanął przed nią wysoki mężczyzna. Przyglądała mu się, stojąc plecami do drzwi tak, by światło z okiennych szczelin padało mu na twarz. Był po trzydziestce, jeśli liczyć lata jak bety; u Kontrin oznaczało to, że mógł być w dowolnym właściwie wieku, pomiędzy trzydziestoma a trzystoma latami. Szczupła, posępna twarz: Poi Hałd, uświadomiła sobie z typowym dla hipnotu-diów deja vu. Nie знаła tych dwóch, którzy stali za nim.

Obecność Pola oznaczała kłopoty. Stracił jednego z krewnych w walce z Meth-marenami. Miał też opinię osobnika amoralnego, libertyna, żartownisia i błazna. Nie potrafiła jakoś dopasować tych wiadomości do jego szczupłej twarzy, dopóki nie uśmiechnął się nagle. Od razu wydał się młodszy.

- Dobry wieczór, mała Meth-maren.

- Oby i dla ciebie był dobry, Polu Hałd.

- Cóż to, czy i ja powinienem znać twoje imię?

Odrobinę wyżej uniosła głowę.

- Nie ma mnie na twoich hipnotaśmach, ser Hałd. Jes%c%e nie. Na imię mi Raen.

- To Tand i Morn - skinął głową na stojących za nim krewniaków, jednego młodego, o

chłopcym wyglądzie, drugiego tak podobnego do samego Pola, że był z nim chyba spokrewniony przez ojca i matkę równocześnie. Nie przestając się uśmiechać wyciągnął rękę i z oszalamiającą bezczelnością ujął ją pod brodę.

- Raen. Będę pamiętał.

Cofnęła się o krok, czując, że jej twarz oblewa się rumieńcem. Nie wiedziała, jak powinna zareagować i jej zakłopotanie zmieniło się we wściekłość.

- A kto posłał was tutaj, żebyście włóczyli się pod oknami?

- Pilnujemy śmigłowca, mała Meth-maren. By być pewnym, że gościnność Meth-marenów jest taka, jaką być powinna.

To jej się nie spodobało. Odwróciła się na pięcie i chwyciła klamkę, przez chwilę zalękniona, że spróbują ją powstrzymać. Nie poruszyli się jednak, więc obejrzała się jeszcze z pogardą, tak by nie mieli wątpliwości, że to nie przed nimi ucieka z własnej werandy.

- Zdaje się, że zostawiłam w domu broń - oświadczyła. - Zwykle noszę miotacz przeciwko szkodnikom. Szczupła twarz Pola spoważniała nagle.

- Dobrej nocy, Meth-maren.

Otworzyła drzwi i weszła do jasnego, bezpiecznego domu, między własnych krewniaków

Przed świtem rozległ się warkot silnika. Startuje helikopter, pomyślała Raen przewracając się na

bok i kryjąc głowę pod poduszką. Rozmowa w jadalni ciągnęła się strasznie długo, czasem na tyle głośno, że słycać ją było przez drzwi. Zebrani w hallu rozeszli się wreszcie, by wrócić do obowiązków lub przyjemności. W Klanie zapanowało pewne rozprężenie; młodzi i mniej ważni starsi czuli się urażeni usunięciem z narady i szukali sposobu zademonstrowania tej urazy. Kilku się upiło. Kilku znalazło sobie bardziej egzotyczne rozrywki, aż jedna z pokojówek azi przybiegła przerażona do pokoju Raen i ułożyła się tu do snu.

Wpuściła ją Lia, jej osobista azi, kobieta zbliżająca się do swego ostatniego, czterdziestego roku życia. Raen spojrzała na nią mrużąc oczy. Lia spała na krześle przy drzwiach, a uciekinierka skuliła się na kozetce pod ścianą. Kochana, stara Lia, zaniepokojona poruszeniem, z pewnością zajęła to niezbyt wygodne stanowisko w trosce o jej, Raen, bezpieczeństwo.

Miłość. Tym właśnie była Lia, której ramiona tuliły ją przez całe piętnaście lat życia. Matka oznaczała autorytet, piękno, przywiązanie i bezpieczeństwo, lecz miłość dawała Lia, laboratoryjnie stworzona do macierzyństwa, choć azi byli bezpłodni.

Obok takiego strażnika nie można się przemknąć niezauważonym. Próbowwała wstać i ubrać się możliwie cicho, lecz Lia przebudziła się i zaczęła krzątać, starannie dobierać ubranie,

budzić śpiącą pokojówkę, by przygotowała kąpiel i zasiała łóżko. Sama dopilnowała każdego szczegółu. Raen znosiła to wszystko, choć pragnęła jak najszybciej sprawdzić, co się dzieje na dole. Dla Lii miała jednak nieskończone rezerwy cierpliwości. Odmowa mogłaby ją zranić. Miała już trzydzieści dziewięć lat. Pozostał już tylko ten ostatni rok do chwili, gdy ujawni się i zabije ją defekt, jaki jej wszczepiono. Raen wiedziała o tym i czuła żal, choć nie była pewna, czy Lia zna własny wiek. Za żadną cenę nie chciałyby uczynić jej nieszczęśliwą, nawet na chwilę. I w żadnym razie nie mogła pozwolić, by Lia poznała powody jej zachowania.

To c%gśc dorastania, tłumaczyła jej kiedyś matka. Cena nieśmiertelności. A^i i bety pojawiają się i %nikają, a%i najszybciej %e wszystkich. I wszyscy ich kochamy, póki jesteśmy dziećmi. Kiedy tracis^ nianię %af% ynas% rozumieć, kim jesteśmy my, a kim są oni. To cenna lekcja, Raen. Uc% się cieszyć chwilą, uc^ się pożegnań.

Lia podała jej płaszcz w Kolorze i Raen uznała, że będzie właściwy. Zapięła klamrę i pozwoliła azi poprawić go na ramionach. Potem podeszła do okna i spojrzała na lądowisko, oświetlone pierwszymi promieniami słońca.

Jeden samolot jeszcze pozostał. Narada się nie skończyła.

Wyszła na korytarz i zbiegła na dół, do sali

radę, gdzie wciąż spacerowało pośpiesznie kilkoro jej krewniaków. Nie byli w nastroju do udzielania informacji piętnastolatce, choćby pochodziła w prostej linii od Najstarszego.

Wyczuła to od razu, usłyszała też głosy, nadal dobiegające ze środka.

Niechętnie potrząsnęła głową i przeszła dalej.

Myślała o śniadaniu, choć na ogół go nie jadła.

Lekcji nie będzie, to przynajmniej było pewne.

Chętnie

jednak oddałaby tydzień wakacji, byle tylko pozbyć się Ruilów i ich przyjaciół z posiadłości Sul.

Wspomniała trójkę Haldów. Ciekawe, czy dalej są na werandzie.

Nie było ich. Opierając ręce na biodrach stanęła plecami do ściany i odetchnęła głęboko. Azi szli na pola tak, jak robili to co rano. Złoty blask dotknął świecodrzew i żywopłotu; nadeszła najpiękniejsza godzina dnia, zanim alfa Hydri pokaże swą prawdziwą twarz i zaleje zarem niebo i ziemię.

Tylko pojedynczy samolot psuł piękno krajobrazu.

Dostrzegła ruch za rogiem budynku.

Obcy azi, w solskafie mimo tak wczesnej godziny.

- Co tu robisz? - krzyknęła do niego i wtedy zobaczyła cienie napływające żywą falą przez trawnik, wysokie, szczudłowate postacie, poruszające się tak szybko, że oczy nie mogły za

nimi nadażyć.

Odwróciła się, stanęła twarzą w twarz z uzbrojonym azi i zaczęła krzyczeć.

KSIĘGA DRUGA

Raen potknęła się, pośliznęła i zatrzymała, wsparta o wystającą skałę. Ostry ból przeszył jej biodro. Ubranie lepiło się do skóry. Rana otworzyła się i materiał był przesiąknięty krwią. Sięgnęła ręką, spojrzała na czerwone palce, wytarła je o kamień. Po chwili ruszyła w górę. Z coraz większym trudem chwytła oddech, coraz trudniej było utrzymać równowagę.

Od czasu do czasu patrzyła za siebie, na pola, las, jezioro, na cały pozorny spokój doliny Kethiuy. Wszyscy zginęli, bez wyjątku. Sept Ruil zdobył Ket-hiuy na własność, a wszędzie leżały ciała członków septu Sul. Brakowało tylko jej własnych zwłok, i to nie dzięki jej sprytowi czy odwadze. Nie miała się czym chwalić.

Upadła trafiona i skryły ją krzaki rosnące przy werandzie.

Wszyscy byli martwi, a ona także umierała. Słońce nie dawało jej wytchnąć; płonęło na białym od żaru niebie, pokrywało bąblami odkrytą skórę, groziło ślepotą mimo owiniętego

wokół twarzy płaszcza. Kamienie parzyły ręce i rozgrzewały cienkie podeszwy butów. Z oczu płynęły łzy i parowały natychmiast w suchym, rozpalonym powietrzu. Już dawno straciła szansę na znalezienie kryjówki - wtedy, gdy zaczęła wspinać się po skałach. Jeśli Ruilowie zechcą jej szukać, na pewno ją znajdą. Zostawiła dość śladów, by pościg bez problemów mógł iść jej tropem, znaczonej plamami krwi płynącej z poparzonych dłoni i rany na biodrze. Ruilowie na pewno mają też czujniki termiczne i łatwo mogą ją śledzić nocą z powietrza. Nie miała nadziei, że uda się ich zgubić, jeśli tylko zechcą ją schwytać.

Biegła jednak i wspinała się, ponieważ nie mogła wrócić, ponieważ bardziej niż swych kuzynów z septu Ruil bała się czerwonego kopca, tej żywej fali, jaka zalała Kethiuy, kolczastych nóg deptających po niej w krzakach i śmiertelnie groźnych szczęk. Można było umrzeć na różne sposoby i WT ostatnich godzinach poznała ich wiele, lecz śmierć zadawana przez majat była najbardziej okrutna. To łowców majat bała się najbardziej, a ich szybkość odbierała wszelką nadzieję ucieczki.

Drugi upadek. Leżała rozciągnięta na ziemi i powoli próbowała się podnieść. Ręce jej drżały jak w gorączce, zdarła skórę z dłoni, kolan i łokci, podarła płaszc. Pragnienie i potworny żar skał sprawiały więcej bólu niż te otarcia, lecz nawet to cierpienie przyćmiewały fale bólu

płynące z rany na boku. Z wysiłkiem nabrała tchu, na ślepo szukając dłonią jakiegoś podparcia.

Znowu biegła. Nie pamiętała jak, ale dotarła do zbocza, i jej umysł znowu musiał zacząć działać.

Wspierając się na rękach równie często jak na nogach, wolno pięła się w górę, drżąc, ześlizgując się i wspinając o kolejną długość ciała wyżej. Mogła próbować ucieczki do lasu albo drogą w stronę Miasta. Źle wybrała.

Matka, wujowie - każdy - postąpiłby inaczej, staraliby się dotrzeć do Miasta. Podjęła decyzję w panice, zdecydowała się na zabawę w chowanego między skałami, w trudnym terenie, gdzie nie przejadą ich pojazdy. Przede wszystkim jednak wzgórze należały do błękitnego kopca, starych sąsiadów. Czerwoni niechętnie naruszają ich granice, choćby Ruilowie nie wiem jak ich namawiali.

Paniczna, błędna decyzja. Tutaj nie było pomocy, nie było ludzi, nie było odwrotu.

Wiedziała, co ją czeka, i łyzy, jakie spływały jej po twarzy, były rezultatem nie tylko bólu, lecz także wściekłości.

W jej pamięci pojawiła się kolejna przerwa, a potem obraz nagiego wzgórze. To była granica, ostatni punkt, którego ludziom nie wolno było przekraczać. W tym miejscu zbiegały się tropy majat. Raen wstrzymała oddech i na ślepo zaczęła wymacywać wśród skał drogę w dół, do cienia. Wreszcie poczuła pod stopami

wydeptaną ścieżkę. Zatrzymała się i spojrzała na wirujące wokół niej, pochylone w różne strony skały.

Dotarła do celu. Nikt nie nadejdzie tu w pośpiechu, nikt bez namysłu nie podejmie trudu i ryzyka. Odpowiednie miejsce na tak osobistą sprawę, jaką jest umieranie. Teraz już wiedziała, że nie pozostało jej nic innego.

Musiała tylko usiąść i trochę poczekać, gdy tymczasem krew będzie ciekła z rany na boku, a słońce zagotuje jej mózg. Nie musi znosić więcej bólu - osiągnął już szczyt krzywej i teraz opadał, gdy tylko stanęła bez ruchu. Wystarczy poczekać. Jej matka, Najstarszy, krewniacy i azi... nie żałowała ich więcej. Ich cierpienia dobiegły końca. Jej jeszcze nie.

Straciła równowagę. Poruszyła się, by powstrzymać upadek, którego się zlekła. Ten ruch sprawił, że postąpiła o krok, potem jeszcze jeden. Na chwilę straciła wzrok. Panika pchnęła ją naprzód, potykającą się i wyciągającą ręce w stronę skał, które zapamiętała przed sobą.

Uderzyła w nie udami, wsparła się mocno, odzyskała zdolność widzenia. Dalej szła w dół. Ta ciemność, ta ślepotą, była jak mała śmierć; prawdziwa śmierć także się zbliżała, większa i głębsza: nie czuła już tak mocno słonecznego żaru. Uciekała przed tą śmiercią, walczyła z mrokiem, zataczając się i potykając szła coraz dalej.

Ciernie rozerwały jej ubranie i skórę na

ramieniu. Cofnęła się i zaczęła omijać przeszkodę. Mrugnęła kilka razy, by lepiej widzieć. Wiedziała, co znaczy ten żywopłot, wiedziała, że w tym miejscu musi się zatrzymać. Musi! Lecz zmaltretowane ciało kierowało się własną logiką, poruszało się, nie dbając o zagrożenie. Umysł obserwował to jakby z dystansu, podążał za ciałem bezradny i stropiony... aż nagle, posępny i gniewny, znalazł cel.

Rodzinny Pakt zawiódł; został zamordowany wraz z jej matką, Dziadkiem, Wszystkimi krewnymi... zabity przez Ruilów i Hałdo w. Istniał jednak jeszcze starszy Pakt, wpisany w skórę jej poranionej dłoni, jej chitynowa część, żywe klejnoty.

Była Kontrin, z Rodziny, która władała gwiazdami Hydry, która uzyskała od majat prawa osiedleńcze i handlowe, Rodziny, żyjącej pod emblematem węża, tam gdzie inni żyć nie mogli. Była Meth-maren, przyjacielem kopca. Przestała odczuwać lęk. Miała gdzie pójść, co robić, mogła sprawić, by Ruilowie cierpieli. W duchu zobaczyła posępny uśmiech matki, dodający jej odwagi: jedynie Zwycięstwo jest lepsze niż śmierć. Usta Raen zastygły w grymasie tryumfu. Potrzebowała jeszcze odrobinę powietrza, jeszcze trochę życia, śmierci kogoś innego.

Czerń ogarniała ją coraz częściej. Przesuwała się od głazu do głazu, zataczała się na zakrętach,

odsuwała kolące gałęzie osłoniętym chityną grzbietem dłoni... gałęzie krzaków, będących zaporami mająt.

- Jestem z Kethiuy! - krzyknęła w szarość, która przesłaniała mgłą jej zmysły, w chłód tłumiący ból. - Błękitny kopiec! Jestem Raen Methmaren! Kethiuy!

Czerń odebrała jej widzenie.

Dotarła do kolejnej bariery krzaków słysząc, jak coś stuka nad nią o skały, jak opadają kamienie, które nie ona poruszyła.

Byli dookoła, wysokie, skórzaste kształty, zamglone cienie, lśniące klejnotami w oślepiającym blasku słońca.

- Wracaj! - odezwał się jeden z nich barytonową harmonią fletów.

Dostrzegła czarny otwór w ziemi, zakryła dłonią ranę i zmusiła się do ostatniego, rozpaczliwego wysięku. Nie czuła już nóg pod sobą. Nie czuła gorąca ani chłodu, góry ani dołu, ani barw. Ciało uderzyło o kamienie. Poraniona dłoń ześliznęła się po nich, a potem sama szarość zniknęła także.

Robotnice przeciągnęły ją i ułożyły wygodnie, starając się nie uszkodzić kruchej konstrukcji, delikatnej jak świeżo złożone jajeczko. Ich czułki pracowicie usuwały zniszczone ubranie, ścierały obrzydliwe zapachy zewnętrznego świata i oczyszczały rozlane płyny życiowe. Wojownicy wciąż biegali po westybulu, zaniepokojeni jej wtargnięciem. Czekali na

polecenia. Zamieszanie panowało w całym sektorze.

Robotnica podjęła istotę problemu, okrążyła swe towarzyski, pisnęła krótki rozkaz, by oczyszczono przejście i pobięła. Była już w tym podświadomym kontakcie z Matką, jaki mieli wszyscy mieszkańcy kopca, lecz ten rodzaj komunikacji nie nadawał się do przekazywania szczegółów. Musiała złożyć bezpośredni raport. Na krótko zatrzymywały ją inne Robotnice, przypadkowo spotkane w korytarzach.

C[^]łowiek-w-kopcu, wyczuwały wśród zapachów ran i płynów życia. Trwał alarm. Wojownicy ruszą do przodu, a Robotnice będą wznosić barykady i blokować tunele. Robotnica szła dalej, pierwszy i najdokładniejszy nośnik, świadom pilności zadania. Jej niepokój brał się przede wszystkim z zamieszania wokół, niejasnej świadomości, że ważniejsze sprawy wymknęły się spod kontroli i zagrażały całemu kopcowi: już szerzył się chaos, sze mogło dopiero nadejść.

Słaby blask grzybów i słodki zapach Matki przenikał najbardziej rzną, najbliższe Komory hale kopca. Robotnica mijając Tragarzy dotykała, wyczuwała, przekazywała wiadomość, która kazała im prz

kroku. Jakiś Wojownik odepchnął ją na bok, pędząc przed siebie. Wracając z rozpoznania, lecz informacja, jaką niósł, miała sens tylko dla Wojowników. - Robotnica nie przyjęła jej, choć

nałożyła się na jej własną. Wyciągając przednie odnóża wkroczyła w Obecność.

Matka siedziała wśród falującej masy Trutni i dworzan. Jej zapach miał magnetyczną, deliryczną moc. Robotnica podeszła do Niej w ekstazie, rozwarła czułki, ofiarowując smak i zapach i otrzymując je w zamian.

Matka myślała. Chemiczne przemiany wirowały oszalamiająco w zmysłach Robotnicy.

Jednocześnie wydawała dźwięki, które od czasu do czasu zbliżały się do brzmienia ludzkich nazw. Sieć komunikacji splatała nieustannie oba poziomy informacji złożoną grą głosu i smaku. Ulecicie ją, zapadła decyzja, skomplikowana chemikaliami niezbędnymi dla wykonania zadania. Nakarmcie. Ona jest % kopca Kethiuy. To młoda królowa Raen. Robotnice błękitnego kopca spotykały ją. Smakuję rany, rozlane płyny zjcia. Wojownicy pr[^]ynos[^]ą informacje o ataku czerwonego kopca na region Kethiuy. Pr[^]yj-mijcie tego intruza.

Królowa. Zapach uwolnił zmiany w biochemii Robotnicy, przerażające zmiany. Pojęły go także Trutnie i poruszyły się niespokojnie, szukając dotyku: Umysł kopca był jednością, Robotnica jedynie jego złożonym podzespołem. Matka była układem głównym, kluczem nadającym sens wszelkiej działalności. Pozostali przysunęli się, wezwani bliskością zrozumienia, Robotnice, Trutnie, Poszukiwacze i Wojownicy, każdy dzieląc wspólną inteligencję i na swój sposób

zwiększając jej zasoby.

Kethiuy. Był wśród nich Truteń, który Pamiętał, gdyż to właśnie było funkcją Trutni. Popłynęły obrazy ziemi z okresu przed i po budowie ludzkiego kopca zwanego Kethiuy... kopuły, z początku jedna, potem kolejne, rosnące między nimi drzewa. Pamięć błękitnego kopca trwała długo, choć krótko żyli jego mieszkańcy: wspomnienia sięgały miliarda lat, a szczególne wspomnienie Kethiuy obejmowało wypiętrzenie wzgórz i to, jak kształtowało się jezioro, jak wysychało kilka razy, by uformować się znowu. Pamięć Trutni sięgała jeszcze dalej, do kopców starszych niż wzgórze Kethiuy, w czasy słabej i jeszcze słabszej inteligencji. Te wspomnienia jednak nie miały teraz znaczenia. Ludzie pojawili się niedawno, ledwie kilkaset lat temu. Kopiec sortował informacje i pojmował je, poznawał sept Sul Meth-marenów, jego cele, jego rywalizację z Ruilami i ich sojusznikami. Ludzie myśleli; ich inteligencję wspomagały niezwykle zmysły, o kilka więcej, niż posiadały kopce, i kilka mniej. Ich inteligencja mieściła się w pojedynczych ciałach. Ta koncepcja wciąż niepokoiła kopce; fakt, że osobnicza śmierć może stać się powodem zaniku świadomości, pojmowany był nadal bardzo niejasno. W tej chwili Matka przytoczyła ją jako argument: możliwą zagładę inteligencji, która nie da się stworzyć.

Krowa, powtarzały niespokojnie Robotnice.

Umiem, dodała jedna z nich, sugerując zakłócenie porządku.

ToMelrywal, zapewniła kopiec Matka. Lęk jednak nadal pozostawał w smaku, zakłócając proces myślenia. Dowiadujemy się, %e czerwony kopiec grupuje się

.L

w okolicach Kethfuy. Złoci się ruszają. Potem przybywa człowiek, ranny; mo%e są fe% inni. Nie mamy informacji. Czerwony kopiec miesza się w sprawy, które do niego nie należą.

Czerwony kopiec smakuje wrogością i dziwnymi kontaktami, kontaktami % lu-d%mi. Pakt został zagrożony. Nakarmcie młodą królową Kethiuy: Ulecicie ją. Ona mi nie %agra%a. Jest wa^na dla kopca. Zawiera informacje. Posiada inteligencję, i pamięć. Dbajcie o nią. Lecicie. Robotnica odeszła - jedna z części Umysłu ruszyła do akcji. Inne odbiegły do własnych zadań, kierowane własnym rozumieniem słów Matki, reakcjami typowymi dla ich własnych funkcji i biochemicznych przemian.

Potem Umysł dokonał rzeczy niezwykle trudnej i skłamał sam sobie.

Matka pokierowała trzema Wojownikami, którzy wybiegli z Komory, z kopca, wprost w upał dnia. Za ciernistymi żywopłotami, za bezpieczną granicą wzgórz zatrzymali się i zaczęli świadomie odmieniać skład swych enzymów, rozłamując uporządkowany kompleks wiedzy, przeszłości i teraźniejszości.

Kopiec ich utracił, gdyż byli już wtedy szaleni. Zginęli, gdy w dolinie wpadli w zasadzkę czerwonego kopca. Czerwony kopiec mógł tylko uwierzyć w kłamstwo, które odczytał w składzie chemicznym ich pociętych zwłok: o tym, że błękitny kopiec smakował śmierć młodej królowej Kethiuy, że nikt nie pozostał przy życiu.

ni

-- O co tu chodzi? - mruknął Lian, rozglądając się po sali Rady i obserwując wielo-Barwnych reprezentantów, zajmujących miejsca pod znakiem węża - godłem Kontrin.

Niespodziewanie pojawiły się wśród nich nowe twarze, nowe układy. Jego przyćmiony wzrok szukał przyjaciół i dawnych sprzymierzeńców. Najstarszy Haldów zniknął, zastąpiony przez młodszego mężczyznę. Błękitny płaszcz Methmarenów miał czarną otoczkę septu Ruil; po kilku najstarszych septach i Klanach nie było śladu, albo też przybyli jacyś młodzi obcy w ich Barwach. Lian, Najstarszy Rodziny i pierwszy w Radzie, czuł, jak drżą mu ręce. Chciał powstać, lecz zaraz usiadł znowu.

Zaczął liczyć, równocześnie starając się zorientować, jakie zmiany zaszły w Rodzinie w ostatnich dniach. Niektórzy z najstarszych Klanów patrzeli na niego z pytaniem i prośbą w spojrzeniach: zawsze otwierał sesje... od siedmiuset lat zasiadał w Radzie Ludzi na Cerdinie, zgromadzeniu dwudziestu siedmiu

Klanów Rodziny.

**- Wuju - odezwał się Terent z Welz-Kaenów. -
Najstarszy?**

**'Lian odwrócił wzrok, pełen nienawiści dla
tchórzostwa, które musiało teraz stanowić
większą część zdrowego rozsądku. Mordercy
zajęli pozycje. Czystkę przeprowadzono z
niesamowitą efektywnością, -w wielu miejscach
równocześnie. Trudno było teraz ocenić, jak
stały sprawy, jak rozłożą się głosy po rzuceniu
wyzwania. Coś nowego ukształtowało się, a
może dopiero**

**powstawało coś śmiertelnie groźnego dla
wszystkich, którzy stali w Rodzinie zbyt wysoko.
Rozsądek nakazywał czekać i słuchać innych.
Lian poczuł przytłaczający ciężar swego wieku,
wspomnień o zbyt wielu dokonanych wyborach,
o doświadczeniach, z których każde radziło mu:
czekaj i zbieraj informacje.**

**- Najstarszy! - krzyknęła starsza Malindów.
Powstawszy z miejsca zaznaczyła swoją pozycję
wśród rozłamowców. - Czy otworzysz sesję?
Cała sala zastygła w oczekiwaniu. Odmówił
gestem dłoni, której drżenia nie potrafił
opanować. Podniósł się nagły pomruk
zaskoczenia i niechęci. Lian spojrział na Moth,
starą Moth, która wydawała się jeszcze starsza
od niego, jeśli sądzić po twarzy i niepewnych
ruchach, choć była młodsza o niemal pół wieku.
Popatrzyła na niego bladymi oczyma,**

otoczonymi siecią zmarszczek.

Potem pochyliła głowę. Tak jak i on oceniła nowe układy w Radzie. Jej ręce dokonywały jakichś drobnych poprawek ułożenia płaszcza. Z tych, którzy pierwsi przylecieli w Region, niewielu pozostało żywych. Nawet nieśmiertelność musiała ustąpić przed wybujałymi ambicjami.

Tego dnia w Radzie było ich jeszcze mniej. Powstały nowe siły, od stu lat oczekujące cierpliwie swej szansy.

Nowy Hałd wstał, skłonił się ironicznie i zaczął mówić, proponując zmiany, które już się dokonały.

iv

Raen żyła.

Odkrywała ten fakt wolno, boleśnie, na granicy szaleństwa.

To, że była Meth-maren i nie bała się majat, ocaliło jej rozsądek. Była naga. Była ślepa w absolutnej ciemności i zdezorientowana. Cały czas czuła na swym ciele dotyk Robotnic, wilgoć obmywającą bezustannie otwarte rany, skórę i włosy; nie kończący się strumyk wilgoci i pożywienia, dostarczanego do jej ust ich zuchwami. Ciała poruszały się wokół, niewidoczne w ciemności, muskając ją szczecina czy kleszczami. Żadna jej jednak nie nadepnęła, a ich monotonne mruczenie otępiało słuch, tak jak nieprzenikniony mrok otępiał wzrok.

Była wewnątrz kopca. Nikt z Kontrin nigdy tu

nie dotarł, od pierwszych dni. Pakt tego zakazywał. Lecz niebiescy, przyjaźni niebiescy, od tak dawna dobrzy sąsiedzi Kethiuy, nie odpędzili jej. Poczowała łzy w oczach. Robotnica wessała je natychmiast, pieszcząc jej twarz lekkim jak piórko dotknięciem czułka. Raen poruszyła się i mruczenie stało się natychmiast głośniejsze, bardziej groźne. Nie chciały jej pozwolić na ruch. Wciąż czuła szorstki dotyk na swych ranach. Drgnęła i krzyknęła z bólu, a one stały nad nią coraz bliżej, nie przytrzymując, lecz przeszkadzając każdemu poruszeniu. Nie potrafiła ich odepchnąć. Poddała się bólowi, aż ustabilizował się na stałym poziomie i wreszcie rozplął w monotonnym dźwięku. Nie istniała przeszłość ani przyszłość; żal i lęk pochłonęła chwila trwająca bez końca.

Wyczuwała Matkę. W kopcu trwała Obecność, wysyłająca w misjach Robotnice, które trafiały tutaj, dotykały jej i biegły dalej. W stanie nieświadomości wyobrażała sobie, że czuje dotyk tego umysłu, że odbiera rzeczy niewidzialne, poruszenia w niezliczonych ślepych korytarzach, logikę kopca. Dbano o nią. Ciemność nie miała końca, dźwięk zmieniał się wolno, stając się niby głuchota, tak jak dotyk zmienił się w otępienie. Przez długi czas wszystko to było zbyt trudne, by o tym myśleć, zbyt silne, by walczyć. Lecz z ostatniego snu przebudziła się z

poczuciem desperacji.

- Robotnico - odezwała się do tego pomruku, stając na wąskiej granicy pomiędzy powracającymi siłami a odpływającym rozsądkiem. - Pomóż. Pomóż mi.

Z trudem przypomniała sobie, jak używać głosu. Słowa brzmiały obco w uszach, od tak dawna atakowanych pieśnią majat.

- Robotnico, powiedz Matce, że chcę z nią mówić. Zabierz mnie do niej. Zaraz.

- Nie - doparła Robotnica. Wciągnęła więcej powietrza i wypuściła je przez komory, tworząc iluzję pozbawionego wprawdzie intonacji, ale ludzkiego głosu. Inne dźwięki ucichły. - Zbędne. Matka zna twój stan, wie wszystko, co konieczne.

- Matka nie wie, co zamierzam.

- Powńiedz. Powiedz tej-jednostce.

- Zemstę.

Czulki przesunęły się po jej twarzy, ustach, ciele. Chwytały zapach. Robotnica nie rozumiała. Indywidualnie, majat były dość ograniczone. Robotnica nie nadawała się do przekazania informacji emocjonalnej, a wiedząc o tym, Raen wykorzystywała ją ostrożnie i z niepokojem. Ostrzegano ją od wczesnego dzieciństwa: uważaj z nimi. Wielokrotnie słyszała o zagrożeniu, jakie niesły zdezorientowane majat. Mogły wezwać Wojownika.

Czulki zniknęły i nagle Raen odczuła brak ich

dotyku. Inne Robotnice nadrobiły ten brak, bezustannie muskając jej ciało.

- Poszła po Matkę?

- Tak, Matkę.

Wpatrywała się w ciemność, oszołomiona euforią sukcesu. Z trudem przesunęła dłoń obok odnóży i czuzków Robotnic, dotknęła lepkich od śluzu ran. Poruszyła się, sprawdzając swe siły.

- Czy są jacyś azi w zasięgu głosu? - spytała.

- Matka musi wezwać azi.

- Wstanę - oznajmiła spokojnie i zdecydowanie.

Robotnice pomogły. Czułki i szczypce podtrzymywały ją i popychały, być może wyczuwając świadomą celowość ruchów. Opierała się o skórzaste ciała i chitynowe pancerze, ufając im mimo lęku przed bólem. Ich znajomość praw równowagi była instynktowna, najlepsza z możliwych. Stała z ich pomocą, niepewna kierunku góry i dołu. Wyciągnęła ręce w mrok, dotykając stawów czułek i twardych pokryw kleszczy. Z wysiłkiem spróbowała postąpić kilka kroków po nierównej podłodze; Robotnice ruszyły wraz z nią, podtrzymując ją pewnie i delikatnie.

- Zabierzcie mnie do Matki - powiedziała. Pieśń zabrzmiała chrapliwą groźbą.

- Zagrożenie królowej - przetłumaczyła jedna z nich. Inne powtórzyły jej słowa.

Bały się o Matkę. To zrozumiałe: Raen była samicą, a w kopcu mogła przebywać tylko

jedna. Robotnice nadal ją podtrzymywały, próbowały karmić, uspokajać. Odwróciła się od nich, wprowadzając jeszcze większe zamieszanie. Czuła ból, nogi miała jak z waty. Oparzenie na biodrze otworzyło się pod wpływem wysiłku. Zadbaly o nie, okryły wilgotnymi dotknięciami, przed którymi nie mogła się cofnąć. Otwarta rana przypomniła dawny ból. Miała czas, by się zastanowić, co może spotkać samice-intruza, ale nie chciała o tym myśleć. Matka z pewnością kontroluje wszystko, co się tu dzieje. Do tej pory tolerowała ją.

Robotnica musiała wrócić. Raen poznała to po ogólnym poruszeniu w kierunku głównego ciągu powietrza.

- Przeprowadźcie - zagrał głos, ludzkim językiem na dowód uprzejmości. - Matka pozwala.

Raen ruszyła w stronę tego głosu, kierowana delikatnymi muśnięciami pokrytych szczecina odnóży. Na ślepo-wyciągała ręce w ciemność, podążając za podmuchem powietrza. Tunele były wysokie i szerokie... musiały być, by mogli tędy przejść wysocy Wojownicy. Kiedy prawa ściana zniknęła nagle przy stromym podejściu, Raen upadła i jęknęła z bólu. Twarda ziemia obtarła jej rany. Robotnice zaświergotały alarmująco, podniosły ją natychmiast i poprowadziły dalej, bardziej ostrożnie. Powietrze stawało się duszne i ciepłe, krople

potu pojawiły się na jej nagiej skórze niepokojąc Robotnice, które gorączkowo starały się równocześnie dotrzymać jej kroku i usuwać powodującą nieporządek wilgoć.

Tunel stał się nagle widoczny w słabej poświacie - pierwszym świetle, jakie widziała od niezliczonych dni. To był jedyny dowód, że nie oślepla, choć blask był tak słaby, iż nie była pewna, czy naprawdę go dostrzega... kręgi, owale, nieregularne kształty. Wtedy zdała sobie sprawę, że naprawdę widzi, że te kształty to otwory, przez które lśni bladozielona fosforescencja. Przesuwały się tam cienie mająt, dwunogie, w pewnych pozach myląco ludzkie, niby mężczyźni w bogatych zbrojach.

' Raen przyspieszyła kroku i niemal straciła przytomność w ciepłe pomieszczenia. Z trudem odzyskała równowagę i podpierana ze wszystkich stron stanęła w Obecności.

Ona wypełniała Komorę. Raen zawisła w uchwycie Robotnic, oszołomiona widokiem Tej, której obecność dominowała nad kopcem, której umysł był ośrodkiem Umysłu. Jeśli istniało tu choć jedno indywiduum, to właśnie Ona - legenda dzieciństwa, otoczona masą Trutni, samców połyskujących chity-nowym bogactwem kopca, niby w scenie z gorączkowego snu.

Powietrze zawirowało.

L

- Jesteś taka mała - odezwała się Matka. Raen drgnęła, gdyż głos wstrząsał ścianami Komory i

wprawiał kości w wibrację.

- Jesteś piękna - szepnęła Raen. Łzy popłynęły z jej oczu, łzy wzruszenia i bólu jednocześnie.

Matka była zadowolona. Jej czułki słuchowe wysunęły się do przodu, pochyliła swą wielką głowę i szczypcami przyciągnęła Raen do siebie. Dotknięciem czułka smakowała jej łzy.

- Sól - stwierdziła.

- Tak.

- Jesteś już zdrowa.

- Wkrótce będę.

Olbrzymia głowa pochyliła się o kilka stopni.

- Zwiadowcy donoszą, że Kethiuy jest dla nich zamknięte. To nie zdarzyło się jeszcze nigdy, odkąd stoją te wzgórza. Zabiliśmy na granicy Kethiuy Robotnicę z czerwonego kopca. Wiesz, młoda królowo, że Robotnice nie pojawiają się, dopóki Wojownicy nie zabezpieczą terenu.

Smakowaliśmy w niej ślady świeżych wspomnień zielonych i złotych. I ludzi, I płynów życia. Zieloni współpracują ze złotymi, a nas unikają. Dlaczego?

Raen pokręciła głową z niepokojem. Jej umysł zaczął pracować w terminach ludzkich. Majat nadal przebywali w dolinie, choć Pakt ograniczał ich obecność. Czerwony kopiec.

Sprzymierzeńcy Ruilów. Cała Rodzina mogła powstać przeciw Ruilom, lecz nie zrobiła tego; zgodziła się i czerwony kopiec pozostał. Nie myślała o innych problemach, nie przejmowała się logiką. Rozsądek nie stał po jej stronie.

- Odbiorę im Kethiuy - oświadczyła wiedząc, że to szaleństwo. - Odbiorę.

- Zemsta - powiedziała Matka.

- Tak, zemsta. Tak.

Matka z sykiem wciągnęła powietrze do swych rezerwuarów.

- To wzgórze należało do błękitnego kopca w czasach, gdy nie znaleźliśmy jeszcze ludzi. Potem nadeszli. My, mająt, zabiliśmy pierwszych. Potem zrozumieliśmy. Zrozumieliśmy gwiazdy, maszyny i ludzkie istoty. Wyraziliśmy zgodę na jedną Rodzinę, wszyscy, wszyscy, czerwony kopiec, niebieski, zielony i złoty, na jeden ludzki statek, by wśród nas wylądował, jeden ludzki kopiec. Jeden statek, który przywiózł jajeczka innych ludzi. Tak nas oszukano. Pogodziliśmy się z tym. Pozwoliliśmy, by kopiec Kontrin handlował z nami, mnożył się i budował w imieniu wszystkich ludzi. Daliśmy zgodę, by kopiec Kontrin utrzymywał porządek i nie dopuszczał innych. Zyskaliśmy wtedy metale, azi i świadomość rzeczy niewidzialnych; powiększyliśmy nasze kopce i wysłaliśmy królowe pod inne słońca. Azi pracują dla nas swymi ludzkimi oczami i dłońmi, a handel daje nam jedzenie, dużo jedzenia. Możemy wyżywić większą ilość mająt niż za wielu minionych cykli. Podróżowaliśmy statkami Kontrin na Meron, Andrę, Kalind i Istrę, tworząc nowe rozszerzenia Umysłu. Zadowalała nas taka wymiana. Zyskaliśmy świadomość daleko

przekraczającą czasy sprzed przybycia ludzi. Wasze kopce rozwijały się i kwitły, zapewniając żywność dla naszych. Aż nagle podzieliliście się, a teraz dzielicie i nas. Nagle nastąpił rozłam. Nagle wybuchła wojna-w-gnieździe ludzi; to się już zdarzało, widzieliśmy takie rzeczy. Teraz jednak zagraża nam wojna-w-gnieździe majat, a tego nie było od czasu sprzed przybycia ludzi. Jesteśmy zaniepokojeni. Sięgamy, by skupić Umysł, lecz rozrośliśmy się zbyt szeroko; światy są zbyt odległe, a statki za wolne, by nam pomóc. Nie możemy osiągnąć syntezy. Nie potrafiliśmy tego przewidzieć i teraz jesteśmy ślepi. Pomóż mi, królowo Kethiuy. Dlaczego się tak dzieje? Co się stanie?

Trutnie zaśpiewały i zafalowały wokół Matki. Ich głosy były piskliwe, a większa część pieśni brzmiała zbyt wysoko, by słyssały ją ludzkie uszy. Dźwięk zagłuszał słowa, zatapiał myśli, zgrzytał o kości.

- Matko! - załkała Raen. - Nie wiem. Nie wiem. Lecz cokolwiek dzieje się w Rodzinie, potrafimy ich powstrzymać. Niebieski kopiec może ich powstrzymać.

Zaszumiało wciągane do komór powietrze. Matka osunęła się niżej i tchnęła basową nutą, uciszając Trutnie.

- Królowo Kethiuy, czy to możliwe, by nasze dwa gatunki zanadto się rozmnożyły? Jakie jest prawidłowe zagęszczenie waszej populacji,

młoda królowo? Czy osiągnęliście poziom krytyczny, którego ludzie nie przewidzieli? A może równania opisujące nasz i wasz rozwój uległy zmianie poprzez wprowadzenie złożonego czynnika naszych kontaktów? To nie powinno się jeszcze zdarzyć. Próbujemy osiągnąć syntezę i nie udaje się nam. Gdzie jest synteza ludzkich istot? Czy znasz odpowiedź na to pytanie?

- Nie - Raen drżała słuchając ogłuszającego głosu Matki, -'świadoma własnego braku doświadczenia... braku doświadczenia wszystkich ludzi w kontaktach z majat. Wyciągnęła rękę i ze skrajnym brakiem szacunku dotknęła płam zapachowych, tuż pod wielkimi, mozaikowymi oczami. Odcisnęła się w pamięci Matki, jak zrobiłby to jej krewniak z Robotnicą majat. Przypieczętowała przyjaźń. Matka zniosła to bez gniewu, choć potężne szczęki mogły zamknąć się w każdej chwili, choć fala niepokoju przebiegła wśród Trutni.

- Posłuchaj mnie, Matko. Zawsze byliśmy w Kethiuy przyjaciółmi niebieskiego kopca. Teraz potrzebuję pomocy. Oni zabili... wszystkich. Wszystkich, oprócz mnie. Myślą, że zwyciężyli. Sept Ruil sprowadził ze sobą czerwony kopiec. Czy sądzisz, że ich kiedykolwiek odeślą, że wiedzą, jak to zrobić? Nie, czerwoni nie odejdą. Nigdy. Na zawsze pozostaną w Kethiuy, w naszej dolinie, a Rodzina nie spróbuje ich powstrzymać, bo już by coś zrobiła.

- Wydaje się to rozsądne.

-- Mogę odebrać im Kethiuy. Jeśli niebieski kopiec mi pomoże, odbiorę je.

Matka uniosła głowę zatrzasując szczęki. W czasie, gdy myślała, wydała na świat tuzin nowych istot. Robotnice pochwyciły i wyniosły jajeczka, Trutnie zakrzętnęły się wokół Niej, wydając pełne niepokoju piski cichnące w wyższych rejestrach.

-- To bardzo niebezpieczne - stwierdziła Matka.

- Interwencja narusza Pakt. Powiększa zamieszanie. Poza tym, nie masz komputerów translacyj-nych. Bez precyzyjnych instrukcji Wojownicy i ludzie nie potrafią współpracować.

- Mogę im pokajać. Poprowadzić. Niektórzy znają Kethiuy, prawda? Byli tam już. Inni mogą iść za nimi.

Matka wahala się. Znowu poruszyła głową.

- Masz rację, młoda królowo, ale podejrzewam, że masz ją z innych powodów, niż ci się wydaje. Wszyscy, wszyscy Wojownicy znają Kethiuy. Nie do końca rozumiemy, jakim torem biegną twoje myśli. Możesz jednak posłużyć jako ognisko. Tak. To możliwe. Bardzo ryzykowne, ale możliwe.

- Musimy trochę poczekać. Jeszcze kilka dni i spróbuję. Będę potrzebowała miotacza, azi i Wojowników. Wtedy odbierzemy Kethiuy. Tamtejsi azi włączą się do walki, kiedy wydam im rozkazy. Zernj&f, Matko! A błękitny kopiec będzie mógł wchodzić i wychodzić z Kethiuy wedle swej woli.

Zapadła cisza. Matka z szumem wciągnęła powietrze, wypuściła je i wciągnęła znowu. Pieśń Trutni wznosiła się i opadała rytmicznie.

- Rodzę Wojowników - oznajmiła wreszcie Matka. - W tych okolicznościach są potrzebni kopcowi - mówiąc to złożyła jeszcze kilka jaj. - Nie potrafię rodzić, azi. Ich strata będzie nie do naprawienia. Możemy przeprowadzić tylko jeden atak na Kethiuy. Niebieski kopiec oszukał czerwony w sprawie twojej tu obecności.

Doniesiono o twojej śmierci. Po to wyszli na zewnątrz bezMyślni Wojownicy. Lecz ci, którzy pójdą z tobą, nie mogą być bezMyślni, gdyż nie zdołaliby zapamiętać swej misji ani prawidłowo funkcjonować. Czerwoni pierścieniem otaczają Kethiuy. Kiedy ich spotkasz, kiedy padną niebiescy Wojownicy, nie będziesz mogła tu wrócić. Smak zdradzi twoje istnienie i czerwoni przybędą, ponieważ wpuściliśmy człowieka do wewnętrznego kopca, co nie będzie dobrze przyjęte. Będziemy więc toczyć walkę tam i tutaj, używając wszystkich naszych Wojowników. Jeśli w tej akcji stracimy ich wielu, czekają nas kolejne ataki czerwonego i pozostałych kopców i nie wystarczy czasu na nowy wyląg. Powiedz, królowo Kethiuy, czy to rozsądne? Może spróbujesz znaleźć Trutnie i osiedlić się gdzie indziej, z większymi nadziejami na przyszłość? Mogłabyś rodzić własnych Wojowników. Mogłabyś kupić azi. Założyć nowy kopiec.

**Raen spojrzała w mozaikę oczu, dla których
^istniała jedynie jako plama ciepła.**

**- W czerwonym kopcu także lęgną się
Wojownicy, prawda? Jeżeli planowali atak na
Kethiuy, to rodzą się już od bardzo dawna. Od
lat. Co się stanie, jeśli ruszą dalej? Potrzebne ci
jest Kethiuy pod kontrolą septu Sul. Jeśli
będziesz zwlekać... wtedy nie wystarczy ci czasu,
by rodzić Wojowników, a czerwoni... - umilkła
na chwilę. Nagle zrozumiała, jakiego klucza
powinna użyć, jak poruszyć zasadniczo
uczciwych niebieskich. - Czerwony kopiec
zabijał ludzi, zabijał Meth-marenów. Wbrew
Paktowi. Być może Rui-lowie namówili ich do
tego, ale morderstw dokonał czerwony kopiec,
zgodził się ich dokonać. Czy chcesz, by już na
zawsze byli waszymi sąsiadami, Matko?
Znam drogi do Kethiuy, których Wojownicy nie
mogą zobaczyć. Potrafię ich tam wprowadzić.
Do wnętrza. Niebiescy dostaną się do środka,
choćby nie wiem ilu czerwonych strzegło bramy.
Wiem, że zdołam tego dokonać.**

Matka milczała.

- Tak - rzekła po chwili. - Tak.

**Mgła napłynęła Raen przed oczy, przesłaniając
zielonkawy blask, cienie majat, migotanie
Trutni. Pomyślała, że zaraz upadnie, a nie wolno
jej upaść przed Matką. To przekreśliłoby
wszystko, co osiągnęła. Dotknęła Jej kleszczy i
wycofała się, nie znając stosownego
ceremoniału. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Nikt**

nie wydawał się urażony. Odszukała tunel wyjściowy. Blask próchna był niby pamięć światła na siatkówce, a przed nią czekał mrok, czarne kręgi, dziury w świetle. Weszła w jedną z nich i oczy przestały jej być potrzebne. Powietrze brzęczało pieśnią Robotnic, głębszymi głosami Wojowników i piskami Trutni. Co chwila czuła dotyk szczeciniastych odnóży. Robotnice roily się wokół niej, kierowały, pieściły, szukały ust, by poznać myśli, choć biochemia ludzi była dla nich niepojęta. Może pozostał jeszcze na niej zapach Matki. Nie cofała się, lecz dotykała ich także, oszołomiona swym sukcesem. Majat byli istotą jej marzeń i koszmarów, majat, podziemna moc trwająca tutaj, gdzie ludzie byli przybyszami. Dotknęła Matki, która żyła pod wzgórzem, gdy jej nie było jeszcze na świecie, a Matka na to pozwoliła. Była Kontrin, była z Rodziny, a wzorzec wszczepiony w prawą dłoń dawał jej potęgę kopców, zawsze docenianą w Kethiuy, bardziej niż gdzie indziej w Rodzinie... przyjaciele kopca... Roześmiała się, zdumiewając Robotnice, i śmiała się nadal, gdy opuszczała ją świadomość.

Zaszurały krzesła i wszyscy zajęli miejsca. Kobieta azi, skonstruowana dla funkcji nie mających nic wspólnego z obowiązkami domowymi, przeszła wokół długiego stołu podając drinki i uśmiechając się promiennie. Eron Thel poklepał ją po udzie i szeptem

pozwoili odejść. Należała do niego, tak jak letni dom w górach Altrin. Nie zwracał uwagi na jej dobrze znane uroki, choć niejeden z gości odprowadzał ją łakomym spojrzeniem. Eron obserwował z zadowoleniem, jak przyglądają się sprzętom. Przedmioty zdobiące ten pokój były unikalne, pochodziły ze światów nawet spoza Regionu i przyglądano się im z należywym podziwem... nie z zazdrością, gdyż tę trudno było wzbudzić wśród krewniaków z Rodziny. Patrzyli jednak i aprobowali.

Lęk wkroczył do pokoju pod postacią Wojownika majat, który objął straż pod drzwiami. Reprezentował siłę. Yls Renbarant, Del Hałd i niektórzy inni byli, przyzwyczajeni do obecności majat, tak samo jak Tel a Ruil, lecz nie neutralizowało to lęku i wiedzy, że wr^z z tym stworzeniem stoją tu jego niezliczeni pobratymcy, świadomość kopca.

- Czy jesteś go pewien? - spytał Hałd. - On pamięta, nawet jeśli nie [^]rozumie.

- Nosi wieści tylko do swego kopca - wyjaśnił Eron. - A jego kopiec, tak się składa, odgrywa pewną rolę w dzisiejszym spotkaniu. Niezwykle istotną rolę, kuzynie.

Skinął gwizdząc cicho, a Wojownik podszedł do stołu i przykucnął, wznosząc się ponad ludzi. Był żywym urządzeniem zapisującym: odbierał informacje. W tej chwili zawierał jedną.

- Czerwony kopiec - mówił Eron - zajął pozycje w niektórych krytycznych punktach, tutaj i na

innych terenach. Nieprzekupni strażnicy, lepsi od zwykłych zabezpieczeń. Ich pragnienia... nie przeszkadzają naszym. Wręcz przeciwnie. Otworzył leżącą przed nim na stole plastikową teczkę i wszyscy pospiesznie zrobili to samo. Różnili się znacznie. Byli tu jego sprzymierzeńcy i kilku starszych reprezentantów wdzięcznych, że ich oszczędzono podczas ogólnej czystki. Wdzięcznych - Eron roześmiał się w duchu, patrząc z powagą na zadrukowane strony - że dopuszczono ich na to spotkanie, do grona, gdzie ustalano przyszłe decyzje Rady. Splótł ręce, pochylił się i uśmiechnął" ^; wypracytowaną serdecznością. Na tym polegał jego talent, sztuka perswazji. Wykorzystywał go świadomie, z góry przewidując powszechną zgodę na swoje propozycje, Był przystojny, jak wszyscy Kontrin, i wyglądał na trzydziestkę. Naprawdę był o dwa stulecia starszy i to samo można było powiedzieć o większości z obecnych, za wyjątkiem kilku Haldów. Miał wdzięk, cechę, na którą Kontrin na ogół nie zwracali uwagi, gdyż wystarczała im władza; wiedział, jak tego wdzięku użyć i w ten sposób kierował innymi. Był przedstawicielem wewnętrznego kręgu Haldów, Ren-barantów i Ruil Meth -marenów. Nie zamierzał na tym poprzestać. -- Punkt pierwszy: poszerzenie dostępności w granicach dozwolonych przez Pakt. Zbyt ostre były ograniczenia wymiany pomiędzy nami a kopcami

- wyciągnął rękę i, przerażając niektórych, położył dłoń na tułowiu Wro-jownika. Majat zniósł to potulnie, nie zmieniając pozy wyczekiwania. - Dowiedzieliśmy się o rzeczach, których 'nie znały poprzednie pokolenia. Dawne restrykcje spełniły swe zadanie. Chroniły obie strony, zapobiegały nieporozumieniom. Ale i majat, i ludzie pragnęli bliższych kontaktów. Pojawiły się nowe realia, możliwa jest współpraca na nowych terenach. Czerwony kopiec okazał się szczególnie podatny na tego typu odczucie. Są zainteresowani bliższą współpracą. Podobnie jak - za ich pośrednictwem

- złoci.

- Azi - barytonowy głos Wojownika wprawił w drżenie nawet blat stołu. Twarze starszych pobladły ze strachu. Eron przyglądał im się uważnie i notował w pamięci każdą reakcję.

- Rozbudowujemy kopce - oznajmił Wojownik. - Chronimy kopce ludzi w zamian za towary. Potrzeba nam więcej pól, irygacji, więcej żywności, więcej azi. Możecie nam dać te rzeczy. Czerwony kopiec i Kontrin...

- wciągnął powietrze - są kompatybilni.

Rozmawiamy bez komputerów

translacyjnych. Znaleźliśmy zrozumienie, identyfikację, synte[^]g. Smakujemy... wzajemne pragnienia.

To ich zaskoczyło. Eron dostrzegł to i skrzywił

wargi w ironicznym uśmiechu, który natychmiast zmienił się w inny, przyjazny i ciepły.

- Potęga kopców. Potęga Kontrin, kuzyni. Kosmos ludzi odrzuca nas. Stosowana polityka ograniczyła nasze wpływy, naszą liczbę, przyrost generacji beta, ilość azi. Skolonizowane planety wewnątrz Regionu mają populację ustabilizowaną na poziomie osiągniętym czterysta lat temu. Całą naszą filozofią było ^amknięcie w granicach Regionu. Pogodziliśmy się wszyscy z sytuacją, którą nam narzuciono... pod wpływem teorii, że majat i ludzie nie mogą współpracować. Ale możemy. Nie musimy pozostawać w wyznaczonych granicach. Nikt nas nie zmusi, by stosować się do takich restrykcji. Punkt pierwszy programu, który macie przed sobą jest zasadniczy: poszerzenie dostępności w granicach dozwolonych przez Pakt. Wasze głosowanie za tym punktem staje się niezwykle istotne. Majat będą chcieli współpracować z nami nie tylko na poziomie Robotnic. Dysponujemy już Wojownikami słuchającymi naszych poleceń, a wkrótce, drodzy kuzyni, być może także... Trutniami - kluczem do biologicznego komputera, jakim jest kopiec. Ludzie pracować będą bezpośrednio z tym, co sprawia, że kopce nie potrzebują maszyn, a przy tym zdolne są do najbardziej złożonych operacji. Pomyślcie: taka moc połączona z naszą, holistyczny sposób

rozumowania mająt wzmocniony ludzkimi zmysłami, ludzką wyobraźnią i intuicją. Nowy układ. Nie mówimy teraz o pozostawaniu na dawnych pozycjach. Nie musimy więcej gtdzić się na samoograniczenie.

Nikt się nie poruszył. Wszystkie oczy wpatrywały się w niego pełne nadziei i planów. Nie, to już nie były spekulacje. Oni sprawili, że stały się faktami. Tutaj, w tym pokoju, zasiadała prawdziwa Rada, tu zapadały decyzje i nikt nie oponował, nikt nie śmiał się sprzeciwić, patrząc w migocące oczy czerwonego Wojownika. Po tej stronie długiego stołu, w rękach Thelów, Methmarenów, Ren-barantów i Haldów, koncentrowała się władza; pozostali będą głosować tak, jak się im powie w lęku, że spotka ich to samo, co zdarzyło się już gdzie indziej. A może... może snują własne plany. Stary porządek powodował stagnację, stulecia miały bez żadnych zmian. Teraz nadchodziły owe zmiany, pojawiały się możliwości. Niektórzy zechcą na tym skorzystać.

- Punkt drugi - powiedział Eron nie patrząc na kartkę. - Propozycja rozszerzenia programów hodowli azi. Farmy na Istrze składały prośby w tej sprawie i dawna Rada odmawiała im. Teraz proponujemy przyznać im licencje wraz z rekompensatami za uprzednie odmowy.

Wydajność Istry i innych planet może być zwiększona czterokrotnie, a osiemnastoletni program wzrostu skorelowany z

osiemnastoletnim cyklem rozwojowym mająt. Kopcom można będzie płacić azi, a populacji Regionu wyznaczyć nowe granice. Punkt trzeci, kuzyni: upoważnienie rządów bet do dziesięcioprocentowego zwiększenia ilości zezwoleń na narodziny. Zapotrzebowanie na dozór w przemyśle i rolnictwie powinno wzrosnąć proporcjonalnie. Cztery: licencje na urodziny

Kontrin, skorelowane na poziomie tych samych dziesięciu procent. Były już pewne tarcia w tej sprawie i mogą się powtórzyć. Pięć: formalne rozwiązanie niektórych septów oraz przyznanie ich Kolorów i przywilejów innym, z tego samego Klanu. To jedynie legalizuje dokonane już posunięcia.

Z lewej strony sali, gdzie pod ścianą zajęło miejsca młodsze pokolenie, rozległ się głośny śmiech. Poi Hałd, siedząc z wyciągniętymi nogami, nie zwracał uwagi na gniewną minę wuja.

- Jakieś pytania? -- kontynuował Eron. - Ktoś chciałby coś powiedzieć? Nikt się nie odezwał.
- Liczymy na wasze głosy - oznajmił Tel a Ruil. - Będą zapamiętane.

Typowa arogancja Meth-marenów, pomyślał Eron, obserwując reakcję obecnych. Otwarta groźba Ruila zirytowała go równie mocno, co, zupełnie nie na miejscu, wybuch śmiechu Pola. Starsi znieśli w milczeniu jedno i drugie.

Trzasnęło szkło i rozsypało się po kafelkach

podłogi. Eron obrzucił wściekłym wzrokiem Pola, nieruchomego, z otwartą dłonią. Chciał się poderwać, lecz zrezygnował i z wdzięcznością spojrział na Ylsa Ren-baranta, którego dłoń na czas powstrzymała go od nieprzemyślanego kroku. Z zadowoleniem dostrzegł, że Del Hałd rusza wokół stołu, by udzielić bratankowi reprimendy.

Meth-marenowie i Haldowie: nienawiść dawna i głęboka, ostatnio jeszcze silniejsza niż kiedyś. Poi zachował się jak kłown,mim, atakując nadęty nastrój. Był lepszym aktorem niż specjalnie hodowani azi. Z demonstracyjnym zakłopotaniem cofnął wyciągniętą dłoń i ukrył ją pod płaszczem.

- Przepraszam - szepnął ironicznie, samymi wargami.

Tel Ril oddychał ciężko, czerwony na twarzy. Ren-barant starał się go uspokoić lekkim dotknięciem, ostrzegał. Tand Hałd i kuzyn Pola, Morn, spojrzeli w bok, zakłopotani, starając się podkreślić swój brak zainteresow.a-nia. Eron uśmiechnął się przepaszająco i oparł wygodnie. Tel a Ruil z wysiłkiem zachowywał spokój.

Niewielka grupka przedstawicieli najstarszych Klanów na drugim końcu stołu była wyraźnie zdenerwowana. Ich twarze pozostały gniewne, bez śladu odprężenia.

Eron uspokoił się całkowicie i nadal uśmiechał się serdecznie.

- Staramy się gładko wkroczyć w okres

przejściowy. Naturalnie, są pewne trudności, lecz także wyraźne korzyści. Jest sprawą absolutnie konieczną, by nie dać niczego poznać betom i tym z Zewnątrz. Z pewnością to rozumiecie. Pojmujecie też, jakie zyski możemy osiągnąć. Dysponujemy energią, która ograniczana dawnymi więzami sprawiała tylko kłopot. Teraz potrafimy ją wykorzystać. Czy ktoś chciałby zabrać głos w dyskusji nad tymi sprawami?

Odczekał chwilę.

- Rozumiem więc, że jesteśmy zgodni?

Pochyliły się głowy, nawet te po przeciwnej stronie stołu.

- Może więc - zaproponował - przejdziemy do baru i porozmawiamy w mniej oficjalnym otoczeniu. Możecie zabrać swoje drinki.

Omówimy bieżące sprawy. ,

Wszyscy z ulgą odsuwali krzesła, wychodzili parami i trójkami rozmawiając przyciszonymi głosami. Starali się omijać Wojownika mająt, który wolno, jak robot, poruszał głową., Eron spojrzał ostro na Dęła Hałda i groźnie zmarszczył brwi w stronę Pola i jego dwóch towarzyszy, którzy nadal siedzieli spokojnie pod ścianą. Jak ich starsi krewniacy, nie spieszyli się z opuszczeniem sali. Roś Hałd z córkami także pozostał, by bronić interesów klanu.

Del jednak nie wytrzymał twardego wzroku Erona, odwrócił się do Pola i, gdy ten wstawał, próbował chwycić go za rękaw. Polod sunął się

spokojnie i spojrzął na wuja drwiąco. Był synem bratanicy Dęła i Rosa, sierotą od wczesnego dzieciństwa. Pozostawał pod opieką Dęła i popierał jego starania o władzę wśród Haldów, nie pozwalając się jednak kontrolować. Miał talent do irytowania Rodziny, co znoszono spokojnie i ze śmiechem, gdyż atakował Haldów tak samo często jak innych, a to się podobało.

- Istotą humoru - oznajmił zimno Eron - jest subtelność.

- No cóż, kuzynie, w takim razie jesteś niezwykle poważnym człowiekiem - odparł Poi, chwycił pod ramię młodego Tanda i śmiejąc się z zadowoleniem wyszedł do baru. Morn ruszył za nim. Raz tylko obejrzał się na Erona, a na jego twarzy nie było śladu radości.

Eron odetchnął i spojrzął pytająco na Dęła.

Najstarszy Haldów zacisnął wargi.

-- On stwarza zagrożenie - stwierdził Eron. -

Ktoś powinien go pilnować. Może nam przeszkodzić.

- Może by gdzieś wyjechał - zaproponował Yls. -

Tam, gdzie jego poczucie humoru znajdzie dość zajęcia. Może na Meron? Czy to by go zadowoliło?

- Wyjedzie - oświadczył cichym głosem Hałd. -

Morn pojedzie razem z nirn. Rozumiem sytuację.

- Tylko na pewien czas - zapewnił Eron i uściśnął Hałda za ramię. Razem poszli do baru, a Roś z córkami podążał za 'nimi.

- Żal mi tego chłopaka. Ale sam rozumiesz, nie możemy sobie teraz pozwolić na takie sprawy. Bardziej doświadczone głowy muszą to rozwiązać.

A kiedy sytuacja trochę się ustabilizuje, pomyślał, Pola może gdzieś daleko spotkać jakiś nie budzący podejrzeń wypadek. Jego inteligencja nie objawiała się wyłącznie w humorze. Poi a Ren hant Hałd był dzieckiem ostatniej wielkiej czystki i uczestnikiem następnej, gdy Meth-marenowie toczyli ze sobą walkę. Poi Hałd i Morn, pierwszy, znany ze swych niesmacznych żartów i drugi, który nigdy się nie uśmiechał. Obaj byli zdolni do zdrady. Eron uśmiechnął się życzliwie, wchodząc pomiędzy swych gości, uśmiechał się gorliwie do tych ludzi, wdzięcznych za zaproszenie tutaj, gdzie tkwiła ,władza.

Byli tu Hałdo wie, Meth-marenowie, Ren-barantowie i inne kluczowe postacie Rady, podczas gdy Thonowie i Yaltowie wraz z ich blokiem zostali zdziesiątkowani. Grupy reprezentowane w tym miejscu dawały większość - nie tylko władzę na Cerdinie, ale i głosy, mogące zachwiać Regionem.

vi

- Noc - poinformowała Robotnica.

Raen wyczuła to. Nauczyła się rozpoznawać cykle i rytmy kopca, mówiące, kiedy na zewnątrz zapadł zmrok: coraz więcej mająt wracało, prądy powietrza uległy subtelnej

zmianie, rozbrzmiewały inne pieśni. Wewnątrz mrok był zawsze tak samo czarny. Poprosiła o fosforyzujące grzyby, by mieć nieco światła. Robotnice przyniosły je i umocowały na ścianie komory, która teraz należała do niej. W ten sposób udowodniła sobie, że nadal dysponuje wzrokiem. Lecz blask potrzebny był jej jedynie dla własnego spokoju, nauczyła się widzieć z pomocą dotyku, z pomocą zmian w nieustającej pieśni kopca; nauczyła się rozumieć wizje majat. Piękna, piękna, wołały do niej, oczarowane barwami jej ciepła. Mas% kolory wszystkich kopców, zapewniały ją Robotnice, niebieskie, pielone, %lote i czerwone, wciąż^ %mienne; lec^ twoje odnoże %aws%e nalepy do niebieskiego kopca.

Jej dłoń, pokryta chityną niebieskich: to fascynowało je niezmiennie, ów sekret, w którego powstaniu brali udział majat. Inżynieria genetyczna Kontrin i biochemia majat razem stworzyły życie na wszystkich światach Regionu. Majat byli zdolni do analizy i syntezy o niesamowitym zakresie i precyzji, potrafili pobierać próbki i zmieniać substancje tak naturalnie, jak człowiek poruszał palcami. Współpraca z nimi była bezcenna dla laboratoriów Kontrin. Lecz teraz Raen zrozumiała, że kopiec nigdy w pełni nie uczestniczył w pracach. Robotnice majat przychodzące do laboratoriów zawsze były izolowane od Robotnic w kopcu, aby nie

przenosić tam biochemicznego zamętu. Nigdy nie wracały, lecz pozostawały do końca skazane na ludzkie towarzystwo i od niego uzależnione, zaprogramowane na kilka osób, które odważyły się ich dotknąć. Rzadko odpoczywały, nie sypiały i pracowały, póki nie wypaliła się ich energia. Potem ludzie musieli usuwać ciała; nikt z majat by tego nie zrobił.

Mój pobyt tutaj jest zagrożeniem dla Umysłu, myślała Raen czując wyrzuty sumienia. Może przybywając tu dokonałam tego, czego się zawsze lękali, zachwiałam chemiczną równowagę kopca i odmieniłam ich. Może wpadli w pułapkę.

Byli jednak azi, ludzkie Robotnice. Majat żyli obok nich nie zmieniając się.

C%y naprawdę się nie ^mieniają? zastanawiała się Raen. I zaraz napłynęła przerażająca myśl: a ja?

Pieśń rozbrzmiała ogłuszająco, wprawiając w drżenie kości aż do szpiku. Rozpoczęła ją Matka, podjęły Robotnice, Wojownicy dodali swój barytonowy kontrapunkt, obcy we własnym gatunku, wydzielona do zabijania część, umysłu kopca. Trutnie śpiewały rzadko... a może ich pieśń, jak większość języka majat, brzmiała w paśmie niedostępnym dla ludzkich uszu.

Raen wstała i przespacerowała się, badając, czy wróciły jej siły. Dostała ubranie, materiał produkcji majat, delikatną, bladą pajęczynę nici

z kokonów. Nie nosiła go, gdyż niepokoiło Robotnice, przygaszając jej kolory. Nie krępowała się swej nagości.

- Jestem gotowa - oznajmiła. Robotnice dotknęły jej i pobiegły, by przekazać wiadomość.

Przybył Wojownik. Powiadomiła go o swoich planach i odszedł.

Wkrótce zjawili się azi - ludzie, choć nie do końca, i mająt nie uznawali ich za ludzi.

Hodowani w laboratoriach, sterylności, ale nie pozbawieni zewnętrznych atrybutów płci, pracowali jak Robotnice o zwinnych palcach i umysłach bardziej nadających się do kontaktów z ludźmi, nowe akcesoria kopca, przyjęte, gdy mająt zaczęli współdziałać z człowiekiem, niezbędny fragment Umysłu.

Produkowani byli przez bety i sprzedawani innym betom, a także Kontrin, którzy część z nich przekazywali kopcom - te krótko żyjące klony komórek bet.

Pojawili się, niosąc błękitne światła, niewiele jaśniejsze niż iluzoryczny blask grzybów.

Zebrali się wokół niej, oszołomieni może chityną na jej dłoni, świadomością, że należy do

Kontrin, choć naga jak oni i wewnątrz kopca.

Tych azi nie hodowano do walki, byli jednak sprytni i szybcy, chętni by służyć. Majat cenili ich wysoko i azi znali swoją wartość w kopcu, byli jednak odrobinę szaleni, jak większość tych, którzy żyli wśród mająt.

- Wychodzimy na zewnątrz - oznajmiła im

Raen. - Dostaniecie broń i będziecie słuchać moich poleceń.

- Tak - odpowiedzieli nierównym chórem. Ich głosy brzmiały śpiewnie i pozbawione były wszelkiej intonacji, jak głosy majat. Budzili pewien nieokreślony lęk. Przybywali tu młodszy niż zazwyczaj sprzedaje się azi i przejmowali zwyczaj majat. Do tykali jej, by lepiej zapamiętać. Dotykała ich także, po czym podniosła strój, który jej dano. Owinęła się w, tkaninę, przewiązała w kilku miejscach. Mimo lekkości materiału czuła się dziwnie; napłynęły wspomnienia zewnętrznego świata.

Pojawił się Wojownik i usiadł. Jego chitynowa głowa i potężne szczęki migotały w światłach azi niby wysadzone fantastycznymi klejnotami.

Podał jej miotacz. Sam także nosił dodatkową broń, oprócz arsenału, w który wyposażyła go natura. Majat cenili te drobiazgi, świadczące o statusie Wojownika. Puste symbole... tak przynajmniej sądzili ludzie.

Raen chwyciła miotacz dopasowany do ludzkiej ręki. Chłodny, ciężki przedmiot szybko rozgrzał się w jej dłoni. Kształt broni, jej twardość sprawiały jej dziwną rozkosz. To była siła; siła, która zmusi Ruilów, by zapłacili za swe czyny.

- Broń azi - odezwał się Wojownik. - Uzbroimy ich?

- Tak - wsunęła wolną rękę między potężne szczęki, sięgając ku plamom zapachowym. -

Jesteście gotowi?

Wojownik zaśpiewał nisko. Pojawili się inni, spływając z niewidocznych tuneli w migotanie światła. Nieśli broń, część umocowaną do swych skórzas-tych ciał, resztę rozdali azi. Ludzkie oczy klonów rozjarzyły się nie człowieczym blaskiem. Uśmiechali się w podnieceniu.

- Chodźmy - poleciała.

Za jej słowem stał autorytet Matki, zgoda kopca. Ruszyli wszyscy ciemnymi tunelami. Inni Wojownicy przyłączali się do milczącego pochodu. Pie-

śni ucichły i posuwali się w absolutnej ciszy. I w absolutnej ciemności - azi zostawili swe światła. Po chwili dotarli do chłodnego powietrza westybulu i wyszli pod nocne niebo. Raen zadrżała od wiatru, oszołomiona widokiem gwiazd i jasnością nocy. Wojownicy zebrali się wokół niej, dotykali, szukali motywacji i kierunku. Była ośrodkiem, jednostką sterującą dla tej części Umysłu. Bosa i zwinna, ruszyła naprzód pomiędzy skałami.

vtt

Gwiazdy odbijały się w jeziorze, a ostre, sztuczne światła tańczyły na powierzchni wody na drugim brzegu, tam gdzie Sul nigdy nie palili światel. Raen zatrzymała się na ostatniej skalnej półce nad drzewami i spojrzała na obraz, na który oczy mająt były praktycznie ślepe. Po raz pierwszy zaboląły ją rany i z trudem złapała

oddech. Kethiuy-nad-wodami.

Jej dom.

Czuła żal większy niż kiedykolwiek przedtem. Do tej chwili pozbawiona była ludzkiego układu odniesienia, teraz tamte śmierci nabrały realności. Matka, kuzyni, przyjaciele... już tylko popiół. Ruilowie nie oszczędzili nikogo, a już szczególnie Najstarszego, by nikt nie mógł sprzeciwić się ich planom. Mimo to Rodzina nie zrobiła nic, by interweniować. Ruilowie nadal tu byli. W przeciwnym razie kopiec by wiedział, mająt powiedzieliby jej. Czerwony kopiec przebywał tu ciągle; tego byli pewni.

Gorycz wezbrała w niej jak fala, gorycz i nienawiść. Otarła oczy lewą ręką; w okrytej chityną prawej dłoni ścisnęła miotacz.

- Meth-maren - przynaglił ją Wojownik.

Zsunęła się w dół nie zważając na kamienie, na ślepo. Nogi drżały jej z wysiłku, lecz Wojownik pochwycił ją w swe pewne, mocne odnóża. Jeden jego krok był dłuższy niż kilka jej kroków, stawy wyginały się z łatwością pod kątami nieosiągalnymi dla ludzkich kończyn, mięśnie umocowane były do endo- i egzozszkieletu. Azi także wbiegli na skały i podali jej ręce, przytrzymali, przekazali czekającym na dole Wojownikom. Ci z kolei ponaglali ją na sposób Robotnic. Adaptowali się najłatwiej ze wszystkich mająt, byli zdolni do niezależnych osądów i złożonych działań.

- Tędy - wskazała drogę przez las, po znanych

sobie ścieżkach. Szli za nią cicho; nie trzasnęła nawet gałązka. Kroczyli szybciej, niż ona mogła biec.

Czerwony Wojownik. Wybiegł zza kryjących go krzaków, lecz przecenił swoją szybkość.

Niebiescy pomknęli za nim, przewrócili, ukąsili. Cała grupa zamarła na chwilę w bezruchu, jak posągi, niebiescy pochyleni nad nieprzyjacielem z charakterystyczną dla mająt cierpliwością zaciskając szczęki. Potem głowa pokonanego odpadła, a niebiescy Wojownicy ożyli na nowo i ruszyli przodem, część szlakiem, część obok, w przelotnych dotknięciach przekazując sobie smak.

-- Duże siły czerwonych - poinformował Raen jeden z nich, pospiesznie dotykając czułkiem jej warg. Zatańczył przy tym zabawnie. Tłumaczył na dźwięki to, czego powinna dowiedzieć się ze smaku. Głos miał cichy, ledwie tchnienie rezonansu.

- Ludzie Ruil. Brak poczucia zagrożenia. Nie spodziewają się ataku.

Wojownicy byli podnieceni, ich ruchy przesadnie szybkie, znamionujące nadmiar energii. Niektórzy wracali, by ponaglić zostających w tyle. Eskortowali ciemny potok ciał w dół po skałach i dalej, między drzewami. Azi dotykali się nawzajem i szczyrzyli zęby z radości. Chętnie pobiegliby przodem. Raen nie wierzyła w ich rozsądek i szeptem wydawała polecenia, by się cofnęli. Szła najszybciej jak

potrafiła. Znowu bolała rana w boku, ciernie i kamienie okaleczyły jej bose stopy. Nie zwracała uwagi na ból; przeżyła już gorszy. Czowała rosnący w żołądku ucisk lęku.

Jestem za wolna, pomyślała ogarnięta chwilową paniką. Zatrzymuję ich. I zaraz napłynęła następna myśl: tam, na dok, są dorośli pr%y% wyc%ajeni do ^ubijania, są a%i hodowani do walki. Co ja tu robię?

Ale nie spodziewali się ataku. Niebiescy odczytali to. I na pewno nie oczekują mająt. Spojrzała na swych towarzyszy, stworzenia, których nawet instynkty były ukierunkowane na zabijanie. Z ich entuzjazmu, ich szaleństwa, czerpała spokój.

Zbliżali się do skraju lasu, gdzie rosły jedynie gęste zarośla i cierniste żywopłoty.

- Szybciej - ponaglił ją, Wojownik, boleśnie ściskając za ramię. Majat różnili się od ludzi, którzy okazywali przywódcy szacunek; w kopcu był tylko jeden Umysł. Przycisnęła rękę do bolącej rany i pobięła, zużywając oszczędzaną energię.

Były tu drogi, które znała, ścieżki, którymi biegała za dawnych dni, skróty, z jakich korzystali robotnicy azi idąc na pola, miejsca, gdzie żywopłot rósł tylko cienką ścianką. Poruszała się ze zwinnością, której w tej płataninie mogli dorównać jedynie azi. Przed nimi wyrósł mur, bariera wewnętrznych ogrodów w pobliżu laboratoriów - żadna

przeszkoda dla Wojowników, którzy żywym łańcuchem sięgnęli poprzez niego, otwierając drogę dla azi. Ci całą gromadą przelali się do środka. Ciągnęli ją i popychali, by jej pomóc we wspinaczce po ich nagich, śliskich od potu ciałach. Udało się; łańcuch się rozpadł, ostatni Wojownik przeszedł nad barierą niby kroczące na szczudłowatych nogach arcydzieło równowagi i siły, wciągnięty przez swych towarzyszy.

Byli zadowoleni z tej operacji. Ich szczęki zamykały się z trzaskiem. Nagle rzucili się do biegu i niby czarna fala w ciemności pomknęli z niesamowitą szybkością przed siebie.

Grupa czerwonych. Przetaczające się po trawniku ciała splecione w śmiertelnym uścisku. Front fali atakujących rozpadł się, mająt i azi biegli ku punktom oporu. Raen zamarła w panice. Wszystko, co zaplanowała, teraz wymykało jej się spod kontroli. Zaraz jednak odetchnęła głębiej, mocniej chwyciła miotacz i pobięła, by robić to, po co tu przybyła.

Obok niej pojawił się Wojownik, potem następny, potem pół tuzina i grupka azi. Biegła w stronę głównego wejścia, na obszar silnie strzeżony przez czerwony kopiec. Smugi strzałów plotły wokół nich skomplikowaną sieć. Wojownicy padali, wili się na ziemi i wydawali ze swych komór rezonansowych dziwne piski. Normalnie byłaby przerażona. Teraz nie miała

wyboru, mogła tylko biec do drzwi... posunęli się za daleko, by się cofać. Wreszcie byli przy wejściu i Wojownicy zwarli się ze sobą.

Przepaliła mechanizm zamka i bezskutecznie szarpała drzwi. Azi, potem jeden z Wojowników użył swych sił, by je poruszyć.

Wbiegli za nią do głównego hallu Kethiuy.

- Wszystkie wyjścia obstawione - tchnął

Wojownik biegnący obok niej. Zrozumiała, gdzie podzieli się pozostali. To była strategia majat, szybka i skuteczna. Główny korytarz kopuły centralnej ciągnął się przed nią zupełnie pusty... kiedyś tutaj był jej dom. Wściekłość uderzyła jej do głowy w rytmie uderzeń serca.

Nagle, gdzieś z- daleka rozległ się trzask i piskliwe wycie sygnałów alarmowych: niebiescy weszli do wewnątrz. Domowi azi biegali przerażeni we wszystkie strony, szukając miejsca, gdzie mogliby się ukryć, i krzyczeli padając pod tłumem majat.

Czerwony kopiec. Raen uniosła miotacz i wystrzeliła, rozłamując ich szyk. Równocześnie niebiescy wysunęli się przed nią i ruszyli do natarcia.

Słysząc było krzyki ludzi. W zachodnim skrzydle otwierały się drzwi, zza których wybiegali Ruilowie ścigani przez niebieskich. Raen pozostawiła majat dla majat, wymierzyła broń w nowe cele i strzelała starannie, jak na ćwiczeniach. Czas zwolnił biegu. Wrogowie padali jeden po drugim, młodzi i starzy, do

końca nie wierząc własnym oczom. Na ich twarzach odbijało się przerażenie.

Potem Raen usłyszała niskie dźwięki. Niebiescy we wszystkich częściach budynku sygnalizowali coś do siebie w panice, coś, czego nie rozumiała.

Od wschodniego skrzydła nadbiegli inni, czerwoni, złoci, horda uzbrojonych azi.

Raen strzelała bez przerwy. Zrozpaczona, lecz spokojna, nie widziała żadnej możliwości ucieczki. Niektórzy z azi Kethiuy i żywi jeszcze niebiescy próbowali do niej podbiec, lecz padli pod strzałami. Atakujący mająt przebiegali po ich ciałach.

Jakiś Wojownik padł bez głowy niemal u jej stóp. Jego kończyny drgały jeszcze, przewracając ją niemal. Nagi azi legł martwy tuż obok. Odwróciła się wtedy i z trudem utrzymując równowagę rzuciła się do ucieczki, gdyż utraciła wszelką nadzieję. Niebiescy, ci, którzy jeszcze żyli, uciekali na zewnątrz.

Jakiś straszliwy ciężar przycisnął ją do ziemi.

viii

Po raz drugi Raen leżała nieruchomo i czekała, aż się rozstrzygnie, czy będzie żyła, czy umrze.

Tym razem jednak otaczały ją jaskrawo białe ściany

i chromowe sprzęty, a obok siedziała jakaś przestraszona azi, stale patrząca w podłogę i nieodzywająca się ani słowem.

Nie przeszkadzało to Raen. Nie było niczego szczególnego, co akurat chciałaby usłyszeć. Nie

znajdowała się w Kethiuy, a ten fakt mówił wiele. Środki odurzające przyćmiewały wszystkie zmysły i sprawiały, że niczego nie pragnęła zbyt mocno.

Trwało to, jak sądziła, od wielu dni. Karmiono ją, gdyż nie potrafiła jeść sama; przesuwno, by umożliwić załatwienie tej czy innej potrzeby.

Milczała przez cały czas, a od azi nie usłyszała nawet jednego słowa.

W końcu jednak leki przestały działać i przebudziła się. W pokoju stał strażnik majat. Czerwony kopiec. Rozpoznała emblematy, znaki, które nosili dla ludzi, niezdolnych do odbierania ich kolorów. Wojownik czerwonego kopca.

Wtedy zrozumiała, że przegrała - i to coś więcej niż tylko Kethiuy.

Majat podał jej ubranie, szare, bez Koloru.

Włożyła je, czując całkowicie obcy dotyk materiału na skórze. Potem usiadła z rękami na kolanach, na skraju łóżka i obojętnie patrzyła na ścianę. Strażnik majat nie ruszał się.

Wiedziała, że nie zmieni pozycji, dopóki ona się nie poruszy.

Powrót do świata ludzi był dla niej szokiem, tak jak zrozumienie, co utraciła i czym się stała.

Schudła bardzo. Wciąż bolały ją nogi, lecz blizny pozostały jedynie powyżej biodra.

Zaciskała prawą dłoń w lewej, przesuwno palcami po paciorkach chityny, będących jej znakiem identyfikacyjnym: Raen, sept Sul,

Meth-maren, Kontrin. Kazali jej się ubrać na szaro, nie we własne Barwy. Znak na dłoni nie można jednak usunąć bez poważnej operacji - utracony skrawek chityny odrasta. Słyszała o Kontrin, pozbawionych swej tożsamości, okaleczonych przez morderców lub na rozkaz Rady. Ta groźba przerażała ją bardziej, niż chciałyby się przyznać. To było wszystko, co jej pozostało. Miała piętnaście lat, wkrótce szesnaście. Była śmiertelnie przerażona. Wiele czasu minęło, zanim nadeszło wezwanie, którego się spodziewała. Nie stawiając oporu poszła za strażnikami azi. Byli władzą Rodziny, głowami dwudziestu siedmiu posiadłości i pięćdziesięciu kilku pomniejszych majątków wraz z oddziałami pozaplanetarnymi. Nosili Kolory Klanów i septów i połyskiwali chitynowymi pancerzami... ozdobami raczej, gdyż niewielką dawały ochronę, w większości tylko prawego ramienia; broń w sali Rady była zakazana. Zasiadali tu starzy mężczyźni i kobiety, choć trudno to było poznać patrząc w ich twarze. Raen obserwowała półkolisty amfiteatr, w którego centrum ją postawiono. Zmieszanymi uczuciami zauważyła, że nikt z obecnych nie nosił błękitu Kethiuy. Dostrzegła Kahna, niegdyś najmłodszego w Radzie; miał siedemdziesiąt dwa lata i był seniorem zdziesiątkowanego przez morderców septu Beln Klanu Illit; wy-

glądał na trzydziestkę. Dalej siedziała Moth, której podeszły wiek był najbardziej widoczny, mocno pomarszczona i jakby krucha; wkrótce'odejdzie, jak przypuszczano w Rodzinie. Przekroczyła już sześćset lat, a jej włosy posiwiały, zupełnie i stawały się coraz rzadsze. I Lian, Najstarszy Rodziny... Raen spojrzała na niego z nową nadzieją - Lian nadal żywy, wujek Lian, który w wieku siedmiuset lat nadal opierał się zabójcom, być może dlatego, że Rodzina chciała sprawdzić, jak długo może żyć Kontrin i nie zwariować. Był jednym z pierwszych, stary jak ludzkie osiedla na Cerdinie, najważniejszy w Radzie.

W dodatku przyjaźnił się z Dziadkiem. Raen знаła go od wczesnego dzieciństwa jako gościa w ich domu. Kiedyś zauważył ją u stóp Dziadka. Desperacko starała się teraz pochwycić jego spojrzenie, w nadziei, że potrafi jeszcze jej pomóc. Bez skutku. Siedział pogrążony we własnych myślach, spokojny, roztargniony i stary, po prostu stary, jak bety. Zrezygnowana ominęła go wzrokiem.

Dalej siedział Eron Thel i Yls Ren-barant, sprzymierzeńcy, przyjaciele Ru-ilów. Sul gardzili nimi. Byli też inni, podobni. Hipnostudiowała całą Radę i wszystkie Klany ważne dla Sul Meth-marenów tak, że teraz знаła imiona i twarze, charakter i historie. Lecz nie było tu tych, których spodziewała się zobaczyć, a inni nosili ich

Barwy. Jacyś młodzi reprezentowali Yaltów i Tho-nów. Poczula dreszcz pojmując, co musiało się dziać w Rodzinie: to, co w Kethiuy, ale wiele, wiele razy i to w krótkim czasie. Nowi ludzie doszli do władzy na Cerdinie i gdzie indziej, nowa grupa, uzyskała wpływy. W tej grupie brakowało tylko Ruil Meth-marenów.

Wstał Eron Thel, dotknięciem uruchomił mikrofon i przebiegł spojrzeniem rzędy siedzeń.

- Sprawa do decyzji Rady - powiedział. - Opieka nad dzieckiem Raen a Sul Meth-maren.

- Sama się sobą zajmę - zawołała, a Eron odwrócił się wolno i popatrzył na nią z powagą, czując za sobą poparcie większości. Pojęła nagle, pod czyją opiekę chcą ją oddać i na czym może ona polegać. Lęk ścisnął ją za gardło, uniemożliwiając dalsze protesty.

- Tego właśnie próbowałaś - głos Erona z głośników odbił się echem w sali Rady. - Udało ci się zetrzeć z tego świata sept Ruil, aż do ostatniego dziecka. Niektórzy próbowali mnie przekonać, że "dziecko" nie jest odpowiednim określeniem w twoim przypadku. Gdybyś reprezentowała Klan Meth-marenów, musiałabyś odpowiedzieć za swoje czyny, a tego byś chyba nie chciała, prawda? Rada skłonna jest wziąć pod uwagę twój wiek. ^

- Ja jestem Klanem Meth-marenów.- krzyknęła. Eron odwrócił wzrok i dał znak ręką. Światła przygasły, zajaśniały centralne ekrany i pojawiło się Kethiuy. Serce Raen zabiło

boleśnie. Wiedziała, że w tym pokazie będzie coś, co ma ją zranić. Nie uda im się, pomyślała. Nie dam im tej satysfakcji.

Na ekranach widać było ogród obok laboratoriów. Na trawie, w równych rzędach leżały ciała. Obraz zbliżył się i rozpoznała azi z Kethiuy, głównie zwykłych robotników, spokojnych i niegroźnych dla nikogo, zabitych i uło-

żonych przed kamerą. Rząd trupów ciągnął się bez końca, ciał o twarzach w większości obcych, gdyż nie знаła wszystkich pracujących na polach. Była tam jednak Lia i inni. Raen poczuła nagły ból w sercu. Bała się, że pokażą jej zwłoki krewniaków, choć już dawno powinny zostać spalone. Miała nadzieję, że tak właśnie się stało.

Na ekranie pojawiły się wzgórza, na których roili się majat, czerwoni, zieloni, złoci.

Dostrzegła martwych niebieskich. Potem kamera zbliżyła się do samego westybulu niebieskiego kopca. Wokół wejścia leżały białe przedmioty, jaja o porozrywanych delikatnych kokonach; na pół uformowani majat wystawieni byli na działanie powietrza. Ciała niebieskich rzucono na stos, spod którego wysuwały się miejscami nagie ludzkie kończyny - azi.

I znowu Kethiuy. W ogniu. Ściany zapadały się od żaru, świecodrzewa ginęły w rozbłyskach płomieni.

Ekran y zgasły, znów zapłonęły światła. Raen

stała nieruchomo. Twarz miała suchą, bez śladu łez. Czowała dziwny chłód gdzieś w okolicy serca.

- Sama widziałaś - odezwał się Eron. - Posiadłość Meth-marenów została całkowicie zniszczona. Nie pozostał przy życiu nikt z dorosłych, nikt, kto mógłby głosować.

Nie ufając własnemu głosowi Raen wzruszyła tylko ramionami i zacisnęła szczęki. Należała do Kontrin; знаła techniki skrytobójstwa i wymogi polityki. Przewidywała, jaka będzie jej przyszłość w rękach wrogiego Klanu. Hipnotyzowała historię Rodziny, wiedziała, jakie decyzje muszą zapaść po czystce. Nawet Starsi o czułych sumieniach nie będą protestować, nie zechcą się narażać dla tak błahego jak ona powodu. Zwłaszcza, że nie może się odwdzięczyć. Wpatrywała się w pusty ekran marząc o broni. Zrozumiała, że jej nieprzyjaciółmi byli nie tylko Ruilowie.

Ktoś się poruszył w kącie sali, gdzie nie spodziewała się ruchu. Spojrzała. To była stara Moth, od wielu już lat tylko ozdoba na posiedzeniach Rady, reprezentująca niewielki sept Elf z Ternu, zawsze milcząca i głosująca tak jak większość. Często zasypiała podczas sesji.

- Nie było głosowania - powiedziała.

- Ależ było - zapewnił Eron. - Moth, musiałaś się zdrzemnąć. Jego zwolennicy roześmiali się usłużnie. Było ich tak wielu... Wtedy powstał Najstarszy, Lian, i oparł się o balustradę. Z niego nikt nie ośmielił się żartować, jak z Moth.

Zapadła cisza.

- Nie było głosowania - powtórzył. Nikt się nie roześmiał. - Jak widzę, Thel, policzyłeś, ilu was jest i uznałeś głosowanie Rady za zbędne - załzawionymi oczami spojrział w stronę Raen. - Pozwól, Raen a Sul hant Meth-maren, że w imieniu Rodziny złożę przeprosiny i wyrazy współczucia.

- Usiądź, Najstarszy - powiedział Eron. ' Starzec przelotnie ścisnął dłoń Moth, która opuściła swe miejsce i ruszyła schodami w dół, do środka, gdzie stała Raen. Zarówno stopnie jak i własna toga sprawiały jej sporo kłopotu. Ktoś krzyknął z niezadowoleniem, lecz nikt się nie ruszył, ani by jej pomóc, ani by ją zatrzymać.

- Protokół - oznajmiła, gdy stanęła na podłodze sali i spojrzała na zebranych. - Są pewne procedury, których nie dopełniliście.

- Chcę wam coś powiedzieć - odezwał się ze swego miejsca Najstarszy włączając mikrofon. - To niebezpieczny precedens, to zniszczenie Klanu, to... założenie, że uzyskacie zgodę. Jestem tu, odkąd pierwszy statek przybył do Regionu i mówię wam: już dawno stwierdziłem, że ludzie, którzy tu żyją ulegają zepsuciu.

- Siadaj - krzyknął ktoś.

- W kopcach - mówił Najstarszy - były bogactwa czekające, aż je weźmiemy. Ale ludzkość i umysły kopców nie były zgodne. Próbnik

wylądował na Cerdinie i został przechwycony przez czerwony kopiec, a załoga stała się jeńcami - ci, którzy przeżyli. Próbnik Celia. Potem jednak przyleciała Delia i udało się jej. W kosmosie ludzi mówiło się już o sterylizacji Cerdina, zanim zaraza się rozszerzy. Nagle jednak kopce zmieniły swoje podejście. Chcieli handlować, chcieli naszej obecności, chcieli... jednego statku, jak mówili: jeden kopiec dla ludzi i Region pozostawiony dla nich.

Wszyscy milczeli pośepnie. Moth pociągnęła Raen za rękaw, ścisnęła ją za rękę miękką dłonią. Ktoś chciał wstać, któryś z Deltów. Yls Ren-barant powstrzymał go. Cisza trwała. Lian rozejrzał się niepewnie i ściągnął wargi.

- Oszukaliśmy ich - podjął po chwili drżącym głosem. - Przywieźliśmy ludzkie jajeczka i odpowiedni sprzęt. Pół miliarda zapłodnionych jajeczek. Osiedliliśmy się w miejscu, gdzie stoi ten budynek, zbudowaliśmy laboratoria i zaczęliśmy hodować ludzi, podczas gdy nasz jedyny statek wykonywał rejsy handlowe, a ci, którzy znali się na komunikacji, doprowadzili do porozumienia z kopcami - jego głos brzmiał coraz pewniej. - Czy sądzicie, Radcy, że mająt nie wiedzieli wtedy, o co nam, chodzi?

Naturalnie, że wiedzieli. Ludzkie zwierzę jest jednak dla nich tajemnicą, a my chroniliśmy tę tajemnicę. Majat widzieli strukturę kopca, widzieli coraz większą ilość ludzkich istot i rodzący się porządek społeczny, odpowiadający

ich wzorcom. Tak to zaplanowaliśmy. Wciąż jeszcze nie mieli pojęcia, czym jest niekolektywna inteligencja ani do czego jest zdolna. Po prostu jeden wielki kopiec, ludzki kopiec, tak sądzili. Może się domyślali, ale utrwalone wzorce myślenia nie pozwalały na interpretację tego, co widzieli. Kiedy zaczęli pojmować, przeraziły ich różnice między nami, najbardziej zaś koncepcja śmierci. Włączyli się w nasze przemiany chemiczne, zrozumieli zachodzące procesy i opracowali lekarstwo na starość. Dotarło do nich, choć niezbyt wyraźnie, czym jest nasza indywidualność. Kopce liczą sobie miliony lat. Czy wiecie, dlaczego mająt niepokoił się naszą śmiertelnością? Ponieważ wśród nich istnieją tylko cztery osoby: czerwona, zielona, złota i niebieska. To są dla nich jednostki. Te osoby w ciągu milionów lat nauczyły się ze sobą postępować. Przyzwyczajone były do stabilności, wspomnień, do wieczności. Jak miały się zachować wobec grupy krótko żyjących ludzi? Wyleczyły więc śmierć...dla niektórych z nas, tych, którzy mieli szczęście przyjść na świat jako Kontrin. Pokolenia beta, produkt z naszych komór ładunkowych, umierają jak zwykli ludzie, my jednak będziemy żyć wiecznie. Gdyby urodziło się nas zbyt wielu, doprowadzilibyśmy do ekonomicznej ruiny. Zatem nawet my, Kontrin, od czasu do czasu zabijamy się nawzajem. Majat są tym zaszokowani.

**- Teraz jednak wszystko się zmieni, prawda? -
podjął po chwili. - Skłoniliście Wojowników
czerwonego kopca, by zabijali Kontrin;
niebieski kopiec dopuścił człowieka. Wszystko
się zmienia. Majat postąpili o kolejny wielki
krok na drodze do zrozumienia. A jedna z
czterech indywidualności, która żyła na
Cerdinie od milionów lat, znalazła, się na skraju
śmierci. Proces jest odwracalny; majat, na swój
sposób, bardziej niż my szanują życie. Wy
namówiliście ich, by świadomie zabili
nieśmiertelny umysł. I pewnego dnia zobaczycie,
jak wam za to zapłacą. Dzięki nauce majat
niektórzy z was mogą dożyć tego dnia. Już
siedemset lat rozwijamy się tutaj i w całym
Regionie. Macie wszystko, czego wam potrzeba.
Bety zajmują się pracą i handlem; bety, nasi
drodzy przyjaciele, odkryli najważniejsze, to, na
czym kopcom naprawdę zależy: kupują ludzi,
hodowanych ludzi, ludzi zaprogramowanych
genetycznie, którzy nie mogą się rozmnażać i z
powodów ekonomicznych umierają w wieku
czterdziestu lat. Tak więc nawet bety nie muszą
pracować fizycznie. Hodują tylko azi i
utrzymują równowagę pomiędzy popytem a
podażą. A bariera dzieląca nas od Ze-wriętrza
trzyma tak mocno, że cały Region i wszystko, co
produkuje, należy do nas, łącznie z betami i azi.
Nikt nigdy nie próbował naruszyć bariery.
Umilkł na chwilę.**

- Byliście kiedyś tam, przy krawędzi? Ja byłem.

W ciągu siedmiuset lat można zrobić wszystko, co wyda się interesujące. Brzydkie światy, nie tak, jak Cerdin. Ale założyliśmy tam kopce, rozszerzenia czterech tutejszych indywiduów, a może całkiem nowe osobowości. Czy ktoś ich kiedyś pytał? Weszliśmy na nowy poziom stosunków z naszymi obcymi gospodarzami; zostaliśmy włączeni w ich proces rozmnażania, staliśmy się niezastąpieni. Bez metali mająt nigdy nie mogliby opuścić Cerdina. Nie mają oczu, które dostrzegałyby gwiazdy, widzą jedynie własne słońce i rozgrzaną tym słońcem własną ziemię. Zmieniliśmy to. Nawet mająt nie muszą już pracować tak, jak siedemset lat temu. Rozwijają się, jest ich coraz więcej. A tutaj, na Alfie ta Rada...ta mądra, doświadczona Rada podejmuje nieodwołalne decyzje o poziomie rozwoju populacji, o tym, ilu z nas może się narodzić i gdzie, ile bet; gdzie bety mogą hodować azi i kiedy ilość azi powinna być zmniejszona. Czyż nie jesteśmy mózgiem ludzkości robiącym dla własnego gatunku to, co królowe dla kopców? I robiąc to staliśmy się inni, drodzy przyjaciele.

Zastanowił się.

- Byłem tu. Byłem tu od samego początku i obserwowałem tę zmianę. Przybyłem z Zewnątrz. Pamiętam. Wy... wy znacie to z taśm, wy, młodzi, stulatki, nowi w Radzie. Jestem starym człowiekiem i hamuję postęp. Wydaje się wam, że wiecie już wszystko, bo urodziliście się

w Regionie, w nowych czasach, których taki starzec z Zewnątrz nie potrafi zrozumieć. Jednak mówię wam to wszystko, gdyż musicie pamiętać. Gdyż mająt powiedzą wam, że kopiec, który utracił pamięć, który stał się bezMyślny, znalazł się na drodze do wymarcia. Czy wiecie, że żaden statek z Zewnątrz nigdy nie próbował dotrzeć do Cerdina? Nigdy, od czasów Delii? Poddano nas kwarantannie. Oni są wszędzie wokół nas, na Zewnątrz. W kosmosie Człowieka. Te parę małych gwiazdek to wyspa w morzu ludzkości. Ale jakoś nie próbują się tu dostać. Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego? Ponieważ nie chcą mająt, przyjaciele. Chcą tego, co mająt wytwarzają, chitynowych klejnotów, biotyków, oprogramowania. Ludzie z Zewnątrz spotykają się z betami i azi na Istrze i płacą za nasze towary. Płacą tyle, ile zechcemy. Te rzeczy kosztują nas niewiele, oni zaś cenią je ponad miarę. Ale nie chcą mająt. Nie chcą kopców w swojej przestrzeni. Przede wszystkim zaś nie chcą nas. Alfa Hydry, Oko Węża. Wyłączony na podstawie układów. I nikt nie chce tu wejść. Nikt nie chce tu wejść.

- Przejdź do rzeczy - przerwał mu Eron.

Lian odwrócił się wolno i spojrział na niego. Zaległa pełna napięcia cisza. I nagle wybuchły krzyki i ludzie zsuwali się z foteli na podłogę. Z dłoni Moth wystrzelił promień i trafił w Erona, który padł martwy. Raen skoczyła pod ścianę, spodziewając się bitwy. Nerwowo wypatrywała

uzbrojonych Radców.

- Kiedy planujecie morderstwo - odezwał się Lian, gdy Moth mierzyła w przyjaciela Erona, Ylsa - pamiętajcie, że ja i Moth jesteśmy najstarsi.

Yls zginął. Mężczyźni i kobiety krzyczeli, próbując ukryć się za fotelami. Moth strzelała dalej. Wszędzie leżały ciała: na podłodze, przerzucone przez oparcia, przez balustradę, na schodach. Kiedy wreszcie przestała, połowa Rady, która pozostała przy życiu, kulila się przy drzwiach.

- Wracajcie na miejsca - polecił Lian.

Ruszyli, powoli i lękliwie. Moth nie wypuszczała miotacza.

- A teraz - powiedział Lian - sprawa głosowania. Ktoś wymiotował. W sali czuło się zapach spalonego mięsa.

- Raen a Sul hant Meth-maren...

- Tak?

- Możesz odejść. Moim zdaniem postąpisz rozsądnie, jeśli opuścisz Cer-din i poszukasz jakiegoś skromnego Klanu. Przeżyłaś wszystkich swoich wrogów. Uznaj, że wyczerpałaś swój limit szczęścia. Nie powinnaś szukać schronienia wśród Klanów na Cerdinie. Zbyt łatwo mogłabyś stać się powodem intryg, a Rodzina widziała ich już dosyć.

- Ale... - próbowała protestować.

- Nie ma powodów, by cię dłużej zatrzymywać. Głosowanie to tylko formalność. Kethiuy jest

zniszczone - to fakt, któremu Rada nie potrafiła zapobiec. Naruszyłaś Pakt włączając do sprawy mająt. Ci, którzy byli w nią zamieszani, nie żyją; ich wpływ uległ przerwaniu. Twoje sądy były sądami dziecka i to dziecka po ciężkich przeżyciach. Nie chcesz opieki; moim zdaniem dasz sobie radę bez niej. Polecam ci więc, Raen a Sul: unikaj mająt. Otrzymujesz przywileje większości i jeśli znowu staniesz przed Radą, musisz o tym pamiętać. Możesz odejść. Sugerowałbym Meron. Tamtejszy punkt kontaktowy Rady okaże ci wszelką pomoc. Mam tam dawną posiadłość, z której możesz korzystać. Nie pozostaniesz bez przyjaciół i doradców.

- Nie potrzebuję ich.

Gorycz wyrwała jej te słowa. Dostrzegła, jak Lian zaciska wargi i zrozumiała, że nie powinna odmawiać. Poddanie jednak nie leżało w jej naturze. Spojrzała na Moth, na Najstarszego, po czym odwróciła się i z wysiłkiem ruszyła ku drzwiom i wolności.

Nie zatrzymała się, nie obejrzała, by nikt nie widział łez na jej policzkach. Wyszły szybko. Znała korytarze wiodące z Dawnego Hallu na Alfie do Miasta. Zabierała ze sobą tylko ubranie, które jej dano i własną tożsamość na rękę.

Opuścić Cerdin... bardzo dobrze. Nie było tu nic, czego by pragnęła.

Bety w Mieście były zaszokowane i zdumione

tym, że wśród nich pojawił się ktoś z Rodziny i to bez ochrony. Może wyczuwały jakieś kłopoty, słysza-wszy już o zdziesiątkowaniu Klanów Kontrin i błękitnego kopca. Dlatego pewnie bali się wszelkich kontaktów z Raen; nie mogli jednak odmówić.

Kupiła lekarstwa i środki znieczulające; na pewien czas zamieszkała w wynajętym pokoju i z wolna dochodziła do siebie. Zaopatrzyła się w odzież i broń, po czym promem przeleciała na stację orbitalną, gdzie posługując się kredytem Rodziny wynajęła statek, najbardziej ekstrawagancki, jaki potrafiła znaleźć. Łatwo wpadała w gniew i bety z załogi unikały jej. To była pierwsza podróż Raen.

Znalazła się na Meronie. Nie przyjęła oferty Najstarszego, lecz kupiła dom i żyła w nim korzystając z nieograniczonego kredytu, jaki zapewniał jej chi-tynowy wzór na prawej dłoni. Haldowie przebywali na tej planecie.

Zainteresowała się tym...Poi i Morn. Znów miała jakieś zajęcie. Przestała się nudzić, planując zamordowanie ich i strzegąc się przed zamachem na siebie. Aż pewnego dnia bezczelnie zapukali do jej drzwi, a Poi skłonił się drwiąco.

Poi Hald... niedawno minęły jej szesnaste urodziny, a on me zmienił się wcale. Obejrzał ją od stóp do głów, a ona patrzyła na niego i na stojącego obok Morna. Poczowała nieprzyjemny chłód, gdy przypomniała sobie, że jej miotacz z

zasuniętym bezpiecznikiem spoczywa, spokojnie w kaburze u pasa - w żaden sposób nie mogłaby zdążyć.

- Twoje operacje jako całość są zbyt złożone - stwierdził Poi, uśmiechając się szeroko. - Ale dobrze pomyślane, mała Meth-maren.

Podziwiam twój zapał i niezwykłą inteligencję. Proszę, skończ z tymi zamachami.

Trzęsa się z wściekłości, lecz lęk zmusił ją do logicznego myślenia. Nagle zrozumiała, jak powinna zachowywać się wobec tego człowieka... i uśmiechnęła się.

- Skończę - odparła. - Dzięki za komplement, Polu Hałd. v- Cóż za opanowanie, Meth-maren.

- Czy powinnam opuścić Meron?

- Zostań - roześmiał się i machnął swą okrytą chityną dłonią. - Masz to, czego zawsze brakowało Ruilom: wycucie równowagi. Wiem, że w tych warunkach żadne z nas nie będzie bezpieczne. Nowy spisek powstanie jeszcze przed kolacją.

Zaśmiał się znowu i przecisnął obok niej, do jej domu. Morn wszedł za nim.

Odsunęła bezpiecznik miotacza i spojrzała na nich wrogo, nie spuszczając oczu z ich rąk. Poi skrzyżował ręce na piersi i skinął kuzynowi głową.

- Możesz iść, Morn - powiedział. - Nie chcę cię niepotrzebnie zatrzymywać.

Morn przyjrzał się jej uważnie, a jego szczupła

twarz nie zdradzała śladu emocji. Bez słowa podszedł do drzwi i zamknął je za sobą. Poi natomiast rozsiadł się na najbliższym fotelu wyciągając swe długie nogi. Jego twarz, podobna do czaszki, wykrzywiła się w zaraźliwym uśmiechu.

Zjadł kolację, którą mu podała; siedzieli naprzeciw siebie przy stole; zrobił jej propozycję, którą odrzuciła i śmiał się z pewnym rozczarowaniem, gdy usłyszał odmowę. Humor Pola cieszył się sławą i budził zgorszenie; teraz zawierzył mu swe życie. Zrezygnowała z otrucia go; on nie skorzystał z broni, którą niewątpliwie miał przy sobie. Pośmiali się razem, po czym życzyła mu dobrej nocy.

Od tego czasu pojawiali się na tych samych przyjęciach przez cały pracowity sezon zimowy towarzystwa Kontrin na Meronie. Uśmiechali się do siebie ciepło, jak starzy przyjaciele, rozbawieni komentarzami, jakie na ten temat wygłaszano. Już nigdy jednak nie spotykali się samotnie.

W końcu nastąpił zamach na jej życie. Było to na Meronie, rok po tym, jak Poi i Morn odlecieli w różne strony, Morn na Cerdin, Poi na Andrę. Zdarzył się nocą, w posiadłości innego z Kontrin, Delta, Cola a Helim, którym interesowała się ostatnio. Miała dwadzieścia jeden lat. Col zginął. Ona nie. Nic nie wyszło z tego zamachu i dokonali go azi, którym wymazano przeszłość i wypalono tatuaże.

Wyrzekła się Deltów, podejrzewając jakąś lokalną aferę, może którąś z rywalek. Przeprowadziła się i zajęła skromną rezydencję na Silaku.

Dotarła do niej wieść o śmierci Liana... zabójstwo. Teraz nikt się już nie dowie, ile lat by jeszcze przeżył. Najdłużej żyjący Kontrin nie zmarł naturalną śmiercią i cała Rodzina odczuwała głęboką frustrację. Próba przewrotu skończyła się niepowodzeniem, zabójcy zginęli marnie, co miało być karą za porażkę i zemstą Rodziny, uznającej długie życie Liana za coś w rodzaju talizmanu i przykład własnej nieśmiertelności.

Moth zajęła miejsce Najstarszego i stała się pierwszą w Radzie. Tym samym Rada pozostała właściwie taka sama, jak poprzednio i Raen nie interesowała się nią zbyt. Podobnie jak niczym, co miałoby związek z polityką. Nie istniało Kethiuy, choć nadal męczyły ją koszmary. Rozbawiło ją tylko jedno: odkryła w końcu, że zamach na nią związany był z planowanym upadkiem Liana.

Przewrót jednak się nie powiódł, spiskowcy (Thelowie i kilka mniej ważnych Klanów) zostali zdziesiątkowani i sprawy znowu potoczyły się po staremu. Rodzina zawsze wiedziała, gdzie szukać Raen i gdyby jej osoba miała być ważna dla którejś ze stron, na pewno ktoś próbowałby zdobyć jej poparcie lub ją zabić, by nie poparła przeciwników. Nic takiego nie zaszło. Resztki

Klanu Thonów na Cerdinie zajęły pozycję łącznika z kopcami. Raen wróciła na Meron i kiedy usłyszała, jak Thonowie uzurpują sobie te funkcje, rzuciła się w wir grzesznego życia, uprawiając je w zadziwiającej ilości wariantów i niuansów. Zyskała sobie pewną sławę w kręgach towarzyskich Merona. Miała dwadzieścia cztery lata.

Oczywiście, przysługiwały jej odpowiednie przywileje i nigdy nie brakło niczego, co można kupić za pieniądze. Bawiła się czasem w towarzystwie Kontrin, czasem, gdy traciła nastrój, powstrzymywała się od wszelkich kontaktów. Na bety i azi spoglądała z wyższością, będącą naturalnym rezultatem jej urodzenia, oczekiwanej długości życia (po śmierci Liana należało uznać je za nieskończone) i władzy, tak absolutnej dla bet, jak znikomej tam, gdzie chciałaby jej użyć. Partnerem Raen został Hal a Norn hant Illit, rzadko spotykany na przyjęciach członek Klanu zajmującego się głównie bankowością. Sądziła, że mogą być spokrewnieni i usiłowała zmusić go, by sobie przypomniał, który z jego krewniaków był kochankiem Morel a Sul Meth-maren. Hal jednak zapewniał, że było ich kilku, więc czuła się zawiedziona. Odczuwała zresztą zawód nie tylko z tego powodu, lecz Hal był wygodną przystanią, mieli też wspólne zainteresowania. Niewielu ludzi mogło z nim dyskutować o teorii komputerów, niewielu zresztą miało na to

ochotę; ona miała. Mimo znacznej rozbieżności w wieku (dawno już skończył trzysta lat) i wyglądzie, był coraz bardziej zaangażowany. Ona za to czuła się coraz gorzej, zaczęła więc - możliwie delikatnie - wyplątywać się z tego związku. Przerywała swą izolację, by powrócić do życia towarzyskiego, którego zresztą nie cierpiała. Częścią tego życia był wnuk brata Hala, Gen.

Znajdywała w tym wszystkim pewną przyjemność.

Moth utrzymywała w Radzie i Regionie porządek, spokój i dobrobyt. Nikt na Cerdinie czy poza nim nie planował zamachu; jej życie zdawało się nieistotne, gdyż nikt nie wierzył, by potrwało dłużej. Zdawało się, że wrogowie postanowili ją przeczekać, a to oznaczało pozorny pokój. Raen sądziła, że za rządów Moth mogłaby nawet wrócić na Cerdin, gdyby o to poprosiła. Nie zdecydowała się na ten krok, gdyż z jednej strony musiałaby poniżyć się przed Radą, na co nie miała ochoty, z drugiej zaś wierzyć, że Moth pożyje na tyle długo, by zdążyła wejść do grona jej przyjaciół. Nie sądziła, by tak było. Przede wszystkim zaś nie chciała znów patrzeć na ruiny Kethiuy. Nic nie ciągnęło jej na Cerdin.

W przeciwieństwie do Merona.

Potem wybuchły walki mająt na Meronie, starcia pomiędzy czerwonymi, zielonymi i niebieskimi. Złoci ukryli się i nie pokazywali

nikomu. Czerwoni dotarli na ulice Miasta, przerazili bety i przypadkowo spowodowali kilka śmiertelnych ofiar wśród ogarniętych paniką tłumów. Ucierpiała jedna czy dwie posiadłości Kontrin. Raen porzuciła Meron, straciwszy czwórkę azi, którzy służyli u niej od lat. Azi zginęli we śnie i nie cierpieli. Raen owszem, ze złości. Na pewien czas znalazła sobie cel - wyrównanie rachunków z byłym kochankiem, Illitem, który wpuścił czerwonych do rezydencji. Udało jej się to z irytującą łatwością, długo potem dręczyły ją wątpliwości, czy Hal Hit miał jakikolwiek wybór. Niebieski kopiec, jak słyszała, stoczył kilka potyczek i wycofał się, zamurując na powrót w swoim pagórku, podczas gdy czerwoni krążyli, gdzie tylko chcieli. Z Cerdina przybyli Thonowie, by spróbować namówić ich do powrotu. Podobne rozruchy miały miejsce na Andrze, gdy była tam Raen. W końcu spróbowała nawiązać bezpośredni kontakt z niebieskim kopcem, lecz bez skutku. Niebiescy zamurowali się, gdy inni bezkarnie krążyli po ulicach. Miała trzydzieści cztery lata. Dziewiętnaście minęło od Kethiuy, odkąd opuściła Cerdin. Z obsesyjną pilnością wróciła do pewnych ćwiczeń, które zaniedbała w ostatnich latach. Całkowicie zamknęła się w sobie i przestała opłakiwać przeszłość. Nawet Kethiuy, ostatnią rzecz, jaką kochała.

Stała się Kontrin, taką jak Moth, jak kiedyś był Lian. Osiągnęła odpowiedni wiek.

- Jest na Kalindzie - oznajmił Poi. v Moth patrzyła spokojnie na niego i jego dwóch krewniaków.

- Można ją usunąć - stwierdził Morn. Moth pokręciła głową.

- Jeszcze nie.

- Najstarsza... - Tand pochylił się nad biurkiem i spojrzał jej w oczy z brakiem szacunku tak częstym wśród Haldów, tak częstym wśród młodego pokolenia. - Niebieski kopiec wywołał zamieszki na Meronie i ona tam była; na Andrze, i ona tam była; teraz na Kalindzie, a ona tam jest. Są powody by wierzyć, że jest w to bezpośrednio zamieszana, wbrew wszelkim ustaleniom i radom."Zerwała wszystkie dawne kontakty.

- Gust jej się poprawił - wtrącił Poi uśmiechając się leniwie. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i splótł dłonie na brzuchu.- Najwyższy czas.

Morn spojrzał na niego gniewnie, lecz Poi tylko machnął lekceważąco ręką, wstał i skłonił się ż demonstracyjną uprzejmością. Drzwi zamknęły się za nim.

- Jest w to zamieszana - powtórzył Tand.

Moth nie zdradzała podniecenia. Tand zrozumiał wreszcie, wyprostował się i założył ręce za plecy.

- Próbujecie skłonić mnie do czegoś - stwierdziła Moth.

- Uznaliśmy, że w twoim własnym interesie, w interesie Rodziny, należy pilnie podjąć pewne działania.

- Wzywam cię do siebie tylko po to, by uzyskać informacje, Tandzie Hałd. Twoje rady bywają czasem pomocne. Wtedy ich słucham.

Tand skłonił głowę.

Sukinsynu, pomyślała. Chcesz^ wspiąć się w górę, nieważne jakim sposobem, byle szybko i befc (piec^nie. I nienawid^is^ mnie. Morna tak^e.

- Czy jeszcze coś? - spytała.

- Czekamy - odezwał się Morn - na instrukcje w tej sprawie. Moth wzruszyła ramionami.

- Obserwujcie. Niczego innego od was nie żądam.

- Skąd tyle cierpliwości z tą małą? Moth wzruszyła ramionami po raz drugi.

- Jest ostatnia z Klanu. Jest córką starego, dobrego przyjaciela. Może to sentymentalizm. Morn uznał to za ironię i przestał zadawać pytania.

- Macie na nią uważać, nic więcej. I, Tand, nie prowokuj żadnych zajść. Nie stwarzaj przykrych sytuacji.

Tand wyszedł cicho, a Morn podążył za nim.

Moth usiadła wygodniej i zapatrzyła się w barwne światła, płynące po powierzchni biurka. W salonie Klejnotu A.ndry panowała niezwykła cisza. Zwykle pierwszego wieczoru podróży tłoczyli się tu bogaci pasażerowie beta,

elegancko ubrani zgodnie z modą światów wewnętrznych[^] Alkohol szybko rozwiązywał im języki i gasił nerwowość, z jaką ta śmietanka kilku planet witała początek rejsu i odlot ze stacji Kalindu. Spotykało się tu wyższych urzędników rozmaitych korporacji, funkcjonariuszy administracji, czasem także kilku ekspertów różnych dziedzin ubranych odpowiednio do towarzystwa lub bogatych i zblazowanych właścicieli ziemskich.

Tej nocy także podawano drinki, a kelnerzy azi krążyli pracowicie między stolami. Goście jednak siedzieli nieruchomo, rzucając niepewne spojrzenia w stronę stolika pod ścianą.

Byli elitą, władzą i duchem społeczeństwa beta. Nagle jednak znaleźli się obok arystokracji wyższego wymiaru.

Ona należała do Kontrin. Wąska twarz była jedną z nieskończonych wariacji ustalonego genetycznie typu. Szary płaszcz i kombinezon, choć eleganckie, nadawały się raczej na ulicę niż do tego salonu. Może maskowały pancierz..', prawie na pewno skrywały broń. Chitynowy wszczep na dłoni był identyfikatorem nie pozostawiającym najmniejszych wątpliwości; wzór świadczył o nieograniczonym kredycie w interkompie, w dowolnym systemie Regionu. Nieograniczony kredyt... pieniądze, o które walczyli bogaci przedstawiciele bet, były zaledwie cieniem jej możliwości.

Uśmiechała się do nich chłodno i cynicznie, a

wtedy elita zebrana w salonie Klejnotu Andry starała się szybko patrzeć w inną stronę, przyciszonymi głosami kontynuować swe niezwykle ważne rozmowy i nie zwracać uwagi na rzeczywistość siedzącą w kącie wśród pustych stolików. Nagle czuli się niepewnie, nawet wobec służby azi, roznoszącej napoje... klonowani ludzie, ozdobne wytwory ich własnych laboratoriów tak jak i oni sami byli produktem Kontrin sprzed siedmiuset lat. Bliskość azi stawała się nagle... porównaniem. Przyjęcie skończyło się wcześniej. Parami i grupkami goście wycofywali się z salonu, z początku dyskretnie, potem coraz bardziej otwarcie. Kont' Raen a Sul obserwowała ich z cynicznym rozbawieniem. Odwracając głowę napotkała wzrok stojącego najbliżej kelnera azi. Z wolna zamierał ruch w salonie. Azi stał nieruchomo, przykuty jej spojrzeniem do miejsca.

- Umiesz grać w Sej? - spytała.

Zalękniony azi skinął głową. Sej była rozrywką w miejscach na ogół mniej eleganckich od tego, grą losową, choć z pewnymi elementami strategii.

- Przynieś co trzeba.

Blady, chodził wśród kolegów, aż znalazł komplet do gry. Uruchomił funkcję gry przy blacie, by notować wyniki, po czym położył przed nią trzy pałeczki i dwie kostki.

- Siadaj - poleciała Kont' Raen. I Usłuchał,

spocony. Był młody, ledwie od kilku lat
zajmujący się pracą, do * której został
stworzony. Zaprojektowano go dla przyjemnego
wyglądu i inteligencji, by służył pasażerom.
Poza tym nie odebrał żadnej edukacji, za
wyjątkiem plotek, które słyszał i tego, co
zaobserwował wśród bet. Gładka uprze j mość,,
jaką hipnostudiował podczas szkolenia
pozwalała mu teraz funkcjonować. Inni azi
patrzeli na niego z posępną ciekawością,
najwyraźniej zasmuceni jego nieszczęściem.

- Jak ci na imię? - zapytała.

- Jim - odpowiedział. To był jedyny wybór,
jakiego dokonał w życiu, jedyna decyzja, którą
podjął sam: imię spoza zakresu przysługujących
azi. Znali je tylko inni azi i niektórzy ludzie z
załogi. Utrata anonimowości nappełniła go
niepokojem.

- Jaka stawka? - spytała podnosząc paleczki.
Patrzył na nią zdziwiony. Oprócz imienia i
swego życia nie posiadał niczego - był własnością
towarzystwa transportowego.

Czekała, obracając paleczki w dłoniach, z
których jedna migotała chityną i nieograniczoną
władzą. Pf - To długa podróż. Będę się nudzić.
Powiedzmy, że obstawimy nie l jedną grę, ale
całą serię - odłożyła paleczki, przykrywając je
dłonią. - Jeśli l wygrasz, wykupię cię od Andra
Lines, dam wolność i dziesięć tysięcy kre-jff
dytów za każdą wygraną grę. Dziesięć kolejek co
wieczór aż do końca] f podróży. Ale musisz

wygrać całą serię, żeby dostać pieniądze; stawka dotyczy jedynie całości.

Zamrugął. Pot zalewał mu oczy. Wolność i bogactwo... mógł przeżyć życie przez nikogo nie zagrożony, może nawet pogrążony w nieróbstwie. Ta nagroda przekraczała granice pojmowania. Azi nie miewali takiego szczęścia. Przełknął ślinę; zastanawiał się, co będzie musiał postawić ze swej strony.

- Ale jeśli przegrasz - mówiła dalej - wykupię twój kontrakt dla siebie - rozciągnęła wargi w posępnym, martwym uśmiechu. - Graj żeby wygrać, Jim.

Zaproponowała mu pierwszy rzut. Podniósł pałeczki. Azi w salonie obserwowali ich w milczeniu.

Pierwszego wieczoru przegrał, cztery do sześciu. Niewielka grupka ludzi zebrała się w kabinie wyższego urzędnika korporacji ASP AK. Takie zebrania czy prywatne przyjęcia zdarzały się teraz często. Minęły trzy dni i salon wciąż był okupowany. Nikt tam już nie chodził, chyba że w dzień. Oczywiście, mieli do dyspozycji salę na dolnym pokładzie, gdzie podróżowali pasażerowie drugiej klasy. Woleli jednak nie zniżać się do ich towarzystwa, w każdym razie nie w takich okolicznościach. Ich duma ucierpiała już wystarczająco.

- Może leci na Andrę - odezwał się ktoś niepewnie. - Krótka trasa... może to tylko zachcianka...

Urzędnik z Andry nie wydawał się zachwycony tą sugestią. Kontrin nigdy nie podróżowali statkami rejsowymi, zawsze wynajmowali własne, na których luksus przewyższał wszystko, co mogli sobie wyobrazić pasażerowie Klejnotu Andry, Latali samotnie. Może niecierpliwość, bliskość celu podróży... nawet zagrożenie życia sprawiły, że opuściła planetę pierwszym statkiem. Hipoteza mogła okazać się prawdziwa. Lecz sprawy na Andrze były wystarczająco skomplikowane nawet bez obecności Kontrin. A ta... ta Kontrin zachowywała się tak, jak nigdy nie zachowywał się nikt z Kontrin, -J?j decyzje były nie do przewidzenia. Gorzej jeszcze... imię Raen a Sul budziło jakieś niewyraźne wspomnienia, choć rzadko używano imion w stosunkach między Kontrin i ludźmi... ludźmi... Ludzie nie lubili mówić o sobie: bety. Ta Kontrin była już kiedyś na Andrze i może na nią wraca. Majat byli tam, gdzie ich być nie powinno i teraz jeszcze ta Raen się tu znalazła. Dawniej można było zupełnie nie myśleć o Kontrin; można było przeżyć całe lata i nie zobaczyć żadnego z nich. A teraz weszła w ich towarzystwo.

- Chodzą słuchy... - powiedziała jedna z kobiet i odchrząknęła. - Chodzą słuchy, że na pokładzie jest majat.

Ktoś zaklął. Na moment zapanowała nerwowa cisza. To możliwe. Majat podróżowali. Rzadko, ale zdarzało się. Jeśli pogłoska była prawdziwa,

to z pewnością ten majat czekał gdzieś w odosobnieniu, pogrążony we śnie. Majat oddaleni od kopca tracili orientację i stawali się niebezpieczni. Ten przebudzi się na tyle czasu, by zdążyć wypełnić swą misję i zabezpieczyć sobie powrót do domu. Taką funkcję powierzył mu kopiec. Przez ten czas, mając jasny cel, pozostanie opanowany i przytomny. Potem znów musi zasnąć, by zbudzić się dopiero w pobliżu swego kopca.

Krążyły okropne historie o przebudzonych zbyt wcześnie majat, zresztą na Andrze, Kalindzie i Meronie często powtarzano straszliwe historie o ich szaleństwie, bezrozumnych poczynaniach, zabijaniu ludzi. Mimo to towarzystwo transportowe nie mogło odmówić majat, tak jak nie mogło Kontrin. Była to kwestia własności, kwestia źródeł władzy w Regionie. Pewnych pytań lepiej-było nie zadawać.

Cisza ciążyła wszystkim zebranym w tej kabinie, nie przeznaczonej dla tak dużego towarzystwa.

Lód dzwonił w szklankach. Urzędnik chrząknął.

- Kontrin nie podróżują samotnie - zauważył. -

Zawsze mają ochronę. Gdzie jest ta ochrona?

- Może... może to ktoś z nas? - odezwał się

niepewnie mieszkaniec Kalindu. - Lepiej

uważać, co mówimy.

Nikt się nie poruszył. Nikt nawet nie podniósł wzroku. Żaden z Kontrin nie odważył się nigdy na coś podobnego. Obsesyjnie bali się zabójstwa, strzegli swej nieśmiertelności, wyróżniającej ich

**klasę równie niezawodnie jak chitynowe
wszczepy. To był kolejny powód, dla którego
ludziom tak trudno było zaakceptować obecność
Kontrin: długością życia przewyższali ich o
wiele bardziej niż oni przewyższali azi, których
produkowali.**

**Ludzie byli stworzeni do śmierci, Kontrin nie. I
nie chcieli z nimi podzielić się tym darem.**

Ekonomia Regionu: tylko właściciele trwali.

**Ludzie byli dla Kontrin łatwymi do odtworzenia
rezerwami.**

**Ktoś zaproponował drinki. Potem puszczała
głośną muzykę i rozmawiali szeptem, tylko z
tymi, których dobrze znali. W końcu to
przyjęcie także skończyło się przedwcześnie.**

**Zbierali się jeszcze później, dwójkami i
trójkami. Niektórzy nie wychodzili z kabin,
lękając się nienazwanej groźby korytarzy,
zaniepokojeni wydarzeniami na wszystkich
światach Regionu. Jeśli na statku naprawdę był
majątek, nikt nie miał ochoty go odnaleźć.**

**W salonie trwała rozgrywka. Jim miał więcej
szczęścia i prowadził, trzydzieści siedem do
trzydziestu jeden. Pozostali azi śledzili
spojrzeniami rzuty pałeczek i kostek, jak gdyby
od tego zależał ich własny los.**

**Następnego wieczoru szczęście odwróciło się
znowu: czterdzieści do czterdziestu.**

**Klejnot Andry wykonał skok, po czym
przesuwał się wolno w stronę stacji orbitalnej
Andry. Dziesięcioro wdzięcznych losowi**

pasażerów pierwszej klasy zeszło z pokładu. Kontrin pozostała. Wsiadła większość pasażerów z dolnego pokładu; jeszcze więcej przybyło. Jim nazywał ich krótkodystansowcami. W pierwszej klasie także pojawiła się trójka nowych, lecących na Me-rona. Wynik rozgrywki w salonie brzmiał: osiemdziesiąt cztery do osiemdziesięciu sześciu.

Klejnot odpłynął od planety w realprzestrzeni, jak mówił Jim, w stronę Sitana i nagich księżyców Orthan; wykonał skok i pojawił się w pobliżu migotliwego Merona. Pasażerowie, którzy pozostali, podróżujący od samego początku, okazywali gorzkie rozczarowanie faktem, że Kontrin nie wysiadła na Meronie; robiono nawet zakłady na ten temat. Salon pozostawał zajęty.

Wynik brzmiał: dwieście czterdzieści dwa do dwustu czterdziestu ośmiu.

- Może chcesz się wycofać? - spytała Kont' Raen, gdy wynik był znowu remisowy. - Daję ci szansę. Jim potrząsnął głową. 'Na razie jakoś sobie radził. Wciąż miał nadzieję, większą, niż kiedykolwiek w życiu.

Raen roześmiała się i wygrała następną kolejkę.

- Powinieneś się zgodzić - powiedział nocą jeden z azi. - Kontrin nie sprzedają swoich azi, kiedy nie są im już potrzebni. Zabijają ich, niezależnie od wieku. Takie mają prawo.

Jim wzruszył ramionami. Słyszał to już wiele razy. Zdawało się, że każdy uważa za swój

obowiązek go o tym poinformować. Siedział na posłaniu w kwaterze azi, potrzasał kostkami w zaciśniętej dłoni i rzucał je jak ogarnięty obsesją, wypróbowując wszystkie możliwe układy. Nie musiał już pracować - Kontrin zauważyła jego zmęczenie i zapłaciła za zwolnienie z obowiązków. Nie racjonowano mu jedzenia; jeśli był głodny, nie musiał liczyć na napiwki, by sobie coś kupić. Na ogół nie korzystał z tego przywileju, tylko raz czy dwa, kiedy prowadził wyraźnie i apetyt mu się poprawił. Rzucał kostkami wbrew niejasnym przeczuciom dręczącym go przez te dni. Grał sam ze sobą, by sprawdzić swoje szczęście. Nie mógł się wycofać, nie mógł wrócić do innych, żyć dalej wiedząc, z czego zrezygnował. Nie potrafiłby zapomnieć, że mógł być wolny i bogaty. Kontrin wyczuła to i dlatego się roześmiała. Nawet on pojmował ironię jej propozycji.

tv

Klejnot Andry dotarł do Silaka i przybił do stacji. Statek kontynuuje lot na Istrę błysnęła na ekranach wiadomość do trójki pasażerów, którzy mieli tu wsiąść wraz z innymi i czekać na połączenie. Statek tak wspaniały jak Klejnot Andry nie mógł wyruszać w podróż z pustymi kabinami. Pasażerów jednak, którzy spakowali bagaże, by zaraz je rozpakowywać, dręczyła obawa, czy aby słusznie robią lecąc dalej,

zamiast wysiąść tutaj i czekać na inny środek transportu, nieważne jak długo. Na pokład weszło kilka nowych osób. Klejnot ruszył w drogę, przerażając swymi pustymi korytarzami.

- To przez Kontrin - szepnął do swej żony wysłannik ITAK. - Leci na Istrę.

Kobieta, będąca partnerką również w pracy, milczała, spoglądając tylko niespokojnie na martwy ekran interkomu, jakby bojąc się, że ktoś może ich podsłuchać.

- Masz inny pomysł? - spytał bezgłośnie, samymi wargami.

Kobieta patrzyła na niego z przerażeniem. Ich misja na Meronie zakończona fatalną porażką była wystarczającym nieszczęściem. Ich pech polegał na tym, że wybrali Klejnot Andry, by dostać się na Silak, skuszeni tą jedyną w życiu ekstrawagancją, traktowaną jako rekompensata za poniżenia doznane na Meronie. Byli urzędnikami planetarnej korporacji; chcieli odbyć tę podróż w stylu swych odpowiedników z systemów wewnętrznych, chociaż raz posmakować luksusu przed ruiną, jaka czekała ich na Istrze. -

- Powinniśmy zejść ze statku na Silaku - powiedziała kobieta. - Wtedy mogliśmy. Teraz została już tylko Pedra, a stamtąd nie ma żadnych regularnych kursów. Powinniśmy wysiąść. Teraz ona na pewno zauważy. Już pewnie wie, że jesteśmy z Istry.

- Nie rozumiem - odparł - w jaki sposób ona

może mieć z nami jakiś związek. Wsiadła przed Meronem. Chyba... chyba, że kiedy my męczyliśmy się na Meronie, przesłano jakąś wiadomość na Cerdin. Spytałem azi, gdzie weszła na statek. Powiedział, że na Kalindzie. To tylko jeden skok od Cerdina.

- Nie powinieneś pytać.
- To przecież nic dziwnego.
- To niebezpieczne.
- Ale...
- Ciszej! Nie tak głośno.

Oboje spojrzeli na interkom, zaniepokojeni jego bezustanną obecnością.

- To nie jest żywe - powiedział.
 - Moim zdaniem ona jest właścicielką statku
 - oznajmiła kobieta.
 - Dlatego nie widać żadnej ochrony. Cała załoga, azi...
 - To szaleństwo.
 - Więc co? Jak możesz to wszystko wyjaśnić?
- Pokręcił głową. Nie potrafił.

Dotarli do nagiej Pedry i przyjęli na pokład tłum pasażerów drugiej klasy, patrzących w oszołomieniu na splendor kabin. Żaden tak olbrzymi statek jeszcze tu nie dokował. W pierwszej klasie pasażerów ubyło: jeden został na Pedrze, nikt nie wsiadł.

Wynik brzmiał: czterysta osiemnaście do czterystu dwunastu. Załoga robiła zakłady. Niektórzy nawet zjawili się w salonie, by obserwować, jak azi zwiększa prowadzenie do

trzynastu punktów. W dotychczasowej rozgrywce nie zdarzyła się jeszcze tak duża różnica.

- Masz niesamowite szczęście - stwierdziła Kontrin. - Chcesz się wycofać?

- Nie mogę -- odparł Jim.

Kontrin wolno pokiwała głową i zamówiła drinki dla nich obojga.

Klejnot Andry oddalił się od pozbawionej słońca Pedry i zrobił skok. Potem byli już w przestrzeni Istry, bety Hydry dwa, w ogonie węża, punkcie kontaktowym Regionu z Zewnętrzem.

Po okresie dezorientacji związanej ze skokiem do końca rejsu pozostało już tylko kilka dni.

W grze do tej pory wynik wyniósł czterysta pięćdziesiąt dziewięć do czterystu pięćdziesięciu jeden. Wieczorem było już czterysta

sześćdziesiąt dwa do czterystu pięćdziesięciu trzech, a z czoła Kont' Raen nie zniknęła głęboka zmarszczka. Rzuciła pałeczki, określające sposób rzutu kośćmi. Wypadła gwiazda, gwiazda i czarne. Wynik był niezbyt korzystny.

Przy czarnym mogła zrezygnować z kolejki i przekazać pałeczki Jimowi. Poprzestała na rezygnacji z pierwszeństwa w kościach. Azi wyrzucił sześć, ona dwanaście; wygrała gwiazdę, drugą gwiazdę wzięła bez rzutu: dwadzieścia cztery. Azi zrezygnował z pierwszego rzutu o złowrogą czerń. Rzuciła cztery, on dwanaście. Wygrał czarne, tracąc wszystkie punkty zdobyte w tej grze. W galerii ktoś syknął cicho.

- Poddajesz się? - spytała Kont' Raen.

Jim potrząsnął głową. Był zmęczony, a sytuacja w tej grze stała się niemal beznadziejna: ona miała dziewięćdziesiąt punktów, on - zero. Lecz nigdy

jeszcze nie poddał gry, nieważne, jak długiej i męczącej. Ona także nie. Skłoniła głowę w uznaniu dla jego wytrwałości i podała pałeczki. Gdyby wypadło czarne, on decydował o rzutach, a to dawało mu minimalną szansę odebrania jej punktów.

Nagle przy drzwiach nastąpiło jakieś poruszenie.

U wejścia stanęło dwoje pasażerów, mężczyzna i kobieta, bety. Azi z salonu, od tak dawna pozbawieni gości, których mogliby obsługiwać, przez krótki moment trwali w bezruchu. Potem rzucili się, by przygotować krzesła i stolik na dwie osoby i przyjąć zamówienie na drinki.

Gra trwała dalej. J im wyrzucił dwa statki i gwiazdę. Wygrał statki i zdobył dwadzieścia punktów; Raen wygrała gwiazdę i całą grę.

- Czterysta pięćdziesiąt cztery - powiedziała cicho - do twoich czterystu sześćdziesięciu dwóch. Przytaknął.

- Rzucaj pierwszy.

Pokręcił głową; wolno było zrezygnować z propozycji. Raen zebrała pałeczki.

Zaszurało krzesło. Ktoś z dwójki pasażerów podchodził do ich stolika. Raen zawahała się, gniewnie spoglądając w bok. Pałeczki pozostały

w jej dłoni.

- Jestem ser Merek Eln - zaczął mężczyzna. Skinął ręką za siebie. - A to sera Parn Kest, moja żona.

Raen przechyliła głowę, jakby przeżywała właśnie jedną z najwspanialszych chwil swego życia. Bety chyba nie wyczuły jej ironii.

- Kont' Raen a Sul. Błogosławieństwo dla was obojga - dodała z lodowatą uprzejmością.

- Czy... lecisz, pani, na Istrę? Raen uśmiechnęła się chłodno.

- A czy jest coś bardziej odległego?

Merek Eln zamrugnął nerwowo i przełknął ślinę.

- Statek musi tam rozpocząć rejs powrotny.

Istra to granica Regionu.

- No więc tam właśnie muszę zmierzać.

- My... jesteśmy z ITAK, Istran Trade...

- ...Association, licencjonowana przez Kontrin.

Wiem. Znam zarejestrowane korporacje.

- Chcielibyśmy zaproponować ci naszą pomoc... gościnność. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Serę Kest także. Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią.

- Jakże 'uprzejmie - rzekła w końcu. - Nigdy jeszcze nie otrzymałam takiej propozycji. Może z niej skorzystam. Nie sądzę, by byli na Istrze jeszcze inni Kontrin.

- Nie - potwierdził Eln słabym głosem. - Kontrin, gdybyś zechciała omówić z nami sprawy, które sprowadzają cię tutaj...

- Nie.

- Moglibyśmy... pomóc.

- Nie słuchałeś, ser Merek Eln. Zapewniam cię, że sprawy ITAK mnie nie interesują.

-L- Wybrałaś jednak Istrę.

- Nie ja.

Mężczyzna spojrział na nią zdziwiony.

- Nie zmieniłam kursu statku - wyjaśniła Raen.

- Gdybyśmy mogli być przydatni...

--- Oferowałaś mi waszą gościnność.

Powiedziałam, że rozważę tę propozycję. W tej chwili, jak pewnie widzisz, jestem zajęta. Mam jeszcze cztery gry do rozegrania. Jeśli macie ochotę, możecie patrzeć - odwróciła się plecami do sera Merekę Elna i sery Kest, by spojrzeć na oczekującego cierpliwie Jima. Azi byli przyzwyczajeni do bezruchu, gdy nie wykonywali poleceń.

- Co wiesz o Istrze? - spytała.

- To świat kopców. Punkt kontaktowy z Zewnątrzem. Ich słońce to beta Hydry.

- Punkt kontaktowy... Nie przypominam sobie, by ostatnio odwiedzał ich ktoś z Kontrin.

Znałam kiedyś jednego, który tam był. Ale nie wątpię, że można tam znaleźć jakieś rozrywki.

- Nie wiem - zawahał się Jim. W towarzystwie Istran czuł się niepewnie. - Jestem własnością Andra Lines. Moja wiedza nie sięga poza statek.

- Czy ta para cię denerwuje? Jeśli chcesz, poproszę, żeby wyszli.

- Nie - zaprotestował. Raen wzruszyła

ramionami i rzuciła pałeczki.

Wypadły potrójne gwiazdy. Rzuciła jako pierwsza. Dwanaście. Jim miał dwa. Raen zdobyła trzydzieści sześć punktów. Jim zebrał pałeczki, jakby były zatrute. Wyrzucił trzy białe. Raen lepiej rzucała kostką i automatycznie zwyciężyła w tej partii.

- Twoje szczęście wyraźnie zaczyna zawodzić - powiedziała, podając mu pałeczki. - Ale wciąż masz przewagę. Przegrywam czterysta pięćdziesiąt pięć do czterystu sześćdziesięciu dwóch.

Tego wieczoru przegrał wszystkie pozostałe partie z wyjątkiem ostatniej, co ustaliło rezultat na czterysta sześćdziesiąt trzy do czterystu pięćdziesięciu siedmiu. Jego przewaga zmalała do sześciu.

Pocił się obficie. Raen zamówiła drinki dla nich obojga i Jim wychylił swój jednym haustem, cały czas patrząc w pusty kąt salonu i unikając spojrzeń kibiców.

- Ci ludzie cię niepokoją - powiedziała Raen. - Ale jeśli wygrasz... cóż, znajdziesz się wtedy wśród nich, wolny i bardzo bogaty. Może bogatszy niż oni. Pomyślałeś o tym?

W milczeniu wychylił kolejną szklanę. Kropla potu spłynęła mu po policzku.

- Ile gier nam pozostało? - spytała.

- Dokujemy za trzy dni.

- Wystarczy czasu ostatniego wieczoru?

Pokręcił głową. Odpowiadało mu to - wciąż

przecież miał przewagę.

/

- Więc dwadzieścia partii - spojrzała na Istran, po czym skinęła ręką zapraszając ich, by usiedli przy jej stole, pomiędzy nią a Jimem. Podeszli, zagniewani i urażeni. - Może zagrasz jeszcze raz, dla przyjemności?

- Wolałbym nie - odparł. - Jestem przesądny.

Azi podali im napoje. Jim wpatrywał się w kawałek blatu między swymi dłońmi.

- To była długa podróż - oznajmiła Kont' Raen.

- Na szczęście w tym salonie spotykało się przyjemne towarzystwo. Powiedzcie, seri, co było powodem waszego wyjazdu?

- Interesy - odrzekła krótko Kest.

- Ach tak.

- Kontrin... - zaczął Merek Eln. Spojrzała na niego. Zwilżył wargi i poprawił się na krześle. - Kontrin, na Istrze panował ostatnio niepokój. Sprawy dalekie są od rozwiązania. Nie wątpię... z pewnością otrzymałaś raporty w tej kwestii. Wzruszyła ramionami.

- Ostatnio niezbyt interesowałam się polityką. A więc wyruszyliście z Is-try w interesach?

Merek Eln zawahał się wyraźnie, zbladł i otarł twarz z potu. Wreszcie podjął decyzję.

- Potrzebujemy funduszy - wyznał. Jego głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. - Mieliśmy trudności. W niektórych miejscach wybuchły walki. Zdarzały się przypadki sabotażu. Trzeba bardzo uważać, z kim się ma powiązania.

Gdybyś sprowadziła siły porządkowe...

- Zbyt wiele ode mnie oczekujesz. Jestem na wakacjach. To mój zawód.

Ironia była tak wyraźna, że nawet bety ją zrozumiały.

Milczeli. Kont' Raen wysączyła do końca swój kieliszek, po czym wstała od stołu i wyszła. Jim przeprosił pośpiesznie i odszedł do azi.

Przyszło mu na myśl, i to już nie po raz pierwszy, że Kont' Raen jest zwyczajnie obłąkana.

Pomyślał też, że gdyby teraz pozwoliła mu się wycofać, zrobiłby to i do końca swych dni służył na tym statku, zadowolony z losu.

Następnego wieczoru stracił kolejne dwa punkty. Jego przewaga zmalała. Wynik brzmiał: czterysta sześćdziesiąt siedem do czterystu sześćdziesięciu trzech.

Tej nocy nie mógł zasnąć. Jutro czekała go ostatnia runda. Nikt w kwaterach azi z nim nie rozmawiał. Wszyscy omijali go z daleka, jakby był zakaźnie chory. Postępowali tak samo wobec tych, którzy mieli wkrótce zakończyć życie.

Jeżeli wygra, będą go nienawidzić; jeśli przegra, potwierdzi tylko to, w co wierzyli, los, który uczynił ich tym, czym byli. Skulił się na materacu, podciągnął kolana pod brodę i schylił głowę, odliczając nieskończenie długie sekundy ostatnich godzin.

vi

Jim zasiadł przy stole wcześniej niż zwykle,

czekając z pałeczkami i kośćmi. Zjawili się Istranie. Inni azi obsłużyli ich, gdy tymczasem nawet załoga beta zaczęła schodzić do salonu, by oglądać koniec rozgrywki. Tylko niezbędne stanowiska pozostały obsadzone, a i tym zapewniono stałe połączenie monitorowe.

Jim wolał patrzeć na blat stołu niż na twarze wolnych ludzi, którzy byli posiadaczami jego kontraktu i teraz czekali na widowisko. Dziś w nocy nie będzie już do nich należał, obojętnie jak skończy się gra.

Usłyszał odgłos lekkich kroków na korytarzu.

Podniósł głowę. Kont' Raen zbliżała się do stolika. Wstał jak co wieczór, by okazać szacunek. Azi podali drinki, jak co wieczór.

Usiadła pierwsza, potem on.

Nie wiedział i nie obchodziło go, co robią teraz inni. Kontrin rzuciła kostką, by ustalić pierwszeństwo, po niej on, wygrywając prawo do pierwszego rzutu.

Wygrał pierwszą partię. Ona drugą. W salonie słychać było pełne napięcia oddechy patrzących.

Wygrała trzecią partię, i czwartą, i piątą.

- Przerwa? - zaproponowała. Otarł kropelki potu znad górnej wargi i pokręcił głową. Wygrał szóstą, przegrał siódmą i ósmą partię.

- Czterysta sześćdziesiąt dziewięć do czterystu sześćdziesięciu dziewięciu - stwierdziła. Jej oczy błyszczały podnieceniem. Poprosiła o lód i wypila szklanekę wody. Jim opróżnił swoją jedynym haustem i chłodną dłonią otarł czoło.

Ciągle było mu gorąco. W salonie tłoczyli się kibice. Poprosił jeszcze o wodę i tym razem wypił wolniej.

- Rzykujesz więcej - rzekła Kont' Raen. -

Odstępuję pierwszy rzut.

Przyjął pałeczki. Nagle przestał jej ufać, przestał wierzyć w jej wielkoduszność. Nikomu już nie ufał. Wiedział teraz, jak obstawiano na pokładzie azi. To, jak patrzeli, gdy Kontrin odbierała mu prowadzenie, świadczyło aż nadto wyraźnie, kto stawiał na niego, kto przeciw. Kiedyś sądził, że niektórzy z tych ludzi go lubią. Rzucił. Nic, tylko czarne i białe. Zrezygnował, potem jej wypadło to samo. Gra toczyła się wolno, ostrożnie. Przy dwudziestu czterech wyrzucił jedną czarną... zdecydował się rozegrać ten rzut wobec jej trzydziestu sześciu i wygrał nie tylko parę statków, ale i czarne, kasując swoje punkty. Dłonie miał wilgotne. Potem grał bardziej zachowawczo, stopniowo odzyskując punkty. Zrezygnował z następnego czarnego. Cały czas bał się czarnego z jej rzutu, czarnego, które się nie pojawiło. Doszedł do osiemdziesięciu ośmiu. Ona, mając siedemdziesiąt dwa, zgarnęła trójkę gwiazd i wygrała dziewiątą partię. Czterysta sześćdziesiąt dziewięć do czterystu siedemdziesięciu, dla niej.

- Co proponujesz, jeśli będzie remis? - spytała.

- Jedenastą partię - odparł chrapliwie. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że przecież mógł

zapropionować unieważnienie zakładów. Ona jednak kiwnęła już głową. Musiał teraz wygrać dziesiątą, by mieć prawo do jedenastej gry. Zebrała pałeczki. Żywa chityna na grzbiecie jej dłoni lśniła jak klejnot. Pałeczki potoczyły się po blacie. Białe, białe, białe.

Partia dla zwycięzcy.

Podala mu kostki - uprzejmość wynikajaca z tradycji gry. Dłonie miał wilgotne; wytarł je o koszulę, wziął kostki i rzucił. Sześć.

Podniosła je i rzuciła sama.

Siedem.

- Koniec - powiedziała.

Przez chwilę panowała cisza. Potem patrzący zaczęli bić brawo, z wyjątkiem azi, którzy cofnęli się pod ściany. Raz jeszcze zrozumieli, że nie ma dla nich ucieczki. Jim zamrugął oczami. Oddychał z trudem, nie mógł opanować drżenia. Kont' Raen zebrała pałeczki i połamała je, jedną po drugiej. Potem oparła się i powoli dokończyła swój drink. Gwar w salonie cichł. Oficerowie i azi przypominali sobie, że wzywają ich obowiązki. Pozostało tylko małżeństwo Istran.

- Wyjść - rzuciła Raen.

Oboje zawahali się, jakby chcieli się sprzeciwić. Po chwili jednak wyszli w milczeniu. Jim wpatrywał się w blat stołu. Azi nigdy nie patrzyli na nikogo wprost.

- Dopij do końca - powiedziała. Posłuchał; potrzebował tego i nie był pewien, czy się

ośmieli. - Dziękuję .ci - mówiła dalej cichym głosem. - Pomogłeś mi zabić nudę, a niewielu ludziom się to udało.

Podniósł wzrok. Zdobył się dotąd na wiele.

Wciąż czuł tę samą desperację, która nie pozwalała mu zrezygnować z gry.

- Mogłeś się wycofać - przypomniała mu.

- Mogłem wygrać.

- Oczywiście.

Przełknął resztkę płynu, głównie roztopionego lodu. Raz jeszcze pomyślał, że Kontrin jest zupełnie, ale to zupełnie szalona i że powodowana kaprysem może kazać go zabić, gdy tylko zakończą dokowanie. Najwyraźniej podróżowała sama. Może wolalała samotność. Nie rozumiał jej motywów. Stworzono go do służby na statkach Andra Lines. Nie potrafił robić nic innego.

Podeszła do stolika Istran, podniosła stojącą tam butelkę i krytycznie przyjrzała się etykietce.

Potem naląła do szklanek, dla niego i dla siebie.

Niestosowność jej postępowania raz jeszcze upewniła go w przekonaniu, że jest szalona.

Powinna zażądać czystych kieliszków, bez resztek lodu. Otrząsnął się wewnętrznie;

przypomniawszy sobie, że takie zmartwienia nie miały już sensu. Oboje wypili niezwykły toast.

- Żadne z nich... - mruknęła, wskazując skinieniem głowy puste stoliki i krzesła, wspomnienie nieobecnych pasażerów - żadne z

nich nie byłoby zdolne do gry z Kontrin. Nikt -
uśmiechnęła się i spoważniała nagle.

Podniosła szklanę w ironicznym pozdrowieniu.

- Twój kontrakt został już zakupiony. Umiesz
strzelać?

Pokręcił głową, zaskoczony. Nigdy nie dotykał
broni, rzadko ją nawet widywał.

Zaśmiała się i odstawiła szklanę.

Wstała.

- Chodź - powiedziała.

Później, na górnym pokładzie, wśród luksusu
apartamentu Kontrin, doszło do tego, czego
właściwie się spodziewał.

- Rejsowy lot - mruknęła Moth i spojrzała na
swe pomarszczone dłonie, nie zwracając uwagi
na otaczające ją głowy Klanów. Zaśmiała się
cicho, wspominając raporty donoszące o
zamieszaniu wzdłuż linii przelotu.

- Boję się - oświadczył Cen Moran. - W tej
materii nie mam twojego poczucia humoru.
Sprawa wiąże się z Istrą, z kopcami i tymi Meth-
marenami, którzy przeżyli. Nie sądzę, byśmy
mogli sobie pozwolić na śmiech.

- Zabijmy ją - odezwał się Roś Hałd. Moth
spojrzała na niego chłodno i umilkła.

- Za co? Nie przypominam sobie, by wizyta na
Istrze usprawiedliwiała takie środki.

- Istra to punkt krytyczny.

- Zgadza się.

Hałd odwrócił wzrok. Moth zapamiętała to i
przeniosła spojrzenie na Mo-rana i pozostałych.

Uniosła brwi.

- Uważam, że obecność Kontrin na Istrze może mieć pewien pozytywny wpływ na sytuację, pod warunkiem, że działania będą dyskretne i rozsądne. Meth-maren zazwyczaj nie utrzymuje kontaktów poza Rodziną.

- Świat kopców - mruknął Moran. - Jeszcze jeden świat kopców, w dodatku krytyczny.

- Jedyne świat kopców, gdzie nie ma stałego rezydenta Kontrin. Odcieśliśmy się od tego... krytycznego... punktu kontaktowego, przynajmniej zwyczajowo. Owszem, Istra jest dość ponura, podejrzewam jednak, że nie mamy ochoty na ponoszenie koniecznych wyrzeczeń. Ale mająt to nie przeszkadza, prawda? Za mojej długiej pamięci jedynie Lian odwiedził to miejsce po zbudowaniu Miasta beta. Było to bardzo dawno temu. Może należy przemyśleć tę sprawę. Może sami stworzyliśmy martwy punkt naszego wywiadu. Raporty z Istri są bardzo rzadkie. Ktoś z Kontrin powinien się tam pojawić. Na pewno nie zaszkodzi to ich ekonomii.

- Ale ta Kontrin, Najstarsza? - zaprotestował Kahn a Beln. - Były problemy w całym Regionie, a ta Meth-maren, pochodząca z władców kopca, z tamtego Klanu... najprostszą predykcją wyjawi, że...

- Zostawimy ją w spokoju - oznajmiła Moth.

- Gdyby było głosowanie - wtrącił Moran - ta decyzja by upadła. Logicznym wyborem byłby

Thon. Jest godny zaufania. Na pewno nie Meth - maren.

Moth patrzyła na niego spokojnie. Wniosek musiałby wpłynąć formalnie, któryś z nich musiałby złożyć pod nim swój podpis jako zgłaszający. Ktoś musiałby zaryzykować swoje osobiste wpływy i układy swoich agentów. Nie sądziła, by Moran traktował swoją wypowiedź jako ultimatum; po prostu miał bliskie stosunki z tymi nieefektywnymi Thonami. Było wiele zapalnych

60

punktów o większym znaczeniu, które mogły pobudzić opozycję. Kiedy nadejdzie wyzwanie, o ile w ogóle nadejdzie podczas Rady, to nie o taki drobiazg, jak zlecenie zabójstwa. Te rzeczy nie budziły dostatecznych namietności. Zabójstw dokonywały Klany albo ich wysłannicy, zawsze cicho i bez zamieszania.

- Zostawimy ją w spokoju - powtórzyła. - Na razie.

Na chwilę przy stole zapadła cisza. Z wolna zaczęli rozmawiać na inne tematy, przeproszać, wychodzić w małych grupach. Moth obserwowała ich, zapamiętując, kto z kim wyszedł. Uznała, że spora grupa planuje jej odejście.

A po mnie, pomyślała uśmiechając się złośliwie, niech się stanie.

Rozłożyła raporty, jakie wpłynęły do komitetu, dotyczące wszystkich spraw, którymi miała się

zająć R,ada: nadwyżki w hodowli azi, napięcia populacyjne i ekonomiczne wśród nie znajdujących dostatecznego zatrudnienia bet, zamęt w kopcach, na Cerdinie walki zielonych i wracających do sił niebieskich z czerwonymi i złotymi. Klan Thon, powiernicy kopców w miejsce Meth-marenów, okazał się nieefektywny; raporty ukrywały to pod lawiną słów.

Wciąż powtarzały się meldunki, że czerwoni szukali kontaktu z Kontrin, przynosili dary, pojawiali się na terenach bet.

Znalazła propozycję Klanu Illit, by, nadwyżkę azi spożytkować dla niewielkiego rozwoju przemysłu budowy statków na Pedrze. Pomysł zyskiwał poparcie, całkiem możliwe, że przejdzie w głosowaniu. Mógłby pomóc w zakończeniu kryzysu, budzącego niezadowolenie na licznych planetach.

Moth studiowała projekt ze zmarszczonymi brwiami - pamiętała, by przycisnąć guzik wezwania oczekującego młodego człowieka - i siedziała wspierając brodę na dłoni, wpatrzona w przekonującą statystykę grafów. Wszedł Hałd;' zamyślona, pozwoliła mu czekać, aż skończy czytanie.

Wreszcie rozdzieliła raporty na trzy części, które potem złożyła razem. Na wierzchu położyła suchą monografię Systemy rozmnażania w kopcach.

- Rejsowy - zachichotała znowu, po czym

**spojrzała ostro na młodego Tahda Hałda. -
Zabić ją. Ty też tak uważasz. Słyszę to już od
tak dawna, że uszy mnie bolą. Trzeba przyznać,
że jesteście uparci. Gdzie Morn?**

Tand Hałd wzruszył ramionami.

**- Nie wiem, Najstarsza - odparł patrząc jej w
oczy.**

- Poi jest z nim?

**- Tego także nie wiem. Byli razem, kiedy się
rozstawaliśmy.**

- Gdzie go zostawiłeś?

**- Na Meronie - nie odwrócił wzroku. - Pola
absorbowały głównie rozrywki. Morn miał
swoje sprawy, ja swoje. Nikt ich nie kontroluje.
Patrzyła na niego z powagą. Po chwili spojrzała
w bok.**

- Chcesz, żeby ją usunąć.

- Staram się doradzać, jak umiem najlepiej.

**- Dlaczego jesteście tacy wyczuleni na tę
sprawę? Jakaś osobista niechęć?**

**- Nie. Z pewnością twój agent, który pilnuje
innych agentów, dałby ci znać, gdyby w grę
wchodziły sprawy osobiste.**

**Roześmiała się na tę impertynencję. Najmłodszy
z Haldów był przy niej już już zbyt długo i zbyt
blisko.**

**- Więc czemu? - nie pozwoliła zmienić tematu. -
Czy próbowała kiedyś mieszać się do interesów
Rodziny? Nie wtrąca się do ekonomii. Jedynie
podróżuje, od czasu do czasu.**

- Czy to twoja agentka? - Tand od pięciu lat

miał ochotę zadać to pytanie.

- Nie - odparła cicho Moth. - Ale chronię ją, jakby nią była. A może nawet jest, na pewien sposób. Ale dlaczego tak się jej boisz, Tand?

-- Bo jest nietypowa. Jej zachowania wydają się losowe. I ocalała. Powinna odczuwać nienawiść. Ale nigdy jej nie okazuje... z wyjątkiem jednego razu, ale wtedy chodziło o bezpośrednią zemstę. Nie kieruje się dawnymi urazami.

- Ah, rozumiem.

- Teraz znalazła sobie miejsce, gdzie może poważnie zaszkodzić. Tam są ci z Zewnątrz, są kopce i nikogo, kto by jej pilnował. Tylko bety. Jej lot na Istrę musiał mieć jakiś cel.

- Tak sądzisz? W swym postępowaniu nie kieruje się zwykle określonymi powodami.

- Wierzę, że tym razem jest inaczej.

- Może masz rację. Jednak przez te wszystkie lata ani razu nie spróbowała wrócić na Cerdin.

- Podstawowym błędem było przede wszystkim pozostawienie jej przy życiu.

- Rodzina szukała zarzutów przeciw niej odkąd odleciała. Nie znaleźliśmy żadnego. Nie dała nam żadnych powodów.

- Jest więc inteligentna i niebezpieczna.

Moth roześmiała się znowu. Przerzucała raporty, pozostawiając je w beładzie.

- Jak długo żyją majat?

- Przeciętny osobnik około osiemnastu lat - Tand zdawał się lekko poirytowany nagłą zmianą tematu. - Królowe dłużej.

- Nie. Jak długo żyją majat?
 - Kopce są nieśmiertelne.
 - Prawidłowa odpowiedź. Ile to jest?
 - Według ich obliczeń - miliony lat.
 - A jak długo ich obserwujemy, Tand?
- Młody człowiek przestąpił z nogi na nogę, spuścił głowę, spojrzął na podłogę, potem na ściany. Wyraźnie demonstrował zniecierpliwienie.
- Mniej więcej sześćset, może siedemset lat.
 - Jak długo może trwać cykl, w granicach życia nieśmiertelnego organizmu?
 - Jaki cykl? Najstarsza, obawiam się, że nie rozumiem, do czego zmierzasz.
 - Tak. Nie wiemy, prawda? Wraz ze śmiercią giną nasze wspomnienia. Pozostają jedynie zapisy... tylko to, co kiedyś uznaliśmy za ważne, w danej chwili, w konkretnych okolicznościach. Trutnie pamiętają wszystko.

Tand potrząsnął głową. Pot wystąpił mu na czoło.

- Wolałbym, Najstarsza, żebyś mówiła jaśniej.
- Chciałabym mieć pod ręką dostatecznie dawne kroniki. Czy nie dostrzegasz zmian? Nie, oczywiście, że nie. Żyjesz ledwie trzecią część stulecia. Ja ledwie sześć i pół. A cóż to jest? Ile jest warte moje doświadczenie? Pakt utrzymywał kopce z dala od ludzkich spraw. Teraz czerwoni i złoci pojawiają się wśród nas, nawet pomiędzy betami. Kopce prowadzą

wojny, na Cerdinie, Meronie, Andrze, Kalindzie... Na Kalindzie to niebiescy i zieloni przeciw czerwonym. Na Andrze i Cerdinie niebiescy i zieloni przeciwko czerwonym i złotym. Na Meronie - niebiescy przeciw czerwonym i zielonym, a złoci się ukrywają.

- A Istra...

- Trudno cokolwiek przewidywać, prawda?

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, Najstarsza.

- I póki nie zrozumiesz, rozpuszczaj wśród Klanów pogłoski, że Moth wciąż ma swoje zalety. Że zabicie jej będzie bardzo nierozsądnym posunięciem.

- Mówiliśmy - próbował jej przypomnieć Tand - o Raen a Sul.

- A tak - Moth potrząsnęła głową. Zamrugła. Kiedy ma się prawie siedemset lat, mózg staje się zawodny, zbyt pełen informacji. Zdarzają się syntezy bliskie prorocत्वom, skojarzenia pełne subtelnie analizowanych faktów. Nie potrafiła opanować drżenia rąk, spowodowanego wysiłkiem prześledzenia tych zachodzących na siebie spraw. Autoanaliza. Ze wszystkich procesów ten był najtrudniejszy - zrozumieć, czemu kojarzy się pewne dane. Oczy ją piekły, palce nie wyczuwały trzymany dokumentów. Zdała sobie sprawę z tego, że Tand wciąż coś mówi.

- Idź - przerwała mu. Odszedł.

Patrzyła, jak wychodzi. Teraz nie miała już

Wątpliwości: jej śmierć została zaplanowana. Azi uspokoił się w końcu w definiowanym na nowo świecie. Spał, jak gdyby luksus kabin górnego pokładu był czymś zupełnie zwyczajnym. Raen wstała cicho, prześliznęła się przez sieć zabezpieczającą, jaka okrywała szerokie łóżko i przeciągnęła się ziewając. Myślała o przewodniczącej, o pakowaniu rzeczy osobistych, porzucanych po kabynie w ciągu miesięcy podróży.

Ten azi... nie wiedziała jeszcze, pomóc albo ciężar. Nie była pewna, czy słusznie postąpiła, nawet teraz miała wątpliwości. Zwykle nachodziły ją rankami.

Odrzuciła je, nie chciała myśleć o czymś więcej niż tylko dzisiejszym dniu. To było najlepsze rozwiązanie, przynajmniej na godzinę, przynajmniej na czas oczekiwania i samotności. Spodziewała się, że podróż będzie trudna do wytrzymania, a jednak dobiegała końca. Przeżyła w niej nawet chwile najwyższego podniecenia, chwile, dla których warto żyć, zbyt rzadkie, by głupie wątpliwości odebrały jej radość. Ziewnęła i przeciągnęła się, po czym na ślepo podeszła do konsoli i wystukała zamówienie na podwójne śniadanie.

Z ekranu mrugnęła do niej czerwona lampka - komunikat bezpieczeństwa. Serce zabiło żywiej; wcisnęła trójkę, kanał zarezerwowany na informacje o zagrożeniach i ostrzeżenia.

PASAŻER MAJĄT PRZEBUDZIŁ SIĘ.

PROSZĘ OPUŚCIĆ OKOLICE SEKTORA 31.

Mogła przewidzieć: alarm dla statku, nie dla niej. Włączyła komunikator.

- Mówi 512. Sugeruję natychmiastowe podjęcie nadzwyczajnych środków ostrożności w sektorze 31. To nie jest Robotnica. Proszę o potwierdzenie.

Uzyskała je, przetarła oczy i ruszyła pod prysznic. Wypełniła swój obowiązek wobec społeczeństwa.

Pieszczota ciepłej wody i zapach mydła - są rzeczy, których nawet perspektywa wieczności nie zdoła pomniejszyć. Woda spływała po jej ciele, na którym - mimo wszystkich przeżyć - niewiele pozostało blizn. Była szczupła, choć prowadziła ostentacyjnie leniwy tryb życia. Stała w gorących strugach tak długo, aż serce zaczęło bić szybciej; wypuściła obłok przyjemnej pary, rozczesała włosy i włączyła suchy obieg powietrza.

Sucha, uczesana i spokojna, wyciągnęła prześcieradło kąpielowe i zawinięta w nie weszła w chłód kabiny, z powrotem do konsoli. Miała nowy pomysł.

Na biurku leżały papiery Jima. Przejrzała je i wystukała numer magazynów statku. Zażądała kilku rzeczy i poprosiła o demonstrację.

Symulowane próbki ukazały się na ekranie - dcHadne przedstawienie typu jego ciała i kolejne kostiumy. Zatwierdziła kilka i poleciła zapisać je na swój rachunek. Wybrała torbę

podróżną, zestaw osobistych drobiazgów i trochę biżuterii.

Rozbawiło ją to. Przewidywała jego radość. Ale kiedy zgasł ekran i jedyna przyjemna rzecz tego ranka została załatwiona, usiadła nieruchomo i pomyślała o Istrze. Nagle ogarnął ją ponury nastrój, wynik porannego bólu głowy.

Może wczoraj wieczorem za dużo wypila. Tak, z pewnością przesadziła.

Może to melancholia azi, tak dobrze pasująca do jej nastroju.

Otrząsnęła się w końcu i ubrała. Zdecydowała się na prosty, dopasowany kostium z surowej wełny. Potem, pierwszy raz na statku, ostentacyjnie założyła rękaw pancerny. Lekka, jasna chityna umocowana na delikatnej osnowie biegła od żywych klejnotów na dłoni aż do obojczyka. Była piękna i to ją cieszyło. Po tak długiej podróży dzień wymagał pewnego ceremoniału.

Zaśmiała się gorzko, spoglądając na śpiący spokojnie rezultat działania swej fortuny.

Uważał ją za wszechmocną. Dopóki dotyczyło to statku, takiego jak Klejnot A.ndry, z pewnością miał rację.

W szafie wisiało kilka płaszczy. Wyjęła biały.

Chciała go włożyć, by zakryć rękaw pancerny i broń, z którą rozstawiała się tylko w kabinie.

Odwiesiła go jednak i sięgnęła po inny, błękitny z białą krawędzią, zakazany.

Nawet jego posiadanie było wyzwaniem

rzuconym Rodzinie. Od niemal dwóch dziesięcioleci nikt nie nosił tych Barw. Wyjęła płaszcz. Może jakiś beta się zainteresuje, może prześle jej imię i rysopis do Rady. Niech więc przynajmniej będzie dokładny. Jeśli przegapili wszelkie inne sygnały, ten odczytają niewątpliwie. Zarzuciła płaszcz na ramiona i zapięła. Znowu spojrzała na azi.

Jim leżał w samym kącie wielkiego łóża, skulony w pozycji embrionalnej. Zwijał się tak już wcześniej, nawet przez sen. Martwiła ją ta podświadoma obrona. Miała nadzieję, że już się odprężył.

- Zbudź się! - krzyknęła. - Jim! Wstawaj! Poruszył się, przez chwilę jeszcze niezbyt przytomny, potem wyprostował się i usiadł. Przetarł oczy i skrzywił się, czując zapewne podobny ból głowy jak ona. Wydał się jej dziwnie zagubiony, jak gdyby dzisiaj położył coś nie na miejscu. Może siebie.

Uznała, że potrzebuje czasu. Przestała zwracać na niego uwagę, sądząc, że to najlepsze, co może zrobić. Po krótkiej chwili wstał, zebrał rzeczy z podłogi i ruszył do łazienki. Długo puszczał wodę; potem szumiały wentylatory.

Jest czysty, pomyślała z aprobatą Raen.

Uruchomiła kanał operacyjny i usiadła w fotelu. Czekala, słuchała rozmów i obserwowała ekran z obojętnością kogoś, kto sam wiele razy stał za sterami statku cumującego do stacji.

Czasochłonne procedury i kontrole wielkiego,

rejsowego liniowca były typowe dla bet, przesadne i nadmiernie ostrożne. Chociaż, cumowanie statku tych rozmiarów 'do doku stacji nie pozwalało na drobne pomyłki. Masę czasu poświęcając na kontrolę układów pomiarowych, nie pozostawiając niczego ocenie wizualnej.

Kanał piąty dawał obraz celu podróży - to właśnie chciała zobaczyć. Na ekranie widać było małą kropkę stacji, która w ciągu najbliższych godzin powinna się szybko powiększyć. A dalej Istra, niezbyt wyraźny, niebieskawy dysk. W górnej części ekranu jaśniała przez filtry sama beta Hydry, Ogon Węża, groźny blask, sugerujący, by nie oczekiwać raju na powierzchni planety.

Dwa główne kontynenty -- dwa porty - pokrywał w większości piasek. Układ klimatyczny sprawiał, że deszcze padały w krętym pasie, na południu pierwszego lądu i na wybrzeżu drugiego. Burze łamały się na olbrzymim paśmie gór, tworząc nawodnione obszary przy brzegu i jedną z najgorszych pustyń Regionu po drugiej stronie. System deszczów za ludzkiej pamięci nie zmienił się ani razu. Życie, jakie rozwinęło się na Istrze przed przybyciem ludzi i majat, nie zdążyło osiągnąć inteligencji... a istoty, u których być może pojawiły się jej zaczątki, wołały trzymać się z dala i od ludzi, i od majat.

Raen hipnostudiowała Istrę i dysponowała

wszelkimi informacjami, jakie znalazła na taśmach. Planeta nie była zbyt gęsto zaludniona. Jej mieszkańcy zajmowali się rolnictwem, dzięki czemu była samowystarczalna. Rodzina nie uważała za rozsądne, by pokazywać się na Zewnątrz od najlepszej strony. Ten świat służył jedynie zaopatrywaniu stacji. Stacja była prawdziwą Istrą. Aglomeracja doków i magazynów krążących na orbicie nie miała sobie równych w całym Regionie. Tędy przechodził cały eksport i import z Zewnątrzem.

Warto było to zobaczyć, skoro dotarło się już tak daleko. Prawdą jednakże było i to, że stację wyposażono dość prymitywnie. Raen mogłaby się tu zwyczajnie zgubić, gdyby straciła Klejnot z oczu.

Jej nastrój pogarszał się z każdą chwilą, gdy patrzyła na ekran z rosnącym przekonaniem, że powinna zostać na pokładzie i wrócić powrotnym rejsem do centrum Regionu, tam, gdzie było miejsce Kontrin. Pod wpływem impulsu popełniała już różne szaleństwa, to jednak miało zupełnie inny aspekt. Samo dotarcie tak daleko realizowało częściowo jej zamiary.

Rodzina z pewnością już wie; niemożliwe, by nie zauważyli.

Nieskończone życie i wymuszona bezczynność, wymuszona bezużyteczność, wymuszona samotność - to była tortura, przy której każda

odmiana stawała się świętem, a perspektywa zmiany paraliżowała. To mogło ją pokonać. Rodzina uznała, że powinno, że w końcu pokona.

Zacisnęła wargi w szyderczym uśmiechu. Wciąż była normalna, choć zbliżała się do granicy. To, że znalazła się tutaj, na Krawędzi, było tryumfem jej woli.

Nad drzwiami błysnęła niebieska lampka - obsługa. Raen wstała, by otworzyć.

Przypomniała sobie, że nie umocowała jeszcze miotacza do paska i zatrzymała się na moment, by naprawić przeoczenie.

Było to tylko dwóch azi, którzy przynieśli śniadanie i rzeczy kupione wcześniej. Wpuściła ich i stała w otwartych drzwiach, gdy rozkładali zastawę na stole i układali na ławie spory stos paczek.

Jeść śniadanie niewiadomego pochodzenia... godziła się z ryzykiem, z tym rzutem kostką, choć w zamkniętym otoczeniu Klejnotu szansę na wygraną były większe niż zwykle. Mniejsze jednak niż w salonie. Przyjęcie paczek także było ryzykowne. Sama podróż, bez ochrony, wśród obcych, graniczyła z szaleństwem.

Podobnie jak wzięcie azi, takiego jak Jim.

Maleńki trójkąt wytatuowany pod jego okiem był prawdziwy, podobnie jak numer serii na ramieniu. Jedno i drugie wyblakło, tak jak powinno być. To wykluczało podstawienie... lecz nie możliwość, że ktoś ingerował w program,

może dołączając morderstwo. Takie zagrożenia stanowiły codzienną rozrywkę - konieczne ryzyko. Trzeba było się z nimi godzić, by nie zwariować od stresu. Nie można było uniknąć hazardu. Uśmiechnęła się, gdy azi skłonili się, wykonawszy swe zadania. Dała im wysoki napiwek - jeszcze jedna rozrywka. Wyraz szczęścia na ich twarzach sprawił jej pewną przyjemność. Czowała podniecenie myśląc o rzeczach kupionych dla Jima, nie mogła się doczekać, by zobaczyć, jak zareaguje. Jego melancholia stała się rodzajem wyzwania... była prostsza, może bardziej osiągalna od jej własnej.

- Jim! - zawołała. - Chodź tutaj!

Wyszedł, na pół ubrany w swój uniform, z rozczochranymi lekko włosami, wciąż jeszcze zarumieniony od gorącego prysznic. Wskazała mu pakunki. Wydawał się nieco oszołomiony ilością rzeczy.

Usiadł i zajrzał najpierw do mniejszych paczek, dotknął plastikowych opakowań części ubrania i butów z cienkiej skóry, potem nesesera. W jednym z pudełek znalazł zegarek, bardzo kosztowny. Musnął palcami tarczę, po czym zamknął przykrywkę i odłożył go na bok. Nawet ślad uśmiechu nie pojawił się na jego twarzy, jedynie pustka... oszołomienie.

- Powinny pasować - stwierdziła, gdy wciąż nie okazywał radości, jakiej oczekiwała. Pokonana, wzruszyła ramionami. Widać był trudniejszym

przypadkiem, niż jej się zdawało. - Śniadanie stygnie. Pospiesz się.

Podszedł do stołu i stanął czekając, aż ona usiądzie. Ta uprzejmość była irytująca przez swą mechaniczność. Nie odezwała się jednak, zajęła miejsce, pozwoliła poprawić krzesło. J im usiadł, wziął widelec odczekawszy, aż ona weźmie swój i zaczął jeść dopiero po niej. Ani razu na nią nie spojrział.

Mimo wszystko - przekonywała samą siebie - był wyjątkowo zdolny do adaptacji. Ograniczona wrażliwość azi, o której przekonywały bety, usprawiedliwiała zachowania, jakie w innym przypadku można by uznać za obraź -liwe. Jako dziecko nie potrafiła tego zrozumieć. Była przecież Lia, która ją kochała i ona kochała Lię. To prawda jednak, że azi nie reagowali tak, jak prawdziwi ludzie. Także to, że nie było już wśród nich Lii, a przynajmniej żadnej nie znalazła.

Genetycznie warunkowana niewra^liwość? zastanawiała się obserwując Jima. Nie wierzyła w coś takiego. Genetycy Kontrin nigdy nie zajmowali się czymś tak nieokreślonym jak ego i emocje. Jako Meth-maren знаła lepiej od innych wyniki osiągnane w laboratoriach. Nie, to musi być jakaś konkretna zmiana biologiczna, chyba że bety wiedziały więcej niż Kontrin, a w to nie chciała uwierzyć. Sprawa musi się opierać na czymś prostym, nie wymagającym pomocy majat.

Obniżona wrażliwość na ból? Potrafiła sobie wyobrazić, jak ją osiągnąć. Na pewno wywołałaby pewne reakcje psychologiczne, do pewnych granic pożądane. Biologiczne samozniszczenie wbudowane w azi dowodziło, że bety posiadały niejaki doświadczenie w genetyce.

Jim zainteresował ją nagle, monotematycznie, jak wiele rzeczy, które odrywały ją od ważniejszych często zajęć. Zaczęła myśleć o domu, o komforcie, o ludzkim cieple Lii. Zwykle kończyła na tym, lecz dzisiaj, w tym miejscu, mogła sobie pozwolić na więcej. Poczula nagle, że życie winne jej było odrobinę komfortu, wyrozumiałości, trochę...

Powstrzymała się. Zaczęła rozumować chłodno, oceniając problem jako czysto intelektualny, użyteczny, sposób zdobywania dodatkowej wiedzy. Jim był zagadką i to niełatwą. Nagle zdała sobie sprawę, że wszyscy azi byli zagadką, nad którą nigdy się nie zastanawiała. Ich obecność nie dziwiła, tak jak ubranie, które nosiła codziennie, nie wiedząc, jakiego kunsztu wymaga jego produkcja. Nie wiedziała do chwili, gdy zapragnęła robionego na zamówienie płaszcza i to skłoniło ją do wizyty w miejscu, gdzie mogła go dostać. Odkryła wtedy cudowny warsztat pełen nici i dziwnych maszyn i starego betę, który dla przyjemności ręcznie tkął materiały, którego cieszyła możliwość pracy nad rzadkimi jedwabiami majat. Produkcja tkanin

wymagała
całego łańcucha pradawnych sztuk, które
wzbudziły jej podziw. Bywały różne talenty.
Ona sama nie miała zdolności twórczych.
To samo zdarzyło się z azi, już pierwszej nocy,
gdy zasiedli do gry, choć dopiero teraz
zrozumiała, dlaczego gra była tak ważna -
pozwalała wypełnić czas, dostarczała zajęcia.
Takie zajęcia zaś pozwalało uspokoić umysł,
spotkać się z dziełem sztuki, które należało
zanalizować i zrozumieć.
Być może była to najwyższa sztuka. Tkanie,
rzeźba, poezja - co więcej pozostawili betom
Kontrin? Tworzenie ludzi.
Twarz Jima nie była wyjątkowa. Z pewnością w
okolicach Andry można spotkać wiele
identycznych, różnie zaawansowanych w latach.
Na pewno pełnili odpowiedzialne funkcje, jak
Jim. Byli technikami, służbą domową,
dozorcami, brygadzystami, strażnikami,
specjalistami rozrywki - to ostatnie na
znudzonym Meronie, gdzie wszystko było
dozwolone. Wielu bliźniaków Jima z pewnością
pracuje u majat, gdyż majat cenią inteligencję.
To, że Jim był także miłym ozdobnikiem, z
pewnością nie przyszło im do głowy, gdyż ich
oczy nie potrafiłyby tego określić. Zauważyły
ten fakt Andra Lines. Wszyscy azi z obsługi
należeli do kosztownych typów i żadni dwaj nie
byli do siebie podobni. Najwyraźniej mieli
spełniać zachcianki pasażerów także poza

salonem. Jim zdradzał pewne doświadczenie w tego rodzaju obowiązkach. To było zbędne, tak jak zbędny i ekstrawagancki był pełen przepychu wystrój statku. Po co powierzać najbardziej wrażliwym i zdolnym azi zadania daleko poniżej ich możliwości? Typowa betańska ostentacja - kto mógł płacić, ten kupował i pokazywał, nawet gdy nie miało to sensu.

Jim skończył jeść i siedział wpatrzony w talerz. Pewnie nie wiedział, co powinien zrobić. Niepokojąco przypominał maszynę, której skończył się program.

Wielu azi istotnie działało jak maszyny. Oderwani od swych obowiązków albo zabrani z domu czy fabryki, do której należeli, tracili zdolność wykonywania nawet najbardziej podstawowych funkcji. Część zapadała w katatonię i trzeba było ich uśmiercać, jeśli nie dali się przebudzić i wytrenować na nowo. Jim jednak, gdyby wygrał, mógłby uchodzić za betę... gdyby nie tatuaż. Potrafiłby żyć samodzielnie. Był tak samo umysłowo aktywny jak każdy prawdziwy człowiek.

Lia taka była.

Jim podniósł wreszcie głowę. Może wyczuł jej skupienie. Znowu ten smutek... taki sam, jaki spotykała każdej nocy, głęboka, niedotykalna melancholia, na jaką patrzyła niby w lustro ponad stołem gry. Podejrzenie, że pewnych gier nie można wygrać, mimo że muszą zostać

rozegrane.

- O nic nie pytasz - stwierdziła. Nadal milczał.

- Lecimy na Istrę.

- Więc polecę z tobą.

Zabrzmiało to jak pytanie. Zrozumiała, o czym myślał przedtem. Oparła się wygodnie, wciąż mu się przyglądając.

- Tak. Jesteś chyba przyzwyczajony do podróżowania, prawda? Czy nigdy nie pragnąłeś polecieć na planetę? Na pewno chciałeś poznać porty, do których zawijał ten statek.

Kiwnął głową i jego oczy rozjaśniły się odrobinę.

- Możesz kupować co chcesz - oświadczyła. -

Mój majątek przestał mnie bawić... już dawno temu. Na ciebie zrzucaam tę klątwę. Wszystko, czego zapragniesz, każda zachcianka. Gdybyś wygrał, twoje fundusze byłyby ograniczone. Ze mną nie ma żadnych granic. Moje towarzystwo jest niebezpieczne, ale ma też swoje zalety. Jeśli jest coś na tym statku, co chciałbyś mieć, możesz to kupić.

Propozycja tylko go zmieszała. Widywał bety w kosztownych strojach, zamawiających wyszukane potrawy, korzystających z wszelkich rozkoszy. Nie miał innych doświadczeń. Każdy beta, któremu by to zaproponowała, natychmiast coś by wymyślił.

- Może się przebierzesz? Nie musisz już nosić tej liberii. Sprawdź, czy ubrania pasują. Potem pomyśl o pakowaniu. Do południa będziemy już

w doku. Muszę załatwić parę spraw, a potem rozerwiemy się trochę, popelnimy kilka szaleństw, poszukamy towarzystwa, w którym można by namieszać. No dalej, dalej.

Nie wyglądał na uspokojonego, ale wstał, podszedł do ławy i zaczął przekładać paczki. Zrzucił stos pudeł na podłogę, pozbiierał je i natychmiast zrzucił inne. Niezręczność zupełnie do niego nie pasowała. Przyklęknął, z wahaniem pouklądał wszystko, starannie wybrał kilka pakunków. Cała scena wystraszyła Raen, uderzyła ją niby pięść. Azi. Zakłócenia motoryczne powodowane zbyt wielką ilością zmian. Martwy punkt w mechanizmie. To się zdarza. Interwencja pogorszyłaby tylko stan rzeczy.

Przypomniała sobie Lię i odepchnęła tę myśl. Jim ze stosem paczek w rękach wyszedł do sypialni.

Do Raen dotarły przytłumione głosy od strony ekranu. Wstała, by je wyłączyć. Zły nastrój powrócił tym silniejszy, im bardziej starała się go ignorować. *

Mogłabym prosić na Cerdinie, pomyślała. Mogłabym błagać Moth i Radę o pr%y-jęcie mnie ^ powrotem. Mogłabym %yć dalej, pośród Kontr in, i^nowu w domu. Wy star-c%y tylko ukorzyć się pr^ed Radą.

Zawsze wystarczało. Ale nie robi tego. Nie teraz.

Zaczęła się pakować, otwierając szuflady i szafki

w poszukiwaniu zapomnianych drobiazgów. Światła w pokoju rozbłysły nagle czerwienią. Cały apartament wypełnił się ostrzegawczym blaskiem.

- Sera? - spytał żalnym tonem Jim wychylając się z sypialni.

Raen czterema krokami przebyła pokój i uruchomiła kanał alarmowy. Wiedziała już, czego się spodziewać.

PASAŻER MAJAT, popłynęły po ekranie litery, PORUSZA SIĘ. SEKCJA 50, PROSZĘ ZABEZPIECZYĆ DRZWI I POZOSTAĆ W KABINACH. W RAZIE POTRZEBY POMOCY WZYWAĆ STACJĘ 3.

Wcisnęła 3.

- Bezpieczeństwo, tu 512. Alarm dotarł do mnie. Czy zechcielibyście już go wyłączyć? Dziękuję. Lampy zapłonęły zwyczajnym, białym światłem. Jim wciąż stał w drzwiach i wyglądał na przestraszonego.

Raen sprawdziła miotacz i na powrót umocowała go do pasa pod płaszczem.

- Majat hibernują w czasie lotu - wyjaśniła. - Kiedy się budzą, zrzucają pancerz. Przez pewien czas skóra pozostaje miękka. Gdy są bez pancerza, instynkt każe im iść w stronę światła dziennego. Rozumiesz, przy układzie ciężenia na tym statku górne pokłady... on nie atakuje, po prostu zachowuje się naturalnie. Najlepiej zostawić go w spokoju. W tym stanie jest trochę głuchy, bo czułki słuchowe jeszcze nie okrzepły.

Oczy też nie są zbyt wrażliwe. Nie wolno mu wchodzić w drogę. Pójdę tego dopilnować. Jeśli chcesz, możesz tu zostać. Niewielu ludzi ma ochotę znaleźć się w pobliżu majat. '

- Chcesz, żebym poszedł?

W jego głosie nie było entuzjazmu, ale chęć pomocy. Nie wyczuła paniki, więc skinęła głową.

- Jeśli nie zrobisz żadnego ruchu bez mojego polecenia. Ryzyko jest niewielkie.

- Czy ty i majat... jesteście razem?

- Uprzedzałam, że moje towarzystwo bywa niebezpieczne. Obecność majat źle wpływa na niektórych ludzi. Mam nadzieję, że jesteś odporny.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz, gdzie światła nadal płonęły czerwienią.

Jim szedł za nią. Drzwi zatrzasnęły się.

- Zamknij je - poleciła zadowolona, że nie jest sama. - zawsze za mną zamykaj.

Jego twarz lśniła od potu. Bał się, lecz uruchomił zamek i ruszył za nią w głąb korytarza.

Korytarz 50 znajdował się obok wind i szybów awaryjnych. Raen nie dziwiła się, że ślepy majat dotarł na piąty poziom - tunele były jego naturalnym środowiskiem.

Czekał teraz, skulony przed grodzią - plątanina kończyn i fantastycznych, chitynowych protuberancji. Połyskiwał czerwonym blaskiem odbitym od wilgotnej, świeżej skóry, oszołomiony zamkniętą przed nim barierą.

- Jest ślepy na większą część tego, co go otacza - wyjaśniła Jimowi Raen. Okazało się, że czułki mająt nie były aż tak miękkie - pochwycił głos i" odwrócił się, w podnieceniu ruszając szczękami. To był Wojownik, bezbronny i nagi, jakby dopiero się wyklął.

- Stań tam, w kącie - poleciła Raen. - Schowaj się, gdyby zaczął się nieodpowiednio zachowywać. Nie próbuj uciekać; żaden człowiek nie prześcignie Wojownika. Za to jego wzrok opiera się całkowicie na podczerwieni, zależny jest od różnic temperatury. Jeśli między wami znajdzie się coś zimnego, zgubi cię. On nie widzi tego korytarza nawet w przybliżeniu tak jak my. Może nas widzi, może miejsca, gdzie metal jest rozgrzany przez pracujące za ścianą maszyny. Albo przez dotknięcie dłoni. Jeśli próbujesz się ukryć, nie dotykaj nagą skórą metalu ani żadnych gładkich powierzchni. I jeszcze coś: on nie tylko wyczuwa zapach. On w nim czyta.

Czulki słuchowe nadal się poruszały. Chwytały dźwięki, lecz z tej odległości mająt nie potrafił ich chyba rozróżnić. Nagle uniósł się na dwóch nogach i zawył ostrzegawczo.

Raen ruszyła wolno do przodu. Odrzuciła płaszcz na plecy i wyciągnęła przed siebie obie dłonie, grzbietami na zewnątrz.

Mająt głośno zassał powietrze.

- Kontrin - odezwał się głębokim głosem - niebieskiego kopca.

- Wojownik niebieskiego kopca - mówiła wyraźnie, głośno, ze względu na niego.

- Tak - westchnął, wypuszczając z komór powietrze. - Taak.

Czułki słuchowe przesunęły się do przodu, jak gdyby człowiek przygotowywał się do słuchania. Tułów Wojownika opadł w dół, mająt podwinął przednie kończyny. Cała poza świadczyła o uldze i zaufaniu. W Raen wezbrało dziwne uczucie, coś, czego poszukiwała, pędząc z jednej planety na drugą, i znalazła dopiero teraz.

- Wiedziałam, że niebieski ma lecieć tym statkiem - rzekła. - Więc przybyłam.

Pochylił się, chcąc jej dotknąć, lecz nagle znieruchomiał. Powietrze wpływało i wypływało szybko z komór głosowych. Szum zmienił się w słowa.

- Inny. Inny. Inny.

Zrozumiała, co zobaczyły jego niezbyt jeszcze sprawne oczy i obejrzała się na Jima, czekającego w kącie.

- To tylko azi, Wojowniku. Mój, mojego kopca. Nie zwracaj na niego uwagi.

Mająt zawahał się, potem podszedł do niej, schylił głowę. Szukał dotyku. Podniosła obie ręce do jego płam zapachowych. Przez moment absorbował zapach. Potem schylił się gestem podobnym do ludzkiego pocałunku, rozwarł szczęki i przysunął pseudokleszcze do jej warg. Jadowite żądło znalazło się bardzo blisko, zuchwy obejmowały jej głowę. Nieprawidłowy

smak spowoduje ich zatrzaśnięcie, czysto instynktowne, a w przeciwieństwie do Wojowników Raen nie była chroniona chityną. Miała tylko pancerny rękaw. Smak jednak był właściwy. Majat delikatnie przyjął go od niej.

- Brak informacji - powiedział. - Skąd? Skąd?

- Cerdin - odparła. - Kiedyś.

- Królowa - analiza danych postępowała we wnętrzu jego ciała. Szczęki zatrzasnęły się w rozterce. - Smakuję przyjaźń. Smakuję niebezpieczeństwo.

- Jestem Raen a Sul. Raen a Sul hant Meth-maren.

Zesztywniał. Nawet zuchwy znieruchomiały. Samotny Wojownik pojmował jedynie wspomnienia Wojowników, choć inni mogli wyczytać z jego ciała daleko więcej.

- Niebezpieczeństwo - powtórzył bezradnie.

Czułki słuchowe kołysały się w przód i w tył. Niedawno zbudzony, w ten sposób ostrzegał o własnej dezorientacji. Wciąż jej ufał, ale już nie w pełni. Szczęki poruszyły się niepewnie.

- Wojowniku, dotarłeś do Istry. Czy jest to miejsce, do którego wysłał cię niebieski kopiec?

- Tak - odsunął się od niej, wciskając ciało w kąt obok grodzi. - Zakazane. Zakazane. Zakazane.

Raen nie poruszyła się. Wojownicy często sprawiali wrażenie lakonicznych i gubili wątek, ten jednak wydawał się całkowicie zagubiony.

Skulił się, podkurczając odnóża. Mógł zaatakować pod najmniejszym pretekstem.

- Wojownik - odezwała się. - Pomogłam ci. Gdyby nie było mnie na pokładzie, statek mógłby zostać... zatrzymany. Podczas snu tobie-jednostce mógł się przytrafić wypadek. To się nie stało. Zanim się wyklułeś, byłam w niebieskim kopcu Cerdina, wewnątrz. Jesteś z Kalindu, ale czy na Kalin-dzie nie istnieje pamięć o Meth-marenach? Zanim opuściliście Cerdin znaleźcie nas, Meth-marenów, przyjaciół kopca. Było tam wzgórze i jezioro obok miejsca zwanego Kethiuy. Mówiliśmy... w imieniu wszystkich kopców ludzi.

- Wojownik - przypomniał jej. Nie można oczekiwać, by Pamiętał. Lecz czułki słuchowe wyciągnęły się do przodu, szczęki pracowały rytmicznie. - Kopiec Meth-maren. Meth-maren. Kethiuy. Przyjaciele kopca. Pierwsi ludzie, Meth-marenowie. Tak. Są w pamięci Wojownika.

- Tak - potwierdziła. Wyciągnęła ręce oferując dotyk, gdyby zechciał go przyjąć. Nie było tu królowej, by doradziła Wojownikowi, nie było Trutni, by za niego Pamiętały. Pochwyciła go... prawie. Starła się nie okazać podniecenia. Nie mógł wiedzieć, jak unikali jej inni niebiescy. Leciał na Istrę. Przedtem niebiescy próbowali inych światów, lecz to posłanie dotrze do celu. Ona tego dopilnuje. Gdzie indziej niebiescy uciekali przed nią i spotykały ich nieszczęścia: podróżowali i nigdy się nie budzili albo ginęli w zasadzkach. Ten jeden przeżył, na jedynej

planecie, na której miała możliwość, by go ochronić.

Ponieważ był to jedyny świat, gdzie nie znalazł się nikt z Rodziny, kto by ją powstrzymał i zabronił dostępu do kopców.

- Wojownik. Posłano cię na Istrę. Tak?

- Tak.

- Być może nasze cele są zbieżne. Powiedz.

Dlaczego tu przybyłeś? Jaką wiadomość przynosisz?

Majat milczał; może się zastanawiał. Pochodził z nowej generacji; osiemnaście lat było okresem jednego pokolenia dla jego rodzaju... wszędzie w Regionie żyła już nowa generacja niebieskiego kopca, wszędzie niebiescy ukrywali się w swych siedzibach, a zieloni przychodzili do laboratoriów Thonów i pracowali jak zawsze, wypełniając Pakt pod kierunkiem Thonów.

Do zeszłego roku.

- Dlaczego przybyłeś? - powtórzyła Raen.

Ostrożnie przesunął się do przodu, patrząc nie na nią, lecz gdzieś dalej. Obrócił głowę.

- Azi. Azi Meth-maren.

Chciał dotyku. Majat nazywali Grupowaniem tę potrzebę upewnienia się co do emocji innych.

Jim stał tam, gdzie mu kazała. Dziwnie wyglądał w czerwonym świetle.

- Mój azi - potwierdziła Raen czując przyspieszone uderzenia serca. -- Jim. Jim, podejdź do mnie. Powoli.

Mógł wpaść w panikę i rzucić się do ucieczki.

**Raen stała na drodze Wojownika i może, może
zdołałaby powstrzymać jego atak. Jim jednak
podszedł do niej. Zatrzymał się w pewnej
odległości, jakby nagle sparaliżowany.**

**Wojownik ruszył do przodu, zrobił trzy szybkie
kroki i pochylił się nad nim.**

**Jim zamknął oczy ze strachu. Raen wyciągnęła
rękę, złapała go za ramię i potrząsnęła mocno.**

- Dotknij - poleciła. - Musisz go dotknąć.

**A kiedy poruszył się nieodpowiednio,
wyciągając dłoń w stronę tułowia, chwyciła jego
rękę i wprowadziła ją pomiędzy szczęki, ku
oferowanym plamom zapachowym. Potężny
Wojownik pochylił się niżej, rozsunął szczęki i
dotknął pseudokleszczami warg Jima. Pobierał
smak, nie tylko zapach. Twarz Jima zalala się
potem. Wojownik smakował i to, ścierając
delikatną szczecinę pseudokleszczy wilgoć z
czoła azi.**

**- Ufaj mu - szepnęła Raen, wciąż ściskając jego
ramię. - Stój spokojnie, nie ruszaj się. Niebiescy
nie zrobią ci krzywdy od chwili, gdy ten
Wojownik zamelduje się na Istrze. Nie potrafi
rozpoznać twarzy, ale teraz zna smak. Może
nawet potrafi cię odróżnić od twoich
duplikatów. Sądzę, że potrafi.**

**Odstąpiła. Wojownik był wyraźnie
spokojniejszy. Raz jeszcze jej dotknął.**

**- Niebieski kopiec - odezwał się głębokim
barytonem. - Niebezpieczeństwo.**

- Niebezpieczeństwo czyha na niebieskich

wszędzie - Raen wsunęła dłoń pomiędzy szczęki

- świadome ryzyko, uspokajający gest. -

Przyjaciel kopca. Czy nosisz także smak czerwonych? Kethiuy? Zabijania?

Szczęki zwarły się, gdy tylko cofnęła rękę, wystarczająco silnie, by odciąć głowę człowiekowi lub majat.

- Zabijanie - powtórzył. - Czerwony kopiec, zabijanie, tak.

- Byłam tam, na Cerdinie, kiedy czerwoni zabijali niebieskich. Czy niebieski kopiec z Kalinda to pamięta? Posłańcy wyruszyli z Cerdina. Niektórzy musieli się przedostać. Musieli przeżyć.

- Nie jasno. Funkcja Trutni.

- Ale wiesz o Cerdinie?

- Cerdin - wciągnął powietrze i wypuścił je powoli. - Tak. Cerdin. Pierwszy kopiec. Ta-jednostka nie ma pełnego zrozumienia. Ta-jednostka ma zameldować. Niebieska królowa Istry przetłumaczy. Królowa zrozumie.

- Na pewno.

- Ta-jednostka nie zobaczy już Kalindu. Ta-jednostka została odcięta. Mam tylko przekazać wiadomość królowej Istry. Potem muszę się ubez-Myślić.

- Może królowa Istry cię przyjmie, Wojowniku, i zmieni instrukcje.

- Ta-jednostka ma nadzieję.

- Ta-jednostka także, Wojowniku.

Czulki delikatnie pieściły jej twarz. Bezplciowy

Wojownik nie pojmował niczego poza wypełnianiem obowiązku. Mimo to jednostki mająt mogły odczuwać coś na własną rękę, a Wojownicy bywali - minimalnie - egocentryczni.

Położyła dłoń na jego przednim odnózu.

- Co cię tu sprowadza? Jak brzmi wiadomość, Wojowniku? Odpowiedz. Wielka, opancerzona głowa odwróciła się lekko ruchem, który dla wzroku mająt wyrażał tak wiele niuansów.

- Ta-jednostka nie wie. Smakuję %emstę, królowo Kethiuy.

Informacja była więc złożona, ukryta w biochemii organizmu. Majat podał jej jedynie odczyt Wojownika, a, umysł Wojownika odbierał przesłanie jako zemstę. Raen poczuła dreszcze, wspomnienie dawnej przeszłości.

- Znałam cię wcześniej, Wojowniku.

- Pamięć Wojownika - potwierdził i dotknął jej, dotknął ich obojga. - Meth-maren. Tak. Nie wszyscy Kontrin są przyjaciółmi. Ufam ci. Ufam, królowo Kethiuy.

Wiadomość została przekazana osiemnaście, nie, dziewiętnaście lat temu. Wojownik był z nią.

Dotknęła go drżącą dłonią.

- Niedługo cumujemy, Wojowniku. Musisz się zabezpieczyć. Nie zaczepiaj ludzi beta. Nie są groźni, nie dla ciebie.

- Tak - zgodził się. Powstał i rozejrzał się, obracając głową tam i z powrotem. - Zgubiony - poskarżył się. - Ludzki kopiec. Zgubiony.

- Chodź - poleciała. Doprowadziła go do płyty zabezpieczającej, chwyciła prawą czułkę i dotknęła nią uchwytu awaryjnego. Majat pochwycił go, bezpieczny teraz jak człowiek przypięty pasami. - Musisz tu zostać, Wojowniku. Niech twoja skóra wyschnie. Dotarłeś daleko. Czekał i nie atakuj ludzi, jeśli ci nie zagrażają. Przyjdę po ciebie we właściwym czasie.

- Zgubiony. Ta-jednostka musi znaleźć niebieskich Istry.

Pogładziła wrażliwe boczne czułki rozumiejąc, jak złożone i trudne zadanie czekało Wojownika, bez słońca nad głową, zamkniętego w ciągu zimnych, metalicznych konstrukcji. Majat nie do końca pojmowali, że istnieją różne słońca, że nie wszystkie planety są jednym światem. Powierzali się wynajętym betom w nadziei, że trafią na właściwy statek, lecący we właściwym kierunku. Niebieskich posłańców czekały dodatkowe przeszkody, gdyż Kontrin niechętnie zezwalali na ich podróże i często spotykały ich wypadki.

- Poprowadzę cię - zapewniła. - Zostań. Czekał na mnie.

- Niebieski kopiec - syknął, schylając się pod pieszczotą. Trzasnęły szczęki. - Czekam. Tak.

- Moja-komora jest za dwunastymi drzwiami licząc od zakrętu w lewo.

- Ta-jednostka strzeże.

- Dobrze - zgodziła się, dotknęła czułków i

cofnęła się. Korytarz był chłodny, procesy w ciele mająt przebiegały wolno. Dlatego chętnie się zgodził, by zostać tu i odpocząć. Myślała, czy nie zabrać go do kabiny, ale tam byłby razem z Jimem, który stał oparty o ścianę, jakby w szoku. Raz jeszcze pogładziła Wojownika i odeszła zabierając Jima. Miała nadzieję, że mająt nic nie grozi; bety będą omijać ten korytarz, a gdyby ktoś na statku chciał go skrzywdzić, zrobiłby to w czasie snu, nie teraz. Ten posłaniec musi się przedostać.

C%y to najlepszy sposób? pytała Matka na Cerdinie. Wśród mająt nie było dzieci, tylko jajeczka i dorosłe osobniki. Matka spytała o radę człowieka, a odpowiedziało dziecko. Matka nie mogła tego wiedzieć.

Mądrze stanowił Pakt, że ludzie nie mają wstępu do kopców ani dostępu do królowych, do Trutni, do Umysłu. Raen nienawidziła tego, co właśnie zrobiła: wryła własny przekaz *w pamięć Wojownika w chwili, gdy nie mógł poradzić się królowej.

Jej przekaz dotrze do niebieskich Istry jako prawda, tak samo istotna jak rzeczywista wiadomość.

To był jej klucz do kopców.

iv

Jim wyszedł z łazienki bledszy niż przedtem. Zwymiotował śniadanie i zdecydował się na jeszcze jedną długą kąpiel. Teraz, owinięty w ręcznik, rzucił się na szerokie łoże i nie zdradzał

ochoty na najmniejszy choćby ruch.
Raen pochyliła się nad nim i dotknęła wilgotnego ramienia.

- Na pewno dobrze się czujesz? Nie zadrapał cię, prawda?

- Dobrze - odparł niewyraźnie. Uznała, że najlepsze, co może dla niego zrobić, to zostawić go teraz w spokoju. Wciąż był rozgrzany po kąpieli, więc narzuciła na niego skraj kołdry, wzruszyła ramionami i wróciła do własnych spraw.

Zacząła się pakować, układając wszystko równo w kilku walizach, podrapanych i powgniatanych od licznych podróży. Nie chciała się z nimi rozstawać, gdyż mieściły wygodnie wszystko to, z czego nie miała ochoty rezygnować, przenosząc się z planety na planetę. Większość rzeczy kupionych na statku zamierzała początkowo zostawić, lecz zmieniła zdanie i po prostu ciaśniej zapakowała bagaż. Na Istrze pewnie nie uda jej się znaleźć nic równie dobrego.

Na końcu dodała jeszcze piąty i szósty pakunek: aparat do hipnostudiów i bezcenne taśmy. Nie ufała obcym przyrządom, a taśmy... taśmy trzymała długo po tym, gdy już przestały być niezbędne dla zdobycia ogólnej wiedzy, niektóre dla przyjemności, inne z sentymentu, kilka dla sprawdzania pewnych informacji. Było jeszcze pół tuzina takich, których duplikaty nie miały prawa istnieć. Rada byłaby przerażona wiedząc,

że je posiada. Hal Illit dopuścił ją

do swego systemu bezpieczeństwa. Pojmował tylko własne zachcianki i własną próżność, nawet gdy umierał. Przeliczyła taśmy, upewniła się, że każda jest na swoim miejscu, że nic nie zginęło, nic się nie pomieszało.

Pewnie skorzystałaby z aparatu, by zająć się czymś przez pozostałą jeszcze godzinę, gdy nic już nie miała do zrobienia. To było najlepsze lekarstwo na oczekiwanie. Lecz J im był w kabinie i nie miała zamiaru powtarzać błędu Illita. Czytając hipnotaśmę człowiek stawał się zupełnie bezbronny. Nie mogła, nie chciała tego robić w obecności obcego, choćby tylko azi.

Znudzona spacerowała po pokoju, potem usiadła i uruchomiła ekran na jednym z kanałów rozrywkowych.

Betańskie dramaty, prymitywne i nudne... gorzej nawet, gdy ktoś znał wszystkie uwarunkowania psychiki, stosowane wobec ich hodowanych w laboratoriach przodków: pracuj dla sukcesu, odnoś sukcesy, byś nie musiał pracować, konsumuj, konsumuj, konsumuj. Konsumpcja jest świadectwem statusu.

Ekonomicznie przyniosło to pożądane efekty, gospodarka Regionu kwitła, ale dramaty stały się nieznośnie nużące. Przełączyła wizjer na operację cumowania uznając, że ciekawsza będzie obserwacja wirującej coraz bliżej stacji, gra światła i cieni na jej płaszczyznach.

Dosłyszała jakieś dźwięki z przyległego pokoju. Jim wstał. Nasłuchiwała, czy znów nie pójdzie do łazienki. Nie poszedł, uznała więc, że czuje się dobrze. Z sypialni dobiegały jego kroki, szelest plastikowych opakowań, wreszcie trzask zamykanej walizki. Wyjrzała zza oparcia fotela i dostrzegła go, ubranego w dość konserwatywny garnitur, jak stawiał swój bagaż przy jej torbach.

Rzeczywiście, mógłby być beta, czy nawet Kontrin. Był wystarczająco wysoki. Włosy miał jednak odrobinę za jasne; no i ten tatuaż pod okiem.

- Świetnie wyglądasz, Jim. Zakłopotany, spuścił głowę.

- Dzięki, sera.

- Zostaw te formalności, kiedy jesteśmy sami - obróciła fotel i przyjrzała mu się uważnie. -

Rozumiem, że czujesz się lepiej. Przytaknął.

- Przepraszam - szepnął niemal niedosłyszalnie.

- Nie wpadłeś w panikę, nie uciekłeś. Usiadł.

Przysiadł na ławie pod ścianą, wciąż jeszcze trochę blady.

- Meth-marenowie - zaczęła - nie są wśród Kontrin zbyt popularni. Wcześniej czy później ktoś spróbuje zamachu na mnie - wyciągnęła prawą dłoń grzbietem do góry. - Chityna, którą widzisz, należy do niebieskiego kopca. Niebieski kopiec i Meth-marenów spotkało dwadzieścia lat temu wspólne nieszczęście. Wojownik i ja mamy więc z sobą coś wspólnego. Jeszcze coś muszę ci

powiedzieć. Kiedyś zatrudniałam kilku azi. W jakiś sposób brama pozostała nie zamknięta na noc i czerwoni mająt dostali się do wnętrza. Ja spałam lekko. Azi nie. Ich pokój nie był przyjemnym widokiem, mogę cię zapewnić. Ale azi, który by tamtej nocy wyszedł ze mną do hallu, mógłby mi się naprawdę przydać.

- Na statku... - zawsze mówił przyciszonym głosem, teraz nawet bardziej niż zwykle. -

Mamy procedury bezpieczeństwa. Znam je.

- Uczyli cię samoobrony? Pokręcił głową.

- Powiedzieli po prostu o zamkach, dostępach i procedurze pożarowej? Przytaknął.

- To lepsze niż nic. Posłuchaj: musisz pilnować mojej własności, rzeczy, których używam i miejsc, do których wracam, daleko uważniej niż mnie samej. Ja potrafię się obronić, a moi przeciwnicy nie zechcą posuwać się do bezpośredniego ataku, gdy istnieją prostsze sposoby. Nie, raczej spróbują dotrzeć do moich rzeczy albo znaleźć nie zamknięte drzwi.

Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak, sera.

- Cumujemy za mniej więcej godzinę. Mógłbyś pomóc i sprowadzić tu wózek na bagaż. Nie sądzę, by przejście było bezpieczne dla azi, kiedy czuwa tam Wojownik. Tobie nie robi krzywdy, jeśli pozwolisz mu się dotknąć i rozpoznać.

Będiesz tak bezpieczny jak ja sama. Czy potrafisz to zrobić?

Kiwnął głową.

- Jim, możemy być razem przez bardzo długi czas. Wstał.

- Dziewiętnaście lat - oznajmił. A kiedy zdziwiona zmarszczyła brwi, dodał z niepewnym uśmiechem: - Mam dwadzieścia jeden.

Humor azi. Dożyję czterdziestki. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakie od dawna budziły w niej tylko wspomnienia o niebieskich. Wspomniała Lię, łagodną azi swego dzieciństwa. Martwe twarze znów przepłynęły przed oczami, rzeź i płomienie... Stłumiła te myśli.

- Cenię lojalność - powiedziała, odwracając się do ekranu.

Nie było go dość długo. Zaczęła krążyć po pokoju, zdała sobie z tego sprawę i zatrzymała się. Pomyślała, czy nie pójść po niego, lecz nie chciała pokazywać betom swego zdenerwowania.

W końcu zamigotała niebieska lampka i Raen pospiesznie otworzyła drzwi. Odsunęła się, by przepuścić Jima i wózek.

- Jakież kłopoty? - spytała.

Jim z zadowoleniem pokręcił głową i natychmiast zaczął ustawiać walizki. Kiedy skończył, usiadł. Nie było nic więcej do zrobienia. Raen obserwowała procedurę cumowania. Widać już było ich dok; stacja rozciągała się poza ekran - zdumiewająca struktura, tak wielka, jak o tym słyszała.

I statki, statki o niezwykłych konstrukcjach, zacumowane w dokach - frachtowce o

dziwacznych, dyktowanych potrzebami kształtach. Nigdy nie lądowały, musiały tylko łączyć się z przewodami stacji. Jedynym standardowym mechanizmem był w nich układ dokowania. Miały te same rozmiary w najmniejszym jachcie i największym nawet liniowcu.

Jakiś statek właśnie odbijał, gdy się zbliżali. Stary frachtowiec. Znaki na kadłubie nie przypominały żadnego ze znanych Raen symboli czy emblema-

tów. Dopiero po chwili rozpoznała okrągły znak Soi. Poczuli dreszcz podniecenia.

Statek z Zewnątrz. Gość spoza Regionu. Płynął jak senny obraz, minął ich i zniknął w cieniu Klejnotu.

- Z Zewnątrz -- powiedziała głośno. - Jim, popatrz. Popatrz, - ten w trzecim doku ma identyczną konstrukcję.

Jim milczał, lecz z uwagą wpatrywał się w obraz. Na jego twarzy pojawił się wyraz podziwu.

- Krawędź - stwierdziła Raen. - Dotarliśmy do Krawędzi.

Merek Eln czuł, że drżą mu palce. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Parn Kest.

- Lepiej zadzwoń - powiedział. - Jest dość czasu.

- Ale wmieszał się majat - zaprotestowała. -

Majat! Jak długo ten stwór mógł być na pokładzie?

- Jest z nią. Na pewno - obejrzał się na drzwi i zadrżał mocniej na myśl o mająt chodzącym swobodnie po korytarzach, rozkojarzonym jeszcze po długiej hibernacji. Kontrin przynajmniej uspokoiła to stworzenie. Potwierdził to kanał alarmowy, którym przekazano podziękowania, choć trudno powiedzieć, czy Kontrin zależało na czyjejkolwiek wdzięczności. Mogły jednak ich czekać o wiele gorsze rzeczy. Wracali z daleka, od pół roku nie wiedzieli, jak rozwija się sytuacja na Istrze, ostatnia wiadomość do nich została wysłana jeszcze dawniej.

Nagle podszedł do konsoli.

- Merek - Parn wstała i chwyciła go za ramię. Krople potu pojawiły się na jej twarzy, na jego także. Opuściła rękę. Nie powiedziała nic więcej. Nie byli już bezpieczni. Nawet powrót do domu nie dawał gwarancji bezpieczeństwa.

Merek usiadł przy klawiaturze i uruchomił kanał komunikacyjny. Linie bez chwili przerwy zajmowały instrukcje cumowania. Musiał wysłać wiadomość priorytetową, za znacznie wyższą cenę.

Ośrodek łączności zażądał informacji o stanie finansów. Zwykły kredyt im nie wystarczał.

Przyjęli serię liczb i kodów, by przesłać je poprzez bank planetarny, a następnie numer adresata, przedstawiciela kompanii ITAK na stacji.

NADAWANIE, błysnął ekran.

**Merek wystukał wiadomość: ZAWIADOMIĆ
ZARZĄD. POWRÓT MISJI Z MERONA.
PILNE DO PRZEDSTAWICIELA ITAK NA
STACJI. PROSZĘ CZEKAĆ NA NAS PRZY
WYJŚCIU. OCHRONA KONIECZNA. Z
GŁĘBOKIM NIEPOKOJEM OCZEKUJEMY
ODPOWIEDZI.**

Nastąpiła długa z konieczności przerwa.

**- Nie powinienes wspominać o Meronie -
stwierdziła Parn. - Nie powinienes. Nie
otwartym kanałem.**

-!- Sama chcesz to zrobić?

- Ja bym nie dzwoniła.

**- Wtedy nikt by na nas nie czekał, oprócz...
oprócz może jakiegoś urzędnika z biura. A na
stacji wiele mogło się zmienić. Chcę mieć
osobistą obstawę.**

**Otarł czoło, powtarzając w pamięci szyfry.
GŁĘBOKI czyli kłopoty, NIEPOKÓJ w
ostatnim zdaniu oznaczał majat. Nie ośmielił się
wspomnieć o Kontrin. Nigdy nie wiadomo, gdzie
kryją się ich agenci.**

**PRZEDSTAWICIEL ITAK BĘDZIE CZEKAŁ
PRZY BRAMIE, poją wiła się odpowiedź.
ROZUMIEMY GŁĘBOKI NIEPOKÓJ.
WYRAZY WSPÓŁCZUCIA.**

**Prawidłowy kod, elegancko przekazany. Merek
przygryzł wargę i potwierdził odbiór
wiadomości.**

**ITAK dbał o swoich ludzi, jeśli tylko miał czas
na wykonanie ruchu. Jeśli Kontrin lub ktoś inny**

także wysłał depesze, najlepszym wyjściem było zrzucić maskę i poprosić o pomoc.

Parn wzięła go za rękę i objęła ramieniem. Nie był pewien, czy postąpił słusznie. Parn się z nim nie zgadzała. Lecz jeśli wiadomości wyprzedziły ich, jeśli statek zrobił coś nawet tak niewinnego, jak przekazanie do portu listy pasażerów, trzeba było się upewnić, że między witaj, y mi Klejnot człowiek ITAK będzie najważniejszy.

vi

- Wojownik - zawołała cicho Raen. Poruszył się i wypuścił uchwyt awaryjny.

- Wojownik, już przycumowaliśmy. To ja, Raen Meth-maren - podeszła bliżej i dotknęła go, a on także musiał jej dotknąć i szybkim gestem sprawdzić Jima. Ceremoniał Grupowania został dopełniony.

- Tak - ^odezwał się.

- Jim - Raen wskazała najbliższą windę. Jim wprowadził do niej wózek i stanął przy ścianie. Za nim wszedł majat z Raen.

Drzwi zasunęły się i winda ruszyła. Powietrze szybko stało się ciężkie - kabina była hermetyczna, a wielki majat szybko zużywał tlen. Pachniał czymś suchym i dziwnym, jakby starym papierem. Chityna, chociaż jeszcze lśniła, była już sucha. Tam, gdzie Wojownik zrzucił swój dawny pancerz, załoga statku znajdzie skarb. Naturalnie, żadnych klejnotów Trutni, lecz mimo wszystko cenny materiał zdobniczy. W ten sposób kopiec wypłacił premię

za przewóz. Wojownik przyglądał się parze ludzi, lekko zaniepokojony zmianami kierunku ruchu windy; wielka głowa pochylała się niepewnie, złożone oczy lśniły pod lampą, zmienne pasrna barw migotały w cennym pancerzu.

Był piękny. Raen gładziła jego czułki, starając się go uspokoić. Zaśpiewał dla niej cicho pieśń Wojowników.

- Słyszysz? - zwróciła się do Jima. -. Kopce pełne są takiego dźwięku. Ludzie rzadko mają okazję go słyszeć.

Winda znowu zmieniła kierunek i zatrzymała się z sykiem. Otworzyły się drzwi. Dyżurujący azi odskoczyli, zostawiając im aż nadto miejsca. Minęli luk i stanęli w chłodnej, obcej atmosferze stacji Istry, wśród ciemnych przestrzeni i jaskrawych świateł. Załoga czekała, by się z nimi pożegnać. Ten zwyczaj się nie zmieniał, tak samo żegnali z pewnością każdego pasażera tego długiego rejsu. W ich spojrzeniach, w uśmiechach, Raen dostrzegła jednak wyraz oczekiwania. Klejnot Andry mógł już wracać do domu, do bezpiecznej i przyjaznej przestrzeni, do zwyczajnych pasażerów. Jego kabiny f
znów zajmą normalne bety, które nigdy nie myślały o zobaczeniu z bliska Kontrin czy majat.

Raen podała rękę każdemu z nich. Roześmiała się. Palce mieli wilgotne i zimne; jak mogli unikali dotyku chityny na jej dłoni.

- Bezpiecznej podróży - życzyła im wszystkim.
- Bezpiecznej podróży - powtórzył Wojownik nie znający pojęcia humoru.

Nikt nie próbował im pomóc w zejściu z rampy. Jim dał sobie radę z bagażem, całym ciałem ^upierając na wózek, który sobie dyskretnie przywłaszczyli. Weszli na ruchomy chodnik i pojechali w dół.

Na końcu rampy stała para Istran, już za barierką bezpieczeństwa, a z nimi grupka urzędników i trójka innych, być może azi, ale nie domowych. Strażnicy. Raen wsunęła dłoń pod płaszcz, opierając palce na kolbie miotacza. Wyliczała, którego z nich powinna usunąć najpierw, jeśli będzie zmuszona. Zwyczajny odruch.

Ruchomy chodnik dostarczył ich na sam dół. Stanęli na wielkiej, do końca wykorzystanej płaszczyźnie. Nie było tu nic ze lśniącego chromu Merona czy żywych roślin Kalinda, nic z kosmopolitycznego przepychu stacji Cerdina. Tutaj nie marnowano pieniędzy na pokaz, na kosztowne, chronione okna. Widać było tylko ciemne maszyny, automaty, nagie złącza i kable, punkty serwisowe, odkryte i zawsze w zasięgu ręki. To była stacja handlowa, zbudowana nie dla przyjemności turystów, ale dla przyjmowania i wysyłania frachtu. Taśmociągi krzyżowały się nad głowami, 1 luki transportowe i ciemne korytarze prowadziły do wąskich komór, tu i tam pracowali azi, posępni, szaro

ubrani, skupieni na swych obowiązkach. Raen odetchnęła głęboko atmosferą tego miejsca i spojrzała w lewo, na trzeci dok, w nadziei na egzotyczny widok statku z Zewnątrz. Lecz doki wyglądały jednakowo, olbrzymie rampy, ludzie wydający się przy nich karłami, miejsca okryte płataniną lin i przesłonięte maszynami. Przeszło kilka postaci, ale zbyt daleko, by je rozpoznać, choć możliwości były kuszące. Raen jednak nie miała czasu.

- Zgubiony - poskarżył się Wojownik, dotykając jej nerwowo. Powietrze było chłodne, prawie tak chłodne, by oddech zmieniał się w parę. Majat był tu niemal ślepy i można było przewidzieć, że bardzo szybko stanie się ospały.

Istranie podeszli bliżej, niepokojąc go jeszcze bardziej. Raen pogładziła go lewą dłonią i spojrzała ostro na Mereka Elna.

- Lepiej będzie zachować dystans - rzekła.

Ser Merak Eln zatrzymał się, a wraz z nim pozostali. Spojrzał na majat i przełknął ślinę.

- To moja grupa - wyjaśnił. - Mamy wynajęty prom. Czy zechcesz przyłączyć się do nas, Kont'Raen? Ja... ja nadal chciałbym porozmawiać.

Raen poczuła zdumienie. Ten ludzik, beta, przychodził do niej i proponował przysługę. Miał przy tym dość odwagi, by zbliżyć się do majat.

- Z moimi towarzyszami będzie tam dość ciasno, ser.

- Jeśli się zgodzisz, mamy dość miejsca.
- Beta - odezwał się Wojownik. - Człowiek beta - jednym krokiem przebył dzielącą ich odległość. Chciał dotknąć dziwnej istoty, która składała mu propozycje. Raen powstrzymała go natychmiast, chwytając delikatny czułek słuchowy. Majał drgnął lekko, lecz bez protestu zniósł obrazę.

Merek Eln nie rzucił się do ucieczki, choć była to zapewne jedna z naj-straszniejszych chwil jego życia. Raen poczuła, że jej szacunek dla tego bety wyraźnie wzrasta.

- Ser - zaczęła. - Nasza obecność tutaj musi być niezwykle ważna dla ciebie osobiście.

- Proszę - powiedział cicho. - Proszę. Zaraz. Stacja nie jest na tyle bezpieczna, by stać zbyt długo na otwartej przestrzeni. ITAK może zapewnić ci osłonę. Porozmawiamy po drodze. To ważne.

Wszystkie jej instynkty buntowały się przeciw przyjęciu propozycji. To było ryzykowne, bezsensownie ryzykowne, by mieszać się w sprawy lokalne, nie poznawszy ich przedtem dokładnie.

Kiwnęła jednak głową i poszła za nimi. Jim podążył za nią. Wojownik kroczył obok, powolny niby ruchoma rzeźba. Starał się iść tym samym tempem co ludzie.

Ich trasa biegła wzdłuż doków, coraz bliżej miejsca cumowania statku z Zewnątrz.

Raen starała się nie patrzeć zbyt otwarcie w

tamtą stronę. Rozpraszało ją to, odrywało od obserwacji terenu. Ale tam byli ludzie z Zewnątrz; wiedziała, że to oni, poznała to po ich niezwykłych strojach i tym, że kręcili się wokół tego doku.

- G7y można ich spotkać na powierzchni? - spytała. - Przylatują czasem?

- Mają stałą misję handlową.

Ucieszyła się. Nie mogła się dłużej powstrzymać, stanęła i spojrzała na grupę ludzi stojących niedaleko, przy doku. Zastanawiała się, czy są prawdziwymi ludźmi. Ubrani niezbyt wyszukanie, wykonywali pracę odpowiednią dla azi. Przerwali ją teraz i z zaciekawieniem patrzeli w ich stronę... raczej na mająt niż na nią.

Z Zewnątrz. Z szerokiego, swobodnego Zewnątrz, gdzie ludzie wciąż yli tacy, jak dawno temu Kontrin. Jak dotąd oglądali jedynie cienie Kontrin. lekawe, czy wiedzą... czy wiedzą, czym są bety, czy choć trochę rozumieją, im naprawdę są Kontrin albo kim jest ona sama.

- Sera - ponaglił ją Eln. - Proszę. Szybciej.

Odwróciła się od obcych, odruchowo badając jeszcze ich otoczenie, szuka-[c pułapki.

Wojownik dotknął jej niespokojnie. Podążyli za Eln-Kestami iepewni, czy właśnie uniknęli zasadzki, czy może szli między zabójcami.

KSIĘGA PIĄTA

- Stara coś kombinuje - stwierdził Tand. - A to mi się nie podoba.

Starszy Haldów wybrał się z bratankiem na spacer. Zatrzymał się na moment, by zerwać martwą gałązkę kwiatu nocy. Liście cofnęły się przed dotykiem, zwinęły na chwilę, potem uspokoiły.

- Raporty o kopcach. Całe stosy. Statystyka. Może knuje coś przeciw Thonom. Nie wiem. Nie potrafię określić.

Starszy spojrzął na Tanda. Jego serce biło z wysiłkiem, zawsze świadome ryzyka. Tand pozostawał poza kręgami ruchu mającymi dostęp do informacji. Ó wielu sprawach nie miał pojęcia. Tak musiało być. Ze względu na pozycję Tanda lepiej, żeby nie wiedział. Znalazł się zbyt blisko tej starej kobiety. Gdyby spadł cios, wszystkie posiadane przez niego wiadomości w przeciągu kilku godzin znalazłyby się u Moth.

- Co za statystyka? Dotycząca azi?

- Między innymi. Ciągłe prosi o dodatkowe dane na temat Istry. Jest... rozbawiona postępowaniem Meth-maren. Tak się przynajmniej wydaje. Ale kiedy komitet już wyszedł, mruzczała do siebie coś na temat Meth-

maren, która służy jej interesom, świadomie lub nie, tego nie wiem. Spytałem jej wprost, czy Meth-maren jest jej agentką. Zaprzeczyła i to był koniec rozmowy.

Hałd odrzucił suche płatki. Serce nie mogło się uspokoić.

- Meth-maren staje się coraz bardziej irytująca.

-- Może jeszcze jeden zamach... byłby rozsądnym posunięciem.

Hałd zerwał liść. Pozostałe zwinęły się ciasno i pozostały zwinęte, dwukrotnie podrażnione.

Zaczął odrywać miękkie części ze szkieletu żyłek. W powietrzu rozszedł się ostry zapach.

- Tand, wracaj do Dawnego Hallu. Nie powinieneś tu dzisiaj zostawać.

- Zaraz?

- Zaraz.

Jedną z zalet Tanda była jego zdolność adaptacji. Hałd zerwał kolejny liść. Wierzył, że Tand nie zawaha się ani na chwilę, że prosto z ogrodu uda się do głównej bramy Miasta.

Słyszał oddalające się kroki, trzaśnięcie drzwi.

Jego wyprawa pozostanie tajemnicą. Zwykła wycieczka do Miasta, potem z powrotem na Alfę i do Dawnego Hallu. Byli tacy, którzy chętnie skłamią dla niego.

Hałd wytarł dłoń i ruszył inną ścieżką, ku dalszym pomieszczeniom rezydencji Ehh/illon, do wschodniego skrzydła, gdzie miał dostęp do innych źródeł informacji.

Wzorzec zaczynał się kształtować.

Na Istrze... sprawy od dawna były zabezpieczone przed inspekcją Rady. Komunikaty przesyłano przez Meron i dokładnie cenzurowano, zanim przekazano dalej.

Hałd minął kamienne korytarze i dotarł do chronionej strefy domowego komputera. Uruchomił go i przesłał wiadomość złożoną z samych banałów. Nie otrzymał potwierdzenia odbioru.

Jednak po trzech godzinach, choć było już za późno na wizyty, na terenie Hałdo wylądował helikopter, budząc drobne fale na ozdobnej sadzawce.

Hałd wyszedł na spotkanie przybysza. Szli ramię w ramię. Zatrzymali się przy sadzawce. Hałd nakarmił sennego, starego węża błotnego, który w niej mieszkał. Wszystkożerne zwierzę łykało kawałki chleba, otwierając i zamykając szczęki o podwójnych stawach.

- Jest prawie tak stary jak dom - rzucił Hałd. Arl Ren-barant stał nieruchomo z ramionami złożonymi na piersi. Hałd wyprostował się, a wąż błotny trzasnął szczękami, zsunął się z brzegu i niemal bezgłośnie opadł w czarne wody.

- Pewne stare sprawy - zaczął Hałd - znowu wyszły na jaw. Zaczynam przypuszczać, że nigdy nie przestały być aktualne. Byliśmy zbyt nieuważni, pozwalając Najstarszej decydować. Coraz mniej jestem przekonany, że chodziło tylko o kaprys.

- Meth-maren? - Ren-barant zmarszczył brwi, po czym pokręcił głową. - Niełatwo będzie załatwić to teraz. Ona działa na chybił trafił. Nic konkretnego. Nie wiem, czy warto ryzykować. Hałd spojrział na niego ostro.

- Na chybił trafił? A co się zdarzyło na Meronie?

- Osobiste rozgrywki, zapomniane po pierwszym zamachu. Gen i Hal spowodowali kłótnię z Illitami. Nieszczęśliwy przypadek.

- I na Kalindzie.

- Sprawa kopców, ale ona nie była w nią zamieszana. Niebiescy znów się uspokoili. Czerwoni też wyglądają na zadowolonych.

- Zgadza się. Meth-maren odleciała. Zniszczenia na Meronie, Kalind ucierpiał. Uwaga zainteresowanych kieruje się tam, gdzie nam to nie odpowiada. Talent dawnych władców kopców... Arl, mamy przeciwnika. I to bardzo groźnego.

- Przecież nie robiła tajemnicy ze swojego lotu na Istrę. Po co by robiła tyle hałasu, gdyby nie była szalona, jak przypuszczaliśmy? Prywatny statek mógł dotrzeć do celu jednym skokiem. Miałaby wtedy dość czasu...

- Cała Rada się dowiedziała, prawda? Wszystko było na tyle niezwykle, że zwróciło ich uwagę... zwróciło tam, gdzie żadna uwaga nie jest nam potrzebna.

Ren-barant zastanowił się.

- Myślisz, że jest normalna i planuje na zimno?

- Nie gorzej niż ty i ja. I Moth. Dostałem

informacje, Arl. Kiedy liniowiec opuszczał Kalind, na pokładzie był majat. Nie wiemy jeszcze, jak daleko leciał, czy z nią aż do końca, czy może wysiadł gdzieś wcześniej.

- Niebieski posłaniec?

- Jeszcze nie wiemy. Można założyć, że niebieski albo zielony. Ren-barant zaklął.

- Thonowie mieli zablokować komunikację.

- Majat zapłacił za podróż. Bety nie potrafią ich rozróżnić. Meth-maren weszła na pokład w ostatniej chwili... specjalny prom, dużo hałasu.

Dowiedzieliśmy się o niej bardzo szybko.

Demostracyjnie korzystała z kredytu, znaleźliśmy jej płatności, przynajmniej wobec jednego z wierzycieli, którym były Andra Lines poprzez jednego ze swoich podagentów. Ale majat płacił klejnotami, bez czeków, zaokrętowano go w stanie uśpienia, nie budząc podejrzeń...

niewątpliwie ktoś dostał za to pieniądze.

Gotówka. Bez angażowania banku. Żadnych śladów. Wciąż nie jesteśmy pewni, ile naprawdę zapłacili. Pewnie spora część tego poszła na łapówkę. Ale Meth -maren była na miejscu,

rozzutnie i otwarcie korzystała z kredytu. O majat dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, kiedy

zaczęliśmy wypytywać wysiadających

pasażerów. Bety niechętnie powtarzają tego

typu plotki. Ale cała ta operacja, fakt, że kopiec potrafi ominąć nasz nadzór tak dokładnie, przez tak długi czas...

- Thonowie nic nie robią. Może warto by się

zastanowić nad tym, czy naprawdę nam pomagają.

- Ona jest Meth-marenem. Władcy kopców Thonów nie mają żadnych wpływów wśród niebieskich. Rada mogła przyznać Thonom to stanowisko, ale nie może sprawić, by sobie radzili. Każdy potrafi rozmawiać z czerwonymi. Problem w tym, czy Thonowie zdołają kontrolować niebieskich. Moim zdaniem przerasta to ich poziom kompetencji, choćby twierdzili coś wręcz przeciwnego. Meth-maren była eskortą majat. Przechytrzyła Thonów i sprawiła, że Rada zacznie się przyglądać Istrze. Stara kolekcjonuje raporty statystyczne, ostatnio zaczęła się nimi interesować. Istnieje możliwość, że interesuje się nimi dłużej, niż przypuszczamy.

Ren-barant syknął cicho przez zęby.

- I jeszcze coś - dodał Hałd. - Stara mówiła o tym, że Meth-maren jest użyteczna. Użyteczna. I jeszcze jej nagle zainteresowanie statystyką. Statystyką Istri. Nadchodzi rachunek za Pedrę. Lepiej bądźmy gotowi, zanim stara zaatakuje nas publicznie. Istra to czuły punkt.

- Może ktoś powinien się tam wybrać?

- Zacząłem działać dwa dni temu - stwierdził Hałd. A kiedy Ren-barant spojrział na niego ze zdziwieniem, dodał: - Ta sprawa wkrótce będzie załatwiona. Nie mówię o Meth-maren.

- Tak - odparł po chwili Ren-barant. - Rozumiem.

-- Tand jest blisko niej. I zostaje. Organizacja musi się wzmocnić, w jednej chwili być gotowa do działania. Znasz program. Znasz kontakty. Tobie powierzam całą sprawę. Ja nie mogę. Posunąłem się najdalej jak można.

Ren-barant posępnie kiwnął głową. Rozeszli się w przeciwnie strony, lecz gość raz jeszcze zatrzymał się i obejrzał.

- Moth może użyć Meth-maren na wiele sposobów. Na przykład, by skierować nieprzyjaciół na fałszywy trop.

Roś Hałd przyglądał mu się przez chwilę, wreszcie skinął głową. Moth już dawno wykazała, że jest zdolna do takich intryg.

- Liczyliśmy na to, że czas rozwiąże nasze problemy. To bardzo poważny błąd. Trzeba będzie zająć się nimi obiema... równocześnie.

Wąż błotny raz jeszcze wypłynął na powierzchnię. Hałd rzucił mu ostatni kęs. Wąż pochwycił go i czekał na więcej. Bez skutku.

Wśliznął się pod powierzchnię wody i odpłynął.

Istrański prom okazał się reliktem z dawnych lat. Stacja oferowała dość skromne wygody, lecz w niewielkiej przestrzeni pojazdu, który miał zabrać ich na powierzchnię, było ich jeszcze mniej. Tylko tapicerka lśniła nowością - dowód, symbolicznej raczej, próby renowacji. Raen z ciekawością obejrzała systemy promu i zajrzała do kabiny, w której dwóch pilotów dyskutowało nad wykresami.

Istranie zajęli miejsca, cała dziewiątka: Merek

Eln i Parn Kest, kilku mężczyzn o wyglądzie urzędników i strażnicy azi. Wojownik wcisnął się w tył przejścia między fotelami. Tylko tam mógł się zmieścić, nie niepokojąc równocześnie pasażerów beta. Obie pary kleszczy zatrzasnęła na wspornikach tylnych siedzeń i znieruchomiała niby posąg cierpliwości.

Jim wszedł na rampę, po czym z pewnym zakłopotaniem umieścił cały wózek w magazynku, za skromnym bagażem Eln-Kestów. Z wysiłkiem zamknął drzwi. Raen pozwoliła mu pierwszemu zająć miejsce obok zamkniętego wizjera, potem sama usiadła naprzeciw Mereka Elna. Zapięła pasy. Serce biło jej szybko, gdy myślała o towarzystwie, w jakim się znalazła i eksponacie muzealnym, który miał za chwilę runąć ku atmosferze.

- To zadziwiające - odezwała się do Jima. Meron, ze wszystkimi dekadencjami, ryzykownymi zabawami nigdy nie dysponował niczym podobnym do istrańskiego promu.

Jim nie był tak podniecony nowym doświadczeniem, ale jego oczy błyszczały zaciekawieniem... nie lękiem, lecz gorączkową uwagą, jak gdyby chciał zaabsorbować wszystkie szczegóły na raz. Ręce mu drżały tak, że miał problemy z zatrzaśnięciem klamry pasa. Kopilot przerwał kłótnię z pilotem na tyle tylko, by sprawdzić szczelność luku, po czym wrócił do kabiny. Po chwili zaczepy odskoczyły. Nastąpiła nieprzyjemna reorientacja i zmiana kierunków

po włączeniu silników. Dok stacji oddalał się powoli. Hałas w kabinie był ogłuszający.

- Kontrin - krzyknął Merek Eln pochylając się w fotelu.

- Wyjaśnienia? - spytała Raen.

- Jesteśmy wdzięczni...

- Nieważne. Proszę mówić.

Merek Eln głośno przełknął ślinę. W kabinie zapanowała całkowita nieważkość i cisza, jeśli nie liczyć wentylatorów zapewniających cyrkulację powietrza. Półksiężyc Istry całkowicie wypełnił przedni ekran. Na tylnym wolno malowała konstrukcja stacji. Raen uznała, że opadają na nocną stronę planety.

- Cieszymy się, że postanowiłaś lecieć z nami - rzekł Eln. - Niepokoił się o twoje bezpieczeństwo na stacji i na planecie. Mieliśmy pewne trudności. Może o nich słyszałaś.

Raen wzruszyła ramionami. Dochodziły do niej pogłoski o niepokojach tu czy tam, o kryzysach... i o sprawach jeszcze bardziej poważnych. Chętnie poznałaby więcej szczegółów.

- Być może - zasugerował Eln - z tych właśnie powodów tu przybyłaś. Wskazała wzrokiem nieruchomą postać Wojownika.

- Jego możesz zapytać o powody, ser. Przez chwilę Merek milczał.

- Kontrin - wtrąciła sera Kest, wychylając się z fotela za mężem. - Jakikolwiek były przyczyny twego przybycia, musisz rozumieć, że wiele

ryzykujesz. Stacja jest zbyt wielka, zbyt trudna do obserwacji. W Nowej Nadziei, na Istrze, możemy przynajmniej zagwarantować ci bezpieczeństwo.

- Sera, czyżbyśmy zostali porwani? Wszyscy wokół zamarli nagle.

- Kontrin - powiedział Eln. - Z pewnością żartujesz. Chcielibyśmy cię przekonać, że istniejące tu zagrożenie należy traktować poważnie.

- Ser, sera, dopóki upieracie się, by mówić tylko o niektórych aspektach sytuacji, nie widzę powodu, by traktować tę rozmowę poważnie. Byliście na Meronie. Wracacie do domu. Wasze wewnętrzne problemy są najwyraźniej poważne, lecz wasze zachowanie wskazuje, że wolelibyście, by mnie tu nie było.

Cisza zaległa na dłużej.

- Były rozruchy - odezwał się ktoś z tyłu. - Stacja jest szczególnie podatna na sabotaż i podobne akty. Boimy się ich. Wysyłaliśmy prośby o pomoc. Na żadną nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

- Rodzina zignorowała je. To chciałeś powiedzieć, ser?

- Tak.

- To zadziwiające, seri. A jak podejrzewacie, kto kryje się za waszymi problemami?

Nikt jej nie odpowiedział.

- Czy zgadnę, jeśli powiem, że podejrzewacie Rodzinę o to, że jest źródłem waszych kłopotów? Na twarzach bet pojawiły się krople potu. Nikt

się nie odezwał.

- Czy może kopce?

Nikt nie drgnął, nikt nawet nie mrugnął okiem.

- Podejmowanie jakichkolwiek działań przeciwko mnie byłoby nierozsądne, seri.

Rodzina nie jest monolitem. Wręcz przeciwnie.

Możecie być spokojni: nic nie wiem. Możecie próbować mnie oszukać. Po co polecieście na Meron?

- Mamy tam zaległe pożyczki u MIMAK.

Liczyliśmy na jakąś materialną pomoc...

- Mieliliśmy nadzieję - przerwała szorstko Parn

Kest - na znalezienie kontaktów z

wewnętrznymi światami... żeby się przebić przez tę ścianę mil-

czenia. Potrzebujemy ulg podatkowych i handlowych. Mieliliśmy nadzieję na jakąś krótkoterminową umowę z MIMAK, na pomoc.

Ziarno. Ziarno i żywność. Kontrin, dotujemy farmy i posiadłości, które w żaden sposób nie mogą przynosić zysku. Znaleziliśmy się w

kryzysowej sytuacji. Otrzymaliśmy zgodę na wzrost populacji, naszej i azi, do podwójnej wielkości. Czekaliśmy na decyzje, które

rozwiążą tę sprawę. Ale panuje kryzys, a nas nikt nie słucha. Majat przejmują część nadwyżki. Tylko ten rynek ratuje nas od

ekonomicznego załamania. Ale żywność...

żywność dla wszystkich mieszkańców Istri...

zbliża się dzień, gdy nie będziemy w stanie

nakarmić kopców. Kont' Raen, żyjemy z

rolnictwa i azi. Nowa Nadzieja, Nowy Port i stacja... i mająt także, otrzymują żywność z farm. Lecz żywność potrzebna jest dla azi, którzy na tych farmach pracują. Jest ich dość, by cztery razy zaspokoić pełne zapotrzebowanie. Wybuchła panika. Posiadłości zmieniły się w obozy warowne.

- Kiedy przybyliśmy - podjął słabym głosem Merek Eln - powiedziano nam, że ITAK byłby w stanie skonfiskować azi z mniejszych farm. Nie ma jednak sposobu, by siłą zabrać ich z większych. Nie możemy zgodnie z prawem pozbyć się ich kontraktów, ani przez sprzedaż, ani przez uśmiercanie. Musimy mieć...

-...licencję Kontrin na transfer lub zmianę ilości - dokończyła Raen. - Albo na uśmiercenie bez powodów medycznych. Znam dość dokładnie naszą politykę, ser Eln. Zatem nie możecie eksportować i nie możecie uśmiercać.

- Ani żywić ich w nieskończoność, Kontrin. Ani żywić. Ekonomia farm domaga się pewnej ilości azi w zależności od powierzchni gruntu. Ktoś... popełnił błąd.

Wargi Elna drżały, gdy to mówił. Jak na betę odważył się na wiele.

- A akty przemocy na stacji?

- Nic takiego jeszcze się nie zdarzyło - wtrącił jeden z urzędników.

- Ale boicie się, że nastąpi. Dlaczego?

- Winą za sytuację na farmach obarcza się

**korporacje. Właścicielom trudno uwierzyć, by
zawinił ktoś inny. Znowu zapadła cisza.**

**- Na pewno ucieszy was, seri, wiadomość, że są
sposoby, by przekazać wiadomość z tej planety
tak, by dosłyszano ją na Cerdinie. Potrafię to
zrobić. Istnieją jednak rozwiązania, które tego
nie wymagają. Może nawet lepsze -**

**przypomniała sobie o Jimie i pochyliła się ku
niemu, kładąc dłoń na jego kolanie. - Tego, co
słyszysz, nie wolno ci powtarzać. Nikomu.**

**- Nie powtórzę - zapewnił. Uwierzyła mu, gdyż
sprawiał wrażenie, jakby szczerze pragnął
pozostać głuchym na tę rozmowę.**

- Jakie środki podjęte zostały przez korporacje?

- spytała, zwracając się znowu do Elna i Kest.

Unikali jej wzroku, tych dwoje i ich towarzysze.

- Czy panuje głód?

**- Importujemy - odezwał się cichy, niepewny
głos.**

**Raen spojrzała na niego, z wolna pojmując
znaczenie wypowiedzianego słowa.**

- Poprzez standardowe kanały?

**- Wszystko zgodnie z licencją. Artykuły
żywnościowe są dozwolone...**

**- Znam przepisy. Dostajecie ziarno handlując z
Zewnątrzem. Z Zewnątrz.**

**- Nie musieliśmy zarządzać racjonowania
żywności. Utrzymaliśmy pokój. Możemy
wszystkich nakarmić.**

**- Próbowaliśmy znaleźć inne rozwiązania -
zapewnił Merck Eln. - Nigdzie w Regionie nie**

ma nadwyżek. Nie udało się zdobyć niczego Wewnątrz. Staraliśmy się, Kont' Raen.

- Wasza podróż na Meron?

- Częściowo, tak. To także. Bez efektu.

- Ser Eln, w oczywisty sposób nasuwa się jedno pytanie. Jeśli kupujecie ziarno z Zewnątrz, to czym za nie płacicie?

Być może nie należało o to pytać tutaj, na promie bet, w ich towarzystwie, w drodze na ich planetę.

- Majat - odezwał się któryś z urzędników, nerwowo spoglądając w stronę Wojownika. -

Klejnoty majat. Oprogramowanie.

- Według wskazań Kontrin?

- My... zbadaliśmy to, co przysyłały laboratoria Cerdina. Zwiększaliśmy transporty.

- Według wskazań Kontrin?

- Nasza własna produkcja. Kontrin, to nie jest zakazane. Inne światy kopców też to robią.

- Wiem, że to legalne; nie musicie mi cytować przepisów.

- Prosiłiśmy o pomoc. Nadal trzymamy się prawa. Nie zrobilibyśmy niczego, co jest zakazane.

Zgodne z prawem... i niszczące równowagę całego handlu, jeśli dokonywane na wielką skalę. Wartość klejnotów i innych produktów majat rosła dzięki zamierzonym .trudnościom przy zakupie.

- Oddajecie produkty majat tym z Zewnątrz, by nakarmić planetę - stwierdziła cicho Raen. - A

co dostają mająt? Ziarno? Azi? Macie z nimi umowę?

- Liczba ludności jest niewielka - odezwała się słabo sera Kest. - Duża jedynie w stosunku do naszych zdolności produkcyjnych. Nasz handel opiera się na azi. Liczymy na zrozumienie Kontrin. Na licencje eksportowe.

- I kopce pomagają wam w kryzysie.

Wystarczająco, by wyżywić nadwyżkę ludności, nadwyżkę azi i samych siebie. Ceny, jakie im narzucacie muszą być niebotyczne.

- Oni... potrzebują ziarna. Nie protestują.

- Wiesz, sera - rzekła cicho Raen. - Wierzę ci. Żołądek podszedł jej do gardła, gdy prom uruchomił silniki atmosferyczne. Majat poruszył się i huknął gniewnie, poirytowany obcym mu odczuciem. Potem znieruchomiał znowu, a bety i strażnicy azi odetchnęli z ulgą.

- Dość nietypowe wejście - zauważyła Raen.

Czuła, że lecą pod zbyt ostrym kątem.

- Nie możemy przekroczyć Wysokiego Pasma. Fatalna pogoda.

Zmierzyła mówiącego wzrokiem i jej puls na chwilę przyspieszył. Musiała, przynajmniej na razie, uznać ich prawdy. Nie odzywała się więcej, obserwując ich twarze.

Schodzili w noc pod kątem ostrzejszym, niż nakazywałby rozsądek. Można się spodziewać silnych wstrząsów. Jim, nieprzyzwyczajony do najlepszych nawet lądowań, był już

szarozielony. Podobnie jak Eln-Kestowie. Dwie korporacje: ITAK na powierzchni i ISPAK dozorujący stację i kompleks energetyczny, nad głową. ISPAK był delegaturą Kontrin; powinni dysponować bezpośrednim łączem na Cerdin. Jak wszystkie stacje. Były zbyt ważne, niosąc ciężar obrony planety. W sytuacji konfliktowej ISPAK mógłby zablokować Istrę, pozbawiając ją energii. Gdyby miała możliwość wyboru bazy swych operacji, nie zdecydowałyby się na ITAK... chyba, że stawki miałyby wzrosnąć naprawdę wysoko. Żadnych licencji, żadnej odpowiedzi na wezwania. Łącze z Cerdinem powinno przekazać wiadomość. Żadnych ulg podatkowych. Inne światy otrzymywały je - światy, na których rezydowali Kontrin. Uniwersalny kredyt ściągano bezpośrednio z podatków; mająt traktowano tak samo jak Kontrin, o ile korzystali z kredytu. Byli jednak producentami towarów i w efekcie mogli operować gotówką, gdy dla Kontrin nie było to możliwe. W całym systemie, połączonym siecią stacji i łączy interkompu oraz liniami ciągłej transmisji, obowiązywały złożone formuły zezwoleń i licencji. Cały system utrzymywany był w delikatnej i precyzyjnej równowadze. Świat nie mógł funkcjonować bez ciągłego przepływu informacji poprzez stację na Cerdinie.

Istra jednak załamywała się pod ciężarem,

którego nie potrafiła unieść, a inne światy także pęczniały od nadmiaru ludności. Nie istniały nadwyżki produkcji rolnej. Rada, gdy już podniosła dozwoloną gęstość populacji na planecie, gdzie brakowało ziemi uprawnej, pozostawała głucha na protesty.

A cykl azi, od laboratorium do kontraktu, trwał osiemnaście lat, trochę krócej, jeśli nabywcami byli majat.

Minęło dziewiętnaście lat, a Rada zamknęła oczy, nie słuchała skarg, mętnie dyskutując nad rozwojem nowego przemysłu. Pozwolono, by wzrosło ciśnienie populacyjne, po siedmiuset latach utrzymywania wszystkich sił w stanie równowagi.

Przez chwilę Raen obserwowała ekran.

Przycisnęła grzbiet prawej dłoni do ust; czuła na wargach szorstki dotyk chityny.

Niebieski kopiec, posłaniec niebieskiego kopca... Kopce, handlujące bezpośrednio z betami... i planeta zalana falą azi, gdy cały Region zaczynał odczuwać napięcie. Istra była obrazem tego, co czeka inne planety; tymczasem Rada zdaje się nie słyszeć błagań o pomoc.

Moth wciąż była u władzy. To musiała być prawda, że Moth nadal panuje nad Radą.

Gdyby odeszła, zatrzęsłby się cały Region.

Co ty robisz? pomyślała, jak gdyby Moth mogła ją usłyszeć.

Założyła na twarz uśmiech, tak jak wkłada się nowe ubranie. Spojrzała na sera Elna i serę

Kest, zaniepokojonych chyba tą nagłą zmianą nastroju.

- Mam wrażenie, że zaprosiliście mnie do siebie. Powiedzmy, że się zgodzę.

- Będziemy zaszczyчени - odparła chrapliwie Kest.

- Skorzystam z waszej gościnności... ale nie za darmo. Moje gusta bywają ekstrawaganckie. Sama będę pokrywać swoje wydatki. Nie mogę oczekiwać od nikogo, by znosił moje zachcianki. Nawet od ITAK. Zgadza się, seri?

- Jesteś niezwykle uprzejma - stwierdził z widoczną ulgą ser Eln.

Zaczynali odczuwać niewygodę przejścia przez atmosferę. Prom leciał jak zraniony ptak, silniki pracowały gwałtownymi szarpnięciami, dobywając wszystkich sił, by zmniejszyć szybkość. Wreszcie osiągnęli prędkość atmosferyczną i rozsunęły się ekrany burtowe. Na zewnątrz widać było smolistą czerń, rozciętą zygzakiem błyskawicy. Trafili w zawirowanie, które zmniejszyło nawet entuzjazm, jaki Raen czuła dla rzeczy niezwykłych. Przebili się szokująco blisko ziemi.

Lądowisko zapłonęło błękitem światła i nagle znaleźli się na pasie. Silniki szarpnęły raz jeszcze i prom stanął w miejscu.

Dotarli cali i zdrowi. Prom kołował w stronę odległego terminalu. Raen spojrzała na Jima, który powoli rozwierał zaciśnięte na poręczach fotela palce. Odetchnął głęboko. Uśmiechnęła

się, co chyba dodało mu otuchy. Prom kołysał się lekko na nierównej powierzchni pasa.

- Bagaż - powiedziała cicho. - Dopilnuj go. I pamiętaj, kiedy jesteśmy wśród ludzi, nie pozwalaj nikomu zbliżyć się do walizek.

Kiwnął głową i przecisnął się obok niej. Jeden ze strażników azi wyjmował z magazynka torby Eln-Kestów.

Prom dotarł wreszcie na parking i dotknął rękawa. Pierwszy i drugi pilot, najwyraźniej skończywszy kłótnię, odeszli od przyrządów, by otworzyć luk.

Raen wstała. Pozostali czekali na nią. Obejrzała się na nieruchomego ciągle Wojownika. Z klapy luku dolatywał chłodny powiew i majat wyczuł to. Przekręcił głowę.

- Idźcie pierwsi - zwróciła się Raen do istrańskich seri i ich azi. Skwapliwie skorzystali z propozycji. Jim wyszedł za nimi ciągnąc wózek z bagażem. Wtedy Raen skinęła na Wojownika. Obaj piloci skryli się w kabinie i pośpiesznie zamknęli drzwi.

Cała grupa ustawiła się już przy korytarzu wyjściowym. Grupa urzędników ITAK wciąż trzymała się z przodu. Raen szła razem z Jimem i Wojownikiem, którego kroki w porównaniu z ludzkimi zdawały się niezwykle powolne.

Celnicy czekali u wyjścia. Z głupimi minami gapili się na nadchodzącego Wojownika i wciąż nie przepuszczali ludzi ITAK, blokując całą grupę. Wojownik poruszał się niespokojnie. Eln-

Kestowie i pozostali sięgnęli po karty, których żądali tamci, noszący znaki ISPAK.

Raen była zdumiona. Przez jedną chwilę patrzyła na umundurowanych urzędników, po czym przepchnęła się do nich i skinęła na Eln-Kestów, by

szli za nią. Celnicy byli zaszokowani, nawet wściekli. Raen ścisnęła prawą dłoń w pięść i podniosła ją do góry.

Przez moment nikt nie rozumiał, o co jej chodzi. Kontrin w Barwach Klanu z Wojownikiem majat, a te bety tylko się gapiły! Wreszcie pojęli i zaczęli odsuwać się na boki.

- Szybciej - rzuciła Raen, zwracając się do azi, bet i majat z równą szorstkością. Jej nerwy były napięte; nigdy nie lubiła miejsc publicznych, a głupota tych ludzi wprawiała ją w oszołomienie. Znaleźli się w wielkiej hali, zdumiewająco zatłoczonej. LOTNISKO - głosił napis na tablicy informacyjnej. Plakat reklamował cotygodniowe loty do Nowego Portu, obok na tablicy wywieszono terminy odlotów do Przybrzeża. To mogło tłumaczyć duży ruch, choć niewielu tylko ludzi niosło jakiś bagaż. To pewno sklepy, uznała Raen. Zapewne trafili w najlepsze miejsce na zakupy w całym tutejszym Mieście beta. Wszędzie widać było podświetlone, wielkie znaki ITAK; subkorporacje reklamujące swoje towary i sprzedające w niewielkich sklepach firmowych także miały w swych znakach umieszczone godło ITAK. Zapachy z restauracji

i zatłoczone stoliki raczej nie sugerowały, że ten świat znalazł się na krawędzi głodu i racjonowania żywności. Towary dorównywały tym z Astry i nie dostrzegało się ich braku.

Bety, całe tłumy bet i w całej tej hordzie jakoś nie wybuchała panika. Dorośli i nieliczne dzieci patrzyły na nich i na Wojownika... długo patrzyły, ale jego obecność nie budziła lęku. To było szaleństwo, że na tym świecie Wojownik mająt jest w ten sposób ignorowany; albo Kontrin, łatwo rozpoznawalna w swych Barwach.

Nie są pewni, domyśliła się nagle. Żadne z nich w życiu nie widziało Kontrin. Może coś podejrzewali, choć wobec swego krótkiego życia raczej nie mieli szans, by rozpoznać Barwy od dwudziestu lat zakazane w wewnętrznych światach. Możliwe nawet, że nie znali Klanów. Nie mieli powodów. Bety z Istry nie stykały się z Kontrin.

Ale mająt musieli przecież poznać. Gdzie indziej bety umierały ze strachu, deptały po sobie w panicznej ucieczce... dopóki mająt na ulicach nie stali się czymś normalnym. Słyszała, że zdarzało się to w miejscach, które opuściła.

Włosy na jej karku zjeżyły się od dziwnego uczucia, że cały świat się przewraca.

Przyglądała się mijanym wystawom i jaskrawym reklamom negującym nadchodzącą zgubę. Przede wszystkim jednak obserwowała tłumy, spacerujące i zatrzymujące się przy

ladach, odwracające głowy, gdy przechodzili. Ręce; ich ręce martwiły ją najbardziej. I to, że nie widziała, co dzieje się z tyłu.

- Odbieram niebieski kopiec - zaśpiewał nagle Wojownik. -- Muszę nawiązać kontakt.

- Gdzie? - spytała Raen. - Wyjaśnij. Na co patrzysz? Czy to znak cieplny?

Majat zamarł w bezruchu. Szczęki zaczęły się poruszać gorączkowo, czułki słuchowe odchyliły się do tyłu. Stracił zdolność słyszenia, jak gdyby człowiek zatkał sobie uszy palcami. Raen odwróciła się, by sprawdzić, na co patrzy. Dobiegł ją pojedynczy ludzki krzyk, podjęty przez innych.

Wojownicy.

Wyskoczyli z bocznego korytarza w dziesięciu. Już byli przy nich, a dźwięk, jaki wydawali, wchodząc w zakres słyszalny dla ludzi, stawał się torturą dla uszu. Niebieski Wojownik cofnął się za ladę, a napastnicy pomknęli za nim z oślepiającą szybkością. Z sąsiedniej hali wybiegali następni, przewracając wieszaki z ubraniami. Ludzie krzyczeli, przewracani pędem ma-jat, starali się wyczołgać ze sklepu. Raen trzymała miotacz... nie pamiętała nawet, kiedy zdążyła go wydobyć. Strzeliła trafiając tam, gdzie miało to znaczenie: w splot nerwowy pierwszego z Wojowników. Odwróciła się i trafiła kolejnego. Cofała się wolno, potknęła się, trafiła na ścianę. Tu stanęła i strzelała bez przerwy.

Czerwoni. Nienawiść poprawiła jej celność. Chłodny spokój ogarnął umysł. Trzech padło, pozostali oblegali ladę, za którą skryły się przerażone bety i Wojownik. Strzeliła w napastników i natychmiast odwróciła się w lewo, widząc przemykającą ku grupie czerwonych postać Wojownika. Trafiła jednego, potem drugiego. Wojownik skoczył na trzeciego i potoczyli się po podłodze w płątaninie odnóży i pisku komór rezonansowych. Raen pochwyciła kątem oka jakiś ruch i strzeliła natychmiast. Nie walczyła już sama, strażnicy azi zdecydowali się jej pomóc. Bety nie podniosły ręki przeciw majat - nie pozwalał na to ich psychoset. Lecz na podłodze leżeli już martwi ludzie. Jedno ciało straciło niemal głowę, odciętą potężnymi szczękami. Krew plamiła podłogę i nogi majat ślizgały się w czerwonych kałużach. Wielu było pogryzionych.

Pozostali przy życiu czerwoni próbowali Grupowania, lecz strzały Raen na to nie pozwoliły. Inni majat zebrali się na zakręcie. Zgrupowali się i myśleli. To nie byli czerwoni, inaczej włączyliby się do walki. Ci z czerwonych, którzy jeszcze żyli, byli wyraźnie zagubieni. Ogień azi zadawał rany; Raen mierzyła korzystając ze swej wiedzy o ich anatomii i kończyła dzieło zniszczenia. Niebieski Wojownik stał i rozglądał się w podnieceniu.

Wśród grupy stojących z dala ludzi błysnęła broń. Wojownik runął na ziemię. Jego odnóża

zadrgały, powietrze ze zgrzytem opuszczało komory rezonansowe.

- Powstrzymajcie ich! - krzyknęła Raen do azi. Majat zaatakowali, ginąc w skoncentrowanym ogniu. Pięciu, sześciu, siedmiu padło szybko. Jeden pośliznął się i potknął. Jego odnóże zwisało bezwładnie. Dwaj inni osłaniali ciałami jego odwrót. Byli łatwymi ofiarami. Raen zabiła jednego. Drugiego powaliły strzały azi.

Nagle zostali sami. Ludzie leżeli splątani z martwymi majat. Raen rozejrzała się, patrząc na majat, wciąż wstrząsanych śmiertelnymi drgawkami. Miały potrwać jeszcze kilka minut, lecz nie kierowała już nimi żadna świadomość. Merek Eln i Parn Kest nie żyli, podobnie jak ich towarzysze z ITAK. Zginęli przypadkowi przechodnie. W dali odezwała się syrena, lecz dla pogryzionych było za późno. Dawno już przestali oddychać.

Niebieski Wojownik jeszcze się poruszał. Raen odeszła od ściany i dwójki pozostałych przy życiu strażników azi, by przejść na środek zalanej krwią podłogi, gdzie w kałuży przezroczystych płynów ustrojowych majat leżał Wojownik. Wyciągnęła rękę i poznał ją.

Wciągnął powietrze do komór i wysunął drżące czułki słuchowe.

- Smak - prosił.

- Czerwoni go nie dostali - zapewniła. -

Zabiliśmy ich wszystkich.

- Tak.

Ktoś krzyknął w głębi korytarza. Znow pojawiły się wysokie sylwetki, poruszające się z-pośpiechem. Podniosła rękę, każąc azi wstrzymać ogień.

- Przybyli niebiescy - oznajmiła. Wojownik próbował wstać, ale nie kontrolował już swych odnóży. Raen odstąpiła na krok. Niebiescy rozepchnę-li ludzki personel medyczny i te siły bezpieczeństwa, jakie zdążyły się zjawić. Ostatni odcinek przebyli ostrożnie, sztywni i niepewni, póki Raen nie podniosła prawej ręki. Wtedy dopiero rozpoznali w niej Kontrin niebieskiego kopca.

Wtedy ruszyli szybciej. Któryś podszedł od razu do powalonego czerwonego, by zabrać smak.

Huknął do pozostałych w języku majat i dwóch z nich pochyliło się nad Wojownikiem.

Odebrali smak, długi i złożony, splatając szczęki żywych i umierającego. Pierwszy z Wojowników odstąpił, jakby dezorientowany. Potem drugi odebrał smak, jakby całował ginącego.

Podchodzili kolejni. Gdzieś głośno załkał człowiek. Personel medyczny starał się dyskretnie usunąć rannych. Trzeci, potem czwarty Wojownik pochylił się nad konającym niebieskim z Kalindu. Powtarzano wiadomość - miało to potrwać aż do wyczerpania płynów ustrojowych posłańca.

Piąty szepnął coś w języku majat. Wojownik westchnął w odpowiedzi. Niebieski z Istry

zatrzasnął szczęki i głowa Wojownika potoczyła się po podłodze.

- Kontrin - odezwał się inny stając przed nią.

- Jestem Raen Meth-maren. Powiedz to Matce, Wojownikowi. Ta-jedno-stka przybyła z Kalindu. Matka będzie wiedzieć. Czy dotrzecie bezpiecznie do kopca?

- Tak. Musimy iść. Szybko.

Odszedł. Dwaj Wojownicy zabrali głowę i ciało zabitego, by inne kopce nie poznały nawet części przekazu. Zgrupowali się, po czym odwrócili i odeszli.

Dwóch pozostało.

Jeden wystąpił naprzód - niebieski z Istry - wyciągając czułki słuchowe na znak pokojowych zamiarów. Pochylił się i rozwarł szczęki. To był dar Istry, piąty Wojownik, ten sam, który smakował i zabił. W pewnym sensie był tamtym Wojownikiem, kolejnym ogniwem łańcucha.

Raen dotknęła jego płam zapachowych, przyjęła i oddała smak w pocałunku mająt. Cofnął się niespokojnie tak, jak niespokojny był Wojownik. Dysponował jednak wiedzą Wojownika o niej. Dokonał Grupowania delikatnym dotknięciem kleszczy.

- Meth-maren - powiedział cicho. Jego towarzysz wysunął się do przodu, by wziąć smak. Raen widziała jego rozterkę, nerwowe ruchy szczęk i drgania czułek. Po chwili mająt uspokoił się i dotknął jej.

Raen podeszła do pary strażników azi nadal

stojących pod ścianą. Patrzeli na nią nieruchomo, jakby w szoku. Nikt nie wydawał im rozkazów. Utracili pracodawców. Zawiedli. Merek Eln i Parn Kest zginęli od ugryzień. Z reszty grupy, jednemu z urzędników szczęki mająt odcięły głowę, wszyscy byli pokąsani. Zginął też trzeci strażnik i kilku przypadkowych przechodniów.

Dostrzegła wózek z bagażem wciśnięty we wnękę za ladą. Obok siedział Jim, skulony, z podciągniętymi kolanami. Obie dłonie zaciskał na kolbie miotacza. Był blady i zęby mu szczękały, lecz lufa broni pozostawała nieruchoma.

Pilnował bagażu, tak jak mu poleciła.

Raen zawahała się na chwilę, nie wiedząc, co Jim chce zrobić. Nie strzelił jednak... chyba by nie potrafił. Podeszła do niego spokojnie i wyjęła miotacz z zaciśniętych palców. Wyczuła obecność Wojownika za plecami, więc odwróciła głowę i kazała mu się odsunąć. Potem uklękła i położyła dłoń na sztywnym ramieniu azi.

- Musimy się stąd wydostać. Chodźmy, Jim.

Kiwnął głową. W jego stanie, na granicy katatonii, był to wyczyn grani-'czący z cudem. Poklepała go po ramieniu i czekała, aż wytrze pot z czoła i niepewnie spróbuje wstać.

Pomyślała o dwóch azi, którzy byli z nimi na promie i słyszeli wszystko, co zostało powiedziane. Podniosła się szybko i mijając Wojownika podeszła do lady. Azi nie ruszyli się

z miejsca. Tymczasem jednak pojawili się policjanci i bety ze znakami ITAK.

- Wy - Raen wskazała ręką dwóch azi. - Teraz należycie do mnie. Przejmuję wasze kontrakty. Formalności zostaną załatwione w odpowiednim czasie. Nie wolno wam nic mówić. Nic.

Zrozumieliście? Kupuję was tylko dlatego, że nie lubię uśmiercać bez potrzeby.

Zdawało się, że jej uwierzyli. Odwróciła się do policjantów oczekujących w bezpiecznej odległości. Bali się podejść bliżej dwóch Wojowników majat.

- Dość już zamieszania - oświadczyła, pokazując grzbiet prawej dłoni. Chitynowy wszczep i jej płaszcz zastępowały wszelkie dokumenty. - To sprawa kopców i niech to wam wystarczy.

Pochyliła się nad ciałem Mereka Elna, by wyjąć z kieszeni kartę identyfikacyjną, którą pokazał celnikom. Jak oczekiwała, był na niej adres, chyba w dzielnicy ITAK.

- Potrzebuję środka transportu dla siebie, trzech azi, naszego bagażu i dwóch Wojowników. A także uzbrojonej eskorty.

Przez chwilę stali nieruchomo, jakby sądzili, że jej prośba musi przejść drogą oficjalną. Po chwili jednak dowódca wydał polecenie i jeden z funkcjonariuszy oddalił się szybko.

- Istnieje możliwość - oświadczyła Raen - że cała sprawa pozostanie w kopcach. Zbierzcie jednak odpowiednie siły i obejmijcie obserwacją ten dom. - Podala policjantowi kartę. - Możecie

odprowadzić nas do pojazdu.

Oficer spojrział na ID i przez komunikator wydał odpowiednie polecenia. Chciał zachować kartę, lecz Raen zdecydowanie wyciągnęła rękę. Potem ski-

nęła na dwóch strażników, by zajęli się bagażem. Jim wyraźnie przychodził już do siebie, choć ciągle dygotał oparty o ladę. Oddała mu miotacz, który schował szybko, dopiero po kilku próbach trafiając do kieszeni. Niepewnym krokiem poszedł w stronę wyjścia. Wojownik i jego towarzysz szli z boku, a personel sklepu, pracownicy terminalu i wszyscy inni, którzy mieli prawo przebywać w strzeżonej strefie, przyglądali im się niespokojnie.

- Wóz czeka przed drzwiami - poinformował dowódca. - Przedstawiciel Rady jedzie tu, by z tobą porozmawiać, Kontrin. Jest nam niewymownie przykro... -

- Przekażcie kondolencje najbliższym krewnym ofiar. Chcę znać listę tych krewnych, a także nazwiska i numery zabitych. Zostaną wypłacone odszkodowania, pokryte koszta pogrzebów.

Prześlecie tę listę na mój adres. A co do przedstawiciela, w tej chwili najbardziej interesuje mnie wprowadzenie się do domu. I jeszcze jedno. Jak rozumiem, w Mieście działa misja handlowa Zewnętrzza. Chcę, by ktoś z tej misji, obojętne kto, zjawił się u mnie możliwie szybko.

- Sera...

- Nie radzę konsultować się w tej sprawie z ITAK. Niedobrze by też było mnie zawieść. Otworzono drzwi na zewnątrz. Raen słyszała, jak oficer przekazuje przez komunikator jej polecenia. Przed wyjściem czekał policyjny transporter ITAK otoczony przez uzbrojoną ochronę. Raen trzymała rękę na kolbie własnego miotacza. Nie ufała nikomu.

Chwilę trwało, zanim załadowano bagaż, a w ciasnej przestrzeni pojazdu usadowili się azi i majat.

- Możemy znaleźć samochód - zaproponował dowódca. Raen pokręciła głową. Nie chciała zostawiać bagaży. Wciąż bała się majat.

Wprawdzie nie umieli rozróżnić twarzy ani jej rozpoznać, ale byli wystarczająco podnieceni, by nie dbać o takie drobiazgi.

Majat wsiadali na końcu, zaniepokojeni dużą ilością ludzi, których nie wolno było dotknąć. Raen musnęła dłonią delikatne czułki, by zwrócić uwagę Wojownika.

- Nie wolno dotykać azi w pojeździe. Nie wolno ich straszyć. Ufaj. Nie ruszaj się. Niech ty-jednostka przekaże to drugiemu Wojownikowi. Majat huknął w odpowiedzi, być może zaprotestował, ale obaj weszli do środka. Oficer zatrzaskał drzwi. Raen usiadła obok kierowcy. Gotowy do użycia miotacz leżał na jej kolanach, gdy odjeżdżali spod bramy terminalu ku rampie zjazdowej. Podała policjantowi adres i odprężyła się lekko, próbując nie myśleć o

Wojownikach i trójce azi za przepierzeniem, o tym, jak się czują, gdy mająt nie mogą nikogo dotknąć, a trzej azi kulą się obok w ciemności. Miasto przemykało obok nich, szeregi kopuł znikwały między pasami gruntu - gwiazdziste miasto, w większej części hermetycznie zamknięte pod ziemią. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach miedzi. Nad głowami gotowały się burzowe chmury, z rzadka rozjaśniane błyskawicą. Krople deszczu uderzały o szyby. Po chwili znów jechali pod ziemią, za wielkim transporterem publicznym. Raen nienawidziła tego przebijania się niczym pocisk przez tereny miasta. Tej nocy jednak była to chyba najbezpieczniejsza metoda.

Kopce mająt nie posiadały sprzętu komunikacyjnego ani łączą ze stacją. A mimo to mająt oczekiwali ich, czerwony kopiec zdążył przygotować zasadzkę. Ludzie musieli im pomagać, nie miała wątpliwości.

Zginął nie tylko Wojownik, lecz także dwoje posłów, którzy przez długi czas przebywali w towarzystwie Kontrin i może za dużo powiedzieli.

Postanowiła nie ufać ITAK. Nie sądziła jednak, by otwarcie wystąpili przeciwko niej. Co innego, gdyby wiedzieli, że jest sama, że nie stoi za nią cały sept i Klan.

Trzeba było bluffować. Zresztą, Kontrin robili to wobec bet przez cały czas. W pewnym sensie.

Wprawdzie bowiem uzbrojone statki znajdowały się wyłącznie w rękach Rodziny, to jednak w razie potrzeby były zawsze za daleko. Istniały jednak. Podobnie jak szczegółowa wiedza o psychowa-runkowaniu użytym dla stworzenia całej populacji beta. Podobnie jak władza udzielania licencji i nakładania embarga, sterowania wskaźnikiem narodzin, kontroli każdego ekonomicznego faktu egzystencji beta, pojedynczo lub klasami. Siedzący obok beta nie starał się być przyjazny, milczał, jakby jej nie było - czyste przerażenie. Spotykała się już z takimi reakcjami. Pamiętała port, salon na statku... domyślała się, co może oznaczać jej przybycie dla Istri, która nie widziała Kontrin od stuleci - od wielu pokoleń beta. Nagle zasłona zostanie zerwana i cały świat doświadczy tego, co ludzie z Klejnotu Andry. W dzisiejszym nastroju, ze spoconymi palcami zaciśniętymi na kolbie miotacza, gdy z wolna docierały do niej wszystkie implikacje zasadzki, nie przejmowała się zbytnio uczuciami Istran. Wóz opuścił system tuneli i skierował się na obwodnicę dzielnic mieszkalnych. Były to tereny jasno oświetlone, z miejscem na parki - lub coś podobnego - w centrum. Wzdłuż ulicy ciągnął się wysoki mur, pojawiły się bramy z numerami. 41, 42, 43... Zalane deszczem lusterko odbijało liczne światła. Przed numerem 47 stała spora grupa pojazdów. Strażnik przepuścił ich przez otwartą bramę na podjazd. Reflektory wozów

ukazywały posesję z nienaturalną wyrazistością: poskręcane sylwetki drzew, plamiste pnie, kępy drobnych ' Jiści. Ogród pełen był skał, dom był białą, piętrową budowlą, przylegającą do sąsiednich tak, że cała struktura tworzyła wielosegmentowy pierścień, jakby jedną wielką willę z osobnym ogrodem dla każdego segmentu. Kierowca wyminął dwa zagrażające drogę pojazdy i zatrzymał transporter przed wejściem, gdzie stali umundurowani policjanci. Raen wysiadła, czując uderzenia kropel deszczu. Czekala chwilę, aż kierowca i drugi policjant otworzą tylne drzwi. Obaj cofnęli się pospiesznie, gdy dwaj Wojownicy wydostali się na zewnątrz i stanęli nieruchomo, wyraźnie okazując swój niesmak. Za nimi ukazał się Jim i strażnicy azi, cali i zdrowi, co Raen stwierdziła z satysfakcją.

- Jim - powiedziała. - I wy dwaj. Zanieście bagaże do domu - obejrzała się na parę policjantów. - Czy ktoś tu mieszka?

- Budynek jest zamknięty od pół roku - mężczyzna w cywilnym ubraniu wysunął się przed pozostałych. Był ciemnowłosy, łysiejący i tęgi. Przy nim stanęła kobieta podobna do niego zarówno wiekiem, jak i budową.

- Hela Dain - przedstawiła się. - A to mój mąż, Elan Prosserty, wiceprezes rady nadzorczej.

- ITAK wyraża ubolewanie z powodu zaistniałych wypadków - odezwał się znowu mężczyzna. - Proszę przyjąć szczerze wyrazy

współczucia. Gdybyśmy wiedzieli, że przybywasz bez dostatecznej ochrony... Nie jesteś ranna, Kontrin?

- Nie - przypomniała sobie, że wciąż trzyma miotacz, więc wsunęła go na miejsce pod płaszczem. - Jestem gościem Eln-Kestów. Pośmiertnym. Żałuję, że nastąpiło to w takich okolicznościach, lecz postanowiłam zaakceptować ich zaproszenie mimo wszystko. Gdyby ktoś z waszej służby bezpieczeństwa objął stanowisko przy bramie... na zewnątrz, jeśli to wam bardziej odpowiada... aby zniechęcić najbardziej natarczywych intruzów, wtedy sama zajmę się resztą. Prosiłam, by przybył tu jeszcze ktoś. Czy się zjawiał? Dain-Prosserty'owie szli za nią, gdy rozgarniała tłum policjantów i straży. Znaleźli się w budynku wypełnionym stęchlą, wilgotną atmosferą. Wewnątrz także byli agenci bezpieczeństwa i jeszcze jedna grupa, cztery osoby wyraźnie wyróżniające się bladością twarzy i dziwacznymi strojami.

Ludzie z Zewnątrz.

- Kontrin - odezwała się Hela Dain, wyraźnie akcentując szacunek.

- Oto przewodniczący organizacji handlowej, ser Ab Tallen i jego eskorta. Uzbrojona. Zauważyła to od razu. Tallen miał siwe włosy, był szczupły i stary. Wśród' jego ludzi był jeden młody, o niezwykłym typie urody i fizjonomii obcej w Regionie. Wyciągnęła dłoń. Tallen

uścisnął ją bez drgnienia

- uśmiechał się, a jego oczy pozostały zimne, nieprzeniknione... prawdziwe. Żaden Kontrin nie stworzył psychosetu kryjącego się za tą twarzą.

- Kont' Raen a Sul hant Meth-maren - powiedziała. - Ta Meth

-maren. Jest pan niezwykle uprzejmy, ser Tallen. Cieszę się, że pan przybył. Tallen zachował spokój, choć wobec zaproszenia przekazanego przez policję nie miał wielkiego wyboru.

- To okazja, której nie mogliśmy przepuścić - odparł. - Słynna kompania Kontrin. '

- Rodzina, ser. Kompania odcisnęła swoje piętno na wielu sprawach, lecz jej dni już minęły ; - ignorancja Obcego była zadziwiająca. Raen poczuła nagłą ciekawość, lecz czas i miejsce nie nadawały się do rozmowy, zwłaszcza przy betach stojących za plecami. Obejrzała się, by uprzejmie skinąć głową urzędnikom ITAK.

- Bardzo mi miło, że przyjechaliście tu wszyscy.. Wierzę, że drobne trudności są już rozwiązane i takimi pozostaną. Czy zechcielibyście łaskawie uwolnić mnie od całego zamieszania, seri?

Przekażcie moje podziękowania policji. Ufam, że linie komunikacyjne wolne są od urządzeń podsłuchowych. Wierzę, że to właśnie sprawdzali. Naprawdę. Nie muszę chyba mówić, jak byłabym zasmucona, gdyby coś umknęło ich uwadze. Musiałabym wtedy przeprowadzić

śledztwo w bardzo wysokich kręgach, seri. Jestem jednak przekonana, że nikt nie dopuściłby do czegoś takiego.

Na ich twarzach pojawił się paniczny lęk.

- Nie - zapewniła od razu Dain.

- Nie - powtórzył jak echo jej mąż.

- Naturalnie - stwierdziła bardzo cicho, położyła dłonie na ich ramionach i skierowała oboje do hallu. - Bardzo wam dziękuję, bardzo, za to, że zechcieliście przyjechać tu w taką noc.

Przekażcie radzie wyrazy żalu z powodu Eln-Kestów i zniszczeń w porcie. Gdyby któreś z was skontaktowało się ze mną jutro, będę szczęśliwa, mogąc wyrazić swą wdzięczność w sposób bardziej materialny. Wszyscy byliście mi bardzo pomocni, a takie poświęcenie wymaga nagrody. Zwłaszcza wasze, seri. Czy jesteście pewni straży przy bramie? Czy można na nich polegać? Zawsze chcę wiedzieć, kto jest odpowiedzialny. Teraz muszę porozmawiać z tymi ludźmi. To nie potrwa długo. Zwykła uprzejmość. Dziękuję.

Pozwolili wyprowadzić się do hallu. Raen usłyszała, jak nakazują policjantom wyjść. Powstało jakieś zamieszanie i obejrzała się - to dwaj majat weszli do domu i ruszyli wzdłuż korytarza. Wykonywali "własny obchód kontrolny.

Spojrzała na Aba Tallena i wzruszyła ramionami.

- Zostaję tu, ser. Chciałam, by wasza misja o

tym wiedziała. Z przyjemnością porozmawiam z wami w wolnej chwili, gdy tylko sprawy tutaj trochę się uspokoją.

- Jesteś członkiem rządu, Kont' Raen...

- Samo Kont' Raen wystarczy. Kontrin są rządem i populacją. Czy wasza misja ma tu stałą siedzibę?

- Jak zrozumieliśmy, nasza obecność na planecie uzyskała oficjalną...

- Ależ oczywiście. ITAK ma prawo wydać podobne zaproszenie. Nie mam zamiaru się wtrącać. Wręcz przeciwnie, jestem nawet zadowolona - to była prawda. Raen uśmiechnęła się promiennie. - Gdybym nie prosiła o spotkanie, na pewno byście się zastanawiali, czy wiem o waszej obecności i co o niej sędzę.

Wyjaśniłam to w sposób wykluczający nieporozumienia. Teraz więc możemy spać spokojnie. Jestem bardzo zmęczona. Lot trwał długo. Czy uczynicie mi zaszczyt i skontaktujecie się jutro?

Tego człowieka nie dało się wprawić w zakłopotanie tak prosto, jak Dain -Prosserty'ch. Spokojnie skinął głową i uśmiechnął się sztywno.

- Z przyjemnością, Kont' Raen. Wyciągnęła rękę.

- Ilu ludzi z Zewnątrz znajduje się na Istrze? Uścisnął jej dłoń. Wyczuła, że zaniepokoił się odrobinę tym pytaniem.

- Liczba się zmienia - cofnął rękę. - Dzisiaj dwudziestu dwóch. Czterech odleciało na stację

na początku tygodnia. Przybywamy i odjeżdżamy dość często. Od tego zależy nasza działalność jako pośredników handlowych.

- Nie dziwi mnie to, ser Tallen. Zapewniam, że nie będę temu przeszkadzać. Proszę się jutro skontaktować.

- Niezawodnie.

- Ser - skłoniła lekko głowę. Tallen odczytał to jako odprawę. Skinął głową, zebrał swoją grupę i wyszedł. Każdy z obcych przechodząc kłaniał się sztywno. A zatem nie byli to zwykli strażnicy.

Spoglądała- za nimi z zaciekawieniem. Jak ci

Obcy utrzymują dyscyplinę, jakie niezwykle światy ich posłały i ile naprawdę rozumieli?

Policja odeszła. Raen słyszała silniki odjeżdżających samochodów. Dain

-Prosserty'owie także zniknęli. Przeszła do hallu. Z jednej strony otwarte drzwi ukazywały deszcz, z drugiej Jim i dwaj strażnicy azi ustawiali jej bagaż. Majat wysunął się zza innych drzwi, zatrzymał obok niej i przysiadł w oczekiwaniu.

Odetchnęła głęboko i rozejrzała się. To było wygodne mieszkanie, choć meble świadczyły o obrzydliwym guście. Poczwała nagle współczucie dla Eln

-Kestów, gdyż to miejsce miało w sobie jakieś nie-betańskie ciepło. Nie piękno, jak u Kontrin, ale swego rodzaju przytulność.

- Zostaniesz, królowo Kontrin?

Spojrzała na Wojownika, mniejszego z dwóch.

- Tak. To miejsce jest moim kopcem. Odwróciła się do Jima i nowych azi.

- Macie jakieś imiona, wy dwaj?

- Max - odparł pierwszy.

- Merry.

Różnili się między sobą. Max miał ciemne włosy, Merry jasnoblond. Max brązowe oczy, Merry niebieskie. Ale potężna budowa ciała była identyczna, postawa, twarze o kwadratowych szczękach i takim samym wyrazie. Oczy mówiły o nich niemal wszystko... spokojni, chłodni, pewni siebie teraz, gdy ich egzystencja została na nowo uporządkowana. Potrafili rozpoznać zagrożenie; pilnowali zamków i zabezpieczeń; będą walczyć z pasją, gdy tylko właściciel ich kontraktów wskaże nieprzyjaciela.

- Będziecie wykonywać polecenia Jima, tak jak moje - oświadczyła.

- I dajcie się poznać majat. Jim, pokaż im.

Wojownik, bądź ostrożny z tymi azi.

Obaj majat jakby w zwolnionym tempie przesunęli się do przodu. Stanęli obok Jima i wysunęli czułki słuchowe, ciekawi jego smaku. Pamięć niebieskiego z Kalindu. Maxowi i Merry'emu trzeba było pokazać, co mają robić, ale znieśli dotknięcie szczęk spokojniej, niż potrafiłyby bety. Może wspólna z majat jazda wypędziła z nich całą trwogę.

- Dobra robota - pochwaliła ich Raen. - Od tej chwili każdy majat was rozpozna. Mój bagaż zanieście na górę, resztę wstawcie do jakiegoś

pokoju na tyłach. Jim, dopilnujesz tego. Wy mu pomożecie. Potem sprawdzicie budynek. Upewnijcie się, że wszystkie drzwi są pozamykane, a systemy alarmowe pracują - przesunęła palcem po stole, po czym starła z niego kurz.

- Uszczelnienie jest nieefektywne. Bądźcie dokładni. I pamiętajcie, azi Kon-trin mają prawo strzelać do każdego, kto stanowi zagrożenie. Do każdego. Nawet do Kontrin. No dalej, ruszajcie.

Odeszli. Przy Raen zostali tylko dwaj Wojownicy.

- Pamiętajcie mnie - stwierdziła raczej, niż spytała.

- Królowa Kethiuy - odparł większy schylając głowę. To odezwał się umysł zabitego Wojownika.

- Jestem przyjacielem kopca. Przeprowadziłam wam niebieskiego z Ka-lindu, wiadomość od kopca Kalindu. Czy potraficie ją odczytać?

- Zemsta.

- Jestem z niebieskiego kopca. Jestem Meth-marenem z Cerdina, z pierwszego kopca. Co się tu dzieje, Wojowniku? Jak czerwoni się o nas dowiedzieli?

- Czerwoni, czerwoni, dużo czerwonych. Chodzą tu, chodzą tam. Złoci. Zabijam.

- Skąd czerwoni o nas wiedzieli?

- Od ludzi. Czerwoni naciskają. Bardzo. Ja bronię, bronię. Bety dają nam ziarno, azi, dużo.

Wzrost.

- Skąd wiedziałeś, że masz przyjść na lotnisko, Wojowniku? . - Matka posyła. Zabiłem czerwonego; czerwony smakował misją, szukaniem niebieskiego, szukaniem drogi do portu. Zdałem raport i matka mnie posłała, szybko, szybko, za późno.

To była zbiorowa osobowość. To mnie mogło okazać się dowolną liczbą osobników.

- Ale przejęliście wiadomość niebieskiego z Kalindu.

- Tak.

- Ta-jednostka - odezwał się drugi majat - jest posłańcem królowej Kethiuy. Poślij zaraz. Poślij.

- Podziękuj matce - odparła. - Tak. Idź. Z niesamowitą szybkością pomknął do drzwi, zastukał odnóżami po kafelkach i znikł w ciemności.

- Ta-jednostka - zaintonował większy - strzeże.

- Ten-kopiec jest wdzięczny - Raen dotknęła wysuniętej głowy, pogładziła czułki. Wojownik zabrzączał z zadowoleniem. Potem wyszedł na deszcz

- dla majat nie stanowiący niedogodności, raczej przyjemność. Wiedziała, że nie potrzebuje snu, że bez zmęczenia będzie patrolował teren niby system alarmowy o wyjątkowej czułości.

Zamknęła i zabezpieczyła drzwi frontowe, po czym odetchnęła z ulgą. Bagaże zniknęły; z góry słyszała głos Jima wydającego rozkazy.

Temperatura była nieprzyjemnie wysoka. Przeszła przez hali, znalazła domowy komputer i stwierdziła, że jest już włączony. Prawdopodobnie robota policji, lecz martwiło ją potencjalne ryzyko. Gdyby dysponowała odpowiednim personelem, zażądałaby kontroli. W tej sytuacji jednak zrzuciła płaszcz

x

i sama wzięła się do pracy. Szukała najbardziej widocznych metod manipulacji, najpierw wizualnie, potem korzystając z innych sposobów. Wreszcie uruchomiła klimatyzację. Katastrofa nie nastąpiła i Raen poczuła podmuch zimnego powietrza. Usiadła więc wygodniej, upewniła się, że widzi w ekranie odbicie drzwi i przebiegła wzrokiem listę standardowych programów domowych według spisu dostarczonego przez sam terminal. Wywołała plan domu - typowy system zabezpieczenia, alarmy pasywne, nic groźnego. Bety by się nie odważyły. Połączyła się z komputerem miejskim, po czym, wyjąwszy kartę Mereka, Elna zaczęła badania. Zgony zostały już odnotowane - zadziwiające tempo. Po śmierci właścicieli ich posiadłość wróciła do ITAK. Eln-Kestowie nie wykorzystali swej licencji na jedno dziecko, a choć Parn Kest miała żyjących krewnych, to jednak bez żadnych praw do budynku zapisanego na nazwisko Elna. Zleciła zakup posiadłości ze swego kredytu. -

Urzednicy-ludzie, pomyslała, mogą być nieco zaskoczeni, gdy sprawdzą rano miejski komputer i dane ITAK. A przedmioty będące w posiadaniu Parn Kest i Mereka Elna odeśle krewnym, gdy tylko się przekona, że nic z nich nie wywnioskuje. Była im winna tę uprzejmość. Max i Merry zeszli głośno na dół, po czym długo badali parter i garaż, szukając luk systemu zabezpieczenia. Wreszcie zameldowali, że wszystko jest w porządku.

Przyjrzała się im uważnie. Wyglądali na zmęczonych, byli też pewnie głodni.

- Komputer wykazał konserwowaną żywność w magazynie kuchennym. Kwatery azi znajdują się po drugiej stronie ogrodu, kuchnia w tym samym miejscu. Czy to wam odpowiada?

Kiwnęli głowami. Odesłała ich obu i zaczęła przeliczać zmiany czasu. Ona i Jim stracili obiad, a kolacja była spóźniona o kilka godzin. To wyjaśniało drzenie mięśni, jakie odczuwała. Po namyśle ruszyła za Ma-xem i Merry'm, by wspólnie szukać magazynu kuchennego.

Wojownik może się żywić słodzoną wodą. Będzie nawet zadowolony z takiego pożywienia. Dzięki swym szczególnym zdolnościom dopilnuje też, by nie zostali otruci.

iv

Jim jadł niewiele i w milczeniu, okazując pewną ulgę. Od rana był to pierwszy posiłek, którego nie wymiotował. Zauważyła jego podkrążone oczy i wzrok pełen roztargnienia, podobny do

tego, jaki przy końcu podróży widziała u załogi Klejnotu A.ndry.

Mimo wszystko wstał, by pozmywać naczynia. Nie była pewna, czy to jego własny pomysł, czy może przyzwyczajenie, którego nie potrafił przełamać.

- Zostaw - powiedziała.

Nie poszedłby z nią na górę, gdyby nie zatrzymała się, by go zawołać.

Za drugimi drzwiami, po prawej stronie na piętrze znajdowała się sypialnia. Jim sprzątnął tu dokładnie. Pokój był śliczny, nawet dla oczu Kontrin, z lekkimi meblami w kolorach białym i bladozielonym. W suficie umieszczono wielki świetlik, zalany deszczem i ukazujący zygzaki błyskawic.

- Niebezpieczne - stwierdziła i to nie z powodu błyskawic.

- Są ekrany - wyjaśnił wskazując wyłącznik.

- Zostaw. Nie ochronią nas przed zabójcą Kontrin, ale prawdopodobnie nic nam nie grozi od kogoś, kogo w krótkim czasie da się znaleźć na Istrze. Miejmy nadzieję, że nikt z Rodziny nie był na tyle przewidujący,7 by mnie wyprzedzić. Gdzie twój bagaż?

- W hallu - odparł niepewnie.

- Więc przynieś go.

Posłuchał i zajął się wykładaniem swoich rzeczy. Był wyraźnie zmartwiony. Przypomniła sobie, jak wyglądał w terminalu, zeszywniały, z

miotaczem w dłoni. Zdumiewające, że w ogóle złapał ten miotacz. Zabity strażnik, pomyślała. Okazja i desperacja.

Skończył, schował torbę do szafy i stanął obok drzwi.

- Nic ci nie jest? - spytała. - Na zewnątrz spaceruje Wojownik. Obok niego nic się nie przemknie. Nie masz się czym martwić.

Kwinał głową z zakłopotaniem, jakby nie wiedział, jak ma się zachować.

- Ten świetlik... nie przeszkadza ci? - pomyślała, że przecież nie jest przyzwyczajony do planet i kaprysów pogody.

Pokręcił głową, w taki sam sposób.

Położyła mu dłoń na ramieniu w geście uspokojenia. On także jej dotknął. Spojrzała mu w twarz, tym razem chłodną i trzeźwą. W jaskrawym świetle lamp tatuaż odbijał się wyraźnie. Oczy pozostały obojętne i nieobecne, bez wyrazu.

Opuścił dłoń, gdy nie zareagowała i nawet wtedy jego twarz nie zmieniła wyrazu. Potrafił odczuwać przyjemność, podobnie jak aprobatę lub jej brak. Przynajmniej tyle. Przeżywał wstrząsy i starał się reagować poprawnie, jak teraz, podczas gdy beta lub Kontrin przyznałoby się do zaniepokojenia.

- Dobrze się spisałeś - stwierdziła, czekając na reakcję, na ślad zadowolenia.

Ograniczona wrażliwość... Napłynęły podejrzenia, odpowiedzi, których nie chciała

zaakceptować. Zachowywał się poprawnie, po ludzku reagował na uczucia. Niektórzy z tego nie potrafili; prawdopodobnie Max i Merry okazaliby się zbyt tępi. Lecz nawet Jim, pomyślała nagle, nie zachował się pod wpływem wstrząsu tak, jak prawdziwy człowiek. Dotknęła go i on jej dotknął. Lecz mógł to być rodzaj tropizmu, jak odwracanie twarzy do słońca albo wyciąganie zmarzniętych rąk do ciepła.

Aprobata była lepsza od dezaprobaty.

Jak Lia. Lia także. Nie miłość, ale programowanie. Psychosety, tyle, że mniej kunsztownie projektowane od warunkowań bet. Zemsta bet, pomyślała z niechęcią. Wspaniały %art, %e wszyscy uczymy się ich kochać, gdy jesteśmy jes[^]c[^]e dziećmi.

Poczuła nienawiść. Dotknęła twarzy Jima i nie okazała jej.

A kiedy leżała, czując jego ciepło, w wielkim łóżu Mereka Elna, stwierdziła, że - pomijając wszelkie złudzenia - dobrze go mieć przy sobie. Był bardziej pewny siebie niż pierwszej nocy - nocy w kabinie Klejnotu, od której minął zaledwie jeden niewiarygodny dzień.

Natarczywie starał się być blisko niej, nawet przez sen. Uznała, że to wzruszające. Może była dla niego symbolem bezpieczeństwa, choćby świadomie myślał inaczej. Cokolwiek go ograniczało, był przy niej, żywy, pełen, jeśli nie naturalnego człowieczeństwa, to przynajmniej miłych tropizmów. Ktoś, z kim można

porozmawiać, umysł, jak zwierciadło odbijający jej myśli, opoka wśród f czerni.

Porzuciła te rozmyślania. Tu, na Krawędzi, rwały się wszelkie więzy. Leżała na plecach i przyglądała się własnej ręce, splecionej z ramieniem Jima. Burza ucichła i przez świetlik widziała gwiazdy: płonące oko Achernara i wszystkie, wszystkie maleńkie światełka.

Poczuła ciężar samotności Regionu tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu. Napłynęły wspomnienia statku z Zewnątrz, odlatującego w przestrzeń, obecności Obcych w tym domu.

Jak tam jest, zastanawiała się, gdzie ludnie nigdy się nie ^mienili? Czy może wszyscy podlegamy ^mianom?

Nagle zmieniła się jej perspektywa, jak gdyby niebo znalazło się na dole. Drgnęła. Jim poruszył się, na pół rozbudzony.

- Cii - szepnęła. - Śpij.

Zasnął z głową na jej ramieniu, szukając ciepła.

Tropizm. To my stworzyliśmy bety,

wykreowaliśmy wszystkie ich wiercenia, a oni nie chcieli żyć tak, jak postali zaprojektowani.

Musieli mieć a%t. Stworzyli ich i okaleczyli, by poprzez, porównanie wydać się sobie pełnymi ludami. Z czego okradliśmy bety?

I co oni zabierają azi?

Potrząsnęła Jima za ramię, by go zbudzić.

Mrugnął niepewnie w świetle gwiazd.

- Jim, może na Klejnocie. Andry był inny azi, może nawet więcej niż jeden, którego chciałbyś

mieć tutaj, przy sobie? Spojrzał zdumiony.

- Nie.

- Czy próbujesz chronić ich przede mną?

- Nie.

- Nie ma nikogo, przyjaciela, towarzysza, mężczyzny czy kobiety?

- Nie.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego samotnością, równie wielką jak jej własna.

- Wrogowie?

- Nie - zwykle nie, spokojne i chłodne. Może trochę zdziwienia. Uznała, że mówi prawdę i pogładziła go po głowie gestem, jaki zapamiętała od Lii, w Kethiuy, gdy była jeszcze dzieckiem.

Ona przynajmniej miała wrogów.

Jim nie miał nikogo. On i azi mająt, nagie stworzenia, poruszające się z błędnymi ognikami światła przez tunele kopca, byli braćmi. Nikt z nich nie był mniej ani bardziej ludzki.

- Jestem z niebieskiego kopca - wyszeptała to, czego nie powiedziała jeszcze żadnemu człowiekowi. - Najłagodniejszego z czterech jaźni mająt, ale jednak mająt. Sept Sul jest martwy, Klan Meth-marenów także. Mordercy. Jestem z niebieskiego kopca. Tylko to mi pozostało. Był taki starzec... sie-demsetletni. Widział Istrę, widział Krawędź, gdzie Kontrin nie przybywają. Majat zamieszkali tu dawno temu, lecz Kontrin nie chcą. Tylko on. I ja - przesunęła palcem wzdłuż linii jego ramienia i

choć myślami była gdzie indziej, z satysfakcją zauważyła umięśnienie. - Dziewiętnaście lat temu zmieniono pewne ograniczenia. Jak wiesz, nigdy przedtem ich nie zmieniano. Ktoś bardzo się starał, by ich nie zmieniano. Dziewiętnaście lat. Odwiedziłam każdy świat kopców w Regionie. Nie sprawiałam Rodzinie kłopotów. Nie z miłości, nie. Ale w Radzie zasiada stara kobieta imieniem Moth. Formalnie nie jest dyktatorem, ale naprawdę nim jest. Nie robi mi problemów. Nie robi nic. Zawsze to lubiła. A to, co rozluźniono dziewiętnaście lat temu, teraz dojrzało. Klany czekają. Czekają przez cały czas. Moth umrze któregoś dnia, niedługo, po czym nastąpi walka o władzę, jakiej Region jeszcze nie widział.

- Sera...

- Masz rację, niebezpiecznie tego słuchać. Nie mów do mnie sera. Wierzę, że masz dość rozumu, by siedzieć cicho, prawda? Ci azi w kwaterach na dole... nie ufaj im. Nigdy. Nawet Wojownicy widzą różnicę między wami, wiedząc, że dłużej jesteś ze mną. Jeśli już musisz komuś zaufać, to lepiej Wojownikowi.

Wprawdzie nie rozpozna twojej twarzy, ale zauważy, że należysz do niebieskich. Zaoferuje smak lub dotyk, tobie czy innemu niebieskiemu. Jutro ci pokażę, gdzie szukać znaków niebieskich. Musisz się tego nauczyć, a potem wytłumaczyć Maxowi i Merry'emu. Jeśli zaś będziesz miał jakiegokolwiek wątpliwości co do

majat, zabij go. Nie żartuję. Śmierć nie jest dla nich poważną sprawą. Wojownik zawsze wraca. Tylko człowiek nie.

- Dlaczego...? - pytanie w ustach Jima było rzadkością. - Dlaczego zaatakowali nas na lotnisku?

- Nie wiem. Przypuszczam, że chodziło im o Wojownika.

- Dlaczego?

- Dwa pytania jedno po drugim. Cudownie. Wracasz do równowagi.

- Sera?

- Raen - stuknęła go lekko pięścią, czując przyływ nadziei. - Mam na imię Raen. Mów do mnie Raen. Poradzisz sobie. Marnowałeś się na Klejnocie. Pamiętaj: musisz się nauczyć obchodzenia z bronią, wszystkiego, co potrafi ta para na dole i wszystkiego innego. Na pewno potrafisz się nauczyć. Jesteś do tego zdolny. Teraz śpij.

Nie zasnął, tylko przewracał się z jednego boku na drugi, nim wreszcie ułożył się z głową na jej ramieniu.

Poczucie bezpieczeństwa.

Stwierdziła, że dają je sobie wzajemnie.

KSIEGA SZÓSTA

Matka niebieskiego kopca Istry przyjęła smak i cofnęła się, poruszając szczękami. Trutnie uspokajały ją swoją pieśnią. Na chwilę przestała składać jajeczka.

- Inny kopiec - tchnęła i ściany Komory zadrżały od niskiego dźwięku. - Niebieski kopiec. Kontrin niebieskiego kopca. Meth-maren z Cerdina. Kethiuy.

Trutnie przysunęły się bliżej, dotknęły jej. Pochyliła głowę i podała smak najbliższemu. Ten przekazał go drugiemu, gdy Matka podała trzeciemu. Wiadomość płynęła niby podmuch wiatru, a wraz z nią budziła się pieśń. Z Komory rozszedł się niezwykle potężny impuls, a w całym Wzgórzu zamierał ruch. Robotnice i Wojownicy odwracali się, gdziekolwiek byli, kierując głowy w stronę Komory.

W sali jajeczek przerażone Robotnice wyczuły nieokreślone niebezpieczeństwo i zaczęły wznosić mury w korytarzach. Tylko one wykonywały w tej chwili jakąś pracę. Matka pochyliła głowę w stronę zdającego raport Wojownika. Ten po raz pierwszy od początku istnienia poznał trwogę Matki i włączył się znowu w jej przemiany biochemiczne, przeżywając reakcje Jej ciała, gdy wiadomość wirowała w płynach ustrojowych.

Inni stłoczyli się w pobliżu szukając zrozumienia. x

Nie byli zdolni do pełnej interpretacji. Każdy

rozumował na swój sposób.

W wiadomości była impresja ruchu, który zaczął się wiele cykli temu; słaby smak Cerdina, ojczystego świata. Umysł Pamiętał. Było tam małe wzgórze. Pamięć sięgała czasów sprzed przybycia ludzi, smakujących solą i szybko przemijających; czasów, zanim nappełniło się jezioro, zanim jeszcze wzniosło się wzgórze.

Mijały wieki. Umysł wirował w ekstazie od tego wspomnienia pamięci. Były rozstania, nowe królowe rodziły się z jajeczek wysyłanych na statkach, kopce mknęły ku niewidocznym gwiazdom przez dystanse, które Umysł pojmował tylko wtedy, gdy oczy mająt spoglądały na nowe źródło ciepła w niebiosach, odmienne typem, okresem i intensywnością; wtedy, gdy obliczenia mająt odkrywały kąty i odległości, a także złożoność przekraczającą zdolność rozumienia Umysłu i mistycyzm obcy procesom myślowym mająt.

Przestrzeń, ciemność i chłód.

Tam, gdzie nie było Umysłu.

Śmierć.

Wreszcie Umysł znalazł coś, dzięki czemu mógł pojmować śmierć i skoń-czoność światów, czas przed i po swym istnieniu. Zachwiał się pod tym zrozumieniem i wchłonał abstrakty.

Skończony, wedle miar ludzi, czas nagle nabrał znaczenia.

Umysł zrozumiał.

Umysł Kalindu... jego smak oszalał, a był w

**nim smak Andry, Merona, smak Cerdina, fali
zaczynającej się na Cerdinie i rozplywającej się
na zewnątrz: przemoc i wrogość. Destrukcja.**

Cerdin. Destrukcja.

**Wszelki ruch w kopcu zmarł. Nawet opiekunki
jajeczek znieruchomiały, sparaliżowane
ogromem wizji.**

Rozrost. Rozrost negujący śmierć.

**Umysł sięgnął na zewnątrz, gdzie nie było
kontaktu, gdyż zbyt wielkie dystanse
uniemożliwiały syntezę. Istniało tylko jej
pragnienie - zakłócenie biochemii kopca.**

**- Rzyko - poskarżył się Wojownik, gdy wyczuł
smak obecności Kon-trin i rzeź niebieskich,
zabójstwa posłańców.**

Nie mógł zrozumieć więcej, lecz kopiec potrafił.

**- Ona... - zaczęła Matka interpretując ponad
barierami typów. To była funkcja królowej, gdy
biochemia oddziaływała na innych poziomach. -**

Ona jest z kopca Meth-maren. Ona jest kopcem.

Jest Kethiuy. Jej Robotnice przybyły potem,

**zebrane z dziwnych kopców. To azi. Ona
smakuje niebezpieczeństwem, tak. Ale nie jest**

wrogiem niebieskich. Ocaliła posłańca z

Kalindu. Była na Meronie i Andrze, jej smak

jest w tych wspomnieniach. Była iv e wnętrzu

kopca na Cerdinie. Działała z Wojownikami,

przeciwko mająt, przeciwko ludziom. Czerwoni

z Istry... smakują nienawiścią do niej. Smak

Cerdina tkwi w pamięci czerwonych, smak ludzi

i śmierci niebieskich. Wielka rzeź. Tak. Ale

**jednostka Raen Meth-maren jest Kontrin
niebieskiego kopca. Była częścią Umysłu
Cerdina.**

**- Zagrożenie królowej - nie ustępował
Wojownik.**

**Lecz Trutnie, Pamiętając, śpiewały inaczej.
Matka niebieskiego kopca Cerdina żyła w
świadomości niebieskich Kalindu. I pieśń, w
której było Kethiuy i śmierć, dużo śmierci,
początek przemian. Przedwczesny.**

**- Meth-maren - przypomniła Matka,
przekazując informację do Umysłu. - Z
pierwszych ludzi. Przyjaciel kopca.**

**Wiadomość opanowała Ją i Matka przelała na
Trutnie swój wielki gniew. Umysł sięgał. Jego
cząstki rozciągały się daleko, rozrzucone poza
niewidzialne otchłanie gwiazd i czasu, który
nigdy przedtem nie miał znaczenia. Przestrzeń
istniała. Czas istniał. Synteza była niemożliwa.
Trutnie poruszyły się, muskając Matkę
czułkami, coraz bardziej niespokojne. Okręciły
się w lewo. Matka także się przesunęła. Oczami
Wojowników i Poszukiwaczy w dalekich
wyprawach na powierzchni spojrzała na
wschodzące słońce, nie alfę, ale betę Hydry.
Widziała je wśród ciemności kopca.**

**Trutnie przeszukiwały pamięć, okręciły się
dalej, pragnąc rozwiązania. Wykonały pełny
obrót, na nowo kierując się ku słońcu Istry.
Robotnice zmieniły orientację. Ruszyli
Wojownicy.**

Ruch zaczął się znowu, powolny i dostojny. Matka rzadko się poruszała, lecz teraz już dwukrotnie cały kopiec zmienił pierwotny kierunek.

Wojownik poczuł wezwanie Matki i szukał dotyku. Włączył się w Jej biochemię i zadrżał od potęgi wiadomości, którą otrzymał. Odwrócił się i pobiegł, łamiąc wzorzec Tańca.

Zbliżyła się Robotnica, otrzymała smak i także pomknęła z najwyższą szybkością, po drodze gorączkowo kontaktując się z innymi.

Taniec ustał. Robotnice i Wojownicy rozpierzchli się we wszystkie strony.

Trutnie śpiewały nadal przerywaną pieśń pełną dysonansów. Matka nie składała jajeczek.

Niezwykła ciecz spłynęła z Jej szczęk. Robotnice zebrały ją i przekazały Opiekunkom Jajeczek, które zaśpiewały skonsternowane.

W pamięci komputera czekała masa wiadomości: od Dain-Prosserty'ch, którzy nie tracili czasu; pytania od Rady ITAK; od ISPAK uprzejme pozdrowienia i wyrazy ubolewania, że nie została na stacji; z policji lista ofiar i najbliższych krewnych, o którą prosiła; z różnych przedsiębiorstw ITAK propozycje usług i prezentów.

Raen załatwiła część z nich. Wysłała formalne kondolencje do krewnych ofiar, razem ze zleceniem pokrycia kosztów pogrzebu i wypłacenia dziesięciu tysięcy kredytów

wszystkim osieroconym, z realizacją poprzez ITAK; uprzejme pozdrowienia do Rady; do Dain-Prosserty'ch zapewnienie, że jeśli pragną jakiegokolwiek licencji, ich wniosek zostanie pozytywnie rozpatrzony oraz sugestia, że w tej sprawie dyskrecja byłaby pożądana.

Zleciła wydruk pozostałych wiadomości i na pewien czas zapomniała o nich, wybierając spokojne śniadanie z Jimem. Max i Merry jedli w kwaterach azi, a Wojownik spożywał swe płynne delicje w ogrodzie. Jego stanowisko pozostawało niemal niewidoczne - ocienione miejsce pośród skał i kolczastych roślin, przykra niespodzianka dla intruzów.

Uznała, że może poświęcić trochę czasu na wypoczynek. Chociaż, odkładanie spotkania z ITAK niosło pewne ryzyko, ponieważ ci ludzie mogą działać irracjonalnie, gdy się zanadto zdenerwują.

Istniała też możliwość, że pewne grupy w Rodzinie trzymały tu agentów. A nawet, że ktoś mógł ją wyprzedzić. Powolny lot Klejnotu sprawił, że mieli dość czasu.

Zastanawiała się, czy po dwudziestu latach milczenia i posłuszeństwa nie posłać Radzie pozdrowień z Istry. Pomysł był zabawny, ale nie chciała zwiększać ciężaru, pod którym Moth zaczynała się już chwiać. Raen uznała, że w tej chwili nie leży w jej interesie wzmocnienie destabilizacji, drobnych drgnień zaczynających wstrząsać Regionem. Kontrin mogliby

zaatakować ją na Istrze. Nie zechcą jednak, pod żadnym pozorem, regulować dawnych porachunków pod okiem bet, zwłaszcza tutaj, pod oknem na Zewnątrz. Nie, w grę wchodziło jedynie delikatnie zaaranżowane morderstwo... a Moth, jak zwykle, spróbuje raczej powstrzymać się od działania, niby personifikacja entropii.

Nie wysłała żadnej wiadomości, postanowiła dopijając herbatę. Niech sami odkryją rozmiar swych problemów. Co do niej - ona już je miała, nie musiała nic odkrywać. Znalazła miejsce, gdzie mogła stanąć na własnych nogach, a jej ciekawość była chłodniejsza i bardziej obojętna, niż ich ambicje. Chciała

poznać bety i azi i przyjrzeć się cieniom, jakie Kontrin rzucali na ściany swego więzienia.

Jim skończył śniadanie, położył ręce na stole i spoglądał na pusty talerz między nimi. Tryb niewidzialności azi. Jeśli się nie poruszy, tak chyba myślał, ona przestanie go zauważać, a wtedy nie będzie jej przeszkadzać.

Zdumiewające było to, że taka strategia często odnosiła pożądany skutek. Przez całe życie widywała azi robiących coś takiego: z pełną świadomością wtapiających się w meble. Nigdy ich nie zauważała, dopóki nie nalegała, by posiedzieć z którymś przy stole, póki nie był jej potrzebny jako partner do rozmowy, a nawet czegoś więcej.

To coś, pomyślała, co warto %ac^ąć ^auwa^ać.

Wstała od stołu bez słowa, jakby także starała się być niewidzialna, po czym podeszła do komputera.

Kiedy jadła, wydruk urósł do ogromnej długości. Oderwała go i przejrzała. Znalazła zaproszenia od kilku wielkich spółdzielni rolniczych zarządzanych przez ITAK. Prosili o pilne i osobiste spotkanie. Jak widać pogłoski już się rozeszły. Część wiadomości pochodziła od ITAK na drugim kontynencie, niebanalnie zwanym Zachodem. Zwykle uprzejmości. Od ISPAK prośba, by wzięła udział w - jak to określili - pilnej naradzie. ITAK na Wschodzie potwierdzał z wdzięcznością odbiór przesłanej przed śniadaniem wiadomości i prosił, by zechciała zaszczycić obecnością spotkanie Rady w dowolnym wygodnym dla siebie terminie. Wiadomość podpisał niejaki ser Dain, prezes. Raen uśmiechnęła się nagle wspomniawszy serę Dain i jej męża. Jak widać, bety także miały swoją Rodzinę i Raen zaczynała się domyślać, jak przebiegają aliance i zależności w ITAK. Niewiele zatem zyska przekupując Prosserty'ego. To na Dain trzeba uważać.

Wreszcie trafiła na to, czego szukała: uprzejme pozdrowienia od ser Tal-lena z misji handlowej, przypomnienie nocnego spotkania i numer, pod którym można go znaleźć. Mieszkał w hotelu, prawdopodobnie jedynym, biorąc pod uwagę możliwości Nowej Nadziei.

Nadała tę samą odpowiedź do wszystkich oprócz

**Tallena: WIADOMOŚĆ PRZYJĘTA.
AKTUALNIE PLANUJĘ SWÓJ ROZKŁAD
ZAJĘĆ. DZIĘKUJĘ. R.S.M.-m.**

**I do Tallena: O DRUGIEJ W MOJEJ
REZYDENCJI. KRÓTKIE SPOTKANIE.
RAEN A SUL.**

**Powiadomiła o tym policjanta przy bramie;
wolała uniknąć możliwych nieporozumień.
Wiedziała, że informacja zostanie przekazana
do ITAK.**

**Następnie, pomijając automatyczną kontrolę,
połączyła się z rejestrem ITAK. Max i Merry
zostali formalnie przeniesieni do niej, a nawet
zaoferowani jako prezent kompanii. Odmówiła i
zapłaciła uczciwą cenę za ich kontrakty.**

**Zapasy... skorzystała z kilku miejscowych firm,
zamawiając wszystko, od żywności po sprzęt
elektroniczny w dużych ilościach, nie
przejmując się o problemy ekonomiczne
planety. Owoce, ziarno i cukier zajmowały
nieproporcjonalnie wysoką pozycję na liście
zakupów. Pilnujący jej agenci ITAK z
pewnością stracą głowę.**

**Do dziewięciu sąsiadów z Czwartego Kręgu
wysłała wiadomość z węzowym godłem Rodziny:
DO MOICH SĄSIADÓW: Z NAJWYŻSZYM
ŻALEM INFORMUJĘ, ŻE ZAMACH NA
MOJE ŻYCIE CZYNI KONIECZNYM
PODJĘCIE PEWNYCH ŚRODKÓW
BEZPIECZEŃSTWA. KJIĄG TEN MOGĄ
ODWIEDZAĆ NIEBEZPIECZNI GOŚCIE, A**

AKCJE PODJĘTE PRZEZ MOICH AGENTÓW MOGĄ PROWADZIĆ DO WTARGNIĘCIA NA TERENY SĄSIEDNICH REZYDENCJI. W TYCH OKOLICZNOŚCIACH NIE BIORĘ ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA ŻYCIE I MAJĄTKI SĄSIADÓW. GDYBY JEDNAK ZECHCIELI PRZEPROWADZIĆ SIĘ NA CZAS MOJEGO POBYTU NA ISTRZE, Z PRZYJEMNOŚCIĄ ODKUPIĘ POSIADŁOŚCI ALBO TEŻ WYNAJMĘ JE, UMEBLOWANE LUB NIE. ZGADZAM SIĘ NA KAŻDĄ ROZSĄDNĄ CENĘ I POKRYWAM WSZELKIE KOSZTA ZWIĄZANE Z CHWILOWĄ LUB STAŁĄ ZMIANĄ MIEJSCA ZAMIESZKANIA I PRZEPROWADZKĄ DO PORÓWNYWALNEGO KRĘGU, PLUS 5000 KREDYTÓW JAKO REKOMPENSATA ZA NIEDOGODNOŚCI. KONT' RA-EN A SUL HANT METH-MAREN, NR 47. OCZEKUJĘ ODPOWIEDZI.

Usiadła wygodniej, przymknęła oczy i odprężyła się. W mózgu pojawiły się pierwsze ciągi myślowe.

Kody Kontrin. Kontrin zbudowali i obsługiwali światowy komputer i in-terkomp. Bety także miały dostęp do niektórych danych i całą hierarchię pierwszeństwa. Dla Kontrin zastrzeżone było więcej danych, niektóre nawet przeznaczone dla pewnych Klanów czy tych,

którzy pracowali bezpośrednio z konkretnymi działami zarządzania na Alfie - na przykład z danymi o handlu, laboratoriach czy innych kwestiach szczegółowych, rozważanych w Radzie. Na tym polegała demokracja Rodziny: na tajności wyznaczającej pewnym Klanom pewne funkcje. To gwarantowało ciągłą niezbędność Rady. Meth-marenowie przyczynili się do budowy komputera Alfę na samym początku serią abstrakcyjnych prac dotyczących kilku teorii: logiki mająt, matematyki podzielonego umysłu kopca, zdolności tłumaczeniowej, biokompute-rów, a także nudnej mechaniki magazynowania i handlu z kopcami. Illitowie za to interesowali się ekonomią.

Każdy z Kontrin potrafił włączyć się w sieć światowego komputera, a nawet interkompu, by pobrać informacje o życiu bet. Dane o handlu nie były trudniejsze, zwłaszcza dla tych, którzy znali kilka prostych kodów: magazynowanie żywności, ilość statków w portach, licencje i podania o licencje. Wszystko to miało naturę statystyczną i było dość nudne. Niewielu Kontrin nie odpowiadających bezpośrednio za sprawy Klanu przejmowało się tym, Me ziarna wysłano do którego miasta.

Raen się interesowała. Hal Illit zrozumiał może, ile mu ukradła. Może to wstyd skłonił go do udziału w zamachu, choć nie miał żadnych doświadczeń w tej dziedzinie.

Trzeba przyznać, że był na ogół znakomitym nauczycielem.

A Eln-Kestowie, gdy porównała ich wypowiedzi z danymi statystycznymi, nie kłamali.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały jakieś szумы, brzęk naczyń. Jim osiągnął zapewne pełnię szczęścia robiąc to, do czego przygotowały go lata ćwiczeń. Hałas irytował Raen. Zwykle przeprowadzała pewne operacje w pamięci, teraz robiła to z trudem, czy to, z powodu zamyślenia, czy to hałasu. Musiała przerzucić obliczenia na boczne ekrany i sprawdzać je wizualnie.

Brzęk naczyń ustał. Przez chwilę panowała cisza, potem hałas zaczął się znowu. Tym razem było to przesuwanie mebli i odgłos kroków.

Rzuciła pisak, zaklęła i przeszła do hallu. Jim był tam; przestawiał właśnie jakąś rzeźbę.

- Ten hałas mi przeszkadza - oznajmiła. -

Staram się pracować.

Wskazał ręką pokoje dookoła. Raen zobaczyła, że są czyste, odkurzone, uporządkowane.

Pochwał, błagało jego spojrzenie i poczuła, że jej gniew się ulatnia. To był przecież jedyny powód jego istnienia na Klejnocie.

Taki był powód jego istnienia w każdym innym miejscu.

Odetchnęła głęboko i pokręciła głową.

- Proszę o wybaczenie - powiedział swym przytłumionym, jak zwykle, głosem.

- Weź sobie parę godzin wolnego, dobrze?

- Tak, sera.

Nie odchodził. Widocznie oczekiwał tego po niej, gdyż to ona miała gdzie pójść. Przypomniała sobie, jak się zachowywał przy śniadaniu, jak siedział nieruchomo, psychiczne zero...

potworne. Kogoś takiego próbowała z niej zrobić Rodzina.1 Raen nie mogła na to patrzeć.

- Na górze mam zestaw hipnostudyjny - poinformowała. - Wiesz, jak go używać?

- Tak, sera.

- Jeżeli nie możesz zapamiętać, to chyba zrobię taśmę, która będzie powtarzać tylko "Raen".

Chodźmy na górę. Sprawdzę, czy wiesz, co się z tym robi.

Poszedł za nią. Raen wskazała szafę i Jim posłusznie wyciągnął z niej zestaw. Sama poszukała fiołki w kosmetyczce i wyjęła tabletkę.

Jim bez kłopotów zmontował zestaw, choć niektóre szczegóły wyraźnie go zdziwiły. To normalne, typy zestawów różniły się między sobą. Dopilnowała, żeby prawidłowo podłączył przewody, po czym podała tabletkę, którą przełknął bez popijania.

- Rekreacja - stwierdziła i otworzyła brązowy pojemnik z taśmami.

- Zawsze możesz korzystać z zestawu. Nawet powinienes. Białe taśmy znakomicie się dla ciebie nadają - była pewna, że żaden azi nie przekroczy instrukcji. Nigdy takiego nie spotkała. Psychozet. Po prostu nie potrafili.

- Ale nie dotykaj czarnych, rozumiesz? Jeśli sama ci jakąś dam, to co innego, ale samemu ci nie wolno. Zrozumiałeś?

- Tak - odparł.

I wybrała mu właśnie kilka czarnych, produkcji Kontrin. Najdłuższa z nich była sztuką, dramatem z uczestniczeniem. Trochę oglądy kulturalnej może mu się przydać, pomyślała. Krótka taśma mówiła o Istrze. Włożyła je do czytnika.

- Znasz tę maszynę, prawda? Zdajesz sobie sprawę z ryzyka? Musisz się upewnić, że powtarzanie nie przekracza dwóch godzin. Kiwnął głową. Proszek zaczynał działać i J im nie nadawał się już do rozmowy. Nie potrafił się skoncentrować i kilka razy usiłował trafić w wyłącznik. Nacisnęła go sama.

Opóźnienie wystarczało, by zdążył zająć miejsce. Oparł się wygodnie, założył ręce na brzuchu. Oczy zaszły mu mgłą. Maszyna zaczęła pracować i Ra-en odniosła wrażenie, jakby każdy nerw jego ciała został nagle odłączony - J im opadł bezwładnie na fotel. Powinna już wyjść

- bez tabletki działanie maszyny denerwowało i nigdy nie lubiła patrzeć na kogoś w czasie hipno-studiów. Nie był to przyjemny widok: otwarte usta, od czasu do czasu jakieś niekontrolowane skurcze mięśni. Na wszelki wypadek raz jeszcze sprawdziła zegar. Funkcja powtarzania mogła posłużyć do samobójstwa; śmierć następowała w wyniku odwodnienia i

była tak przyjemna bądź tak straszna, jak taśma w czytniku. Tym razem była wyłączona, więc Raen odwróciła się i wyszła, zamykając pokój, w którym pozostał jedynie aparat i jego ludzki dodatek.

W pojemniku były wszystkie taśmy, jakich używała, od kiedy skończyła piętnaście lat i jeszcze kilka, które trzymała z sentymentu. Gdyby pognał je wszystkie, pomyślała, mógłby być mną. I zaraz roześmiała się głośno, myśląc o rzeczach, których nie było na taśmach, rzeczach wstrętnych i pełnych goryczy.

Śmiech ucichł. Raen oparła się o poręcz, uświadamiając sobie, że pora wrócić do spraw, które były ważniejsze. Trzeba się walczyć z kopcami, pomyślała schodząc na dół.

ni

Ab Tallen przyprowadził ze sobą starszą kobietę nazwiskiem Mara Chung i mężczyznę w średnim wieku, Bena Orrina. Wojownik okazywał w ich obecności wyraźną nerwowość - niepokoił go ludzie, których nie mógł dotknąć.

Równie nerwowo zachowywali się przy nim policjanci eskortujący Obcych do budynku.

Max podał drinki, gdyż Jim wciąż był na górze.

Raen przyjęła to z zadowoleniem, bowiem Max zupełnie dobrze odegrał rolę domowego azi.

Pilnie obserwowała Obcych, starając się dociec, na czym im zależy i co ich interesuje.

Zdawało się, że przede wszystkim osoba Maxa.

Ser Orrin nawet patrzył na niego wprost i gdy

tylko zdał sobie z tego sprawę, natychmiast zajął się swoją szklanką.

Raen uśmiechnęła się, pochwyciła spojrzenie Maxa i ruchem oczu odesłała go w neutralne miejsce za plecami.

- Seri - odezwała się, wykonując uprzejmy gest. - Witam was. Witam was serdecznie. Możecie być spokojni. Nie planuję żadnych pułapek. Wiem, czym się zajmujecie na Istrze, ale nie jest to dla mnie istotne.

Prawdopodobnie pewne osoby w Rodzinie chwilowo uznały waszą działalność za korzystną. Pomogła przecież rozwiązać problemy tej planety. Jak Region mógłby mieć do was pretensje?

- Gdybyś zechciała wyjaśnić, Kont' Raen, czym interesom służysz, jeśli wybaczysz to pytanie, wiedzielibyśmy, na czym stoimy.

- Ser Tallen, nie próbuję żadnej subtelnej rozgrywki. Po prostu jestem tutaj.

Zdecydowałam się nie zwracać uwagi na transakcje, jakich dokonujecie na Istrze.

Badanie ich nie przyniesie mi żadnych korzyści, a sprawi sporo kłopotów. Niektóre grupy w Rodzinie byłyby zadowolone z waszej działalności, inne rozwścieczone. Rada zajęłaby się tym problemem i trudno przewidzieć, do jakich wniosków by doszła. Co do mnie, nie interesuje mnie to. Kopce są nakarmione. To pierwsza wielka korzyść. Azi nie głodują. To druga. Dzięki temu Istra nadaje się do życia, a

ja teraz tu żyję. Jasne?

Na chwilę zaległa cisza. Tallen napił się i spojrzał na nią badawczo.

- Czy reprezentujesz kogoś?

- Jestem Meth-maren. Niektórzy nazywali nas władcami kopców. Nigdy nie lubiliśmy tej nazwy, ale oddaje ona istotę rzeczy. To właśnie reprezentuję, choć dla niektórych jest to sprawa dyskusyjna.

- Czy kontrolujesz mająt? Potrząsnęła głową.

- Nikt nie kontroluje mająt. Ktokolwiek wam to powie, będzie kłamał. Jestem pośrednikiem. Tłumaczem.

- Choć jest to kwestia dyskusyjna, jak powiedziałaś.

- Jak wspomniałam, seri, w Rodzinie istnieją frakcje. Możecie spotkać takich, którzy zaprzeczają wszystkiemu, co powiedziałam. Musicie sami podjąć decyzje i sami oceniać ryzyko. Zaprosiłam was tutaj między innymi dlatego, że chciałam wyjaśnić wszelkie wątpliwości, żebyście nie musieli pytać ITAK o sprawy, o które możecie spytać bezpośrednio mnie. Na pewno zastanawialiście się nad potrzebą utajnienia pewnych przedsięwzięć handlowych. Uważam, że nie warto tracić energii na ukrywanie faktów, które są dla mnie całkowicie nieistotne. Uważałam, że uprzejmie będzie was o tym powiadomić.

- Jesteś niezwykle bezpośrednia, Kont' Raen. Mimo to nie powiedziałaś ani słowa o powodach

swego przybycia.

- Nie, ser. I nie zamierzam - spuściła głowę i napiła się, łagodząc tym gestem szorstkość odmowy. - Wyznam, że bardzo mnie zaciekawiliście... wy i Zewnętrze. Ile jest tam planet?

- Ponad pięćdziesiąt wokół ludzkich gwiazd.

- Pięćdziesiąt... a nie-ludzkie? Czy znaleźliście takie poza Regionem? Tallen odwrócił wzrok. Rozczarował ją, choć chyba z żalem.

- To informacja zastrzeżona, Kont' Raen. Zakręciła płynem w szklance i zmarszczyła brwi. Myślała o Zewnętrzu i o statku ze stacji, lecącym właśnie tam.

- Zależy nam - stwierdził Tallen - na stabilności Regionu.

- W to nie wątpię - obserwowała z uwagą jego i parę towarzyszy. - Wątpię natomiast, czy zdołam odpowiedzieć na wasze pytania.

- Wysłuchasz ich? - a kiedy wzruszyła ramionami: - Kto rządzi? Kto decyduje o polityce? Kto dominuje, ludzie czy mająt?

- Rządzi Moth, decyduje Rada, ludzi i mająt dzieli natura.

- Mimo to tłumaczysz?

- Tłumaczę.

- I pozostajesz odseparowana?

- To, ser - odparła, po raz drugi tracąc opanowanie - pozostaje problemem - zmarszczyła brwi. - Jest jeszcze jeden powód, seri, dla którego was zaprosiłam. Mam nadzieję,

że zgodnie z prawdą odpowiecie na pytanie, które zadam: czy wśród transakcji, jakich dokonaliście wewnątrz Regionu jest taka, która wiązałaby się ze złamaniem kwarantanny? Czy... czy nie zapewniacie ucieczki obywatelom Regionu? Czy nie zgodziliście się uczynić tego w przyszłości?

Byli zaszokowani.

- Nie - oświadczył Tallen.

- Powtórzę, że sprawa ta jest dla mnie obojętna.

Nie, nie jest - wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Byłabym osobiście zainteresowana, bardzo zainteresowana zobaczeniem tego, co znajduje się poza Krawędzią. Ale to niemożliwe. Wyjście nie istnieje.

- Absolutnie. Jakkolwiek byśmy tego żałowali, nie moglibyśmy liczyć na tolerancję w tej sprawie.

- No cóż, dziękuję. Niepokoilo mnie to.

Uzyskałam odpowiedź i chyba wam wierzę. Z mojej strony załatwiliśmy już wszystko. Może spotkamy się towarzysko, gdy znajdziecie wolną chwilę.

- ' - Będzie to wyjątkowa przyjemność, Kont' Raen.

Skłoniła głowę i odstawiła szklankę, dając im tym samym znak do wyjścia. Nastąpiły jeszcze konieczne formalności, ściskanie rąk, pożegnalne uprzejmości. Osobiście odprowadziła ich do drzwi, pilnując, by

Wojownik się nie zbliżał, dopóki nie wsiedli do samochodu i nie zatrzasnęli za sobą drzwiczek.

- Max - zawołała. - Dopilnuj bramy. Sprawdź zabezpieczenia.

Okazał się nieco nadgorliwy i wybiegł tylko z wizjerem. Raen zaniepokoiła się lekko, gdyż słońce Istry nie było łagodniejsze niż Cerdina. Nowi azi. Zawsze nadmiernie usłudni. W pewien sposób byli gorsi niż domowy komputer. Samochód dotarł do bramy i odjechał. Max sprawdził zamki i ruszył z powrotem. Wojownik przebiegł w niewielkiej odległości, obserwując krytycznie wszystko, co się wydarzyło.

Max wszedł do budynku i czekał na dalsze instrukcje.

- Od tej chwili chroń się przed słońcem, kiedy wychodzisz - rzekła zirytowana i odesłała go. Spotkanie z Obcymi przyprawiło ją o depresję. Miała nadzieję na ihny wynik i - logicznie rozumując - nie wiedziała właściwie dlaczego. Zamknęła i uszczelniła drzwi, mrugając od nagłej zmiany oświetlenia. Obejrzała się. Na schodach stał Jim.

Wydawał się trochę roztargniony - normalne po hipnostudiach. Spędził na górze więcej czasu niż trzeba na przesłuchanie taśmy. Może usnął, co byłoby często spotykaną reakcją

- Nie powtarzałeś chyba taśmy? - spytała, wspominając z niepokojem gorliwość Maxa.

- Przesłuchałem ją kilka razy.

- Miałeś się tylko zrelaksować.

- Myślałem, że mam się jej nauczyć - wzruszył ramionami. - Czy jest coś, co mógłbym zrobić? Pokręciła głową i wróciła do pracy.

Przywieziono zakupy. Jim wyszedł razem z Maxem i Merry'm, by w czasie rozładunku przypilnować Wojownika. Najwyraźniej udało im się to bez większych problemów, "gdyż nic potem nie mówili. Sześciu sąsiadów przesłało wiadomości, że istotnie szukają aktualnie mieszkania w innym miejscu. Trzech milczało, a próby kontaktu spęły na niczym - zgłaszał się jedynie domowy komputer. Napłynęło kilka wiadomości od różnych grup, w tym ITAK i ISPAK.

W domu panowała cisza. Jim, gdziekolwiek był i cokolwiek robił dla zabicia czasu, nie dawał znaku życia. Pojawił się dopiero, by przygotować kolację, zjadł ją w milczeniu w towarzystwie Raen i zniknął znowu.

Porozmawiałyby z nim, ale była zaprzątnięta analizą wyników pracy z siecią i ryzykiem związanym ze zbyt głębokim wejściem w interkomp. Lekkie muśnięcia jednak nie dawały rezultatu wobec chronionych baz danych, uruchamiających alarmy przy zbyt natrętnych próbach dostępu. Na szczęście jej mózg nie miał żadnej blokady.

Czekał na nią o północy, kiedy wróciła do łóżka. Nawet wtedy nie miała nastroju do rozmów. Wyczuł to szybko i zaprzestał prób. Praca jednak zbliżała się do końca i na pewien czas

Raen mogła o niej zapomnieć.

Uczyniła to; Jim dostosował się z wdziękiem i chyba z zadowoleniem.

iv

Rano wstała sama, pozwalając Jimowi wyspać się do woli. Lęk, że jakaś pilna wiadomość, groźba, dowód zasadniczej zmiany sytuacji może czekać w komputerze, sprawił, że potykając się zbiegła na dół, zanim jeszcze do końca otworzyła oczy.

Znalazła tylko takie same wiadomości, jakie nadchodziły przez cały poprzedni dzień i noc. Przejrzała je jeszcze raz, wciąż nie chcąc uwierzyć w swe długotrwałe bezpieczeństwo. Kiedy przekonała się po raz drugi, odgarnęła włosy z oczu i przeszła do kuchni zrobić sobie filiżankę kawy. Kawa była jednym z Zewnętrznych luksusów, mimo groźby głodu tańszym tutaj niż na planetach centralnych. Istra z pewnością nie była zacofana, jeśli chodziło o rzeczy pochodzące z handlu z Obcymi.

Wypiła swoje śniadanie, patrząc zaspanymi oczami na ogród, widoczny za wysokim oknem kuchni. Ten dom miał zbyt wiele okien, zbyt wiele w[^]jść, a mury były o wiele za niskie, by chronić nawet przed ludźmi. Zaslaniały to, co działo się na zewnątrz, nie stanowiąc przy tym obrony, jedynie niewielką przeszkodę.

Wschodząca beta Hydry lśniła słabo przez

przydymione szkło. Promienie rozjaśniały ściany, a za murem, bardzo daleko, ukazywały ledwie widoczne kopuły innej dzielnicy Miasta, oddzielonej pasmem porośniętego krzakami stepu - kolejne zagrożenie. Pod murami zalegał głęboki cień. Słońce złoćło krawędzie skał, brzegi długich liści roślin, gałęzie kilku ogrodowych drzew, sękatych i poskręcanych tak, że zdawały się martwe, póki się nie zauważyło, że luźne łańcuchy zwisające wzdłuż pni to ich liście. Liana, za dnia leżąca między kamieniami niby zapomniany kawał brunatnego kabla, o świcie w cudowny sposób wypuściła liście. Podobnie inne rośliny zieleniące się i kwitnące w krótkim okresie umiarkowanego blasku i chłodu. W ciągu dnia ogród powracał do smętnej rzeczywistości. Tak samo działo się na Cerdinie. Eln

-Kestowie mieli oczy wyczulone na ogród, na istrańskie piękno. Nie sprowadzili modnych egzotycznych roślin z Kalinda, które zginęłyby pozbawione opieki. Te żyły i kwitły. Raen nie spodziewała się tak subtelного gustu po ludziach, których salon wyglądał tak, jak wyglądał. Pomyślała o delikatnej, biało-zielonej sypialni. Musiała ją projektować ta sama osoba, co ogród, ktoś bardzo nietypowy jak na betę. Wielki cień pojawił się za oknem i jej serce zamarło. To był Wojownik, a w każdym razie majat, chcący wejść do środka. Otworzyła drzwi, ściskając w kieszeni miotacz, ale to

rzeczywiście był tylko Wojownik. Usiadł na podłodze i otrząsnął się z rosy.

Trochę słodkiej wody zaspokoilo go aż nadto.

Pijąc śpiewał dla niej, a ona w podzięcie delikatnie głaskała czułki słuchowe.

- Inni idą - odezwał się po chwili.

- Inni niebiescy? Skąd wiesz, Wojowniku? Zabrział nutą języka majat.

- Umysł - przetłumaczył, prawdopodobnie niezbyt dokładnie.

- Więc niebieski kopiec jest blisko?

Poruszył się, nie przerywając picia, potem przesunął tułów.

- Tam.

Stał teraz głową skierowaną na zewnątrz centrum miasta poprzez czwarty krąg mieszkalny.

- Przyjdą stamtąd - poinformował, po czym znów się przesunął.

- Niebieski kopiec tam. Nasze Wzgórze.

A więc okrążą ósmą część gwiaździstej zabudowy miasta, po czym skręcą pod mury ogrodu. Majat potrafią biec bardzo szybko.

- Kiedy?

Oderwał się od słodzonej wody i wymierzył ciałem przyszły kąt padania promieni słońca, chyląc się głęboko w stronę wieczoru. Więc późno. Po zmroku.

- Ten-kopiec ma nadzieję, że zostaniesz z nami, Wojowniku. Znów zaczął pić.

- Ta-jednostka lubi słodycz. Dobrze, królowo

Kethiuy. Zaśmiała się bezgłośnie.

- Dobrze, Wojowniku.

Dotknęła go, budząc pomruk rozkoszy, po czym wróciła do swoich zajęć. Wojownik robi naturalnie to, co każe niepodatny na przekupstwo kopiec. Jednak będzie protestował przeciw zabraniu go stąd, a jego sprzeciw był nie mniej istotny niż jakikolwiek inny.

Kopiec reagował. Zajęła się pracą, ćwicząc jednocześnie koncentrację, lecz płonęła wewnętrznym ogniem: kopiec usłyszał ją, zaakceptował. Podejście poprzez Wojownika z Kalinda wywarło efekt.

Znowu znalazła utracony kontakt. Prawie dwadzieścia lat, wiele prób, aż wreszcie jedna udana. Miała teraz sprzymierzeńców, miała za sobą potęgę kopców.

Sytuacja zmieniła się diametralnie. Pobyt tutaj, na Krawędzi, przestał być aktem długotrwałego samobójstwa, ucieczką w miejsce, gdzie przeciwnicy nie potrafią łatwo jej doścignąć. Krąg się zamknął. Dostrzegła to nagle i zdumiała się przewidywalnością własnych działań. Po raz drugi uciekła" do kopca.

Nadeszła pora ataku.

Z inwentarza wynikało, że w domowym garażu stoi samochód, sprawny i gotowy do jazdy. Max i Merry, 'sądząc z ich papierów, potrafili prowadzić.

- Idźcie - poleciała im - i sprawdźcie osobiście. Nie

mam ochoty zawierzać komputerowi.

Wyszli. Miejski Bank Danych zaopatrzył ją w atlas, żałośnie cienki, ledwie kilka stron na całą zamieszkałą planetę. Nowa Nadzieja i Nowy Port były jedynymi miastami, Nowy Port istotnie mniejszy. Większa liczba ludzi zamieszkiwała jeszcze Przybrzeże, miasteczko będące centrum administracyjnym i handlowym dla posiadłości na północy. Kropki oznaczające pozostałą część populacji rozrzucone były po całej mapie, w pasach deszczu, na farmach, stacjach pomp, składach przy nieutwardzanych drogach. Większą część lądu na Istrze pokrywały białe plamy oznaczone napisem: Niezamieszkałe. Na wschodzie wznosiło się Wysokie Pasma, na zachodzie ciągnął się niewiarygodnie szeroki pas bagien nazwany Ryzykowny. Najwyraźniej Istranie mieli zwyczaj nadawania nazw, które wyjaśniały jednocześnie typ terenu. Obok kropek-farm Raen zauważyła liczby... 2, 6, 7. Takie same były obok składów, także obok miast, lecz sięgające 15896 przy Nowej Nadziei. Liczba ludności, pomyślała. Jest ich tak mało, że podają nawet ilości dwóch i trzech mieszkańców.

Trzy strony atlasu były planami miast, wszystkie zbudowane podobnie do Nowej Nadziei. Sama prostota: ośmioramienna gwiazda z kręgami mieszkalnymi wzdłuż ramion i niezabudowane trójkąty oznaczone dumnie

jako Parki.

Parki były niewątpliwie ambicją mieszkańców. W rzeczywistości za murem ciągnął się spieczony słońcem gąszcz krzaków i miejscowych drzew, nie znający ludzkiej opieki. Nowa Nadzieja miała kiedyś, w latach powstania, swoje marzenia... lecz brakło Kontrin, który pomógłby je urzeczywistnić. Nikt nie wprowadził ulg podatkowych, żadne fundusze nie wzmocniły ekonomii planety, nie ulepszyły jej, nie rozwijały sztuki.

Większość kręgów budowli składała się z magazynów, a dwa najbliższe portu ramiona miasta nie miały w ogóle innych budynków. Istniały miejscowe zakłady, produkujące głównie potrzebny na miejscu sprzęt rolniczy, lekką broń, odzież, artykuły żywnościowe. Były usługi i administracja, bloki mieszkalne zwykłych bet, apartamenty klasy średniej, a jedno ramię zajmowały wyłącznie ^ekskluzywne kręgi rezydencji, takie jak krąg 4, w którym stał jej dom. Najwyżsi urzędnicy ITAK mieszkali w kręgu i, najniżsi w kręgu 10. Hotel, gdzie mieszkali Obcy, stał w drugim kręgu ósmego ramienia, zaś biura ITAK mieściły się w samym środku, w kręgu zero.

Warto zapamiętać, pomyślała Raen.

Na górze trzasnęły drzwi, potem usłyszała ciche, niepewne kroki. Sprawdziła czas - zrobiło się późno.

W ciemnym ekranie zobaczyła odbicie stojącego

w drzwiach Jima. Odepchnęła się nogą i odwróciła fotel w jego stronę.

- Wyspałeś się dzisiaj - stwierdziła z uśmiechem.

- Nie, sera.

Odetchnęła głęboko, puszczając mimo uszu to sera.

- Więc co? Chyba nie bawiłeś się znowu taśmami?

- Nie zapamiętałem ich zbyt dobrze. Dlatego przesłuchałem jeszcze raz.

- To zabawa. Chciałam, żebyś się trochę rozerwał. Może przy okazji czegoś nauczył.

- Próbuję się nauczyć, sera. Potrząsnęła głową.

- Nie przemęczaj się. Chciałam tylko, żebyś miał jakieś zajęcie.

- Co podać na obiad, sera?

- Raen. Cokolwiek. Przygotuj coś. Mam jeszcze trochę pracy. Skończę za pół godziny.

Powinniśmy tu mieć jakąś służbę. Nie chcę, żebyś pracował jako kucharz.

- Na statku pomagałem czasem w kuchni - odparł.

Nie odpowiedziała. Jim wyszedł; w szybie ekranu zobaczyła, że natknął się na Wojownika.

Chciała wstać, by interweniować, lecz ku jej uldze dostrzegła, że Jim z własnej inicjatywy i bez lęku dotknął majat. Wojownik zaśpiewał cicho pieśń kopca, dziwnie brzmiącą w ludzkim mieszkaniu. Płynęła za Ji-mem do kuchni.

- Słodka woda - usłyszała jeszcze głęboki głos majat, a potem pełen zadowolenia pomruk.

Samochód okazał się sprawny. Raen spojrzała na ulicę uciekającą za barwną szybą, po czym oparła się wygodnie. Merry prowadził z wyraźną przyjemnością. Max i Wojownik, po odebraniu ścisłych instrukcji na temat siebie nawzajem i ewentualnych intruzów, pilnowali domu i ogrodu. Nie chciała jednak zostawiać Jima na łaskę przypadku i umiejętności'strażniczych Maxa. Teraz jechał na tylnym siedzeniu kosztownego wozu Eln-Kestów. Kiedy się obejrzała, z zaciekawieniem wyglądał przez okno.

Dobrze sobie rad[^]i % tyloma nowymi sprawami, pochwaliła go w myśli. Nawet bardzo dobrze. Uśmiechnęła się lekko, po czym spojrzała przed siebie, gdyż samochód zjechał z rampy do tunelu i trzeba było podać Merry'emu adres.

- Odgałęzienie D, krąg 5 - poleciała, gdy Merry płynnie wjechał na szlak do centrum.

Zaprogramowany samochód nabrał szybkości. Jakiś nie pasujący tu kształt przemknął za oknem po stronie Merry'ego. Raen obejrzała się. Wzdłuż przezroczystych ścian odgradzających chodnik poruszały się postacie na sztywnych odnóżach.

Tunele. Naturalna rzecz dla majat przyzwyczajonych do podziemi. Ale przecież widziała również przechodniów beta i żadnych oznak paniki.

- Merry, czy majat mają tu wolny wstęp?

Wchodzą i wychodzą, kiedy mają ochotę?

- Tak - potwierdził.

Przez chwilę chciała połączyć się z domem i ostrzec Maxa, ale Max i Wojownik zostali już ostrzeżeni. Nie warto przekazywać informacji, którą Max na pewno znał. Zawsze grozi jakieś niebezpieczeństwo i zawsze groziło. Usiadła spokojnie krzyżując ręce na piersi.

Obserwowała szeroką rurę tunelu i światła migające za oknami coraz szybciej i szybciej.

- Więc mająt chodzą swobodnie po całej Nowej Nadziei, a bety się z tym godzą?

- Tak, sera.

- Pracują bezpośrednio dla bet? - ta możliwość dziwiła ją, a nawet napelniała niesmakiem.

- W niektórych miejscach tak. Głównie w fabrykach.

- Dlatego nikt w porcie nie zdziwił się obecnością Wojownika. Przyzwyczaili się. Jak długo, Merry, jak długo to już trwa?

Azi wpatrywał się w drogę przed sobą.

Kwadratowa twarz zdradzała napięcie, jakby temat rozmowy wprawiał go w zakłopotanie.

- Pół roku... z początku wybuchała panika. Już nie. Kopce nie przeszkadzają ludziom. Majat chodzą jedną stroną chodnika, ludzie drugą. Są znaki cieplne.

Czerwoni, czerwoni, próbował jej powiedzieć Wojownik. Chodzą tu, chodzą tam. Czerwoni naciskają.

- Który kopiec, Merry? Czy któryś częściej od

innych?

- Nie wiem, sera. Nie wiedziałem, że widać jakąś różnicę, dopóki mi nie pokazałaś. Będę uważał - zmarszczył czoło wyraźnie zmartwiony. Nie był tak ograniczony, jak zdawało jej się na początku. - Ludzie nie lubią, kiedy przychodzą do miasta, ale nie zwracają na to uwagi.

Raen przygryzła wargę, chwyciła się fotela, gdy wóz wchodził w zakręt, dostrzegła na chodniku więcej majat. Krążyli leniwie w wielkim ulu Centrum.

Byli też ludzie w płaszczach i solskafach, wskazanych tutaj ze względu na wysoką temperaturę planety. Dwójkami chodzili uzbrojeni policjanci - ludzie ITAK. ITAK był wszędzie.

Skręcili znowu. D, wskazywały znaki.

Więcej majat.

Majat, w codziennym kontakcie z betami... z umysłami-które-umierały. Kiedyś majat unikali takich spotkań, nawet tych, w których wyniku otrzymywali azi. Chcieli działać jedynie za pośrednictwem Kontrin. Śmierć niepokoiła majat - nie śmierć azi, gdyż ta nie miała znaczenia, podobnie jak śmierć pojedynczych majat. Ale bety były zawsze przez nich uważane za indywidualne świadomości i ze zgrozą unikali ich obecności, niezdolni do przyswojenia koncepcji burzących ich rozumienie świata. Teraz chodzili spokojnie i bez lęku pośród umysłów-które-umierały.

**Poczuła dreszcz i jakby cień zrozumienia.
Z rosnącą szybkością mknęli środkowym pasem
szlaku D, aż światła uliczne rozmyły się za nimi
w jasne pasmo.**

**Nagle skręcili na pas wolnego ruchu, hamując i
kierując się do rampy wjazdowej kręgu 5.**

**Merry przejął ręczne sterowanie i wjechał w
ocieniony plac bez samochodów i pieszych.**

**Wielki obszar otaczały wielopiętrowe,
pochylone do wnętrza budynki, z zewnątrz
tworzące pewnie jedną z wielkich kopuł. Osłona
wierzchołka przepuszczała dość światła, by w tej
otoczonej filarami studni nie było ciemno.**

**Podjechali do głównego wejścia, gdzie szklane
drzwi i białe ściany sprawiały wrażenie
pozbawionej ciepła funkcjonalności. Nad
wejściem widniał napis: BIURO PRACY. 50-D
ITAK.**

**Raen zastanowiła się, czy zostawić obu azi w
samochodzie, lecz uznała, że nie będzie to
rozsądne.**

**- Merry - powiedziała. - Nie sędzę, żeby ktoś nas
tu niepokoił. Przykro mi, że będzie ci gorąco, ale
zostań w wozie i zablokuj drzwi i okna.**

**Zachowuj spokój, ale jeśli zajdzie potrzeba,
strzelaj. Chcę, żeby ten samochód był na
miejscu, kiedy wyjdziemy. Co dziesięć minut
połączysz się z Maxem i sprawdzisz, czy w domu
wszystko w porządku. Tylko żadnych rozmów.**

Rozumiesz?

- Tak.

Wysiadła i skinęła na Jima. Poszedł za nią, pozostając demonstracyjnie o pół kroku z tyłu. Zwolniła i dogonił ją. Razem weszli do hallu budynku.

Panował tu nienaturalny spokój, korytarze były puste, nikt nie siedział za biurkami.

Klimatyzacja działała aż za dobrze, a w powietrzu unosił się lekki zapach papieru i środków antyseptycznych.

- Czy to miejsce cię niepokoi? - spytała Jima. Martwiła się o to, lecz wiedziała, że nawet pozostawienie go przy drzwiach łączy się z pewnym ryzykiem.

Zaprzeczył. Spojrzała w głąb korytarza, dostrzegając światło palące się w jednym z gabinetów. Ruszyli wolno w tym kierunku. Ich kroki odbijały się echem w pustym budynku. W gabinecie czekał mężczyzna. Najwyraźniej usłyszał, że nadchodzą i wstał. Pokój, choć urządzony nowocześnie, był z lekka zaniedbany, na biurku leżały stosy papierów. Na drzwiach wisiała tabliczka DYREKTOR.

- Ser - odezwała się Raen.

Przyjrzał się im uważnie, zamrugał i zdawało się, że nagle pojął sytuację, gdyż jego twarz z rumianej stała się trupio blada. Nieczęsto spotykał Kontrin w Barwie Klanu i mężczyznę w nieskazitelnym kostiumie noszonym na wewnętrznych planetach, ze znakiem azi na twarzy.

- Sera...

- Rozumiem - rzekła Raen - że można tu zakontraktować liczny personel.
- Posiadamy kontrakty, sera. Tak.
- Dużą ilość kontraktów. Proszę mnie oprowadzić, ser...
- Itawy - szepnął.
- ...Itawy. Po całym przedsiębiorstwie. Niewysoki beta, siwy i łysiejący, zdawał się być całkiem zagubiony.
- Moje biuro... nie powinienem...
- Nie wydaje się, by męczył cię natłok interesantów, ser. Cała instytucja, piętro po piętrze, pełny proces, póki mi się nie znudzi. Itawy skinął głową i wyciągnął rękę w stronę przełącznika interkomu na biurku. Raen postąpiła o krok, położyła mu na ramieniu swą okrytą chityną dłoń i wolno pokręciła głową.
- Nie. Jestem pewna, że potrafisz nas oprowadzić. Cicho. Spokojnie. By nie przeszkodzić nikomu w normalnej pracy. Czy masz coś przeciw temu, ser?

vi

Biuro Pracy było labiryntem krętych korytarzy o białych ścianach, zupełnie identycznych. Przyciski w windach wskazywały na podziemia do piątego poziomu w dół. Raen pamiętała, że budynek miał co najmniej dwadzieścia pięter, choć windy sięgały tylko do siódmego, zapewne z powodu zakrzywienia kopuły. Mijali szeregi sal, przez które ser Itawy prowadził ich na pozór bez celu. Przeszli obok drzwi z napisem:

BIBLIOTEKA. DZIAŁ I. POZIOM L WSTĘP TYLKO ZA OKAZANIEM CZERWONYCH KART.

Sama nie wiedziała, czego właściwie szuka. Rozumiała tylko, że ten budynek powinien być zatłoczony ludźmi robiącymi tu interesy. Tymczasem widziała puste biurka i milczące sale.

Itawy wprowadził ich wreszcie do windy, którą wjechali na trzeci poziom, do identycznych sal. Tym razem jednak znaleźli tu ludzi. Technicy w szarych fartuchach zatrzymywali się zdumieni, widząc tak niezwykłych gości; biało ubrani aż schodzili im z drogi, by po chwili wrócić do sprzątanania czy popychania wózków. Itawy prowadził dalej.

- Mam dość tego bezcelowego spaceru - oświadczyła Raen. - Co chcesz nam pokazać, ser? Jeszcze więcej drzwi?

- Dostępne kontrakty, sera.

Raen szła w milczeniu obserwując tabliczki nad drzwiami, szukając jakiegoś źródła informacji. Co pewien czas od korytarza odbiegała odnoga, zawsze w prawo, zawsze tej samej długości, zakończona ciężkimi, zamkniętymi wrotami z napisem: WSTĘP TYLKO DLA POSIADACZY CZERWONYCH KART.

Zatrzymała się i wskazała wrota.

- Co tam jest, ser Itawy?

- Przechowalnie - wyjaśnił z zakłopotaniem. -

Jeśli pozwolisz, sera, przejdziemy do mniej nieprzyjemnych oddziałów...

- Otwórz te drzwi. Chcę zobaczyć.

Itawy z nieszczęśliwą miną podszedł do drzwi, wyjął swoją kartę i odblokował zamek.

Za wrotami były drugie, takie same. Cała trójka stanęła w wąskiej przestrzeni między nimi, zewnętrzne wrota zamknęły się z echem zaskakujących zamków. Itawy wsunął kartę w otwór drugich drzwi. Poczuli jakiś zapach w powietrzu, przed nimi otworzyła się przestrzeń wypełniona blaskiem lamp i szarością betonu, pajęczyną pomostów.

Zapach pochodził od środków antyseptycznych zmieszanych jeszcze z czymś. Itawy zbyt wyraźnie okazywał, że chętnie zamknąłby wrota, pozwalając gościom tylko na to krótkie spojrzenie. Raen jednak z uporem ruszyła naprzód, popychając Itawy'ego przed sobą - nie pozwoli, by jakiś beta mógł zatrzasnąć jej drzwi za plecami. Rozejrzała się.

Beton wilgotny od antyseptyków; zapach ludzi i odchodów.

Klatki. Jasno oświetlone betonowe klatki bez drzwi, w każdej strzęp materaca i człowiek, niby larwa w komórce plastra. Pięć kroków na pięć, może nawet mniej; bez drzwi, bez korytarzy między klatkami. Jedynie kratownica pomostów u góry i drabinki, które - po opuszczeniu - pozwalały tym ludziom wyjść, tylko kilku jednocześnie.

Ciąg klatek zniknął przesłonięty krzywizną kopuły daleko, daleko przed nimi. Ponurym echem odbijały się kroki stawiane na stalowych siatkach. Na dole ludzie podnosili głowy i przyglądali się im bez większego zainteresowania.

Raen rozejrzała się czując mdłości i z pełną świadomością wciągnęła w płuca cuchnące powietrze.

- Czy kontrakty tych tutaj są do nabycia?

- Wyłącznie do użytku planetarnego.

- Nie macie licencji eksportowej?

- Nie, sera.

- Jak rozumiem, spora liczba azi została skonfiskowana na farmach. Lecz ich kontrakty będą trudne do przejęcia. Gdzie ich umieszczono? Tutaj?

- Mamy przechowalnie w terenie.

- Równie dobrze wyposażone jak ta?

Itawy nie odpowiedział. Raen wyobraziła sobie, jakie przechowalnie może Wybudować przyciśnięta do muru rządząca korporacja, w pośpiechu, w słabo zaludnionym terenie. To, co widziała przed sobą, przez porównanie można by pewnie uznać za luksusowe kwatery.

- Wszyscy jednak są zmagazynowani -

stwierdziła. - Czy to właściwe słowo?

- W zasadzie... - szepnął Itawy.

- Czy nadal produkujecie azi w tym samym tempie?

- Sera, gdybyś zechciała spytać w Centrum

ITAK... nie znam powodów...

- Twoja wiedza jest wystarczająca, ser Itawy. Odpowiedz na moje pytania. Zapewniam, że niczym nie ryzykujesz.

- Nie wiem o żadnych zmianach. Nie mam kontaktu z embrioniką. Mają oddzielną administrację, po drugiej stronie, numer 51. Do Biura przychodzą dopiero po sześciu latach. Ilość przybywających się nie zmniejsza. Nie sądzę... nie sądzę, by zaszła jakaś zmiana. Otrzymaliśmy polecenie produkować.

- Z jakiego źródła?

- Licencja Kontrin, sera - odpowiedział chrapliwym szeptem urzędnik. - Prosiłmy o skromne zwiększenie ilości. Otrzymaliśmy licencję na czterokrotnie więcej.

- Mimo, że nie mieliście zezwolenia Kontrin na ich sprzedaż, kiedy ukończą osiemnaście lat. Normy eksportu nie zostały zmienione.

- Mieliśmy nadzieję, sera, że otrzymamy licencję, gdy nadejdzie czas. Składaliśmy prośby. Nawet prośby o zgodę na likwidację. Tego też nam nie wolno. Posiadłości są zatłoczone powyżej wszelkich granic. Powinni zwracać nam azi po upływie roku, w celu szkolenia. Lecz teraz... teraz pracują głównie po to, by wyżywić własnych pracowników... boją się, nie chcą ich oddać, ani stałych robotników, ani sezonowych - Itawy otarł czoło. -

Wstrzymują dostawy żywności, by utrzymać siłę roboczą. Nic nie dociera do magazynów. Nasza

żywność. Żywność dla stacji. ISPAK groził odcięciem energii, jeśli farmy nie zmienią postępowania, ale ITAK... przemówił im do rozsądku. Taki krok nie powstrzymałby farmerów. Mają własne kolektory, własną energię. I nie oddadzą azi.

- Czy są zorganizowani? Beta pokręcił głową.

- To wieśniacy. Ślepi, tępi wieśniacy. Trzymają azi, gdyż to ich siła robocza i sposób

przetrwania, gdyby ISPAK spełnił swoją groźbę.

Farmy zawsze były elementem procesu:

wysyłaliśmy tam azi pod koniec szkolenia,

potem odbieraliśmy tych, których

kontraktowano dla wyspecjalizowanych zadań.

Korzyść i dla azi, i dla farmerów. A teraz, sera, farmy chcą zerwać współpracę.

- Nie wydaje się, by byli ślepi, ser Itawy. Jeśli dojdzie do walki, oni mają ludzi.

- Azi.

- Uważasz, że nie chcieliby walczyć?

Pełna szacunku postawa -bety nie pozwoliła mu na uczciwą odpowiedź, choć miała wrażenie, że nie jest do końca przekonany.

- Nie wierzę, by nie porozumiewali się ze sobą w tej sprawie - stwierdziła Raen. -- Przecież wszyscy postępują tak samo. Prawda?

- Nie wiem, sera.

- Tylko na Wschodzie, czy Zachód także? Itawy zwilżył wargi.

- Myślę, że wszędzie.

- Bez organizacji. Bez planu ratowania się przed

głodem.

- Podjęto nowe prace irygacyjne. Rzeka... która zaopatruje w wodę Nową Nadzieję... jest zagrożona. Oni poszerzają...

- Bez licencji?

- Bez licencji, sera. ITAK protestuje, ale nic nie możemy zrobić. Walczą między sobą. Biją się o ziemię i wodę. Istnieją... - otarł kark z potu. - Zdarza się, że dwóch czy trzech farmerów zbiera się razem. A azi... włóczą się tam. Oni handlują, ci farmerzy.

- Handlują?

- Między sobą. Sprzętem. Azi. Przenoszą ich z miejsca na miejsce.

- Jesteś pewien?

- Tak twierdzi policja. Na niektórych farmach jest więcej azi, niż tam posłaliśmy.

Raen spojrziała na ciągnące się jak okiem sięgnąć cele.

- Broń? - spytała.

- Farmerzy zawsze ją mieli.

Ruszyła wolno przed siebie. Pod nią przesuwały się maleńkie komórki. Sufit zdawał się ją przygniatać. Wszystko było szare i czarne, a lampy płonęły białym światłem. Żadnych kolorów, jedynie ubrani na szaro ludzie.

- Dlaczego są izolowani? - spytała nagle. - Dla bezpieczeństwa?

- Każdy jest szkolony inaczej. Przypadkowe kontakty mogłyby utrudnić proces specjalizacji.

- Trafiają tu w wieku sześciu lat? Czy cele

najmłodszych różnią się czymś? Beta nie odpowiedział. W końcu wzruszył ramionami.

- Pokaż mi - poleciła Raen.

Itawy poprowadził .korytarzem. Pod nimi odsłaniały się wciąż nowe klatki. Cały kompleks zdawał się nie mieć końca. Nie dostrzegała żadnych ścian, żadnych granic, jedynie centrum, gdzie zbiegały się pomosty - olbrzymią, betonową ciemność w blasku reflektorów.

- Czy kiedykolwiek opuszczają to miejsce? - spytała Raen, gdy szli nad komórkami, odprowadzani rzadkimi spojrzeniami tych na dole. - Czy nie potrzebują gimnastyki?

- Są odpowiednie możliwości - odparł beta. - Ćwiczą na zmianę.

- A fabryki? Czy pracują w fabrykach?

- Ci, którzy są do tego szkoleni - być może Itawy wyczuł jej irytację, gdyż dodał pośpiesznie: - Sześć godzin w fabryce, dwie godziny gimnastyki, dwie hipnostudiów. Robimy co tylko możemy w tych warunkach, sera.

- Co z dziećmi?

- Azi się nimi opiekują.

- Na zmiany? Sześć godzin, potem dwie gimnastyki?

- Tak, sera.

Ich kroki odmierzały długość pomostu.

- Ale nie posyłacie ich już na farmy? Z każdym tygodniem macie ich coraz więcej i nie możecie ich przenieść.

- Robimy, co tylko można, sera.

Dotarli do środka, do windy. Itawy otworzył drzwi swoją kartą i weszli do środka. Itawy wcisnął siódmkę i kabina z ostrym szarpnięciem skoczyła w górę. Wyszli na siódmym poziomie. Trzask zamków i zgrzyt zawiasów odbijał się echem w pustce.

Poza tym panowała cisza.

Wszystkie te poziomy, zaczynała pojmować Raen, były identyczne: nie kończące się szeregi komórek, piętro po piętrze, takie same. Siedem ponad 'ziemią. Pięć poniżej. I cisza. Ogromna przestrzeń, wszystkie cele, wszyscy ci ludzie i żadnego głosu.

Itawy poprowadził ich pomostem na zewnątrz. Raen spojrzała w dół. Tu były dzieci, sześć, siedmioletnie dzieci. Zwrócone w górę twarze wyrażały lekkie zainteresowanie, nic więcej. Żadnych zabaw, żadnych rozrywek. Siedziały albo leżały na materacach. Identyczne szare kombinezony, identyczne ogolone głowy i poważne twarze. W tym wieku nie dało się nawet rozpoznać płci.

Nikt się nie śmiał, nikt nie płakał.

- Boże - szepnęła ściskając poręcz. Itawy zatrzymał się. Nagle zapragnęła wyjść.

Obejrzała się. Jim stał przy poręczy i patrzył w dół. Chciała zabrać go z tego miejsca, natychmiast. Szybko.

- Czy na tym poziomie jest wyjście? - spytała doskonale spokojnym tonem. Itawy wskazał ręką kierunek. Raen ruszyła za nim powoli.

Słyszała, że Jim idzie także.

- Jaka jest średnia cena kontraktu? - zapytała.

- Dwa tysiące.

- Nie można przecież tak obniżyć kosztów produkcji.

- Nie - przyznał Itawy. - Nie można.

Droga trwała długo i Raen nie potrafiła wymyślić niczego, co mogłoby przerwać ciszę. Nie mogła przyspieszyć, zdradzić swoich uczuć, zaniepokoić i przestraszyć bety. Nie mogła też obejrzeć się na Jima. Nie chciała.

Dotarli do drzwi, takich samych jak na trzecim poziomie, minęli je i znaleźli się znowu w sterylnie czystych korytarzach wypełnionych blaskiem lamp i świeżym powietrzem bez zapachu. Raen oddychała głęboko raz za razem.

- Widziałam to, co chciałam zobaczyć - oznajmiła. - Może teraz wrócimy do pańskiego gabinetu.

Zawahał się, jakby chciał o coś zapytać, ale zrezygnował. Zjechali windą na parter i przeszli do biura. Itawy sprawiał wrażenie zmartwionego. Raen nie próbowała go uspokajać.

Odezwała się dopiero wtedy, gdy znowu stali w gabinecie bety.

- Mam posiadłość - oświadczyła. - Bezsensownie pozbawioną służby. Do tego problemy ochrony, które wcale nie są zabawne. Ile kontraktów można tu nabyć?

Twarz Itavy'ego zaczęła się zmieniać.

- Z pewnością dość, by zaspokoić twoje potrzeby, Kontrin.

- Korporacja nagradza ludzi zależnie od zysków osiągniętych w ich dziale, zgadza się? Wszystkie te puste biurka... to nie jakieś lokalne święto, prawda?

- Nie, sera.

Beta zajął miejsce za biurkiem, a Raen usiadła w fotelu. Skinęła na Jima, by usiadł obok niej.

- No więc, ile można nabyć kontraktów na personel wartowniczy? Beta sprawdził na komputerze.

- Wystarczającą ilość, sera.

- Ile dokładnie?

- Dwa tysiące czterdzieści osiem, sera.

Dziewięćset osiemdziesięciu dwóch mężczyzn, reszta kobiety. Tysiąc czterech poniżej trzydziestu lat, reszta powyżej.

- Wliczając w to skonfiskowanych azi, czy tylko tych w tym budynku?

- W tym budynku.

- To bardzo dużo.

- Nieproporcjonalnie dużo, sera.

- Gdzie zwykle trafiali?

- Do urzędów korporacji. Na farmy... to trudny teren.

- A więc spora liczba tych uwikłanych kontraktów pozostających poza miastem także będzie miała przeszkolenie obronne?

- Pewna ilość na pewno tak, sera.

Oczy Itavvy'ego płonęły gorączkowo, wargi mu

drżały. Mamrotał coś niewyraźnie. Raen obserwowała go spod oka, wreszcie skinęła głową.

- Kupuję - rzekła. - Wszystkie dwa tysiące czterdzieści osiem kontraktów. Potrzebuję też solskafów i broni ręcznej. Mam nadzieję, że urząd, który wysyła strażników, wysyła ich gotowych do pracy.

Zwilżył wargi.

- Tak, sera, choć niektórzy nabywcy dysponują własnymi mundurami i sprzętem.

- Poradzicie sobie.

Wstała i przespacerowała się po pokoju. Itawy przyglądał się z rosnącym zdenerwowaniem, jak przegląda leżące na terminalu komputera instrukcje. Spojrzała na numer, zapamiętała go i uśmiechnęła się obojętnie.

- Kupię też pozostałych, tak szybko, jak tylko zdołacie ich wyszkolić. Te uwikłane kontrakty... jeśli sprawdzisz jutro, ser, stwierdzisz, że sprawy zostały wyjaśnione i można je sprzedać. Wierzę, że będziesz w stanie dyskretnie przetransportować azi stamtąd tutaj, gdy tylko zwolni się miejsce.

- Sera...

- Co z dziećmi, ser Itawy? Jak zaspokajacie potrzebę kontaktu z ludźmi? Czy hipnotaśmy rozwiązują tę sprawę? Itawy otarł dłonią wargi.

- Na każdym etapie rozwoju... hipnotaśmy. Tak, sera. Ilość osobników, ekonomia... jest praktycznie niemożliwe, by ktokolwiek miał

czas i dostęp do tysięcy programów, opracowanych przez wieki wyłącznie w tym celu.

- Osiemnaście lat do dojrzałości. Nie ma sposobu, by przyspieszyć ten proces?

- Do pewnych zadań... odchodzą przed ukończeniem osiemnastu lat.

- Azi majat?

- Tak.

- Co by się stało, gdyby wypuścić ich bez programowania?

- Chaos. Ostre zakłócenia osobowości.

Milczała przez chwilę. Spojrzała na Jima, potem znowu na betę.

- A więcej niż dwa tysiące czterdzieści osiem kontraktów? Ile czasu zajmie szkolenie? Na jaką skalę można to przeprowadzić?

- W minimalnym zakresie... kilka dni - Itawy przerzucił leżące na biurku papiery, co dało mu możliwość spuszczenia wzroku. - Można uruchomić tę samą hipnotaśmę na wszystkich kanałach. To byłoby najprostsze. Ale formalności... pytania, jakie by zadawano... trzeba by ich przenosić, transportować, a ISPAK...

-. Wiem, ser Itawy, że jesteś lojalny wobec ITAK. Ale ITAK jest dziełem Kontrin. Zdajesz sobie więc sprawę z istnienia... moralności wyższego rzędu. Gdybym wyświadczyła ci pewną przysługę, a w zamian prosiła o milczenie i dalszą współpracę, to sam rozumiesz, nie

byłaby to zdrada interesów ITAK, lecz dowód lojalności wobec samego źródła istnienia korporacji.

Beta otarł czoło i kiwnął głową. Zapomniał o swoich papierach, a oczy płonęły mu gorączkowo. Patrzył prosto na nią. Nie potrafił odwrócić spojrzenia.

- Tworzę tu rezydencję - powiedziała cicho. - Stałą obecność Kontrin. Rozumiesz? A taka rezydencja potrzebuje personelu. Kiedy proces się zakończy, po pełnym przeszkoleniu zgodnie z moimi życzeniami, nadal będą mi potrzebni ludzie na wyższych poziomach. Ludzie, którym będę mogła zaufać.

- Tak, sera - szepnął.

- Wielkie posiadłości, widzisz, te potęgi ze zmasowanymi siłami azi, o których uparcie twierdzisz, że nie są zorganizowane... można sobie z nimi poradzić bez rozlewu krwi, jeśli dysponuje się większą potęgą. Pokój powróci na Istrę. Rozumiesz teraz, jakiej sprawie masz służyć. Rozwiązanie, ser, rozwiązanie, które będzie dobre także dla ITAK. Zdajesz sobie sprawę, że leży w mojej mocy udzielenie licencji. Nie ma tu innych Kontrin. Mogę zezwolić na eksport na takim poziomie, jaki jest wam potrzebny. Mam zamiar to zrobić, ocalić cały ten system, jeśli tylko uzyskam niezbędną pomoc ze strony osób na pewnych kluczowych stanowiskach.

Mężczyzna trząsł się cały.

- Rozumiem, że nie powinienem kontaktować się w tej sprawie z moimi zwierzchnikami.

Raen wolno pokręciła głową.

- Nie, jeśli masz zamiar cieszyć się życiem.

Jestem niezwykle wrażliwa na punkcie bezpieczeństwa.

- Możesz mną dysponować, sera.

Uśmiechnęła się słabo. Raz jeszcze przekonała się o charakterze bet.

- Dziękuję ci, ser. Teraz słuchaj. W odgałęzieniu B jest stara farma, tuż za miastem, zarejestrowana na nazwisko nowego właściciela, niejakiego sera Isana Tela. Znajdziesz kilku azi przeszkolonych w zarządzaniu, najlepszych z możliwych. W domowym komputerze są dla nich instrukcje. Czy znajdziesz takich azi?

Itawy kiwnął głową.

- Znakomicie. Wszyscy, jakich masz i wszyscy strażnicy z wyjątkiem dwustu mężczyzn, których dostarczysz do mojej własnej posiadłości, mają trafić do rezydencji Isana Tela. Z zapasami i sprzętem. Potrafisz to zrobić?

- My... możemy. Tak. Potrząsnęła głową.

- Nie my. Ty. Sam dopilnujesz wszystkich szczegółów. Plotki, jeśli się pojawią, wskażą mi wtedy swe źródło. A jeśli wykryję błąd w szkoleniu... nie muszę chyba mówić, jak to potraktuję, ser. Będziesz całkiem, ale to całkiem martwy. Z drugiej strony jednak, możesz się stać bardzo bogaty... bogaty i bezpieczny. Poza

wspomnianymi kontraktami, potrzebuję pół tuzina służby domowej wysłanej pod mój adres i przynajmniej trzydziestkę w posiadłości Tela, żeby dbali o strażników. Możliwe?

Itawy skinął głową.

- Ser Itawy, zaraz dzisiaj powstanie nowa osoba, ser Merek Sed. Będzie bardzo bogatym człowiekiem, z posiadłościami na kilku planetach, posiadającym licencję handlową i konto w interkompie, którego numer ci podam. Ty będziesz tym człowiekiem. On będzie artystą. Mam zamiar kupować dzieła sztuki, by udekorować dom, podobnie ser Isan Tel. Z początku radzę ci być ostrożnym. Zbyt ostentacyjne chwalenie się bogactwem może wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie. Jeśli jednak będziesz sprytny, Merek Sed wycofa się z interesów, dysponując godziwym majątkiem. Czy masz rodzinę, ser Itawy?

Znów kiwnął głową. Oddychał z wyraźnym trudem.

- Żonę - powiedział. - I córkę.

- Można je włączyć do akt Mereka Seda. Nie do wykrycia. Tylko ty i ja wiemy, skąd wziął się ten człowiek. Kiedy opuścisz Istrę, będziesz absolutnie bezpieczny. Włączę do danych twoją żonę i córkę i podam ci ich nowe numery. Za pewną cenę.

- Jaką... cenę?

- Lojalność. Wobec mnie. I dyskrecję.

Absolutną.

Wyrwała z notesu kartkę papieru, wzięła z biurka pióro i wypisała' trzy numery.

- Pierwszy z nich to numer, pod którym możesz się ze mną kontaktować. Zrób to zaraz jutro. Drugi to numer akt obywatela Mereka Seda. Trzeci to numer konta, które da ci zapowiedź tego, co jeszcze cię czeka. Używaj tylko gotówki; żadnych zakupów kredytowych. Nie odwiedzaj zbyt często tego samego sklepu. Nie stwarzaj wzorów postępowania i nie daj innym poznać, jak zmieniła się twoja sytuacja. Pamiętaj, jeśli wzbudzisz podejrzenia, konsekwencje będą dla mnie jedynie drobną niewygodą, dla ciebie zaś czymś o wiele poważniejszym. Także dla twojej rodziny. Ja potrafię się bronić i poradzę sobie z niewygodami, obawiam się jednak, że dla innych mogą się okazać fatalne.

Wyciągnęła rękę z kartką papieru. Itawy wziął ją.

- Strażnicy do mojego domu... przybędą dzisiaj?

- Tak.

- Z całym sprzętem?

- Tak. Można to zorganizować. Mamy dostęp do magazynów.

- A transfer azi do posiadłości Tela?

- Zaczniemy jeszcze dzisiaj, sera. Jeżeli chodzi ci tylko o posługiwanie się bronią, sera, nie o wyspecjalizowane działania obronne, to sugerowałbym skrócony kurs szkolenia.

- Przyspieszający program?

- O połowę, Kontrin.

- Akceptuję.
- Gdybym miał upoważnienie do odblokowania dokumentacji...
- Z tego terminalu to niemożliwe, ale gdybyś sprawdził, po dostarczeniu azi do mnie, numer 4yA, zechciej uprzejmie zanotować, stwierdzisz, że pewne problemy przestały istnieć. Posiadłość Tela leży przy Południowej Drodze 3. Zapisaleś?
- Tak, sera. Uśmiechnęła się.
- Dzięki, ser Itawy. Należność wpłynie po dostarczeniu. I jeszcze jedno: jeśli kiedykolwiek znajdziesz na domowym komputerze wiadomość od ser Tela osobiście, sprawdź natychmiast konto Seda. Znajdziesz rezerwację przelotu do ISPAK i dalej dla Seda z rodziną. Rozsądnie będzie skorzystać z tej możliwości. Dbam o swoich agentów, ser, jeśli zachodzi taka potrzeba.
- Sera - szepnął.
- Zatem dogadaliśmy się - wstając, wyciągnęła do niego krytą chityną dłoń. Zrobiła to świadomie, wiedząc, jak bety nienawidzą kontaktu z wzorem żywych klejnotów. Itawy wstał także i uścisnął jej rękę, delikatnie, lecz z satysfakcją.
- Jim - rzuciła cicho i wyszła. W hallu obejrzała się. Itawy nadal siedział w gabinecie... pewnie pozostanie tam jeszcze przez jakiś czas. Wzięła Jima pod rękę. - Wszystko w porządku? Jim kiwnął głową. Zdenerwowany, pomyślała. To naturalne. Ale nie zdradzał poważniejszych

objawów. Ścisnęła go za ramię, puściła i ruszyła do drzwi.

Samochód czekał tam, gdzie go zostawili. Rozejrzała się uważnie i wyszła na rozgrzaną ulicę. Światło docierające do chodnika nie było dostatecznie ekranowane, wentylacja nie wystarczała. Merry z wyraźną ulgą otworzył drzwi i natychmiast uruchomił klimatyzację. Był zlany potem, włosy oblepiały mu czoło.
-- Wszystko w porządku? - spytała, wpuszczając Jima na tylne siedzenie.

- W domu spokój. Żadnych problemów. Raen zatrzasnęła drzwi i jeszcze raz obejrzała się na Jima. Wydawał się nieporuszony, nawet tutaj, gdzie mógł sobie pozwolić na okazywanie uczuć. Był spokojny, tak spokojny - zdała sobie sprawę z podobieństwa - jak tamte twarze, zwrócone ku nim z klatek, milczące, niezdolne do łez.

- Centrum - poleciała Merry'emu, krzyżując ręce na piersi. - Złożymy jeszcze jedną wizytę. ITAK nas oczekuje.

vii

Krąg, będący sercem ITAK, bardzo przypominał Biuro Pracy. Był tylko szerszy, wyższy i pewnie sięgał głębiej pod ziemię. Na podjazdach Centrum gęsto było od samochodów. Prawdopodobnie każdy wóz na Wschodzie, na całym kontynencie, regularnie pojawiał się tutaj, w mieście, gdzie wszyscy - z

wyjątkiem wyższych urzędników ITAK - ograniczali się do publicznych środków transportu. Przed głównym wejściem znaleźli wolne miejsce do parkowania - wolne zapewne dlatego, że było zarezerwowane. Na polecenie Raen Merry zatrzymał samochód, wypuścił ich i zablokował drzwi.

Weszli z Jimem spory kawałek w głąb budynku, zanim bety zaczęły reagować. Na początku były to tylko zdumione spojrzenia, lecz wiadomość najwyraźniej rozniosła się po Centrum, gdyż kiedy dotarli do głównego hallu ze szklaną rzeźbą pośrodku, czekała już na nich delegacja niższych urzędników. Ci mieli odprowadzić gości na górę. Zapewniali nerwowo, że Rada zbiera się właśnie, by powitać Kontrin.

- Raen rzuciła okiem na rzeźbę umieszczoną w strumieniu światła, wykorzystującą blask bety Hydry dla wzbudzenia iluminacji barw i kształtów.

- Piękne - mruknęła, spoglądając pytająco na bety. - To miejscowy artysta?

Pokiwali głowami. Nerwowymi gestami zachęcali ją do pójścia w głąb hallu. Wzruszyła ramionami i poszła za nimi. Jim wolno kroczył z tyłu, starając się pozostać możliwie mało widocznym. Nikt się do niego nie odezwał, nikt nie dał poznać, że zauważył jego obecność.

Mimo ubrania tatuaż pozwalał rozpoznać go od razu. Ochrona, myśleli pewnie, nie wiedząc, jak bardzo jest nieszkodliwy. Dlatego zresztą

spełniał swoją funkcję. Bety tłoczyły się wokół nich, któryś bełkotał coś o rzeźbiarzu w szkło, synu przedsiębiorcy z Przybrzeża.

Weszli do windy, wjechali na najwyższy poziom i wysiedli bezpośrednio w jakimś biurze, urządzone z przepychem dorównującym wielu rezydencjom

na Astrze. Tu czekała kolejna grupa: szefowie działów, sekretarze, pomniejsi dyrektorzy - nużący ciąg prezentacji.

Raen uśmiechała się uprzejmie, zapamiętując tych, których warto było poznać. Spotkała Dain-Prosserty'ch i samego ser Daina, prezesa, a także dwóch innych Dainów na wysokich stanowiskach. Otwarte drzwi do sali posiedzeń odsłaniały fotele ustawione wokół wielkiego, wklęsłego stołu oraz emblemat ITAK na ścianie, podobny do godła Kontrin w sali Rady.

Iluzje, iluzje. Uśmiechnęła się do siebie i wprowadziła Jima, sadzając go przy sobie i obrażając tym wszystkich obecnych. Pojawiły się kobiety azi pytając, jakie podać drinki.

Zamówiła dla siebie i dla Jima to samo, o co prosił na statku. Potem czekała oparta wygodnie, obserwując, jak bety zajmują miejsca, zamawiają napoje i rozmawiają szeptem, próbując rozwiązać sprawę porządku siadania przy stole. Wreszcie przyniesiono dodatkowe krzesło. Podano drinki, najpierw dla Raen, Jima i Dain-Prosserty'ch.

Raen napiła się odrobinę i patrzyła na tych,

którzy jeszcze czekali. Kelnerki azi biegały bez tchu. Bardzo dekoracyjne, myślała Raen, mierząc krytycznym, chłodnym wzrokiem młode kobiety. Starła się domyślić, czy są miejscowe czy importowane i czy odpowiadają gustom kobiet beta zasiadających w radzie. Importowane, zdecydowała. Wprawdzie populacja Regionu była mocno wymieszana, to jednak siedemset lat wykształciło pewne typy azi, którzy żyli krótko i w związku z tym ich wygląd ulegał przelotnym modom. Wyglądało na to, że te kobiety pochodzą z dekadentckiego Merona. Były eleganckie, o fiołkowych oczach. Podano ostatnie drinki - azi pracowały naprawdę szybko. Raen ciągle myślała o psychosetach bet. Spojrzała na Daina wygłaszającego właśnie jakąś uprzejmą uwagę. Był pulchny, prawie łysy, a oczy błyszczały mu podnieceniem. Raen wciąż widziała przed sobą laboratoria i szeregi komórek w Biurze Pracy.

- Ser Enis Dain - odezwała się. - Przypominam sobie wiadomość od pana - uśmiechnęła się promiennie. - To bardzo uprzejme, że zebraliście się tu specjalnie dla mnie. Nie zajmę wiele czasu.

- Kont' Raen Meth-maren, jesteście zaszczyceni twoją wizytą. Skinęła głową.

- Dziękuję. Wasi urzędnicy byli mi bardzo pomocni. Jestem wdzięczna. Zdaję sobie sprawę, że moja obecność tu jest powodem sporego zamieszania. Nie wątpię też, że macie do mnie

mnóstwo pytań. Pozwólcie, że zaoszczędzę wam czasu i wysiłku. Chcecie wiedzieć, czy moje przybycie przeszkodzi operacjom handlowym, a przede wszystkim, czy nieodżałowani seri Eln-Kest mieli coś wspólnego z moim pojawieniem się na Istrze.

Na ich twarzach dostrzegła zmieszanie.

Wyraźnie nie byli przyzwyczajeni do takiej otwartości. Podniosła szklankę do ust i trójka bet czysto odruchowo zrobiła to samo.

- Znam wasze problemy. A także pewne szczegóły, których nie zdradzę, póki się nie dowiem, kto zorganizował powitanie dja mojej grupy po lądowaniu. To wszystko.

- Sera... - zaczął Dain senior. - Kontrin... kopce... kopce są poza naszym wpływem, nie podlegają naszej władzy. Jest nam niezmiernie przykro z powodu tego zajścia, ale to była sprawa kopców. Rean pośepnie zmarszczyła czoło. Odwieczny sposób Kontrin wyjaśniania wszelkich zatargów z majat. Usłyszany z ust bety, zabrzmiał jak kpina. Przez chwilę zdawało jej się, że nie doceniła subtelności ser Daina, lecz patrząc na jego drżący niespokojnie podbródek szybko zmieniła zdanie.

- Sprawa kopców. Jeśli tak, ser, to majat weszli w posiadanie sprzętu komunikacyjnego dostosowanego do ich możliwości. Czy tak? Inaczej skąd by wiedzieli, że przybywamy? Dain bezradnie rozłożył ręce.

- Informacja była szeroko dostępna.

- Publiczna stacja? - pomysł wydał jej się niewiarygodny.

- Kanał ogólny ITAK - odparł słabym głosem Dain.

Z niesmakiem machnęła ręką, kończąc rozmowę o tej sprawie.

- Znajdę własne metody zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Jeśli wasze zasady pozwalają mająt wrchodzić i wychodzić swobodnie z biur ITAK, należy je zmienić.

- Protestowaliśmy...

- Jeśli mająt nie pozwolą się usunąć, powołajcie się na mnie i przypomnijcie o Pakcie. Jeśli to nie pomoże... No tak, sprawy zaszły już za daleko, prawda? Majat bez ograniczeń chodzą po mieście.

- Nie robią nic złego. Oni...

- Możecie mi wierzyć, seri, lepiej jest unikać spraw kopców i kłótni Kontrin. Co mi przypomina... ponieważ nie znacie zasad związanych z obecnością Kontrin, w waszym własnym interesie udzielę wam pewnej rady. Klany kłócą się między sobą, jak wszyscy. Gdyby przybył tu ktoś inny z Kontrin, najbezpieczniej dla was będzie poinformować mnie o tym natychmiast i zachować neutralność. Taki gość będzie słusznie zakładał, że mam wśród was swoich agentów i że jestem osobiście zainteresowana ochroną Istri. Przyjaciel, naturalnie, potraktuje was jak najlepiej. Wróg... jeśli zostaną usunięta... potrafi wywołać spore

zamieszanie poszukując moich agentów, którzy z kolei będą próbowali się ukryć. Dostrzegacie zagrożenie, seri? Nie sądzę, by Istra dobrze zniosła takie zajścia. Co do korzyści z mojego tu pobytu, zauważycie je bardzo szybko.

Potrzebujecie licencji; moim zdaniem ktoś z

Kontrin blokuje gdzieś wasze prośby.

Spodziewam się zresztą, że ktokolwiek z

przeciwników pojawi się tutaj, będzie

przedstawicielem tej właśnie grupy. Rozumiecie

mnie, seri? Mogę sprawić, że otrzymacie te

licencje. Zaczęłam już kupować... w dużych

ilościach... pewne artykuły, które pozwolą mi

żyć tutaj wygodnie i bezpiecznie. Naturalnie,

wspomoże to wasz budżet i ułatwi rozwój

kompanii. Wasze prośby nie dotarły do Rady na

Cerdinie; zostaliście odcięci i jeśli to się nie

zmieni, czeka was ruina. Podejmę

natychmiastowe kroki zmierzające do poprawy

sytuacji. Sądzę też, że takie działania szybko

doprowadzą do ujawnienia się przeciwników -

naszych wspólnych przeciwników.

- Kontrin - odezwał się z trudem Dain. - Atak na

twoją osobę w żaden sposób nie mógł być

naszym dziełem. Nikt tutaj nie pragnie...

- Możesz mówić jedynie o swoich nadziejach, ser

Dain; nie o faktach. Sama się przekonam. Od

was oczekuję jedynie współpracy.

- Gwarantujemy ci ją. Uśmiechnęła się niemal

radośnie.

- Dziękuję wam, seri. Znalazłam na Istrze pewne

możliwości odmiany codziennego życia. Lubię czasem podróżować. Samolot...

- Twoje bezpieczeństwo...

- Możecie mi ufać. Samolot byłby bardzo użyteczny. Uzbrojony, jeśli sądzicie, że to konieczne.

- Zapewnimy ci go - obiecał niepewnym głosem Dain, lecz mężczyzna siedzący po jego prawej stronie uspokoił go zdecydowanym kiwnięciem głowy.

- Zapewnię własną ochronę mojej posiadłości. Będę jednak wdzięczna, gdyby ITAK zechciał chwilowo dopilnować samolotu przeznaczonego do mojego użytku. Wszystko to, naturalnie, nie będzie prezentem - koszty zostaną odliczone od podatków ITAK. Obecność Kontrin nigdy nie sprawia kłopotów finansowych. Wręcz przeciwnie, seri.

- Niepokoiśmy się bardzo... - to była sera Ren Millin, kierownik działu rolnictwa - bardzo, o twoje osobiste bezpieczeństwo. Dysydenci i sabotażyści na razie atakują tylko składy, ale wystarczy jeden 'bardziej szalony od innych...

- Wdzięczna jestem za waszą troskę.

Dysponujecie ciężką bronią dla zapewnienia porządku na planecie. Miło by było, gdyby pewna jej ilość trafiła do mojej rezydencji, powiedzmy, wystarczająca dla tysiąca ludzi. Na wszystkich twarzach pojawił się wyraz szoku.

- Środek ostrożności, rozumiecie, wobec

wszystkich dysydentów, sabo-tażystów i szaleńców. Jeśli fakt, że jesteśmy dobrze uzbrojeni dotrze do publicznej wiadomości, co nie powinno być trudne wobec skłonności ITAK do posługiwania się kanałami ogólnymi, pokusa będzie mniejsza. Mam szczerą nadzieję, że nie będę musiała używać tej broni. Ale na pewno nie chcielibyście ponosić konsekwencji śmierci Kontrin na waszej planecie, w dodatku z rąk kogoś miejscowego. Nie. Bylibyście zdumieni, wiedząc, jak potraktowałyby to Klany, nawet skłócone z moim. Rodzina zostałaby zmuszona do bardzo ostrej reakcji. Takie są wymogi polityki. Dopilnujcie więc, by dostarczono tę broń. W moich rękach nic jej nie grozi. W końcu moje bezpieczeństwo jest waszym bezpieczeństwem. Ale dość, dość już tych nieprzyjemnych tematów. Jestem zachwycona waszą gościnnością. Postaram się wam zrewanżować, gdy tylko urządzę się w nowym domu. Jeśli wiecie o jakichś rozrywkach, będę wdzięczna za informację. Doskwiera mi nuda. Szczerze liczę na tutejsze życie towarzyskie. Bładość nie do końca zniknęła z ich twarzy. Mruczeli jakieś uprzejmości, zapewniali, że czują się zaszczytzeni możliwością spotkania jej na mniej oficjalnym gruncie. Raen zaśmiała się cicho.

- I Obcy! - zawołała tonem szczerzej niewinności.**
- Seri, widziałam na stacji statków z Zewnątrz.**

Dla was to z pewnością zwyczajny widok, lecz dla kogoś z wewnętrznych światów rzecz niezwykle podniecająca. Spotkałam tych ludzi, miałam okazję chwilę z nimi porozmawiać. Czy zapraszacie ich czasem?

Na chwilę zapanowała nieprzyjemna cisza.

- Możemy to zorganizować - zapewniła wreszcie sera Daią.

- Wspaniale - Raen dopiła resztkę napoju i odstawiła\szklaękę.

- Z przyjemnością dostarczymy ci wszystko, co leży w naszych możliwościach - wykrztusił z trudem ser Dain. - Może zechcesz się jeszcze czegoś napić, Kont' Raen?

- Nie, dziękuję - wstała, zaczekała na Jima i demonstracyjnie wsunęła mu dłoń pod ramię. - Jestem zachwycona waszą uprzejmością.

Dziękuję. I nie martwcie się tym, co mogę tu odkryć. Wiem, że musieliście stosować niezwykle metody, sięgać do nadzwyczajnych źródeł. Informuję was, że wiem o tym wszystkim... i postaram się nie dostrzegać tego, co mogłoby zagrozić waszej licencji. Utrzymanie porządku w tak trudnych okolicznościach dowodzi niezwykłych zdolności. Nie mogę uznać tego za błąd, seri. I wybaczcie mi. Zapewniam, że moja następna wizyta będzie już czysto towarzyska.

Mężczyźni podbiegli do drzwi, by otworzyć je przed nią. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i wyszła, prowadząc Jima pod rękę. W

sekretariacie czekał już tłum agentów bezpieczeństwa.

Agenci, uzbrojeni policjanci i Dain senior osobiście nalegali, by towarzyszyć im w windzie i w głównym hallu. Raen zatrzymała się na moment przy szklanej rzeźbie.

- Proszę znaleźć dla mnie adres tego artysty - zwróciła się do Daina. - I przesłać mi go jeszcze dziś wieczorem. Może pan to zrobić, ser?

- Z przyjemnością - zapewnił.

Ruszyła dalej. Tłum rozstępował się przed nią i natychmiast gęstniał z tyłu.

- Zainteresuje cię może - paplał dalej ser Dain, gdy policja usuwała gapiów sprzed drzwi, by zrobić przejście - pewne dzieło, które mam u siebie w domu, jeśli uczynisz mi zaszczyt i...

Jakieś cienie poruszyły się za drzwiami z barwnego szkła, pod filarami, wokół samochodu... zbyt wysokie cienie, zbyt fantastyczne w kształcie.

- Sera! - zawołał Jim.

Wsunęła dłoń pod płaszcz i wyciągnęła miotacz.

Ser Dain wyciągnął rękę, nie dotykając jej.

- Policja ich usunie. Proszę cię, sera!

Raen, nie zwracając na niego uwagi, wybiegła na ulicę z grupą agentów i policjantów.

Zieloni. Wojownicy. Czekali koło wyjścia i przy samochodzie.

- Z drogi! - krzyknął do nich policjant. -

Odejdźcie stąd! Czułki słuchowe wystrzeliły na moment do przodu. To była odmowa. Majat

cofnęli się o krok, wyrównując szereg.

- Zielony kopiec! - zawołała Raen, widząc próbę stworzenia formacji. Wyciągnęła dłoń spod płaszcza, pokazując miotacz i chitynowy wzorzec. Czułki słuchowe wysunęły się nieco do przodu. Po prawej stronie stał samochód. Merry na pewno nie odblokował drzwi. - Jim - rzuciła przez ramię. - Idź do wozu. Wsiadaj.

- Niebieski - zaintonował przywódca zielonych. - Kontrin niebieskiego kopca.

- Jestem Raen Meth-maren. Co zieloni robią w mieście beta?

- Władca kopca - odezwało się kilka głosów. Pozostali mająt zamokali groźnie. Zmienili szyk, odsuwając się lekko na boki.

- Uwaga! - wrzasnęła Raen i strzeliła, gdy zieloni ruszali już z miejsca. Przywódca padł z piskiem. Kilku Wojowników skoczyło. Raen odwróciła się i strzeliła, nie dbając o to, czy przechodnie zdążyli się ukryć. Kolejni mająt padali na ziemię. Policjanci i agenci ochrony otworzyli ogień, a Dain wykrzykiwał rozkazy. Krzyki przerażonego tłumu zagłuszały jego głos.

Zieloni zawrócili nagle i rzucili się do ucieczki. Z oszalamiającą szybkością przebiegli przez chodnik i skryli się w podziemnym przejściu, w tunelach, poza zasięgiem strzałów. Konający mająt skrobał beton w przedśmiertnych drgawkach. Ludzie krzyczeli i płakali. Raen obejrzała się: Jim stał przy samochodzie, cały i zdrowy; Dain, otoczony przez ochronę,

wyglądał, jakby miał mdłości.

- Lepiej sprawdźcie, czy pozostała część budynku jest bezpieczna - poleciła Raen któremuś z policjantów. Innego, chronionego pancerzem, odciągano właśnie od ciała martwego majat - już bezpieczny, wciąż jeszcze dygotał w szoku. Ktoś wymiotował oparty o kolumnę. Dwa ciała bez głów leżały na chodniku. Raen spojrzała ponuro na Daina. - Takie są efekty zabaw z kopcami, ser. Teraz rozumie pan konsekwencje.

- To nie zależy od nas. Oni przychodzą. Przychodzą, a my nie potrafimy ich usunąć. Oni...

- Oni karmią ten świat. Kupują ziarno. Prawda?

- Nie umiemy usunąć ich z miasta - twarz Daina była mokra od potu; ręce mu drżały, gdy wyciągał chusteczkę i ocierał czoło. Przez moment Raen zdawało się, że jeszcze jeden beta umrze w wyniku zajścia. Policjanci odnieśli chyba podobne wrażenie, gdyż podbiegli, by go podtrzymać.

- Wierzę panu, ser Dain - zapewniła, czując litość dla tego bety. - Zostawcie ich mnie. Zablokujcie tylko dostęp do budynków; używajcie zamków, gdzie tylko się da, ser Dain. Montujcie płyty pancerne. Kraty w oknach. Trudno przecenić zagrożenie. Znam ich. Proszę mi wierzyć.

Dain milczał. Jego tłusta twarz wciąż była biała z przerażenia.

Merry otworzył drzwi samochodu. Raen kiwnęła gniewnie na Jima, który wsunął się do środka i opadł na tylne siedzenie. Sama usiadła z przodu, wsunęła miotacz na miejsce i zatrzaskała drzwi.

- Do domu - poleciała Merry'emu. Potem spojrzała na niego uważnie. - Dasz radę?

l

Merry był blady jak ściana. Wyobrażała sobie, co musiał przeżyć, gdy tylko szyba oddzielała go od szczęk majat. Zdołał jednak zjechać z rampy i wjechać na trasę. Uruchomił komunikator.

- Max - odezwał się chrapliwie. - Max, wszystko w porządku. Odeszli.

Raen usłyszał odpowiedź Maxa, meldującego, że w domu panuje spokój.

Obejrzała się. Jim siedział sztywno z dłońmi złożonymi przy ustach i patrzył z roztargnieniem przed siebie.

- Miałem miotacz - powiedział. - Miałem go w kieszeni. Miałem miotacz w kieszeni.

- Najpierw musisz poćwiczyć na nieruchomych celach. Nie na majat.

Odetchnął głębiej i uspokoił się, jak" zwykle azi. Samochód szarpnął lekko, trafiając na właściwą trasę. Nabierali szybkości.

Przez tylną szybę dostrzegła grupę majat na chodniku. Ci sami albo inni... nie można było stwierdzić.

Usiadła wygodnie i otarła wargi. Zauważyła, że

jest spocona i drży. Wóz pędził teraz zbyt szybko, by coś mogło im grozić; przy tej prędkości nikt nie zdołałby ich rozpoznać. Światła na zewnątrz zmieniły się w rozmyte smugi.

Na rampie A4 nie spotkali żadnych majat. Wokół domu także nie było śladów ich obecności. Raen uspokoiła się zadowolona, po raz pierwszy tutaj, z widoku policjanta beta przy bramie. Przed domem sąsiadów stała ciężarówka, na którą ładowano meble. Przyglądała się jej obojętnie, czekając, aż otworzą się wrota podjazdu.

Merry wolno podjechał przed wejście i wypuścił ich, po czym ruszył znowu, by wprowadzić samochód do garażu, po przeciwnej stronie podjazdu, pod ziemią.

Zza rogu budynku wynurzył się Wojownik.

Raen spojrzała na niego czujnie, mrużąc oczy od blasku słońca. W tej chwili każdy majat budził w niej niepokój.

Max otworzył drzwi, wpuszczając ich oboje do cienia i chłodu hallu.

- Nic ci się nie stało, sera?

- Nic. Nie ma się o co martwić. Merry ci opowie, jak było. Wojownik wsunął się do wnętrza. Jego czułki drżały.

- Wyczuwasz zielonych? - spytała Raen. -

Zieloni nas zaatakowali. Zabiliśmy kilku. Oni zabili ludzi.

- Zieloni - Wojownik dotknął jej nerwowym

ruchem i uspokoił się natychmiast, gdy położyła dłoń na jego płamach zapachowych, przekazując informację. - Przeszli na drugą stronę. Teraz są czerwoni-złoci-zieloni. Zieloni najslabsi. Najłatwiej zabić. Słuchają czerwonego Umysłu.

- Kto słucha, Wojowniku?

- Zawsze słuchają. Czerwoni, Umysł Wojowników. Jestem oddzielony. Jestem niebieskim Wojownikiem. Dobrze, że zabiłaś zielonych. Czy uciekli? Zameldują?

- Tak.

- Dobrze?

'36

- Już wiedzą, że tu jestem. Niech opowiedzą to w swoim kopcu.

- Dobrze.- podsumował Wojownik. - Dobrze, że to smakowali, królowo Kethiuy. Tak.

Dotknął jej i wybiegł na zewnątrz.

Jim stał pod ścianą z wyrazem napięcia na twarzy. Raen ścisnęła go za ramię.

- Idź, odpocznij - powiedziała.

Kiedy odszedł, odetchnęła głęboko. Usłyszała, że Merry wchodzi bocznymi drzwiami.

- Żadnych problemów, kiedy nas nie było? - zwróciła się do Maxa. Pokręcił głową.

- Podaj coś zimnego, dobrze?

Ruszyła do tylnej części domu, tam gdzie był komputer.

Wiadomości. Pamięć była ich pełna. Ekran błyskał, jak przy pilnych przekazach.

Uruchomiła odczyt. Pół tuzina informacji pojawiło się jedna po drugiej. PILNE, zaczynała się prawie każda. SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z DAINEM.

Jedna była inna. JESTEM TUTAJ, mówiła po prostu. P.R.H.

Poi.

Osunęła się na krzesło.

KSIĘGA SIÓDMA

Jeszcze więcej raportów. Chaos szerzył się nawet na Cerdinie. Moth drgnęła, rzuciwszy okiem na stosy wydruków. Potem uśmiechnęła się ze zmęczeniem. Spojrzała na Tanda.

- Osiągnąłeś jakieś postępy w sprawie danych statystycznych Istry?

- Są tutaj, Najstarsza. W trzecim rzędku.

Wyciągnęła rękę. Dłoń jej zadrżała i papiery rozsypały się po blacie. Ostatnio za mało spała, zbyt rzadko mogła sobie pozwolić na odpoczynek. Odetchnęła powoli kilka razy i znów sięgnęła po papiery. Tand zebrał dokumenty, wyrównał i położył przed nią.

Poczuła się zakłopotana i trochę zirytowana.

- Krążą już pewnie plotki o tym, że stara się rozsypuje - mruknęła.

Tand zachował milczenie.

Przejrzała papiery, powoli, by zademonstrować pewność ręki podniosła kubek... udało jej się nie rozlać ani kropli. Wypiła łyk i odstawiła naczynie. Serce biło jej mocno.

- Wyjdź - poleciała, upojona swym drobnym zwycięstwem. Tand ruszył do drzwi i zawahał się.

- Najstarsza.... - zaczął wracając. Stał tuż przy niej. Bardzo blisko.

- Najstarsza...

- Niczego mi nie trzeba.

- Krążą pogłoski, Najstarsza - Tand przyklęknął przy poręczy fotela. Serce jej zadrżało od poczucia jego bliskości. Spojrzał jej w oczy z zaskakującą u niego szczerością... znakomity aktor. - Posłuchaj mnie, Najstarsza. Może... przychodzi z czasem chwila, kiedy trzeba się wycofać, zrzucić z siebie ciężar, pozwolić, by dokonała się zmiana. Zawsze był tu Lian lub krewni Liana; teraz jesteś ty. Czy twoja śmierć jest konieczna dla zmiany? ,

Zdumiał ją ten niezwykle manewr Tanda Hałda. W lewej dłoni, ukrytej pod płaszczem, trzymała miotacz, oddalony o centymetry od jego piersi. Może się domyślał. Jego twarz zachowała jednak wyraz niewinności i głębokiego przekonania.

- Zawsze - szepnęła drżącym głosem - zawsze udawało mi się przetrwać kolejne czystki, Tand. Czy pora na następną? Czy przychodzisz mnie

ostrzec?

Ostatnie pytanie zadała z wyraźną ironią.

Niewiele brakowało, by pociągnęła za spust, lecz Tand nie zdradzał śladu lęku.

- Wycofaj się z Rady - przekonywał. - Wycofaj się, Najstarsza. Teraz. Przekaż funkcję.

Zaczynasz odczuwać ciężar lat; jesteś zmęczona.

Widzę to:

bardzo zmęczona. Możesz się przecież usunąć i w ciszy i spokoju cieszyć tym życiem, jakie ci jeszcze pozostało. Czy nie zasłużyłaś sobie na to?

Zaśmiała się cicho, gdyż takie słowa ze strony Hałda były czymś niezwykłym.

- Ale przecież jesteśmy nieśmiertelni - szepnęła.

- Tand, może uda mi się ich oszukać i nie umrę... nigdy?

- Tylko, jeśli się-wycofasz.

Napięcie w jego głosie było ostrzeżeniem. Mo[^]e, mo[^]e, pomyślała. Może młody Hałd naprawdę żywił dla niej jakieś ludzkie uczucia, może te wszystkie wspólne lata coś dla niego znaczyły.

Wycofać się z Rady i pozwolić, by wszystkie dane dostały się w ręce kogoś o bardziej krytycznym spojrzeniu. Zrezygnować i pozwolić, by decydował ktoś, kogo oni wybiorą.

Nie. '

Westchnęła cicho, patrząc w ciemne, lśniące oczy Tanda.

- Wiele czasu minęło, odkąd Rada działała bez żadnego przewodnika. Kto zajmie miejsce Najstarszego? Lind? To nie jest odpowiedni

człowiek na te czasy. Wszystko zaprzepaści, nie przetrwa nawet miesiąca. Kto nastąpi po nim? Brin? Nie będzie lepsza.

- Nie możesz trwać bez końca.

Przygryzła wysuszone wargi, lecz miotacz w jej dłoni nawet nie drgnął.

- Może... - szepnęła, pozwalając, by głos jej zadrżał. - Może rzeczywiście powinnam się nad tym zastanowić. Tak długo, tak wiele lat stałam przy boku Liana, zanim umarł. Wydaje mi się, że radziłam sobie całkiem dobrze. Prawda, Tand?

- Tak, Najstarsza. Bardzo dobrze.

- Po śmierci Liana władza została przekazana bez zamieszania właśnie dlatego, że tak długo stałam przy nim. Byłam u steru niemal równie często jak on. Nawet zabójstwo nie naruszyło porządku rzeczy, ponieważ byłam na miejscu. Ponieważ znałam system i wiedziałam, gdzie są przechowywane ważne dane. Zrezygnować... nie. Nie. To wywoła zamęt. A istnieją sprawy, o których wiem... - jej głos opadł do najcichszego szeptu. - Sprawy, o których wiem, a które są dla Rodziny kwestią życia i śmierci. Moja śmierć, czy to w wyniku zamachu czy zwykłego przypadku, stanie się katastrofą. Ale może nadszedł czas, by zrzucić część odpowiedzialności. Może masz rację. Powinnam znaleźć sobie partnera, współ-regenta.

W oczach Tanda błysnęło zdziwienie.

- Takiego, jakim ja byłam dla Liana... pod

koniec. Wybiorę tego, kto jest najsilniejszy w Radzie, kto cieszy się największym poparciem. Pozwolę, by Rada wybrała.

Widziała, jak rośnie jego zmieszanie i z wysiłkiem powstrzymywała uśmiech.

- Tak, młody Tandzie -- szepnęła. - To właśnie uczynię.

Skinęła prawą dłoń, pozwalając mu odejść. Zdawało się, że do końca nie wiedział, gdzie trzymała lewą. Jeśli wiedział, to miał mocne nerwy. Wstał, posępny teraz i poważny. Cała jego troska gdzieś się ulotniła.

J39

- Roześle wiadomość - oświadczyła. - Zwołam Radę na jutro. Ty ich zawiadomisz. Będiesz moim kurierem.

- Czy mam poinformować starszych o powodach?

- Nie - odparła, wiedząc, że jej nie posłucha. - Sama przedstawię im ten projekt. Potem będą się mogli zastanowić nad wyborem. Przekazanie władzy - z nagłym skupieniem spojrzała w oczy Tanda - zawsze jest poważnym problemem dla imperiów. Ci, którzy potrafią to zrobić spokojnie, żyją. W ogólnym zamieszaniu, kto wie, którzy z nas mogliby zginąć?

Przez chwilę Tand stał nieruchomo. Moth pozwoliła mu zastanowić się nad całą kwestią. Potem znowu skinęła dłoń, odprawiając go na dobre. Odszedł spokojnie i z gracją, jak zwykle, lecz wiedziała, że jest poruszony.

Gdy wyszedł, Moth wsparła głowę na rękach i zatrzęsała się ze śmiechu. Opadła na fotel, trzymając się za brzuch.

Niewielu władców może za życia bawić się obserwacją walki o sukcesję. A przyjemność zobaczenia Haldów i ich pomocników oślepionych blaskiem, kiedy zerwie im maskę, publicznie ^uproszonych do sięgnięcia po władzę, gdy ona jeszcze żyje... Dawno się tak nie uśmieła.

Zamach na nią był przygotowany i bliski. Tand zachował się zagadkowo... może nagły przypływ sentymentu... może po prostu przekazał czyjąś ofertę. A ona z kamienną twarzą zaproponowała podwójną stawkę. Naturalnie, zabiją ją, gdy tylko ich wybrany urośnie w siłę. Ale czas... to czas się liczył.

Uśmiechnęła się do siebie, lecz uśmiech znikł jak zdmuchnięty, gdy wzięła do ręki stos sfalszowanych raportów z Istry. Odłożyła je razem z innymi.

Meth-maren będzie potrzebowała czasu.

Opuścić to miejsce, Cerdin, Radę i ich wszystkich, odjechać tam, gdzie żyły dawne Klany, do drogich, martwych przyjaciół - tylko takiego odpoczynku pragnęła - odszukać znowu to, co umarło wiele lat temu, tych, którzy budowali, nie użytkowników.

Jedna z teczek zawierała akta Meth-maren.

Moth otworzyła ją i spojrzała ze smutkiem na kobietę, w jaką zmieniło się tamto dziecko.

Dane zebrane były chaotycznie, ich powiązania nie dawały się wyjaśnić, a Moth na starość odczuwała tendencje do mistycyzmu, jedynej szansy zachowania zdrowej psychiki... zbyt wiele wiedziała, zbyt szeroki był zakres jej informacji.

Lian także to przewidywał. Pod koniec życia skarżył się, że miewa wizje. Ta słabość zachęciła zamachowców i przyspieszyła jego śmierć.

Zginął podczas jednej z takich wizji, drżący i z pianą na ustach. Wspomnienie tego odebrało Moth humor.

Ona musiała tego dokonać.

- Jajeczka - jęczał konający Lian. - Jajeczka... jajeczka... jajeczka.%. - jakby wspominał dzieci beta, nieszczęsne sieroty, pokolenie bez rodziców. Tysiące ich dojrzało zbyt szybko, pod masową opieką, jak na taśmie przesuwali się do dorosłości, stawali się mężczyznami i kobietami w wieku dziesięciu lat, by mogli zająć się następnymi i jeszcze następnymi... by za zezwoleniem płodzić naturalne dzieci, tak jak wszystko robili za zezwoleniem, zawsze. Nauczcie ich luksusu, powiedział kiedyś Lian. Zdeprawujcie, a będziemy ich mogli kontrolować. Dajcie im pognać pracę i %apłatę i płąćcie im be^-czynnością i ambicjami. W ten sposób będziemy %au>s%e nimi r^ąd^ić.

I tak bety z lenistwa stworzyły azi.

Jajeczka... jajeczka... jajeczka...

Jajeczka jajeczek.

Moth drgnęła, wspominając pokolenia, które zaludniły Region.

Siedemset lat. Z jednej planety do wielu. A tempo wzrostu nie podlegało już kontroli.

Jajeczka.

Potencjał.

Jestem ostatnia, pomyślała Moth. Ostatnia, która kiedyś była człowiekiem, w której tkwi tamto, dawne człowieczeństwo. Nawet Methmaren tym nie jest.

Najmniej tym.

Jajeczka składające jajeczka.

Rodzina, pomyślała, wspominając stare powiedzenie o absolutnej władzy i absolutnej deprawacji.

Jedynie aⁱ nie mają Radnej władcy.

Jedynie aⁱ pozostali niewinni.

Poi Hałd usiadł wygodnie, wyciągnął nogi na stół, założył ręce na piersi i rozejrzał się, z rozbawieniem wzruszając ramionami.

Raen wzięła od Jima szklankę i przyglądała się ponuro, jak Poi odbiera swoją. Zmierzył Jima wzrokiem od stóp do głów, wyciągając zapewne oczywiste wnioski. Jim spuścił głowę - typowa reakcja azi.

- Dziękuję, Jim - odezwała się cicho. Niewiele brakowało, a poprosiłaby go, aby usiadł z nimi. Lecz Poi był inny niż rada ITAK, gdy chciał, potrafił być okrutny. A często chciał.

Jim znikł za drzwiami. Wojownik pozostał.

Majat siedział w kącie, obok maleńkiego

stoliczka, absolutnie nieruchomy, niby część umeblowania.

- Betańskie - podsumował Poi wystrój domu i machnął lekceważąco ręką. - Masz zadziwiające gusta, Meth-maren. Chociaż azi wybrałaś starannie.

- Co tu robisz?

Poi roześmiał się głośno.

- To już osiemnaście lat minęło od dnia, gdy jedliśmy razem kolację, Meth-maren. Miałem szaloną ochotę na kolejne zaproszenie.

- Długa podróż dla niewielkiego zysku. Czyżby stół Rosa Hałda ci nie wystarczał?

Chciał ją zirytować, ale odcięła się. Wąska twarz Pola nie zmieniła się przez lata; osiągnął ten wiek, gdy przez długi okres zmiany są niezauważalne. Dodała lata i uznała, że ma co najmniej siedemdziesiątkę. Nabral doświadczenia. Odstęp między nimi zmniejszył się, lecz pozostał wyraźny.

- Podążam za tobą od dawna - oświadczył. - Jesteś jedyną Meth-ma-ren, która mnie zainteresowała.

- Robiłeś to zatem bardzo dyskretnie. Czy Haldowie cię posłali?

- Przybyłem - uśmiechnął się szeroko. - Masz zdumiewające poczucie humoru, jak tego dowodzi twój sposób podróżowania. Dał mi aż nadto czasu, by cię dogonić - łyknął ze szklanki i odstawił ją na bok. - Wiesz, że budzisz

niepokój?

Wzruszyła ramionami.

- Zabiją cię.

- Oni?

- Nie ja, Meth-maren.

- Więc czemu tu jesteś? - spytała z ironią. - Żeby im stanąć na drodze? Machnął lekceważąco ręką i spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

- Meth-maren, jestem zazdrosny. Prześcignęłaś mnie - roześmiał się głośno. - Przez całe lata uczyłem się irytować Radę, ale słowo daję, jesteś lepsza ode mnie. I to w tak młodym wieku.

Wiesz, co się tu dzieje?

Nie odpowiedziała.

- Chyba tak - stwierdził. - Ale pora się wycofać.

- Zabieraj się z powrotem na Cerdin, Polu Hałd.

- Nie przyleciałem z Cerdina. Słyszałem plotki.

Miałem ochotę się tu zjawić. Jesteś moim osobistym przesądem, wiesz? Nie chcę patrzeć, jak przegrywasz. Odjedź stąd. Natychmiast. Na drugi koniec Regionu. Zrozumieją ten gest.

- Wojownik - rzuciła wstając.

Majat ożył, poruszył szczękami i wyprostował się na pełną wysokość. Poi zamarł bez ruchu.

- Powiedz, Wojownik, z jakiego kopca jest ten Kontrin?

- Zielony kopiec - odparł Wojownik i zabrzmiał nutą języka majat. - Kontrin zielonego kopca.

Poi machnął dłonią z chitynowym wzorcem - niedbały gest będący kpina z samego siebie.

- Czy ja mam odpowiadać za wybór kopca? To

laboratoria Meth-mare-nów dobierały wzorce, rezerwując niebieski dla swych dobranych przyjaciół... do których nie należeliśmy.

- Istotnie, nie należeliście.

Poi wstał, podszedł do okna, po czym ze świadomą brawurą stanął w zasięgu kleszczy Wojownika.

- Już dawno przekroczyłaś granice rozsądku. Czy wiesz, czy zdajesz sobie sprawę z tego, na jak głęboką wodę trafiłaś?

- Że mój Klan zginął ze względu na ambicje innych? Że dwadzieścia lat temu puszczono coś w ruch i nikt jeszcze tego nie zatrzymał? Jak trzymacie to w tajemnicy przed Moth? A może nie trzymacie?

Ciemne oczy Pola wpatrzyły się w Wojownika, potem skierowały na nią.

- Robię się nerwowy, kiedy zaczynasz wchodzić w szczegóły. Mam nadzieję, że się zastanowisz, zanim wykonasz jakieś nieodwracalne posunięcia.

- Wiele się nauczyłam, Polu Hald. Ty sam udzieliłeś mi kiedyś lekcji. Z tego powodu zawsze żywiłam dla ciebie pewien sentyment. Żadnej urazy. Jak powiedziałeś, interesowaliśmy się sobą nawzajem. Czy dzisiaj odpowiesz na moje pytania?

Rozłożył obie ręce.

- Nie jestem w łasce u Haldów. Skąd mam znać odpowiedzi, które są ci potrzebne?

- A tych, które znasz, nie zechcesz mi zdradzić.

- Moth nie pożyje długo. Tyle wiem. Co do reszty: to Haldowie są twoimi wrogami. Nic osobistego, sama rozumiesz. Haldowie pragną tego, do czego dążył Thel.

-- I nikt nie zahamował tego, co rozpoczął Eron Thel? Poi wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem, nie wiem. Nie pytaj; nie mają do mnie zaufania. To mogło być prawdą. Raen obserwowała ręce i oczy Pola. Nie była pewna, czy nagle nie wyciągnie broni.

- Jestem wdzięczna za twoją troskę, Poi.

- Posłuchaj mojej rady i wynieś się stąd, aż na drugi koniec Regionu. Zrozumieją, Raen a Sul. Odczytają to jako kapitulację. Kogo to obchodzi? Przeżyjesz ich wszystkich, jeśli będziesz się pilnować. Ucieczka jest teraz twoją jedyną szansą. Mam tu swój statek. Mogę cię zabrać. Rodzina nie zrobi ci krzywdy. Haldowie nie muszą mi ufać, ale nie zaatakują mnie. Wybuchnęła śmiechem i wtedy zobaczyła twarz Pola inną od tej, którą знаła dotychczas, posępną, pełną napięcia... bez śladu wesołości, co zdarzyło się ledwie kilka razy w ciągu jego beztroskiego życia.

- Odejdź - powiedziała bardzo cicho. - Uciekaj, Polu Hałd. Przeżyjesz.

Przez chwilę milczał z powątpiewaniem.

- O co właściwie ci chodzi?

- Zastanawiam się, Polu Hałd, czy jednak mnie nie przewyższasz. W końcu mogli cię nasłać.

- Przypuszczam, że Rodzina zajmie się tobą już

wkrótce.

- Doprawdy? Gdzie jest Morn, Poi?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Może na Cerdynie, może gdzieś blisko. Może to będzie Morn. Albo Tand. Albo ktoś z Ren-barantów I A może nikt. Kiedy Moth upadnie, oni cofną ci uprawnienia i zostaniesz ślepa, głucha i niema, uziemiona na Istrze.

- Moth jest po mojej stronie, prawda?

- Była. Nie wiem, kto to będzie. Naprawdę. Wyruszyłem ze światów wewnętrznych, gdy byłem pewien, dokąd lecisz... że to nie posunięcie maskujące. Morn poleciał w przeciwnym kierunku. Tand ruszył do centrum jeszcze wcześniej. Teraz jest pewnie z Moth. Na Istrze dzieją się rzeczy, które wstrząsnęłyby Regionem, gdybyś się z nią skontaktowała.

- Chcesz mnie do tego sprowokować? Znów wzruszył ramionami.

- Mogę się założyć - oświadczył kpiąco - że stara zna już większą część tych danych.

- A może jest już za późno? Fala potrzebuje ośmiu dni, by tu dotrzeć.

- Możliwe - przyznał. - Ale to nie moja sprawa.

- Więc wierzysz, że na razie nie chcę się zdradzać. Wiesz, że możesz się mylić?

Poi milczał.

- Nie planujesz chyba osiedlenia się na Istrze? - spytała ostro Raen.

- Mam pewien problem - stwierdził Poi. - Jeżeli

wrócę, zażądają współpracy, jeśli odleczę za szybko, domyśla się, że usłyszałem tu coś, co mnie do tego skłoniło. Przez ciebie będę miał kłopoty, Meth-maren.

- Tak. O ile nie kłamałeś.

- Protestuję - oświadczył Poi z urazą. - Wróć na swój statek i zaczekam, aż przemyślisz wszystko na spokojnie. Ktoś przyjdzie do ciebie, pamiętaj.

- Nie mam żadnych wątpliwości. Pomoc bardzo mi się wtedy przyda. Pamiętam jednak werandę w Kethiuy. Wiedziałeś wtedy, Wiedziałeś, kiedy rozmawialiśmy. Prawda?

- Tak, wiedziałem - Poi spoważniał nagle. - I odjechałem z resztą Haldów przed atakiem. To była zemsta, Meth-maren, sięgająca w następne pokolenie. Nie miała nic wspólnego z tobą.

- Teraz ma.

Nie odpowiedział. Nie zareagował nawet najmniejszym ruchem.

- Ta zemsta należy do mnie - oświadczyła. - Zawsze żywiłam głęboki szacunek dla twojej inteligencji, Polu Hald. Zasiadałeś w radzie Haldów zanim jeszcze przyszedłam na świat. Żyłeś już, gdy Klan Meth-marenów rozpadł się na Sul i Ruil. Masz kontakty, których ja nie mam. Masz dostęp do Cer-dina. Pozostawałeś przy życiu i wprawiałeś Radę w zakłopotanie dwa razy dłużej, niż ja żyję. Wiedziałeś wtedy w Kethiuy. I teraz chcesz mnie przekonać, że nie wiesz dokładnie, o co chodzi innym?

Poi odetchnął głęboko i wolno kiwnął głową.

Spuścił wzrok.

- Plan polegał na tym, by rozerwać Region. To był pomysł Thela. Budować. Mnożyć się. I wszystko to masz na Istrze. Sama się domyśliłaś.

- Na tyle, by wszystko popsuć.

- Z pewnością cię zabiją. Obalą Moth i zabiją cię, zanim zdążysz ujawnić ich plany.

- Ich?

- Ich. Ja nie jestem w łaskach. Chodzę własnymi drogami, jak ty. Ucieknę, gdy nadejdzie pora. Zostanę, gdy przyjdzie mi ochota. Ale ty nie będziesz miała wyboru. Czy twoja wendeta jest tego warta?

- To nie podlega dyskusji.

Obejrzał się, spojrział w fasetowe oczy Wojownika i odwrócił głowę z wyrazem lekkiego obrzydzenia.

- Władcy kopców. O to ci chodzi, prawda? Ruilowie Meth-maren próbowali wykorzystać kopce. Tak samo Thel. Sama widzisz, do czego to doprowadziło.

- Nikt nie wykorzystuje kopców - odparła. -

"Władcy kopców" to określenie Ruilów. Sul nigdy tak nie mówili. A Klan Thon wciąż próbuje tej niebezpiecznej gry. Czy czerwoni znów pojawili się na Cerdinie?

- Przynoszą dary wszystkim, którzy dawniej się z nimi kontaktowali. Czułki Wojownika drgnęły nerwowo.

- Pakt - odezwał się.

Poi spojrział na niego z lękiem.

- Czy nie pojmujecie ryzyka? - spytała Raeri. - Kopce nie mają nic do zyskania... nic, co mogliby im dać Hałdo wie.**
- Azi - wyjaśnił Poi. - Proszą o więcej azi. Więcej ziemi. Więcej ziarna.**
- Kopce rosną - wtrącił Wojownik. - Kopce tutaj... rosną. Raen spojrzała na niego. To prawda, najczystsza prawda. Wszystko zgadzało się z danymi, które zdołała zebrać.**
- Nie rozumiesz? - powtórzyła. - Rada też nie? Kto pierwszy mówił o ekspansji? Thel, Ruil... czy czerwony kopiec?**
- Thel twierdził, że istnieje wyjątkowa szansa, że nawet Trutnie można wprzęgnąć do współpracy z, ludźmi.**
- Serce Raen biło szybko i mocno. Położyła dłoń na jednej z czulek słuchowych Wojownika i pogładziła ją łagodnie i delikatnie.**
- Och, Poi, czy tego nie rozumiesz? Trutnie to Pamięć. Ludzie nie mogą do nich dotrzeć. Poi wzruszył ramionami, lecz w jego oczach pozostał ślad niepokoju.**
- Meth-marenowie nie żyją. Władcy kopców odeszli, wszyscy, prócz ciebie. A do ciebie Rada nie ma dostępu, prawda? Moth powtarza, że jesteś bardzo ważna.**
- To mi pochlebia - odparła szorstko. - Władcy kopców... Ruilowie sami się okłamywali. Nigdy nie byli władcami kopców. Byli posłuszni kopcom. Odejdź stąd, Poi. Wracaj na statek. Powiedz im, że są szaleni. Dam ci dość**

powodów, byś im to powiedział.

Poi pokręcił głową.

- Nie zdołam się tam dostać żywy. I nie zechcą mnie słuchać. Nie mogą. Sprawy zaszły za daleko. Moth zginie, zanim tam dotrę. Osiem dni trwa przelot fali lub statku, w najlepszym razie. Nie mogę... nie zdążę.

- A ktoś .już tutaj leci.

- Nie może być inaczej.

Poi mówił rozsądnie. Nadal gładziła Wojownika, wiedząc, że każde słowo zapisuje w pamięci, świadoma nerwowego drżenia czułka w jej dłoni. Wreszcie się uspokoił.

- Istnieją filie ITAK na drugim kontynencie. Są też niebiescy w pobliżu piasta. Tak, Wojowniku?

- Tak. Wszystkie kopce, czerwoni, złoci, zieloni, niebiescy. No-wy Port.

- Ten sam Umysł, Wojowniku?

- Ten sam Umysł.

- Bez królowej?

- Wojownicy. Robotnice. Z tego-Wzgórza.

Spojrzała na Pola.

- Powiedzmy, że ci zaufam. Powiedzmy, że poproszę cię o przysługę. Masz tu swoją załogę?

- Dwunastu azi. Statek należy do mnie. To moja jedyna posiadłość. Łatwo zmienić miejsce. W tych czasach wydaje się to rozsądnym zabezpieczeniem.

- Nie mam rezydencji na tamtym kontynencie.

- Chcesz mnie usunąć z drogi?

- Mógłbyś odlecieć na Zachód i w ciągu jednego, dwóch dni przekonać się o sytuacji.
- Być może nie zostało ci tyle czasu. Oni cię powstrzymają. Nie żartuję.
- Rozsądek nakazuje mi więc zadbać o ciebie, prawda? Jeśli cofną mi uprawnienia, ty będziesz miał je nadal. Zgadza się, Polu Hałd?
- Zdumiewająco szybko zmieniasz zdanie. Czyżbyś miała na mnie polegać?
- Robi się to, co się musi.
- Wepchniesz mi szyję pod nóż i nawet nie odczujesz wyrzutów sumienia. '
- Według moich wyliczeń, jeśli startowałaś ze światów wewnętrznych ku Krawędzi, to mamy jeszcze trochę czasu. Możesz oddać mi tę przyługę i zdążysz jeszcze uciec. A na twoim miejscu, Polu Hałd, uciekłabym jak najdalej. \
- Poi odrzucił swą wyszukaną pozę i przyjrzał się jej uważnie.
- Dowiedziałaś się czegoś ważnego. Chciałbym tylko wiedzieć, co to było.
- Haldowie powinni poprosić mnie o pomoc. Albo Moth. Może bym wtedy przyleciała - musnęła czulek Wojownika, a ten odwrócił głowę reagując na pieszczotę. - Miło cię widzieć, Polu Hałd. Nie powiedziałabym tego nikomu innemu z Rodziny, możesz być pewien. Dawni znajomi już mnie nie interesują. Rodzina... także nie. Znalazłam tu coś, czego ty szukałeś przez całe życie.
- A cóż to takiego, Raen a Sul?

- **Krawędź. To, co nas ogranicza.**
- **Nie masz ambicji Rosa Hałda. Roześmiała się niewesoło.**
- **Moje ambicje są takie same jak twoje. Napierać, póki opór ustępuje. Tu jest granica. Strzeż się czerwonego kopca. Zrozumiałeś?**
- **Zaniepokoiłaś mnie.**
- **Nigdy nie przepadałeś za spokojem.**
- **Czego mam szukać na Zachodzie?**
- **Azi-strażników. Kupuj wszystkich, których zdołasz. Przekazuj ich na Wschód, do Biura Pracy. Broń także.**
- **Planujesz wojnę domową. Uśmiechnęła się znowu.**
- **Powiedz farmerom na Zachodzie... i filiom ITAK... żeby szykowali się na burzę.**
- **Jak mogę ich ostrzegać, kiedy nie wiem, o co chodzi?**
- **Wybór należy do ciebie. Leć albo zostań.**
- **Wiem, jaki mam wybór, dziecko.**
- **W każdym razie lepiej opuść ten dom. Wkrótce będzie tu gęsto od niebieskich, a twoja ręka jest marną gwarancją przyjaźni. Wynieś się z Nowej Nadziei w dowolnym kierunku, jaki ci odpowiada.**
- **Skrzywił się z udawanym smutkiem.**
- **-Myślałem o kolacji.i innych rzeczach, już później.**
- **Kiedy indziej, Polu Hałd. Ghoć przyznam, że to kusząca propozycja. W jego oczach zapaliły się kpiące ogniki.**

- Zatem nie tracę nadziei. Co prawda, znalazłaś sobie azi "na pocieszenie, a ja także mam swoją służbę. To smutne, prawda?
- Nadejdzie odpowiednia chwila. Skłonił się nisko.
- Znasz mój numer. Nigdy się nie zmienia.
- I ty znasz mój.
- Bety na Istrze - dodała na pożegnanie - bawią się w tę samą niebezpieczną grę, co Haldowie i Thonowie. Czerwony kopiec przynosi im dary. Jestem pewna, że na Zachodzie czerwoni chodzą, gdzie zechcą.
- Nie umiem postępować z majat.
- I nie próbuj. Nie pozwól im się zbliżyć. Strzelaj pod byle pretekstem.
- Ryzyko - wtrącił Wojownik, na powrót wracając do życia. - Uważaj, Trutniu zielonego kopca. Niebezpieczeństwo. Czerwony kopiec zabija ludzi, dużo, dużo, dużo. Nie jesteś z Umysłu zielonego kopca. Nie ma syntezy. Wcale.
- Co on mówi? - spytał Poi. - Nigdy nie potrafię ich zrozumieć.
- To proste. Wie, że nie znasz majat i ostrzega, że bez przyjaźni kopca chityna na rękę nie ochroni cię nawet przed zielonymi. Czerwoni, a zieloni także, nauczyli się zabijać osobowości. Czerwony kopiec potrafi już zawierać umowy z umysłami-które-umierają i śmierć nie jest dla nich problemem. Co więcej... nauczyli się kłamać. Pomyśl o Umyśle kopca, Poi, pomyśl o tym, że aby skłamać kopcowi, musisz zostać

ubezMyślnością. Ale okłamanie ludzi nie wymaga takich kroków. Niezwykle odkrycie. Czerwony kopiec zszedł z drogi moralności mająt tak daleko, jak to tylko możliwe. Haldowie, Thelowie i Thonowie pomogli w tym... a może odwrotnie. Odejdź już. Nie masz wiele czasu. Uważaj w porcie. Jesteś uzbrojony? Poruszył delikatnie palcami.

- Naturalnie.

Podalała mu rękę, którą uściskał z wymuszonym uśmiechem.

- Podaruję ci Zachód - powiedział. - Czy to wszystko, na co masz ochotę?

- Na razie tyle wystarczy - uśmiechnęła się. - Nie oddalaj się od statku - dodała już poważnie. - Chodzi o życie.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Po chwili usłyszała na podjeździe silnik samochodu.

Przeszła do komputera, otworzyła bramę i przez chwilę widziała go jeszcze na ekranie, gdy przejeżdżał. Zamknęła wrota.

Podszedł Wojownik i stanął jej za plecami.

- Ta-jednostka słyszała rzeczy o innych kopcach. Czerwoni. Kłopoty.

- Ta-jednostka jest zaniepokojona, Wojowniku. Ta-jednostka zaczyna podejrzewać, że kopce wiedzą więcej, niż mi powiedziałeś. Cofnął się, stukając kleszczami.

- Czerwony kopiec. Czerwony kopiec jest... - wydał z siebie ostry pisk w języku mająt. - Nie ma ludzkiego słowa, królowo Kethiuy. Długo,

długo czerwony kopiec i złoty kopiec... - znów ostry, zgrzytliwy dźwięk. - Czerwony kopiec jest pełen... ludzkie słowa: pchać-pchać-jajeczka - więcej.

- Ekspansja. Dążą do ekspansji. Do wzrostu. Wojownik zastanowił się. Na pewno znał te terminy, lecz nie był nimi usatysfakcjonowany.

- Synteza - powiedział wreszcie. - Posłańcy czerwonego kopca przybywają. Dużo, dużo. Czerwony kopiec... łatwo, łatwo przybyć posłańcom. Kontrin pozwalają. Złoci, tak. Zieloni, czasem. Dużo, dużo. Żadnych niebieskich.

- Wiem. Ale niebieski z Kalinda dotarł do was. Co wam powiedział?

- Królowo Kethiuy... dużo, dużo, dużo posłańców, czerwonych, złotych, zielonych. Żadnych niebieskich. Niebiescy odpoczywali, nie brali udziału w pchać-pchać-pchać. Bez syntezy. Teraz niebieski posłaniec. Smakujemy Umysł Cerdina.

- Wojowniku, jak brzmiała wiadomość?

- Zemsta - odparł Wojownik. To było istotą przesłania z Kalinda. Nagle jego czułki słuchowe drgnęły i przesunęły się w lewo. - Słyszę. Inni. Pokręciła głową.

-- Nie słyszę, Wojowniku. Ludzki zakres jest niewielki. Majat słuchał uważnie.

- Niebiescy. Przybywają. Dużo-dużo. Do widzenia, królowo Kethiuy. I wybiegł.

m

Słońce skryło się już niemal za horyzontem. Nie trzeba było nosić płaszczy i solskafów ani osłaniać oczu. W ogrodzie roilo się od majat. Raen nie pozwalała Jimowi oddalić się nawet na krok, tak samo jak Ma-xowi i Merry'emu. Nie ufała podnieconym Wojownikom. Spacerowała po ogrodzie, starając się, by majat zrozumieli, że azi przynależą do tego miejsca.

Nagle wśród Wojowników pojawili się nowi azi, owinięci w łachmany. Przybyli też inni, mniejsi majat z mniejszymi szczękami: Robotnice, cała horda.

Azi podchodzili do niej, szukając dotyku kościstymi dłońmi. Oczy mieli zasłonięte nawet teraz, o zmroku, i poruszali się dziwnie, jakby nerwowo. Najpierw jeden, potem kilku innych zdjęło maski i próbowało ustami wymienić smak z Jimem, Maxem i Merry'm. Odskoczyli natychmiast, gdy Raen kazała im odejść.

- Kto to był? - spytał Jim ze zgrozą.

- Nie masz się czego bać - uspokoiła go. - Należą do majat i przejmują ich zwyczaje. - A widząc, jak cała trójka reaguje na obecność ich odpowiedników z kopca, zawołała: - Azi niebieskiego kopca! Wejdźcie do wnętrza, wejdźcie do budynku, odszukajcie dolny poziom i zostańcie tam.

- Tak - odpowiedzieli śpiewnie chórem, patrząc na nią nieruchomo. Potem pobiegli szukać piwnic, ciemnych miejsc, gdzie będą się czuli prawie jak w domu.

Robotnice bez instrukcji wzięły się do pracy, zaczęły kleszczami podwazyć kamienie bruku i kopać w miękkiej, wilgotnej ziemi.

Nagle odezwał się brzęczyk przy frontowej bramie.

Raen zakłęła i razem z Jimem, Maxem i Merry'm przecisnęła się przez tłum majat.

- Wojownik - krzyknęła do najbliższego. - Zbierz wszystkich majat za domem, żeby nie było ich widać. Nie ma zagrożenia. Nie ma wrogów. Po prostu zostańcie tam. A wy idźcie do bramy - poleciała Maxowi i Merry'emu. - To pewnie nowi azi. Zajmijcie się nimi. Dopilnujcie, żeby nigdzie sami nie chodzili. Ustawcie ich w szereg i sprawdźcie ze specyfikacją, według numerów, wizualnie.

Pobiegli wykonać polecenia. Raen z Jimem, nie odstępującym jej na krok, weszła do domu i odblokowała bramę, gdy tylko zobaczyła na monitorze ciężarówki z emblematem Biura Pracy. Przyglądała się, jak wysiadają z nich azi. i wyładowują skrzynie, a Merry i Max wywołują numery i ustawiają ludzi dziesiątkami. Wreszcie azi stanęli nieruchomo obok skrzynek ułożonych w kwadrat we frontowej części ogrodu. Po rozładunku ciężarówki odjeżdżały i kiedy ostatnia z nich przejechała przez bramę, Raen zamknęła ją i uruchomiła system alarmowy.

- Nie będą zachwyceni, gdy zobaczą majat - stwierdziła. - Jim, poszukaj jakiegoś spokojniejszego Wojownika i poproś, żeby

wyszedł z tobą przed dom. Sam. Niech zobaczą najpierw jednego.

Jim kiwnął głową i wyszedł. Raen włączyła oświetlenie zewnętrzne i przez frontowe drzwi weszła pomiędzy ustawionych grupami dwustu sześciu ludzi.

Max i Merry sprawdzali numery, tak jak im poleciła. Przy włączonych światłach proces przebiegał znacznie szybciej. Znaki identyfikacyjne odczytywali nie z naszywek na kombinezonach, ale z tatuaży na ramionach. Każdy ze sprawdzonych stał w szeregu przy wejściu. Sprawna, precyzyjna para, Max i Merry, pomyślała Raen. A tych dwustu nowych ma umysły dokładnie takie same. Aż nazbyt dokładnie, jeśli przeszkolono ich tymi samymi taśmami.

Nagle azi zesztynieli, spoglądając w stronę domu. Raen obejrzała się także. Zobaczyła Jima i mająt idącego wolnym krokiem niby niesamowity cień.

- Jest ich tu wielu- zawołała, zanim zdążyła wybuchnąć paniką. - Ja rnam wasze kontrakty. I zapewniam, że absolutnie nic wam nie grozi ze strony tych konkretnych mająt. Będą wam pomagać w wypełnianiu obowiązków, polegających na ochronie tego domu. Jasne? Wszystkie głowy pochylili się, wszystkie oczy zwróciły ku niej. Dwustu ludzi. Wśród nich było wielu podobnych, wiele grup po dwóch, trzech,

czterech identycznych nawet co do wieku.
Dostrzegła dwóch Maxów i jednego Merry'ego.
Potrafią zaakceptować ją i mająt, i każdego, kto
posiadał kontrakty. Taki mieli psychoset. Tak
samo jak Max i Merry, walczyli tylko wtedy,
gdy właściciel kontraktu to nakazał i wskazał
przeciwnika. Gdy chodziło o ich własne życie,
praktycznie nie stawiali oporu. Byli potulni,
póki nie otrzymali wyjaśnień. Wojownik
zainteresował się nimi i podszedł bliżej. Znieśli
to spokojnie. Posiadacz kontraktów był obok, by
udzielić instrukcji, gdyby były potrzebne.
Strażnicy.

Specjalizacja, jak określił to Itawy.

- Wojownik - rzuciła. - podejdz.

A kiedy stanął przy niej, pogładziła jego czułki i
zatrzymała, by nie straszył niepotrzebnie nowo
przybyłych.

Kontrola trwała nadal. Przy jednym z mężczyzn
Max i Merry zatrzymali się, dokładnie oglądali
numer, dyskutowali nad czymś.

- Sera - zawołał Max. Mężczyzna rzucił się do
ucieczki.

- Nie! - krzyknęła Raen, lecz Wojownik nie
słyszał. Odrzucił czułki słuchowe do tyłu i
pomknął z nieprawdopodobną szybkością. Azi
rozbiegli się.

Lecz to Max i Merry pierwsi schwytali
uciekiniera. Raen podbiegła do nich i przede
wszystkim uspokoiła podnieconego Wojownika.
Jim trzymał się przy niej. Inni azi stali

nieruchomo, zaskoczeni, zdziwieni może, że jeden z nich próbował użyć siły.

Azi trzymany przez Maxa przestał się wyrywać, spojrzął ponad ramieniem Raen i nagle dotarło do niego, czego o włos uniknął. Nie' różnił się od pozostałych, z ogoloną głową, w szarym kombinezonie z naszytym numerem. Merry odsłonił mu ramię i wskazał na tatuaż, jakby czegoś w nim brakowało.

- Jest za ciemny, sera - wyjaśnił. - Według dokumentów ten azi ma dwadzieścia dziewięć lat, a cyfry są bardzo wyraźne.

Mężczyzna spojrzął na Raen. Był sztywny ze strachu.

Robiono już takie rzeczy... jakiś przekupiony beta, któremu obiecano ochronę...

- Raczej uwierzę w niezwykłą farbę - stwierdziła spokojnie Raen - niż w azi, który wyrywa się i ucieka. Kto cię przysłał?

Nie odpowiedział, szarpnął się tylko, próbując wyrwać się z uścisku Maxa.

- To nie zabójca - orzekła Raen, choć nie była całkiem przekonana, obserwując pełen nienawiści grymas. - Bety nie biorą się do zamachów.

A może... - zastanowiła się, gdyż mężczyzna wydał jej się niemal szalony. - Może to wcale nie beta. Jesteś betą?

- Jest za mały na strażnika - zauważył Merry. To też była prawda.

Nagle uśmiechnęła się, pewna, że zna tajemnicę.

- To Obcy. Jeden z ludzi Tallena. Trafila. Falszywy azi odwrócił wzrok.

- Człowieku - westchnęła. - Żeby aż do tego się posunąć... A może nie wiedziałeś, w co się pakujesz, gdy dałeś sobie wytatuować ten numer?

Przestał się wyrywać, zaprzestał wszelkiego oporu. Raen poczuła litość, patrząc na desperację tego młodego Obcego. Dwadzieścia dziewięć lat. Nie wyglądał na tyle.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Tom Mundy.

- Jesteś od Tallena. Nie tak mocno, Max. Nie sądzę, by miał zamiar mnie zabić.

Przypuszczam, że zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd. I zastanawiam się, czy całkiem przypadkowo nie trafiliśmy na coś poważnego. Prawda, Tomie Mundy?

- Puście mnie.

- Puść go, Max. Ale - dodała, widząc, że Obcy chce uciekać - w tym stanie nie przedostaniesz się przez miasto, Tomie Mundy.

Wyglądał, jakby znalazł się na skraju szaleństwa. Jakaś resztką rozsądku kazała mu zostać i słuchać.

- Odeślę cię do Tallena - obiecała. - I nie będę zadawać pytań. Jeśli jednak chciałbyś się czegoś napić i odpocząć, póki moi ludzie nie skończą kontroli, byłoby mi to na rękę.

- Człowiek z Zewnątrz - wymruczał śpiwnie Wojownik. Obcy załkał i łzy popłynęły mu po

policzkach. Byłby usiadł na ziemi, gdyby nie Jim i Merry, którzy wzięli go za ręce i poprowadzili do drzwi.

iv

W domu panował spokój. Słysząc było wprawdzie jakieś odgłosy na tyłach i hałasy z piwnicy, ale w pokojach było jeszcze pusto. Azi, który okazał się Tomem Mundy, siedział na kanapie, ściskając w ręku szklankę i patrzył w podłogę.

- Chciałabym - zaczęła łagodnie Raen - byś odpowiedział mi na jedno pytanie. Dobrze? Jim stał obok; wskazała mu miejsce przy sobie. Usiadł z wyrazem niesmaku na twarzy. Mundy podniósł głowę i spojrzał na nią z obawą.

„

- Co spowodowało, że znalazłeś się w tutaj? Przybyłeś, by mnie szpiegować? Czy ktoś cię przysłał? Milczał.

- Jak chcesz - stwierdziła. - Nie będę nalegać. Ale domyślam się, że uznaliście to za dobrą metodę zdobywania informacji. I popełniliście błąd. Numer prawdziwego azi, prawdziwe dokumenty, status strażnika. W ten sposób szpieg mógł się wiele dowiedzieć, a nikt przecież nie zamyka przed azi sprzętu komunikacyjnego. Sądzę, że składałeś Tallenowi regularne raporty, bo nikt nie podejrzewał, że mógłbyś to robić. Ale coś się nie udało.

Próbował przełknąć ślinę.

- Obiecałaś mnie wypuścić.

- Właśnie wyprowadzają samochód. Max z kimś jeszcze odstawią cię Tallenowi pod drzwi. Będzie miał niespodziankę. Jak długo siedziałeś w tamtej klatce?

- Nie wiem - powiedział chrapliwie. - Nie wiem.

- Więc twoje przybycie tutaj nie było zaplanowane - wyczuwała jego lęk, więc nie powtarzała pytania. - Wrócisz do Tallena żywy, nie bój się. Nic ci się nie stanie. Jak długo pracowałeś na tej planecie?

Starał się unikać jej wzroku.

- Jest was więcej - stwierdziła. - Prawda?

Popatrzył niepewnie.

- Prawdopodobnie kupiłam was kilku i nie wykryłam tego. Posiadam wszystkie kontrakty azi-strażników, jakie są do kupienia na tym kontynencie. Oddzieliłabym was, gdybym tylko mogła. Pilnowałeś biur ITAK, zbierałeś informacje i przekazywałeś je Tallenowi. Nie interesuje mnie to. Właściwie nawet podoba mi się wasze przedsięwzięcie. Dlatego właśnie robię mu prezent z twojej osoby. Radzę ci jednak: jeśli znasz innych w tej grupie, powiedz. Są inni, prawda?

Łyknął ze szklanki i milczał.

- Wiedziałeś, w co się pakujesz?

Otarł czoło i oparł brodę na dłoni. Ten gest wystarczył jej za odpowiedź.

- Powiedz Tallenowi, że wyciągnę jego ludzi, jeśli poda mi ich numery. Nie sądzę, żebyś je znał.

- Nie znam - zapewnił.
- Jak trafiłeś do Biura Pracy?
- Zająłem... zająłem miejsce aзи zabitego przez majat. Tatuaż... papiery... ochrona transportów. Potem zamknięto magazyny. Przedsiębiorstwo przestało działać. Byłem tam... byłem...
- Bardzo długo. Przytaknął.
Prawdziwy człowiek, poddany działaniu taśm i izolacji... patrzyła na niego ze współczuciem.
- I, naturalnie, Tallen nie mógł cię wykupić. Obcy nie mają prawa. Nawet znając numery, nie mógł was wTydostać. Czy ktoś o tym pomyślał, zanim wytatuowali wam znaki?
- Rozważano taką możliwość.
- Tak bardzo się nas boicie? - spytała cicho.
Odwrócił wzrok. - I słu-s/nie - odpowiedziała sama sobie. - Znasz nas. Widziałeś. Byłeś tam. Zanieś swój meldunek, Tomie Mundy. Lepiej będzie, jeśli już nigdy nie wrócisz do Regionu. Gdyby nie ostre ograniczenia eksportowe, mógłbyś trafić... Nagle przerwała. Roześmiała się głośno, a Tom Mundy spojrział na nią z przerażeniem.
- Azi - wykrztusiła. - Główny artykuł eksportowy Istri. Wysyłani na wszystkie planety.
Z obawą spojrziała na J ima.
- Ja jestem azi - oświadczył Jim tracąc swój spokój. - Jestem a%i, sera. Położyła mu dłoń na ramieniu.
- Na pewno. Nie mam żadnych wątpliwości, Jim

- z zewnątrz dobiegł szum silnika. - To na pewno samochód. Proszę ze mną, ser Mundy.

Tom Mundy odstawił szklankę i ruszył przodem. Na podjeździe czekał samochód. Max stał przy otwartych drzwiach.

- Max, przytrzymaj go - poleciała Raen.

Mundy rzucił się do ucieczki, lecz Max był szybszy. Pchnął go na samochód, potem obaj przewrócili się na ziemię. W pobliżu stali majat, Wojownicy. Jim próbował się włączyć, ale Raen chwyciła go za ramię.

Mundy wyrywał się i przeklinał. Max zawołał o pomoc i kilku azi przybiegło natychmiast.

Szamotanina trwała jeszcze przez chwilę.

- Nie róbcie mu krzywdy - krzyknęła Raen, widząc, że może do tego dojść, gdyż Mundy walczył jak szaleniec i trzeba było kilku azi, by wreszcie go unieruchomić. W sporym zamieszaniu szukano sznurów. Strzał, uznała Raen, obserwując całą akcję, byłby o wiele prostszy. Policja, widząc zajście, miała ochotę interweniować - widziała światła na drodze. Nie przejdą przez bramę i nie ośmielą się wspinać na mur.

W końcu Mundy został obezwładniony. Klął i wrzeszczał, ile miał tchu w piersi. Potem leżał na ziemi i dyszał ciężko. Max i drugi azi podnieśli go na nogi, a Raen cofnęła się, gdy splunął w jej stronę.

- Dotrzymam słowa - powiedziała. - Choć nie od razu. Uważaj, Tomie Mundy. Najgorsze, co

mogę zrobić, to odesłać cię z powrotem. Wtedy przestał się wyrywać.

- Jak długo prowadzicie tę działalność? - spytała. - Ile lat?

- Nie wiem. Po co mieliby mi mówić?

- Pilnuj go dobrze, Max. Nie spuszczaaj go z oka. W piwnicy znajdziesz dla niego odpowiednie pomieszczenie. Na pewno nie chciałby znaleźć się tu na swobodzie. Stały nadzór. Dopilnuj tego. Poprowadzili go do domu. Raen została jeszcze. Spojrzała na Wojowników trzaskających nerwowo kleszczami.

- Inny kopiec - próbowała wyjaśnić w zrozumiałych dla nich terminach. - Nie wróg, nie przyjaciel. Inny kopiec. Będziemy izolować tamtą -jednostkę. Przekaż informację. Wojownik musi pilnować tamtej-jednostki. Przez chwilę analizowali tę koncepcję nieznaną Umysłowi kopca. Obcy powinien zostać usunięty, nie zatrzymany.

- Tam ta-jednostka złoży meldunek, gdy ucieknie. Pozwolimy odejść, kiedy będzie dobrze, gdy zamelduje.

- Tak - odpowiedzieli chórem i weszli do domu - sylwetki z koszmarne go snu w korytarzu Eln-Kestów.

Ruszyła za nimi, gdy spostrzegła, że nie- ma przy niej Jima. Obejrzała się. Stał obok samochodu z wyrazem tępej grozy na twarzy. Wróciła i wzięła go za rękę. Z wnętrza domu

dobiegł histeryczny krzyk. Przesunęła dłoń do łokcia Jima; postanowiła iść dookoła, obok wejścia, za róg i dróżką na tyły, gdzie było spokojniej.

- jestem azi - powtórzył Jim. Mocniej ścisnęła jego ramię.

- Wiem. Wiem o tym, Jim. Uspokój się. Mamy za sobą długi, ciężki .dzień. Czują, że drży.

- Rzut kostką okazał się dla mnie szczęśliwy - powiedziała. -- Ale ty... w jakie miejsce trafiłeś...

- Jestem azi.

- I świetnie sobie radzisz.

Przeszli do ogrodu na tyłach. Panował tu chaos. Azi usiłowali uporządkować przywiezione zapasy, a niespokojni Wojownicy spacerowali wśród ludzi, dotykając ich kolejno. Azi nie próbowali oponować, po prostu stali spokojnie, chociaż na pewno bardzo się bali. Żaden beta by tego nie potrafił. Raen przeszła między nimi, oddzieliła azi od majat i skinęła na Merry'ego, który pospiesznie nakazał wszystkim swoim ludziom schronić się w kwaterach azi. Żaden nie zawahał się nawet na moment.

Drzwi zamknęły się za nimi. Od tej chwili majat niepodzielnie władali ogrodem, a ich azi wysypali się tylnym wyjściem, nadzy, nie potrzebujący już osłony przed światłem słońca. Mieli szalone oczy i uśmiechali się, gotowi przyjmować dotyk od Wojowników i Robotnic. Przyszli pomóc i radośnie rzucili się do wykopów.

- Trzeba ich nakarmić - stwierdziła Raen. - Teraz my za nich odpowiadamy. Jim, idź, spróbuj znaleźć domowych azi. Niech przygotowują posiłek dla wszystkich. Azi mająt wolą gotowane ziarno. Jest ich chyba około pięćdziesięciu.

Jim kiwnął głową i odszedł, zmęczony po przeżytym szoku. Przyglądała się, jak wchodzi do kwater azi, jak wraca z szóstką domowych, jak prowadzi ich do domu odpędzając natrętnych azi mająt. Radził sobie i to całkiem dobrze. Odprężyła się na chwilę; stanęła, patrząc na ciemne sylwetki mająt, na niebieskie światełka azi mrugające tajemniczo z pogłębianego tunelu.

- Robotnico - zapytała, gdy jedna z nich przechodziła w pobliżu. - Dokąd ma sięgać ten tunel?

- Niebieski kopiec - to była odpowiedź. Poczowała nagły dreszcz. Wyobraziła sobie tunele jak ramiona kopca, sięgające do serca miasta. Matka się zgodziła; Matka rozkazała. Kopiec sięgnął, by objąć ją i ochronić. Chwyciła się dłońmi za ramiona; światła migotały na granicy jej pola widzenia.

Powietrze było świeże, pachnące wilgocią i wieczorem. Kropla wody spadła jej na rękę. Podniosła głowę. Chmury zakryły niebo, zbliżał się deszcz. Nie będzie przeszkadzał mająt ani ich azi.

Wróciła do środka, gdy wyszli domowi azi

niosący zapasy żywności. Pospiesznie, ze strachu przed majat, przenosili je do kuchni w swoich kwaterach.

Jeden z nich pozostał w domowej kuchni i pod kierunkiem Jima przygotowywał inny posiłek.

- Dziękuję wam - rzuciła Raen. Była tak zmęczona, że bez oporu zjadłaby owsiankę azi. Tym niemniej z zadowoleniem przyjęła dobrą kolację. Jim zajął swoje miejsce po drugiej stronie stołu.

Kopiec był wokół niej. Pieśń się rozpoczęła. Słyszała ją: iluzoryczną i cichą jak deszcz, jak zapomniane sny.

Wtedy przypomniała sobie piwnice i jej dłoń z filiżanką zatrzymała się przy wa-rgach. Napiała się i zaczęła myśleć o innych rzeczach.

O Itavvy'm i obietnicach; o Polu Hałd; o Tallenie.

O Rodzinie.

Wiadomości piętrzyły się w pamięci. Komputer wypluwał je w szaleńczym tempie. Raen czytała, a gromy huczały ponad domem.

Jedna z nich nadeszła od ser Daina. UNIZONE PRZEPROSINY. ARTYSTA TO SER TOLERRIN, I028D, PRZYBRZEŻE. Większość z pozostałych zawierała jakieś bzdury. Przetarła oczy, wypila łyk kawy i weszła w sieć komputera planetarnego. Wyciągnęła numer ewidencji osobowej i włączyła go do programu.

Wiadomość od Pola Hałda: NOWY PORT JEST OKROPNY. CIERPIĘ STRASZLIWIE.

CIESZ SIĘ.

**Łyknęła jeszcze kawy, tonąc w rytmie pieśni
mająt rozbrzmiewającej wewnątrz domu.**

Przygotowała się do wejścia w interkomp.

**Strumień danych płynął bez przerwy, planeta do
stacji, stacja do stacji, stacja do planety. Raz
wysłanych danych nie dało się wycofać.**

**Wywołała przygotowany program dotyczący
kontraktów, kwot eksportowych i odrzuconych
podań o zezwolenia.**

ZGODA, wprowadziła do wszystkich.

**Za godzinę rada będzie zablokowana pytaniami,
nastąpi chaos. Blokada została przełamana. Na
Cerdinie dowiedzą się dopiero za osiem dni.**

**Połączyła się z miejskim hotelem i wyciągnęła z
łóżka zaspanego Obcego.**

**- Poproś Tallena - poleciała. Używała własnego
obrazu i bezpośredniej komunikacji głosowej,
czego nie robiła od przybycia na Istrę.**

**Tallen pojawił się szybko, nie do końca ubrany i
zarumieniony od snu.**

- Kont' Raen - poznał ją.

**- Mam tu azi - oznajmiła. - Zna pana. Nazywa
się Tom Mundy. Tallen zaczął coś mówić, ale
zmienił zdanie. Senność wyparowała z niego w
jednej chwili.**

**- Nic mu się nie stało - zapewniła. - I nie stanie.
Ale chcę wiedzieć, ile to już trwa, ser Tallen.
Żądam odpowiedzi. Jak długo, jak wielu, jak
daleko?**

- Spotkajmy się. Pokręciła głową.

- Proszę odpowiedzieć. Jak daleko sięga siatka?
- Nie mam ochoty omawiać tego na odległość.
- Mam pytać Mundy'ego? Tallen zeszywniał.
- I tak zrobisz, co zechcesz. Misja handlowa...
- Podlega prawom Regionu. Prawom Kontrin.
Robię, co chcę, to prawda. On jest na razie bezpieczny. Oddam go panu, więc nie musi się pan uciekać do nieprzemyślanych kroków. Chcę tylko powiedzieć, że .zrobił pan rzecz bardzo niemądrą, ser. Proszę mi podać numery, a postaram się załatwić tę sprawę. Rozumie mnie pan, prawda? Mogę działać tam, gdzie pan nie ma dostępu. Chętnie to zrobię... to kwestia humanitaryzmu. Proszę o numery.

Tallen przerwał połączenie.

Tego się obawiała. Pokręciła głową, łyknęła wystygłej kawy, by przepłukać gardło, wreszcie przełączyła komputer na odbiór automatyczny. Krzywiąc się dopiła kawę, poprawiła sobie smak kieliszkiem likieru i usiadła, zasluchana w grzmoty burzy.

-- Sera - głos Jima przestraszył ją. Spojrzała w stronę drzwi.

- Idź do łóżka - poradziła mu. - Odpocznij.

Zrobiłeś, co tylko mogłeś.

Nie chciał odejść, ale posłuchał. Słyszała, jak cichną na schodach jego kroki. Przez chwilę siedziała nieruchomo, zasluchana w pieśń majat, potem wstała i zeszła na dół w ciemność piwnic.

Otoczyli ją azi majat. Odepchnęła ich i

cierpliwie zniosła dotyk Robotnic i Wojowników. Znalazła strzeżone przez Wojowników drzwi. Otworzyła je i dwóch strażników aże podniosło się z krzeseł wewnątrz pomieszczenia. Trzeci mężczyzna, zawinięty w koce, leżał skulony w kącie.

- Rozmawiałam z Tallenem - poinformowała. - Jest bardzo zdenerwowany. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, żebyś miał tu wygodnie?

Potrząsnął głową. Nie chciał na nią patrzeć.

Rozwiązali go. Sznury nie były potrzebne, gdy przy drzwiach stała podwójna warta.

- Pracowałeś w ochronie transportu. Czy jesteś na tyle rozsądny, by zrozumieć, że to, co widziałeś na tym świecie, nie jest normalne, że sprawy wypadły ze zwykłego biegu?

Nadal nie odpowiadał, co w jego sytuacji było najrozsądniejszym wyjściem.

Usiadła, opłotła rękami kolana i przyjrzała mu się uważnie.

- Zaryzykuję hipotezę, ser 113-489-6798, że wszystkie wasze przedsięwzięcia skończyły się porażką. Gdyby się wam udało, Tallen by mnie rozpoznał przy pierwszym spotkaniu.

Rozrzuciliście aże po tym świecie i osiągnęliście tyle, że zablokowało ich embargo, jeśli nie tutaj, to na Pedrze albo Jinie. A wiesz, co się z nimi dzieje? Trafili do klatek, tak jak ty. Zamknęli cię, kiedy przestały pracować magazyny, jakieś pół roku temu. Jak myślisz, co się stanie z tymi, którzy tkwią tam od lat? Dla niektórych to już

dwa lata. Co z nimi będzie? Sądzisz, że pozostaną zdrowi na umyśle? Wątpię. A wiesz, ilu azi ma

dostęp do transmisji informacji poprzez interkomp? Ani jeden. Zmarnowaliście tylko ludzi. Jak ciebie.

Wpatrzone w nią oczy pod ogoloną czaszką. Chude dłonie przyciskające kolana do piersi. Ju% nigdy, pomyślała, nigdy nie będzie człowiekiem, jakim mógłby być. Młodość utracona w, takim przedsięwzięciu... i nie tylko on jeden. Załamaly się. Jak większość, gdyby to mająt stawiali pytania. Ale nie sądziła, by wiedział cokolwiek o innych.

- Majat zabili azi, którego miejsce zająłeś - odezwała się znowu. - Czy trudno było eskortować ładunki?

- Oni są wszędzie - szepnął chrapliwie. - Farmy... to warowne obozy. Przez nich. Poczula chłód. Kiwnęła głową.

- Widziałeś ich kiedyś na otwartej przestrzeni?

- Raz. Na polach. Odjechaliśmy tak szybko, jak tylko się dało.

- Jak myślisz, co by zrobili?

- Czasem ginęły transporty. Potem znajdowali ciężarówki. Nic więcej. Wolno kiwnął głową.

- To się zgadza, ser Mundy. Wszystko pasuje. Dziękuję ci. Teraz odpocznij. Prześpij się. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Jeżeli zostaniesz w tym pokoju, odwiozę cię do Tallena całego i

zdrowego. Nie próbuj szczęścia z moimi strażnikami. Zwykle draśnięcie przez majat jest równie śmiertelne jak ukąszenie. Ale tutaj nie wejdą.

Wstała i wyszła, przechodząc między Wojownikami. Drzwi zamknęły się za nią.

Wyszukała jednego z większych majat, dotknęła go, pogładziła.

- Wojowniku, dużo azi w niebieskim kopcu?

Broń?

- Tak.

- Kopce zabierały azi i żywność?

Poruszył kleszczami, jakby zaniepokojony pytaniem.

- Zabierały, tak. Czerwony kopiec zabiera, złoci zabierają, zieloni zabierają, niebieski kopiec, tak. Zbierać dużo, dużo. Matka mówi bierzcie, chowajcie, nie dajcie innym kopcom.

- Wojowniku, czy niebieski kopiec zabijał ludzi?

- Nie. Zabiera azi. Trzyma.

- Dużo azi.

- ,Dużo - zgodził się Wojownik.

Jim siedział na łóżku, rozcierał sobie skronie i próbował stłumić pulsujący ból głowy. Nie wpadaj w panikę. Nigdy nie wpadaj w panikę. Stań. Pomyśl. Myślenie to dobra służba. Dobrze jest dobrze służyć.

Rzadko pamiętał taśmy dosłownie. Myśli po prostu tkwiły w jego mózgu. Tej nocy pamiętał i walczył o tę pamięć. Był niewyobrażalnie zmęczony. Dziwne sprawy, dziwny świat... drżał

pod ciężarem przeżyć.

Ten drugi Kontrin odszedł, odleciał na drugi koniec świata; przynajmniej tyle. Ale mająt nie odejdą, tak samo jak ten tłum azi. On jeden pozostał wyjątkowy. Wyczuwał to i z wysiłkiem trzymał się tej myśli.

Miał tutaj coś swojego; oni nie. Miał ten pokój, to miejsce, które z nią dzielił. Inni tego nie mieli. Wstał w końcu i podjął odpowiednie działania - działania urodzonego człowieka. Wprawdzie na Klejnocie obowiązywały bardzo ostre przepisy dotyczące osobistej higieny, to jednak nawet na górnych pokładach nie było takich możliwości jak tutaj. Wszedł pod prysznic, namydlił się obficie raz, drugi, trzeci... chłonał z rozkoszą zapach, tak różny od gorzkiej woni detergentu płynącego automatycznie z kurków na pokładzie azi, szczypiącego w oczy i nos. Dbał o wygląd; uważał to za swój obowiązek wobec niej, by nie odbijać się zbyt mocno od tych wszystkich pięknych rzeczy, które posiadała i z których pozwalała mu korzystać. Ona była miarą dla całego szerokiego świata, przez który ciągnęła go za sobą. Widział bogatych ludzi, potężnych ludzi drżących przed nią ze strachu,' widział, jak boją się jej mająt i jak są jej posłuszni. I ten drugi Kontrin, który traktował ją z szacunkiem. A on był jej najbliższy. Poczucie własnej ważności uderzało mu do głowy jak wino. Na statku przerażała go reakcja innych na jej

obecność; nie wiedział, jak to jest: żyć po drugiej stronie, wewnątrz ochronnego pancerza. Był w domu, wewnątrz, a inni nie byli. Widział nowe rzeczy, których szczegóły wciąż były dla niego zagadką, dla których nie miał nawet słów, by je nazwać lub wspomnieć, nie miał porównań, prócz tych z taśm, jakie mu dała. Odwiedził z nią miejsca, gdzie nie bywali nawet ci bogaci i potężni ludzie, których widywał w salonie Klejnotu, ukazujący mu jedynie strzępki własnego życia, osłoniętego przedtem i potem kurtyną mroku. Odszedł stamtąd w ten niewyobrażalnie szeroki świat, w którym żyli urodzeni ludzie. A ona była przy nim, by się nigdy nie zagubił.

Znów stał ponad klatkami azi, na wpół zapomnianymi, gdyż cały okres sprzed Klejnotu rozmywał się w jego pamięci, nieosiągalny z teraźniejszości, ponieważ był pozbawioną szczegółów pustką. Dzisiaj spojrzął w dół, tak jak patrzył za dawnych czasów, lecz wiedząc, że tym razem nie wraca po gimnastyce do swojej celi, do pół-świata taśm szepczących w jego umyśle. Tym razem przyszedł, by spojrzeć i odejść, za nią, a świeże powietrze i światło usunęły odór klatek. Lęk przed tym miejscem zniknął na zawsze.

Dzięki niej,

Była obok niego nocą, kiedy śnił o samotności między ścianami celi, gdy widział tylko jaskrawy blask reflektorów i splątana metalową pajęczynę

pomostów nad głową... gdy kulił się w kącie, ponieważ tylko ścian mógł dotknąć, tylko o ściany mógł się oprzeć i uspokoić. Na pokładzie azi wszyscy spali blisko siebie, by uzyskać to wrażenie, a najgorszą rzeczą, jaka mogła się zdarzyć było znalezienie się Poza, gdy nikt nie chciał cię dotknąć. Bycie Poza zostało w pamięci jako na j straszniejsze wspomnienie długiej podróży, kiedy Kontrin stała się jego piętnem i nikt nie ośmielał się do niego zbliżyć. Ona to zrobiła... i więcej, więcej nawet, niż te pasażerki, które angażowały go na jedną noc albo nawet całą krótką podróż, z których kilka chciało okazać wielkoduszność i jedna, której nie chciał pamiętać... ona została. Bogaci pozwalali mu się dotykać, dawali wrażenie przeżyć na zawsze pozostających poza zasięgiem azi; za każdym razem wierzył przez chwilę w istnienie takich rzeczy, w uczucia głębsze, niż ślepe tulenie się do siebie na pokładzie azi. Miłość, mówili. Lecz potem bogaci szli swoją drogą, a on zostawał na statku, związany kontraktem na zawsze. Jedynie azi dawali ciepło, osiągnane po dniu pracy, gdy wracał nocą na materac i był Wśród, ze wszystkimi, blisko.

Potem przyszła Raen. Raen, która była tym wszystkim i która miała jego kontrakt, a więc była na zawsze.

Rozgrzany kąpielą położył się w chłodnej pościeli i myślał o niej; wpatrzony w chmury

nad kopułą i przebiegające wśród nich błyskawice, i krople deszczu padające na szybę i załamujące światło w strużkach wody.

Nie lubił piorunów. Nigdy, od czasu, gdy przepracował swój rok na polach Andry, zanim trafił na Klejnot. To się nie zmieniło. Jakieś bzdurne myśli przebiegały mu przez ;głowę - oderwane fragmenty hipnostudiów.

Dla niektórych oc%u barwy są niewidoczne. Dla innych niewidoczne ma wiele barw. I obie te r%ec%y są prawdziwe. I obie nie są. I jedna jest fałszem. I %adna.

Zacisnął powieki i zobaczył majat; i tych strasznych nagich azi niosących błękitne światła; i azi, który nie był azi, tylko urodzonym człowiekiem i oszalał w celi słuchając przeznaczonych dla azi hipnotaśm. Światła ponad klatkami nigdy nie migotały; dźwięki dobiegały rzadko i nigdy niczego nie oznaczały. Błyskawica rozjaśniła pokój ostrym, białym światłem; potem ogłuszająco huknął grom. Podskoczył, a potem znów leżał bez ruchu, czując, jak bije mu serce. Znowu to samo, lecz tym razem był przygotowany i prawie nie drgnął. Nie chciał, by wiedziała, że się boi. Wciąż nie przychodziła. To niepokoiło go bardziej niż pioruny.

Wreszcie zasnął, pokonany zmęczeniem. Przebudził go jakiś hałas, głośniejszy niż pomruk majat. Przyszła Raen, ale nie poszła do łazienki, jak poprzedniego wieczora, lecz ubrana

szukała czegoś wśród rzeczy.

- Nie śpię - powiedział, by nie sądziła, że musi zachowywać się cicho.

Podeszła i usiadła na łóżku, a kiedy się podniósł, ujęła i uścisnęła jego rękę. Klejnoty na grzbiecie jej dłoni lśniły zimno, niemal bezbarwne w mroku. Krople deszczu nadal rozpryskiwały się na szybie, mniejsze teraz, a pioruny uderzały z rzadka.

- Wyjeżdżam - poinformowała. - To krótka podróż, niedługo wracam. Tym razem bezpieczniejszy będziesz w domu.

- Nie - zaprotestował i serce uderzyło boleśnie, gdyż nie było słowem zakazanym. Chciał szybko wyjść z pościeli, by zdążyć spakować rzeczy, zanim ona będzie gotowa.

Przytrzymała go stanowczo i pokręciła głową.

- Jesteś mi tutaj potrzebny. Potrafisz pokierować tym, co się dzieje w domu. Co zrobiłby Max, gdybyś mu nie mówił, co ma robić? I co zrobiliby inni, uzależnieni od jego poleceń? Nie boisz się majat. Radzisz sobie z nimi lepiej, niż niektórzy Kontrin.

Pochlebiło mu to bardzo, choć drżał na samą myśl o majat. Wiedział jednak, że to prawda, ponieważ ona to powiedziała.

- Gdzie jedziesz?

- Pytanie? Zdumiewasz mnie, J im.

- Sera?

- I od razu musisz wszystko popsuć -

nieskończenie delikatnie odgarnęła mu włosy z czoła. Ten gest złagodził jego ból i poczucie winy z powodu przykrości, jaką jej sprawił. - Nie mogę ci powiedzieć, rozumiesz? Ale jeśli będziesz musiał się ze mną skontaktować, połącz się z posiadłością Tela. Spytasz komputer o Isana Tela. Potrafisz to zrobić?

Przytaknął.

- Ale wyłącznie w sytuacji alarmowej.

Rozumiesz? Kiwnął głową.

- Pomogę ci się pakować - zaproponował.

Nie zabroniła mu. Wstał z łóżka i sięgnął po szlafrok - w klimatyzowanym pokoju było chłodno. Raen włączyła światło, a on zawinął się w szlafrok, odgarnął wpadające do oczu włosy i rozejrzał się za brązową walizką, o którą spytała.

Prawdę rzekłszy nie było wiele do pakowania.

To go pocieszyło - większość rzeczy zostawała w domu, więc będzie musiała po nie wrócić. I po niego. Drżał gwałtownie, układając rzucone na stos ubrania.

- Nie ma powodu się denerwować - oświadczyła ostrym tonem. - Najmniejszego. Poradzisz sobie. Max zajmie się tym, co na zewnątrz, a ty tym, co wewnątrz domu.

- Kto z tobą jedzie? - spytał, nagle zaniepokojony myślą o niej samotnej z nowymi, dziwnymi azi.

- Merry i sporo nowych strażników. Wystarczą. Zabieramy też Mun-dy'ego. Nie będziesz się

musiał o niego martwić. Wrócimy, zanim cokolwiek zdąży się stać.

Nie podobało mu się to, choć nie mógł przecież tego powiedzieć. Patrzył, jak wyjmuje z szafy inny, gruby płaszcz. Zostawiała ten niebieski.

- Ci azi... - zaczął. - Ci... dziwni azi...

- Azi majat.

- Jak mam z nimi rozmawiać? - zawołał, walcząc z odrazą, jaką budziła sama myśl o nich.

- Oni mówią. Rozumieją. Zostaną przy majat.

Oni są majat, na swój sposób. Będą walczyć, jeśli zajdzie potrzeba. Zresztą, niech majat zajmują się swoimi azi; powiesz Wojownikowi, co chcesz, żeby zrobili.

- Nie potrafię rozpoznać, który jest który.

- Z majat to bez znaczenia. Każdy Wojownik jest tym Wojownikiem. Daj mu smak i mów. Odpowie. Nie zawiedziesz mnie chyba,, prawda? Nie tera/.

Z przekonaniem pokręcił głową. Zatrzasnęła walizkę.

- Samochód czeka na dole. Przykro mi. Wiem, że chciałbyś jechać. Ale jest tak, jak powiedziałam: potrzebuję cię tutaj. Ruszyła do drzwi.

- Raen - wykrztusił. Twarz zaczerwieniła mu się z wysiłku.

Obejrzała się. Wstyd mu było za siebie. Twarz mu płonęła, nie panował nad drżeniem warg, a w żołądku czuł mdłości. Nie wiedział, czemu tak się dzieje, tyle tylko, że tak się czuł, gdy

postępował przeciw temu, co Słuszne.

- Cud - mruknęła, wróciła i pocałowała go w usta. Przez mdłości prawie tego nie poczuł. Potem wyszła, zbiegła po schodach, sama niosąc walizkę, gdyż nie zorientował się na czas i nie zniósł jej sam. Zszedł za nią na dół, boso... stanął bezradnie przed drzwiami, gdy ona wybiegła w ciemność i deszcz, tam gdzie czekała grupa nowych azi.

Mająt byli tam także, kręcili się koło samochodu, pohukiwali i brzęczeli do siebie. Max też był; Merry miał prowadzić. Obok stały inne wozy nie należące do rezydencji, ciężarówki, na które wsiadali nowi azi z karabinami. Merry podjechał do bramy, ciężarówki ruszyły za nim.

Max spojrział na niego. Jim wsunął dłonie w kieszenie szlafroka i rozejrzał się nerwowo.

- Wszystko jak zwykle - powiedział do Maxa. - Pilnuj domu. Potem wrócił do środka, zamknął za sobą drzwi... dostrzegł wysokie sylwetki w cieniu na końcu korytarza, usłyszał hałasy z dołu.

Był z nimi sam. Ruszył w stronę schodów i jeden z mająt poruszył się. Mógłby go wziąć za fragment umeblowania.

- Stój spokojnie - powiedział do niego Jim. - Nie zbliżaj się. Mająt cofnął się, a Jim popędził po schodach ku bezpieczeństwu sypialni. Jeden z nich wszedł tutaj. Jim spostrzegł ruchomy cień i zamarł, gdy cień zbliżył się i dotknął go.

- Wyjdź! - krzyknął. -- Wyjdź natychmiast. Majat wyszedł, cmokając nerwowo. Jim namacał wyłącznik. Bał się mroku i pustki. Pokój rozbłysnął bielą i zielenią. Jim zamknął drzwi, oddzielając się od ciemności korytarza, zablokował zamek. Z dołu dobiegały jakieś hałasy, trzeszczenie mebli, stuki z poziomu piwnic. Nie chciał wiedzieć, co się tam dzieje, w mroku, w miejscu, gdzie byli dziwni azi. On był człowiekiem, oni nie. A przecież wyprodukowały ich te same laboratoria. To taśmy się różniły. Słyszał, jak ten człowiek, Itawy, mówił: w ciągu kilku dni można przeszkolić azi z jednej funkcji do innej. Natomiast urodzony człowiek zamknięty w celi wyszedł z niej szalony. Nie jestem prawdziwy, pomyślał po raz pierwszy w życiu, jestem tylko tymi taśmami. A potem otarł oczy, gdyż łzy oślepiały go i poszedł do łazienki, gdzie zrobiło mu się niedobrze. Płakał i wymiotował na zmianę, aż zwrócił całą kolację i był zbyt słaby, by wstać z podłogi.

Region

Kiedy mu się w końcu udało, czuł niesmak dla samego siebie. Kilka razy wziął kąpiel i wreszcie, otulony w ręczniki, zwinął się w kłębek na pustym łóżku i drżąc, przeczekał resztkę nocy.

Bryła promu towarowego sterczała przed hangarem jak połówka jaja na pajęczych nogach, lśniąca od deszczu, który zalewał spękaną płytę lotniska i zbierał się w' kałuże. Strażnicy stali tuż za ogrodzeniem. Raen kazała podejść pod samą barierę i odebrała wezwanie do identyfikacji.

. - Otwierać - odpowiedziała przez radio ostrym tonem. - autoryzacja Kontrin. I pospieszcie się z tym.

Żywiła pewne obawy. Mogło nastąpić opóźnienie, ITAK mógł się tu okazać oporny. Azi byli niepewni, z wyjątkiem Merry'ego. A Mundy, w ciężarówce z tyłu... domyślała się, co by zrobił, gdyby tylko mógł.

Brama otworzyła się.

- Jedź - poleciała Merry'emu.

Jej samolot pilnowany przez ITAK, stał po drugiej stronie lądowiska. Zignorowała go, jak zamierzała od samego początku. Był po prostu wygodnym celem dla sabotażu, gdyby ITAK chciał czegoś próbować.

Chodziło jej o prom. Policja, beta i garstka strażników azi nie mogła jej powstrzymać, jeśli tylko jej własna grupa nie straci głowy.

Za szybą zamajaczyły podpory promu. Merry zahamował skręcając ostro, ciężarówka stanęła tuż obok. Raen znów połączyła się ze stacją.

- Niech prom opuści windę towarową - poleciała.

Przed hangarem pojawili się strażnicy i biegli do nich, ale azi Raen wyskoczyli już z ciężarówki,

ustawiając barykadę wymierzonych karabinów.
Strażnicy zwolnili nagle.

Polecenie najwyraźniej dotarło gdzie trzeba,
gdyż ze zgrzytem głuszącym wszelkie inne
dźwięki winda towarowa zjechała na dół -
potężna kolumna z otwartym bokiem,
oświetlona od wewnątrz.

- Załogi nie ma na pokładzie - usłyszała z
głośnika w samochodzie.

- Jedynie wachta parkingowa. Nie możemy
wystartować. Nie mamy uprawnień...'

- Merry - rzuciła Raen, nie zwracając uwagi na
dalszy ciąg przekazu.

- Weź na pokład jedną drużynę i opanuj mostek.
Kaź im wezwać "załogę i obsługę naziemną,
potrzebną, żeby podnieść to pudło. I żadnych
dyskusji. Strzelaj tylko w ostateczności. Ruszaj!
Moi azi - powiedziała do mikrofonu

- wejdą na pokład. Nie stawiajcie oporu, a nic się
nie stanie.

Merry wyskoczył z wozu i krzyknął na
najbliższą grupę azi. Raen otworzyła drzwi; w
jednej ręce trzymała miotacz, w drugiej
mikrofon. Z ciężarówki wyszły kolejne postacie,
ciągnąc jedną, która się opierała - Mundy. Po
nich wysiedli majat. Tyrallera policji
zatrzymała się.

- Kontrin - odezwał się ktoś przez radio. -
Prosimy... nie będziemy się bronić.

Krople deszczu wpadały przez otwarte drzwi
wozu, przecinały ukośnie smugi światła

reflektorów, utrudniały widoczność. Mundy wyrywał się i klął, zakłócając ciszę. To nie miało znaczenia. Policja nie zechce atakować z błahego powodu; decyzje muszą zapaść na wyższych szczeblach.

Coś zgrzytnęło w otwartej windzie, zgasły światła... rozkazy Merry'ego. Nie chciał, by byli łatwym celem.

Jakieś cienie przemknęły obok samochodu - trzech Wojowników przebiegło po mokrym betonie i weszło do windy. Posługiwali się własnym zmysłem wzroku i ciemność nie miała dla nich znaczenia.

Nikt się nie ruszał. Po niesamowicie długiej chwili głos Merry'ego odezwał się przez radio informując, że opanowali statek.

- Drużynami do windy! - krzyknęła.

Sama ruszyła z pierwszym rzutem. Azi ciągnęli z sobą Mundy'ego. Bez przeszkód dotarli do bezpiecznego wnętrza windy. Mundy krzyczał na policję, lecz jego głos szybko ucichł. Zaczęła się wycofywać kolejna dziesiątka.

- Uspokój się - powiedziała, zirytowana ciągłym szamotaniem Obcego. - Tamci nic dla ciebie nie zrobią. Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Ostatnia drużyna zbliżała się do windy, wciąż mierząc z karabinów do policji. Raen nie spuszczała z nich oczu. Pojawiła się jeszcze jedna ciężarówka. Raen odetchnęła głęboko i znów wstrzymała oddech, gdy kierowca przedarł się przez tyralierę straży i wjechał do

windy, hamując ostro już wewnątrz. Azi odskoczyli na boki. Z wozu wysypali się jej ludzie i ich jeńcy.

Tallen. Mieli go razem z resztą Obcych. Raen poczuła, że serce znów bije jej zwykłym rytmem. Wydała rozkaz. Ciężarówka wycofała się z windy, niemal oderwała klapę, mijając ją o włos. Kierowca azi wyskoczył, zanim jeszcze wóz się zatrzymał, pognął do windy, wbiegł na pokład. Uderzyła przycisk zamykający klapę ładunkową. Winda wystartowała z szarpnięciem, a policja ITAK przyglądała im się bezradnie. Gdy zapadła absolutna ciemność, Raen zapaliła światła i spojrzała badawczo na azi, Wojowników i oszołomionych jeńców.

- Ser Tallen - powiedziała i skinęła głową w stronę Toma Mundy, któremu widok rodaków nie sprawił radości. Poczuła żal, gdyż Mundy odwracał twarz jak tylko mógł, a kiedy kazała uwolnić Tallena, by go zobaczył, Mundy - ogolony upiór w szarym kombinezonie - miał wyraźnie chęć pokazać mu plecy.

- Wracacie do domu - poinformowała Tallena. Nie miała czasu na nic więcej. Udzieliła pospiesznych instrukcji jednemu ze starszych azi, ustanawiając go dowódcą pozostałych. Potem przeszła do windy osobowej i pojechała do góry, gdzie czekały pilniejsze sprawy.

Azi na pokładzie nerwowo wycelowali w nią karabiny. Machnęła im ręką i ponad ramieniem Merry'ego dostrzegła wachtę parkingową,

skuloną pod lufami miotaczy, zamkniętą z dala od mostka w niewielkim przedziale pasażerskim.

- Kontrin - zaczął oficer wachtowy wstając; azi nie zatrzymywali go. Zauważyła, że należał do ISPAK, nie do ITAK. - Spełnił wszystkie twoje żądania.

- Dziękuję. Proszę ze mną, ser. Pokaże mi pan sterownię. Przypuszczam, że jest to możliwe, zanim jeszcze zjawi się załoga.

Beta z ISPAK otarł czoło. Poszedł za nią, pod strażą. Tablica kontrolna okazała się wyjątkowo prosta - promowi brakowało sporej liczby wygodnych systemów automatycznych. Na zewnątrz zbierała się już obsługa naziemna. Raen uznała, że musi im ufać; można tylko zmniejszyć ryzyko, nie da się go jednak wyeliminować całkowicie.

Siadła w najbliższym fotelu, skrzyżowała ramiona i przymknęła oczy. Pierwszy blask świtu rozjaśnił pole startowe. Uznała, że przerażony beta nie będzie próbował niczego nierozsądnego wobec grupy azi ochrony.

Przybyła wyrwana ze snu, przestraszona załoga.

Przejdźcie przez ładownię obok azi i

Wojowników oraz grupa uzbrojonej straży

Merry'ego na górnym pokładzie nie poprawiła im nastrojów.

- Po prostu róbcie, co do was należy -

powiedziała im Raen. Zabrali się do pracy.

Odzywali się tylko monosylabami i jedynie wtedy, kiedy to było konieczne. Raz tylko zaprotestował kapitan.

- Mamy lecieć poza rozkładem - powiedział. - Tam na górze może nie być dla nas doku.' >

- Znajdzie się - zapewniła go Raen. Sięgnęła po mikrofon, zażądała zgody na start i otrzymała ją wraz z priorytetem przelotu. Gdyby ktokolwiek planował lot jej korytarzem, będzie musiał skrócić lub zrezygnować. Uruchomiono silniki; prom opadł ku ziemi, chowając podpory. Potem wolno pokolewał na pole startowe. '

- Merry - Raen wezwała przedział pasażerski. - U ciebie wszystko w porządku? '

- Tak, sera.

- Niech pošlą Tallena na górę. Pozostałych trzymać pod strażą. Wchodzili na pozycję startową. Prom wysunął skrzydła i wyraźnie przyspieszał. Po chwili zamki płatów zaskoczyły i ruszyli z pełną prędkością.

- Łapcie się uchwytów - zdążyła jeszcze zawołać, nim z zapierającym dech przyspieszeniem oderwali się od ziemi.

Poi, pomyślała wtedy, Poi był na planecie i miał statek. Mógł zestrzelić prom, gdyby zechciał, jeśli się pomyliła. Musiała też poradzić sobie jakoś z ISPAK. Zaczynała wątpić, czy nie lepiej byłoby zająć się nimi od początku, zamiast marnować czas na powierzchni.

Tam jednak był niebieski kopiec. Przede wszystkim niebieski kopiec.

Minął najgorszy okres wznoszenia się. Lecieli teraz kursem zbieżnym z trajektorią stacji. Przez ten czas pokład będzie lekko pochyły.

- Usiądźcie - pozwoliła azi na odpoczynek. - Byle nie wszyscy na raz.

Rozsiedli się, gdzie im było najwygodniej, lecz cały czas trzymali broń w pogotowiu i nie wypuszczali uchwytów. Po raz pierwszy przeżywali lot na stację.

Ruszyła winda - zauważyła jej wskaźnik na desce kontrolnej. Wstała z fotela i podeszła do monitora. Na ekranie widziała Tallena z uzbrojonym strażnikiem. Obcy trzymał się uchwytu... jazda windą osobową w czasie lotu nie należała do przyjemności, a Tallen nie był już młody. Nie według rachuby czasu Kontrin, pomyślała z żalem Raen, lecz tak jak bety.

Musiała się z tym pogodzić.

- Proszę o wybaczenie, ser - powitała go. - Czy pańskim ludziom nic się nie stało?

- Wtargnięto do naszych pokoi, a nas samych potraktowano jak...

- Przykro mi - oznajmiła chłodno. - Ale nie będę się tłumaczyć. Odlatujecie z Istry. Żywi.

Powinniście być wdzięczni.

- Co się dzieje?

- Pewne wewnętrzne sprawy Regionu rozgrywają się właśnie tutaj, ser Obcy - poprowadziła go do kąta obok przedziału pasażerskiego, gdzie mieli więcej miejsca.

Zaczekała, aż stanie pewnie. - Proszę posłuchać:

odrzućcie moich rad było bardzo nierozsądnym posunięciem. Dostał pan Mundy'ego, razem z jego informacjami, cokolwiek by były warte. Ale pozostałych pan zabił, ser. Proszę zrozumieć: dla nich jest już za późno. Proszę teraz słuchać i ratować, co się- da. Pańscy szpiegowie nie radzili sobie za dobrze, prawda?

- Nie rozumiem, o czym mówisz, Kontrin.

- Rozumiesz, ser. Bardzo dobrze rozumiesz. »A tylko ja mogę ci zapewnić ochronę. Nie uzyskasz jej u bet, nawet jeśli twierdzili co innego.

- Bety?

- Bety. Pokolenie beta. Dzieci laboratoriów, ser. Plastikowa cywilizacja.

- Jajeczka - w jego oczach błysnęło zrozumienie.

- Dzieci z fajeczek.

- Są uwarunkowani, by słuchać. Sami tak projektowaliśmy ich warunkowanie. Teraz pojmuje nasz system, prawda? Twoi szpiegowie niewiele ci w tym pomogli. Rzuciłeś ich w ciemność, ser. Zniknęli, pochłonięci przez Region. - - Te... - przerwał spoglądając na strażników. - Te kreatury...

- Chwileczkę - przerwała mu urażona. - Proszę ich tak nie nazywać. Są ludźmi w tym samym stopniu co bety. Ale, w przeciwieństwie do bet, ci wiedzą, że są programowani. Nie mają żadnych złudzeń. Tym niemniej zasługują na szacunek.

- A wy ich ciągle tworzycie. Jesteście na skraju załamania. Dlaczego?

- 'Sądzę, że się domyślasz, ser Tallen. Mimo to nadal ich karmicie. Więcej nie będziecie. Już nie.
- Wyrażaj się jaśniej, Kontrin.
- Rozumiesz przecież, ser. Jeśli jesteście rozsądni, skupowaliście wszelkie przedmioty produkcji mająt, jakie mogliście dostać, posyłałiście na górę i magazynowaliście na czasy spadku podaży. Braliście, co tylko udało się wam dostać, póki jeszcze mogliście. Ale w tym celu zrobiliście rzecz najgorszą z możliwych: wspomagaliście siłę zmierzającą do ekspansji Regionu, I jeszcze gorzej, ser, o wiele gorzej: karmiliście kopce. To pokolenie dokona industrializacji, następne ruszy do przodu. A wy ich wy karmiliście.

Twarz Tallena stała się o odcień bledsza.

- Co proponujesz, Kont' Raen? , - -
- .
- Przestać. Przerwać handel na kilka lat. Natychmiast. Region nie zdoła utrzymać takiego wzrostu populacji. Cały system zawali się pod własnym ciężarem.
- Jaki masz interes w tym, żeby nas informować?
- Powiedzmy, że jest to kwestia polityki wewnętrznej.
- To szaleństwo. Skąd mamy wiedzieć, czy masz uprawnienia, by robić to, co robisz?
Wskazała ręką azi.

- "Widzisz moje uprawnienia, ser. Mogłam tę sprawę załatwić inaczej. Mogłam cofnąć licencje. Tylko że wtedy nie wiedzielibyście dlaczego. Teraz wam to wyjaśniam. Tnie żartuję, ser; handel z wami tworzy potęgę, która zechce wyrwać się z Regionu. Te kilka lat ograniczeń zniszczy ich nadzieje i może czegoś nauczy. My też mamy swoje słabe punkty. Dla was jest to zapotrzebowanie na towary, których tylko my możemy dostarczyć. Jednak przez ostatnie lata dostarczyliśmy ich o wiele więcej niż zwykle. Przeżyjecie więc okres blokady. Zapewniam przy tym, że nie możecie wkroczyć i wziąć tych rzeczy siłą. Próba przemocy zniszczy ich źródło... albo jeszcze gorzej... - spojrzała mu prosto w oczy. - Zajmiecie nasze miejsce i staniecie się tacy, jak my.

- Jak mogę złożyć swoim władzom raport oparty na słowach jednej tylko osoby? Słyszeliśmy, że na Istrze jest jeszcze jeden Kontrin. Cała ta akcja może mieć na celu uniemożliwienie kontaktu...

- Och, on pewnie powiedziałby wam coś innego. A może tylko wzruszyłby ramionami i kazał robić, co tylko wam się podoba. Jego motywów na pewno byście nie pojęli.

- Bawisz się z nami w zagadki. A może chodzi ci o coś innego.

- Proszę, spróbujcie inwazji. Przylećcie swoimi statkami. Strzelajcie do bet i niewinnych azi, zdobądźcie Cerdin i zabierzcie wszystko, co

mamy. Co wam to da? Kopce nie będą rozmawiać z umysłami-które-umierają; nie, raczej poprowadzą was w kierunku, którego zupełnie nie będziecie się spodziewać. Jako władca kopca udzielam ci informacji, której nie znają inni. Czy nie dlatego jesteście tak zdesperowani, że bardzo potrzebujecie tego, co my produkujemy? Że wasza technologia opiera się na naszym eksporcie? A czy źle wam służyliśmy? Jesteście bezpieczni, gdyż my dobrze wiemy, co robimy. I teraz, gdy władca kopca mówi: stójcie, czekajcie, niebezpieczeństwo, wy obawiacie się oszustwa.

**- Wyciągnij moich agentów. Pokręciła głową.
- Za późno. Ostrzegałam cię. Teraz odczekaj dekadę lub dwie, jedno pokolenie azi. Czas milczenia. Uwierz mi. Dowieziemy was do waszych statków. Będziecie mieli szansę ucieczki z tymi, którzy zdążyli.**

Przyglądał jej się w zamyśleniu. Prom opuszczał strefę grawitacji Istry i oboje zaczynali odczuwać nieważkość. Wskazała mu drogę do windy.

- Uwierz mi - powtórzyła. - To jedyny dar, jaki mogę wam ofiarować. I cokolwiek zdecydujesz, ser Tallen,' powinienes teraz wrócić do swoich ludzi. Są oszołomieni. Potrzebują twojej rady. Staraj się doradzić im właściwie. Moi ludzie uwolnią was i możecie robić, co chcecie, w tej ładowni.

Tallen obrzucił ją długim, ciężkim spojrzeniem i

ruszył do windy. Strażnik wsiadł razem z nim. Raen przyciągnęła się na rękach do swojego fotela i spojrzała na wskaźniki.

- Wylądujecie tuż obok statku Obcych - poleciała załodze. - Jeśli trzeba będzie zwolnić dok, załatwimy to.

Kapitan skinął głową. Raen skrzyżowała ręce na piersi i oparła się wygodnie. Głośnik linii komunikacji ze stacją wyrzucał serie gorączkowych pytań.

- Więc ustaliliśmy - stwierdził Ren-barant. Hałd rozejrzał się wokół, mierząc wzrokiem barwnie ubranych przywódców septów i Klanów, wśród nich Thelów, Deltów, Illitów i innych należących do wewnętrznego kręgu. Tu tkwiły kluczowe głosy, szefowie poszczególnych frakcji. Przybyli na Radę uzbrojeni, pamiętając Moth i tamten dzień dawno temu. Roś Hałd odczuwał więcej niż tylko cień lęku.

- Nie ufam tej starej - oświadczył Illit. - Nie uspokoję się, póki nie będzie po wszystkim - rozejrzał się nerwowo na wszystkie strony i zniżył głos. - To może być sposób, by nas rozpoznać i wyeliminować opozycję. Możemy jeszcze skończyć, tak jak inni, nawet teraz.

- Nie - odparł z przekonaniem Roś Hałd. - Nie. Tak będzie najprościej. Po prostu odda nam klucze, których potrzebujemy. Zrobi to. W ten sposób kupuje sobie dalsze życie i ona bardzo dobrze wie o tym.

- W takim razie wie także o innych sprawach -

zauważył Delt.

Hałd myślał o tym, zastanawiał się już setki razy, ale nie widział innej możliwości. Starsi zaczęli już wchodzić do Sali Rady, więc skinął na swych towarzyszy i ruszył wraz z nimi. *

Niespokojni mężczyźni i kobiety, spadkobiercy ostatniej czystki, powoli zajmowali fotele. Na pewno wielu z nich ukrywało broń pod szatami w Barwach Klanów i septów.

Gdy jednak weszła Moth, wszyscy obecni wstali z szacunkiem - nawet Hałd i jego frakcja, gdyż okazywanie szacunku nic nie kosztowało. Moth wspierała się na ramieniu Tanda i wyglądała niezwykle krucho. Dotychczas trzęsła się czasem, teraz jednak z trudem zdołała podnieść głowę, by przemówić przed Radą.

- Nie wierzę w to - szepnął Ren-barant, lecz umilkł, czując uścisk dłoni Hałda.

- Podjęłam trudną decyzję - zaczęła Moth.

Mówiła o ciężarze władzy i zmianach w Radzie, które coraz bardziej obciążały

Przewodniczącego, które uczyniły z niej dyktatora, choć przyrzekła, że nim nie zostanie, choć nikt nie chciał nim zostać.

Jej głos drżał często i przycichał. Rada słuchała z niezwykłą cierpliwością, choć przemowa nie była dla nich niespodzianką - Tand i plotki uprzedziły Rodzinę o jej zamiarach, nawet te grupy, które nie mogły sobie pozwolić na własnych szpiegów. Nie było ani jednego

reprezentanta, który nie wiedziałby, do czego zmierza .Moth.

Wspomniała o kopcach, o których żadne pogłoski jeszcze się nie rozeszły.

Nagle wybuchnęła śmiechem. Niejedna dłoń na sali przesunęła się w stronę broni i życie Moth zawisło na włosku. Lecz jej ręce były wyraźnie widoczne i każdy się zastanawiał, kim są jej agenci i gdzie zostali rozmieszczeni.

- Kopce, drodzy przyjaciele, drodzy kuzyni... kopce przychodzą prosić i składają dary.

Władcy kopców podzielili się w wyniku sporu i teraz ich nie ma. Jestem zmęczona. Jestem bardzo zmęczona, kuzyni. Widzę to, czego wy nie widzicie, gdyż nikt nie jest dość stary, by zobaczyć, nikt nie chce tego zobaczyć -

rozejrzała się, mrugając w blasku światła i Roś Hałd znowu pomyślał o broni. - Głosujcie - rzekła. - Przybyliście tu gotowi, prawda?

Przygotowaliście się, nie czekając na mnie. Nie czekając na długą debatę. Jesteście gotowi od lat. Głosujcie więc. Ja wracam do swoich pokojów. Powiecie mi potem, kto będzie ze mną dzielił odpowiedzialność za Rodzinę. Uznam wasz wybór.

Rozległ się cichy pomruk, potem cisza. Moth rozejrzała się, jakby zaskoczona ich milczeniem, w którym była odrobina podziwu. I póki trwała ta cisza, wyłączyła mikrofon i przeszła między nimi po stopniach, powoli, wsparta o ramię Tanda. Nikt się nie poruszył.

Wtedy wstał Roś Hałd. Za nim Ren-barant, i Illit, i Serat, i Dessen i wielu, wielu innych. Na szczycie schodów Moth stanęła, jakby dostrzegła ich gest, lecz nie obejrzała się. Wyszła, a drzwi zamknęły się za nią. Stojący przywódcy Klanów i septów usiedli. Przez chwilę jeszcze trwała cisza.

Najstarszy po Moth wstał i otworzył dyskusję w sprawie nominacji osoby, która miała stanąć przy Moth i przejąć jej wiedzę i pozycję.

Dyktatura, jaka stała się faktem, choć nie uznanym oficjalnie, w ostatnich latach życia Liana, teraz została uznana, gdyż Moth poprosiła o formalne wyznaczenie następcy.

Ren-barant powstał, by zaproponować kandydaturę Rosa Hałda.

Nie zgłoszono żadnego innego kandydata. Kilku z obecnych zmarszczyło brwi i spuściło głowy.

Roś Hałd zapamiętał ich; następna grupa, która spróbuje sięgnąć po władzę w Rodzinie, którą trzeba obserwować. Czterech Kolorów nie było dzisiaj widać - cztery Klany pogrążone były w żalobie. Opozycja nie miała przywódców.

- Głosujmy - zarządził najstarszy po Moth.

Na tablicy błysnęły cyfry: żadnych sprzeciwów, siedmiu wstrzymujących się, czterech nieobecnych. Wybór stał się faktem. Rozległa się owacja, ochrypla i chrapliwa po długim milczeniu.

i68

Prom wpłynął do doku tuż obok statku Obcych.

Zaskoczyły zamki. Azi chwycili się czego tylko mogli, jeden upadł i wstał zawstydzony.

- Nic się nie stało - mruknęła Raen, klepiąc go po ramieniu. Ani na chwilę nie spuszczała z oka załogi. - Druga drużyna zostaje na pokładzie. Trzymajcie broń wycelowaną w załogę. Mogą próbować jakichś sztuczek; przychodzicie świeżo z Biura Pracy i nie macie pojęcia- o manewrowaniu promem. Nie dyskutujcie. Po prostu strzelajcie, jeśli tylko dotkną czegoś na tablicy kontrolnej.

- Tak, sera - odparł dowódca grupy, który był już kiedyś w służbie. Załoga zamarła bez ruchu. Raen skinęła na Merry'ego i pierwszą drużynę. Razem zjechali ciasną windą do luku, gdzie reszta azi i Wojownicy trzymali straż przy Obcych.

Tallen i jego ludzie nie byli skrępowani. Zebrali się w kacie, a osiemdziesiąt wymierzonych w ich stronę-karabinów skutecznie zniechęcało do nierozsądnych posunięć. Raen skinęła na nich i podeszli ostrożnie poprzez mroczną grootę ładowni. Jeden z Obcych trzymał za rękę Mundy'ego, spokojniejszego już i okazującego ślady ludzkiej \godności. Mundy patrzył na nią z nienawiścią, ale to nie miało znaczenia. Nie mógł jej pomóc ani zaszkodzić.

- Wychodzimy - oświadczyła Tallenowi. - Jeden z waszych statków, ser, stoi tuż obok nas z otwartą klapą luku. Uprzedziliśmy ich. Kiedy znajdziecie się na pokładzie, skorzystajcie z

mojej rady i usunięcie ze stacji wszystkie wasze statki tak szybko, jak tylko potrafią opuścić doki. Czas się liczy.

Twarz Tallena pozostała nieruchoma, choć zdawało się, że wyczuwa w nim oszołomienie.

- Rozstajemy się, prawda?

- Wiele ryzykowałam, by was tutaj dostarczyć. Dałam wam za darmo to, czego chcieliście się dowiedzieć, poświęcając własnych ludzi. Uwierz mi, ser, gdyż o agentach wchłoniętych przez Region nigdy już nie usłyszysz. Kiedy się okaże, że to nie azi, zginą jako zamachowcy. Wszyscy. To naturalne. Dam wam tyle czasu na opuszczenie stacji, ile tylko zdołam. Ale nie liczcie na zbyt wiele.

Merry stał przy przełączniku. Na jej sygnał otworzył wrota ładowni.

Takim właśnie zapamiętała ten dok, ogromny, mroczny, zimny i brzydki. Agenci bezpieczeństwa i policjanci ISPAK w pancerzach otaczali teren. Wyszła na zewnątrz, a za nią azi z karabinami trzymanymi u bioder. Nie nosiła Barw, tylko zwykły płaszcz, nie włożyła rękawa pancernego. I tak pewnie wiedzieli, z kim mają do czynienia, jeśli tylko prawidłowo skojarzyli jej lakonicznie zwięzłe radiowe odpowiedzi na swoje gorączkowe pytania:

Obok czekał statek z Zewnątrz.

- Idźcie - poleciała Tallenowi, za którym stała jego grupa. - Wracajcie do siebie, zanim coś się

tutaj stanie.

Zatrzymał się jeszcze. Ze zdumieniem zobaczyła, że wyciąga do niej rękę - publicznie.

- Kont' Raen - zapytał. - Czy my możemy ci pomóc?

- Nie - odparła zasmucona, gdyż nagle dotarło do niej, że to ostatnie pożegnanie. Spojrzała na rampę statku Obcych, na widoczny za klapą skrawek oświetlonego korytarza.

Pole cięć ^ nimi, %pbac%yćj dowiedzieć się... Obowiązek nie pozwalał. A także coś, czego nie umiała określić, co było zbyt osobiste... Łzy stanęły jej w oczach - łzy, do których zupełnie nie była przyzwyczajona.

- Wystarczy, że odleciecie - powiedziała, puszczając dłoń Tallena. - I uwierzcie mi. , ' Chyba naprawdę jej uwierzył, gdyż oddalił się szybko ze Swymi ludźmi, najszybciej jak mógł, by jeszcze nie nazwać tego biegiem. Dotarli -do rampy i wjechali na górę. Klapa zamknęła się. Raen skrzyżowała ramiona pod płaszczem, ani na chwilę nie wypuszczając miotacza. Zmierzyła wzrokiem agentów ISPAK, których azi obserwowali z bronią gotową do strzału. Jej oddech parował w chłodnym powietrzu stacji.

- Sera - zawołał jeden z policjantów. - Rada ISPAK prosi o rozmowę. Proszę! Zapewnimy ci eskortę.

- Spotkam się z nimi tutaj - odparła. - W doku. Zapanowało zamieszanie. Kilku ludzi w

cywilnych ubraniach zaczęło dyskutować ze sobą~potem jeden z nich powiedział coś przez komunikator. Raen czekała drżąc z zimna i niewyspania. Była za bardzo zmęczona. Nie mogła tu stać ani chwili dłużej. Nogi jej drżały.

- Pilnujcie terenu - poleciała azi. - Strzelajcie tylko wtedy, gdy oni zaczną pierwsi. Powiedzcie, że zejde, kiedy przybedzie delegacja. Uważajcie na nich.

Wycofała się, zostawiając dowodzenie w rękach Merry'ego. Ufała jego doświadczeniu. Nie liczyła zbyt na nowych azi; zapewne nie cofną się, gdy dojdzie do strzelaniny, ale zginą bezużytecznie.

Kolejno uspokoiła Wojowników stojących przy luku.

- Czekamy - wyjaśniła.

Przeszła do windy, na mostek. Marzyła o komforcie fotela, o bezpiecznym odpoczynku pod ochroną grupy pilnującej załogi promu. Niedługo ci ^ ISP AK pojawią się w doku, pomyślała. Tera%, kiedy doleciałam a^ tutaj, na górę.

Nie przyszli. Wstała, minęła nieruchomych ludzi załogi, włączyła radio na kanale stacji i słuchała coraz bardziej rozgorączkowanych głosów. Statki z Zewnątrz opuszczały swe doki jeden po drugim. To wymagało kontroli. Trzy, cztery statki, pięć, sześć. Raen uśmiechała się słuchając, obserwowwała je, gdy pojawiały się na ekranach. Wszyscy Obcy w Regionie wchodzili

na kurs na Zewnątrz. Statki ustawiały się w szyk.

Lecieli do domu.

Pojawiła się nowa nuta, inny akcent w rozmowach stacji. Raen wyczuła podniecenie w głosach bet. '

Przechwyciła ich skaner dalekiego zasięgu i zamarła, widząc szybkość i kurs zbliżającego się punktu.

/70

Uruchomiła komunikację zewnętrzną.

- Merry! Wycofuj się! Natychmiast wszyscy na pokład!

Punkt zbliżał się stale, groźny przez swą prędkość w pobliżu stacji. Przecinał korytarze dolotowe.

Nie wysłaliby zwykłego statku, skoro mogli w tym celu zorganizować jednostkę bojową - jeden z nigdy nie widywanych okrętów Rodziny, szybki i śmiercionośny. Stacja Istry stała się celem.

A statki Obcych były frachtowcami, prawdopodobnie nieuzbrojonymi.

- Sera! - odezwał się w interkomie głos Merry'ego. - Jesteśmy w środku!

Zapłonęła lampka kontrolna klapy.

- Wycofaj - poleciła Raen kapitanowi. - Opuść dok i zabieraj nas stąd. Spojrzał w otwór lufy jej miotacza i błyskawicznie zaczął wykonywać polecenie. Cichym głosem wydawał rozkazy załodze.

- Wejdz w cień stacji - rzuciła Raen. - A potem na dół, jak najszybciej.

Kapitan obserwował coraz bliższy statek, który dotąd nie zmniejszył szybkości/W radiostacji odezwała się stacja: ISPAK informował przybysza, że grupa statków to Obcy i że nikt nie wie, czemu odlatują.

Po raz pierwszy napastnik zmienił kurs, odchylając trajektorię w stronę frachtowców. Prom opuścił dok i znalazł się w cieniu.

- Przesuń się tak, żeby nas zobaczyli - rozkazała Raen. Kapitan wykonał polecenie. Przelecieli w poprzek pasów, ale wokół stacji nic się teraz nie poruszało, tylko oni, frachtowce z Zewnątrz i przybysz.

Raen odetchnęła głęboko. Zastanawiała się, czy powinna zaryzykować wszystko w szaleńczym ataku na centralę stacji. Mogłaby opanować ISPAK... i mieć nadzieję, że okręt nie będzie strzelać.

Strzelił teraz. Zapewne Obcy nie posłuchali rozkazu zatrzymania się. Znalazła ich na ekranie i zaklęła pod nosem. Obcy odpowiedzieli ogniem. Jeden z tych bezbronnych stateczków dysponował jakimś żalosnym działem. To był błąd. Okręt oddał kolejny strzał, tym razem naprawdę.

Wystukała numer i chwyciła mikrofon.

- Do statku Kontrin. Mówi Meth-maren. Zakazuję zbliżania się do stacji. Napastnik przerwał ogień. Być może teraz dopiero

**zauważyli'jeszcze jeden punkcik na ekranie.
Zmienili kurs, rezygnując z pogoni za Obcymi.**

- Leci na nas! - syknął któryś beta.

Raen oceniła położenie ich promu, okrętu, stacji i planety. W słuchawce ktoś na innym kanale rozmawiał z napastnikiem. Prom... usłyszała. Na planetę... n> gór%e... Prosimy...

- Sera - jęknął kapitan.

- On nie może lądować - odparła. - Kurs. na Istrę.

Włączyli ciąg, przekoziółkowali, ustabilizowali położenie i rozpoczęli lot.

- W cień!N- zawołała Raen i prom skręcił, przynajmniej na chwilę chroniony przez korpus stacji.

- Nie uda nam się - powiedział ktoś. - Sera, proszę...

- Rób to, co niemożliwe -- odparła. - Nurkujemy. Oparła łokieć na poręczy fotela i przycisnęła dłoń do warg. Palce były zimne i drżały. Nie mogli nic zrobić, jedynie lecieć ku powierzchni. Kalkulacja była niepewna, obcy statek, wirująca drzazga promu, nurkująca szaleńczo w głąb studni grawitacyjnej Istri...

Zadźwiewał metal; skoczyły wskazówki instrumentów, a lampki wskaźnikowe błysnęły na czerwono, potem znów zapłonęły zielenią.

- To było trafienie - stwierdziła Raen. Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Głos w jej uchu błagał o coś napastnika. Wykres trajektorii

lądownia promu rozbłysnął alarmem.
Weszli w atmosferę. Światła wskaźników zamigotały. Zawyla syrena i ktoś ją wyłączył. -
- Nie uda nam się - syknął przez zęby kapitan.
Desperacko próbował uruchomić uszkodzony system. - Skrzydła nie chcą się wysunąć.
Drugi pilot przejął stery z godnym podziwu spokojem. Raz jeszcze spróbował odblokować układ.
- Wciągnij je do końca i wysuń jeszcze raz - poradziła Raen. Beta szarpnął dźwignię retrakcji, odczekał chwilę, szepcząc coś do siebie, i ponownie zainicjował system. Nagle lampki pozieleniały, składane skrzydła zaczęły się wysuwać, a bety krzyknęły z radości.
- Sprowadźcie nas na dół, do diabła! - zawołała Raen. Prom przechylił się mocno. Wszystkie tablice kontrolne rozbłysły czerwienią alarmu. Uderzyli o powietrze z hukiem, jakby toczyli się po kamieniach, lecz światła powoli zmieniały się na zielone.
- Zginiemy? - spytał któryś azi dowódcę drużyny.
- Chyba jeszcze nie - odparł tamten.
Raen z wysiłkiem stłumiła śmiech, który - wiedziała - był objawem hysterii. Ściskając poręcz fotela wsłuchiwała się w trzaski w słuchawce, z obłąkańczym uporem patrzyła na ręce przerażonych bet i ekrany.
Poi, myślała ciągle, Poi, Poi, Poi, niech ci\$ diabli, oto kolejna lekcja.

A może dla niego także było już za późno.

- Więc to ty - Moth oparła się i otuliła płaszczem. Patrzyła na Rosa Hałda z Tandem, na Ren^baranta i Illita. - To Haldowie, prawda?

- Wybór Rady - odparł Roś Hałd.

Moth uśmiechnęła się ironicznie. Zauważyła cztery puste miejsca, dowód działań podjętych zanim jeszcze ogłosiła swój zamiar.

- Ależ naturalnie - starała się, by sarkazm nie zabrzmiał zbyt wyraźnie. - Witam cię, witam serdecznie, Rosie Hałd. Tand, poszukaj kogoś ze służby. Powinniśmy czymś poczęstować mojego nowego partnera.

Tand wyszedł. Roś Hałd przyglądał jej się ze zdenerwowaniem. To ją bawiło.

IJ2

- Jak sądzisz? - spytała -r- Dlaczego pozwoliłam na twój wybór? Żeby cię zlikwidować i unieszkodliwić opozycję? f-

Oczywiście, przyszło mu to do głowy, tak samo jak-wszystkim. Byli uzbrojeni.

- Ale byłam szczera - zapewniła. - Będę przekazywać w twoje ręce coraz więcej spraw.

- Dostęp - powiedział. - Do wszystkich rejestrów. Na pewno miałeś go pr^e^ cały c^as, pomyślała. Sukinsynu!

- Także - dodał - do wszystkich kodów i poziomów kontroli.

Szerokim gestem wskazała pokój, tablice kontrolne, bloki pamięci. Dłoń jej drżała.

Własne ciało wciąż ją-zadziwiała. Była młoda...

przez tak długi czas, lecz potem, w ostatnim okresie organizm zdradził ją, powodował drżenie rąk, niepewność głosu, sztywnienie stawów. Nawet teraz nie potrafiła wykonać zdecydowanego gestu.

- Są tutaj - powiedziała.

I strzeliła. _ Hałd upadł. I Illit. Ren-barant strzelił i poparzył jej ramię, a ona wypaliła go aż do serca. Tand stanął w drzwiach i znieruchomiał z otwartymi ustami. I zginął.

- Dureń - mruknęła. Zaczynała odczuwać ból. Cuchnęło obrzydliwie. Obmacała ramię; wyczuwała rozległe urazy, ale prawa ręka już od dawna nie była tą silniejszą.

Wreszcie zjawili się azi.

- Posprzątajcie tu - poleciała. Broda jej drżała. Kiedy wyszli, zamknęła i zarygnowała drzwi. Ukryła tu sporo żywności - starcze dziwactwo; także wino, wiele butelek. I miała centralę komputera.

Usiadła, kołysząc się z bólu i uśmiechnęła się do siebie bez radości.

Ziemia zbliżała się szybko, a w powietrzu unosiły się płomienie. Przebili się przez chmury nad posępny, pustynny teren. Komputer wyświetlał na ekranie inny obraz - widocznie system został uszkodzony. Zlane potem bety uwijały się nad przyrządami, z trudem odzyskiwały kontrolę nad statkiem. Wybuchy silników hamujących szarpały pasażerami. Nie wiedzieli, gdzie się znaleźli; chmury i panika

uniemożliwiały nawigację wizualną. Mimo wszystko mogli jeszcze wylądować.

Wtedy, zupełnie nagle, wyrosła przed nimi góra, olbrzymia ponad wszelkie wyobrażenie.

- Ciąg! - krzyknęła Raen. - Wznoszenie!

- To Wysokie Pasma - wyjaśnił któryś z bet. - Wiatry, Kontrin... wiatry... prom tego nie wytrzyma.

- Lecimy do domu, jesteśmy nad Wrschodem, niech was diabli. Podciągnijcie do góry, a przelecimy!

Pft

J73

Pokład pochylił się. Wspinali się jak najwyżej, by przeskoczyć nad tymi sięgającymi nieba górami. Jakiś beta zaklął cicho i zapłakał.

Wysokie Pasma wznosiło przed nimi okryte śniegiem szczyty. Poszarpane granie sięgały ponad blokujące widoczność chmury. Szalona myśl przyszła Raen do głowy: że jeśli już trzeba umrzeć, to przynajmniej warto zobaczyć te góry, wiedzieć, że istnieje coś tak wspaniałego, nieznanego poszukującym^nowych wrażeń Kon-trin, a należącego wyłącznie do niej.

Istra, Wysokie Pasma, pustynia... wszystko to poznała, wszystko objęła w posiadanie w tej szaleńczej chwili pędu ponad światem.

Azi milczeli, znieruchomiali na swoich miejscach. Załoga pracowała gorączkowo.

Dostrzegli przerwę w coraz bliższej ścianie gór i w nią celowali, w najniższy punkt - przełęcz

między dwoma szczytami.

- Nie! - krzyknęła Raen. Mogła sobie wyobrazić, jakie wiatry wieją w tym lejku. Klepnęła kapitana w ramię, wskazała punkt, gdzie skalne iglice wbijały się w niebo, klęła i nie ustępowała. Przywiązane do ziemi bety nawet nie sadziły, że istnieje tyle planet, nad iloma już latała. Kapitan zmienił kurs i przebił się przez zawirowania szarpiące kadłubem promu. Linie na ekranach wznosiły się wciąż wyżej. Ktoś krzyknął. Przelecieli, przemknęli nad najeżoną granią i spłynęli nad zboczem w tempie, które wyrwało krzyki z piersi urodzonych ludzi i azi. Wicher pchał ich w dół, pędzili obok skalnej ściany. Dostrzegła iglice na przełęczy, którą ominęli. Poczula skurcz żołądka, wiedząc, jak niewiele brakowało do katastrofy.

- Przyrządy nie reagują - mruknął kapitan. - Coś się zablokowało.

- Rób, co tylko można.

Kapitan poprosił o pomoc. Podszedł drugi pilot, mrużąc coś o hydraulice. Raen przygryzła wargi i stała nieruchomo, gdy cała załoga wyęczała swe siły i inteligencję. Skały pod nimi zniknęły, zmieniły się w złoto i szarą zieleń. Z przodu widziała płonącą biel - wodę w promieniach beta Hydry: kręta wstążka Rzeki, a dalej sięgające horyzontu Morze.

Mieliby pecha, gdyby zniosło ich w ten maelstrom istrańskich burz, nieskończonej toni wód i słonecznego żaru.

Kapitan podjął słuszną decyzję: silniki szarpnęły promem, który gwałtownie zaczął tracić szybkość. Mieli wrażenie, że zatrzymują się w powietrzu.

- Trzymać się! - krzyknęła do azi, myśląc o dolnym pokładzie, gdzie była setka ludzi bez żadnego zabezpieczenia. Silniki uderzały krótkimi wybuchami i posuwali się w minimalnym tempie, co chwila opadając niżej. Przy zablokowanych przyrządach nie zdołają już odzyskać wysokości.

- Merry! - zawołała Raen do interkomu. - Trzymajcie się mocno. Będziemy siadać na brzuchu, jeśli się uda.

Kolejny spadek w dół. Pod nimi migwały drzewa i trawa. Krótkie wybuchy silnika pozwalały na utrzymanie się w powietrzu. Załoga walczyła z instrumentami, usiłując ręcznie kontrolować wysokość.

Na ich drodze wyrosły wzgórza. Nie uda się nam, pomyślała Raen. Szarpnięcie silników hamujących odebrało jej oddech. Stali niemal w miejscu, utrzymywani jedynie przez ciąg dysz wysokościowych.

Wparła stopy w podłogę. Teraz nie mieli już odwrotu, musieli lądować, a zbocze doliny wyrastało tuż przed nimi. Ryknął silnik, potem drugi, kompensując uszkodzenie skrzydła. Dziób promu skierowany był do góry. Raen obserwowała pędzący ku nim grunt; czekała na uderzenie. Nastąpił wstrząs, pasy wpiły się w

skórę. Dziób skoczył w górę, opadł i ktoś wyminął Raen, lecąc w stronę tablicy kontrolnej. Ktoś inny spadł jej na plecy. Wystrzelił karabin.

Zachowała przytomność podczas zderzenia. Ciała azi przelatowały obok, wyły syreny, a zgrzyt metalu mówił aż nadto wyraźnie o tym, co się dzieje na dole. Klęła patrząc, jak azi wykrwawia się na tablicy kontrolnej, a dwóch beta wrzeszczy przeraźliwie. Grozę budziło to, że azi milczał.

A kiedy statek znieruchomiał, kiedy stało się jasne, że pożar, którego się obawiali, jednak nie wybuchł, kiedy ucichł zgrzyt metalu, azi wciąż milczeli. Dwóch beta było nieprzytomnych, podobnie jak pół tuzina azi. Raen wspięła się po skośnym pokładzie i rozejrzała wokoło. Ze wszystkich stron otaczały ją twarze azi, chłodne i oszołomione. Bety klęły i płakały.

- Możemy otworzyć luk ręcznie - dobiegł z interkomu głos Merry'ego. - Sera? Sera?

Odpowiedziała, patrząc na betę, który zajął się wyjściem awaryjnym. Poczowała gorący podmuch i oślepiający blask słońca padł na otwartą klapę. Na dole Merry próbował wydostać się na własną rękę. Pożar wciąż był możliwy.

- Bierzcie zapasy.- poleciała. - I wszystkie zestawy awaryjne.

Nie mogły wystarczyć dla tylu ludzi. Otworzyła szafkę i znalazła rezerwowe solskafy. Zaczęła wkładać jeden z nich, gdy któryś azi wypełził na

zewnątrz i zsunął się w dół. Na szczęście przewidziała możliwość przymusowego lądowania - ludzie mieli odpowiednie ubrania i broń. Jej skafander został w walizce. Azi wnieśli ją na pokład, ale Raen nie miała pojęcia, gdzie się podziała. Zresztą, nie to było ważne.

Raen pozostawiła bety samym sobie i zjechała na ziemię, w ramiona azi. Stała i rozejrzała się; przez otwarty luk ładunkowy wychodzili ludzie. Potykając się, ruszyła w ich stronę wściekła, że własne nogi odmawiają posłuszeństwa. Znalazła Merry'ego. Krew ciekła mu z rany na policzku.

- Jak w ładowni? Ilu zginęło?

- Sześciu. Są ranni, sera.

Ledwie kilka godzin, odkąd opuścili klatki Biura, by zginąć po osiemnastu latach szkolenia. Odetchnęła z wysiłkiem.

- Wszyscy na zewnątrz -- poleciała. Usiadła na trawie, tam gdzie stała. Opuściła głowę.

Naciągnęła kaptur solskafu, poprawiła rękawice. Była zmęczona. Musimy odejść od promu, myślała. Statek stanowi cel. Musieli ruszać. Zamknęła na chwilę oczy, potem tak przesunęła wizjer, by nie przeszkadzał.

Poprawiła materiał zasłaniający dolną część twarzy. Stała się równie anonimowa jak azi.

Wojownicy, cali i zdrowi, utworzyli żywy łańcuch z luku do ziemi. Krzyknęła na nich, wstała i odsłoniła prawą dłoń, by mogli ją rozpoznać. Podeszli, brzęcząc i huczając,

wstrząśnięci ostatnimi przeżyciami. Szukali dotyku.

- Płyny życia - powtarzali, zaalarmowani śmiercią ludzi.

- Pilnujcie - poleciała, wskazując gestem pusty horyzont i pola. Myślała o obrabowanych magazynach i pomordowanych azi. - Niech żaden majat się do nas nie zbliży,

- Tak - zgodzili się i zajęli stanowiska niezbyt daleko od grupy.

Azi przyniósł jej bagaż, starą brązową walizkę. Raen zaśmiała się niemal histerycznie, wyjęła zestaw leków, wsunęła do bocznej kieszeni i wyrzuciła resztę.

Azi opuścili już statek. Przeszła między nimi, zauważyła, że Merry ściśle wykonał jej polecenie, gdyż martwi leżeli obok siebie, pół tuzina, nie licząc tego jednego na górnym pokładzie. Kawalek dalej umieścił czterech ciężko rannych. Osobno stali ci z lżejszymi obrażeniami, osobno tacy, którzy praktycznie nie ucierpieli. Spojrzała na nich raz jeszcze, nagle pojmując sens takiego podziału. Ranni kulili się razem, czekali, tak jak Jim, gdy doznał szoku.

Oczekiwali na śmierć.

Raen zrozumiała, co czeka azi, których zostawiłaby pod opieką bet.

- Poniesiemy tych, którzy nie mogą chodzić - oświadczyła Merry'emu, przeklinając swojego pecha i swoje miękkie serce. Zaraz jednak

zwróciła swój gniew ku zdrowym, polecając zorganizować nosze, przygotować pakunk-i, aż ludzie biegali wokół, jak majat w czasie alarmu kopca.

Kapitan beta zbliżył się kulejąc. Mimo maski dostrzegła siwiejące brwi.

- Zostań przy statku, sera - poradził.

- Sami zostańcie - warknęła. Głowa ją bolała i słońce paliło nawet przez skafander. Z

wysiłkiem zmusiła się do bardziej uprzejmego tonu. - Czekać tu na pomoc, ser. To zatarg Kontrin. Trzymajcie się z daleka.

Ludzie byli gotowi. Wykrzyknęła chrapliwie rozkaz i cała grupa ruszyła naprzód.

Na północ.

Do Nowej Nadziei, do jakiegokolwiek miejsca z terminalem komputera.

Morn Hałd spacerował po gabinecie dowództwa stacji ISPAK, zatrzymał się, znów usiadł przy konsoli.

Wezwał tutaj wszystkie siły, jakie Rodzina miała do dyspozycji. Specjalny kod był rozkazem dla statków czekających wokół Merona. I choć potrwa kilka dni, zanim wiadomość dotrze do nich poprzez interkomp i jeszcze dłużej, nim doleczą do Istry, mógł na nie liczyć.

W tej sprawie polegał na Hałdach.

Meth-maren dokonała jawnej prowokacji, tak potrzebnej Ruchowi. Chaos, jaki zapanował na stacji, pogodził zwaśnione Klany. Przerażeni Obcy uciekali, nie słuchając wezwań do

powrotu... strzelali do statku Kontrin. Szczuple palce Morna wciskały kolejne, klawisze. Był wściekły.

Na Jego oczach, przed Jego nosem Meth-maren udało się tego dokonać. Duma Morna ucierpiała mocno. W rozgrywkę włączyli się Obcy. Morn wahał się z decyzją, czy ich zniszczyć, lecz kiedy pomyślał, że gdy się tym zajmie, Meth-maren zdoła uciec i uzbroić się... dlatego właśnie się cofnął, ruszając za głównym, najgroźniejszym przeciwnikiem. Nie wiedział, czym dysponuje, gdzie umieściła swoich agentów.

Nigdy nie szukała zemsty! Przez te wszystkie lata zajmowała się drobiazgami lub zamykała w odosobnieniu, odpłacając jedynie za świeże urazy. Rodzina tolerowała jej wyskoki, niezbyt drażniące i rzadkie. I jej życie, które nikomu nie przeszkadzało, i styl, będący bladą imitacją stylu Pola.

Morn przeglądał dane i klął, pojmując zakres jej dokonań w ciągu tych kilku zaledwie dni: zakłócony program hodowli azi, przyznane licencje eksportowe, poparcie ITAK, na którym w tej sytuacji nie mógł dłużej polegać.. ona wiedziała, wiedziała i teraz Obcy, być może nie pierwsi już, odlatywali ku bezpieczeństwu własnej przestrzeni. Informacje o tym powinny dotrzeć do kierownictwa Ruchu zanim dowie się o nich Rada. Wysłał wiadomość z kodem Istri przez Meron, wiedząc, że zostanie przejęta.

Mogła przesłać instrukcje na Meron, na Andrę, w każde miejsce, gdzie w ciągu tych dwudziestu lat udało się jej umieścić agenta. Starali się temu zapobiec, ale nigdy nie znaleźli nikogo z ludzi Meth-maren. A to, jeśli wziąć pod uwagę dokonania tutaj, odbierało mu pewność siebie. Bety kręciły się niespokojnie obok centrum dowodzenia, na razie zwyczajnie oszołomione tempem wydarzeń - bety, które już się nauczyły, by mu nie wchodzić w drogę. Ale każdy z nich, ka^dy, mógł być człowiekiem Meth-maren. Jego azi stali między nimi w pełnym wyposażeniu bojowym.

Odnalezienie Kontrin na planecie nie było łatwym zadaniem. W każdym razie nie takim, które by mu odpowiadało. Wolał działać sprytniej i bardziej dyskretnie.

Wysłał drugie wezwanie do Pola i. czekał teraz, aż zostanie przekazane do jego kwatery. Siedział przyciskając do ust okrytą chityną dłoń i z nienawiścią spoglądał na migocący ekran.

POZDROWIENIA, napłynęła odpowiedź.

Uruchomił komunikację foniczną. Poi widział teraz jego twarz, zamiast węża Kontrin, który był tłem poprzednich przekazów. Na ekranie, jak w lustrze, pojawiła się twarz Pola. Lecz Poi się uśmiechał.

- Bądź poważny, kuzynie - zaczął Morn. - Gdzie jesteś?

- W Nowym Porcie.

- Ona tu była - oznajmił Morn. - Była tu, by

mnie spotkać, w przeciwieństwie do ciebie. Poi spoważniał. Podniósł brew i spojrzał z urazą.

- Wyznaję, że jestem zaskoczony. A więc spotkanie i to niezbyt owocne.

- Gdzie ona mieszka?

- W Nowej Nadziei. Nie bardzo zrozumiałem, co właściwie zaszło.

- Odleciała promem i czujniki stacji ją zgubiły.

**- Byłeś nieostrożny, Morn. **

Morn spojrzał ponuro w oko kamery. Zniósł mężnie dowcipy Poła, jak znosił je od lat.

- Na razie trzymam stację, kuzynie. Później wyjaśnię ci szczegółowo, dlaczego to ty powinieneś podjąć środki ostrożności. To nie będzie przyjemne. Szukaj jej teraz.

Zamieniłbym się z tobą, ale mam nadzieję, że nie marnowałeś tu czasu.

Poi wyraźnie stracił humpr.

- Owszem - odparł. - Znajdę ci ją. Wystarczy?

- Wystarczy - przytaknął Morn.

KSIĘGA ÓSMA

Jim podjął codzienne zajęcia, próbując doszukać się w nich motywacji do działania. Po kąpieli ubrał się starannie. Dopilnował

sprzątania w pokojach, ^gdzie nie było majat. Lecz dom pełen był odgłosów ich obecność^ a prace, którymi mógł się zająć, szybko dobiegły końca, pozostawiając tylko\pustkę. Przerażony domowy azi zarządzał kuchnią, więc wspólnie przyrządzali posiłki o zaplanowanych porach - dwie niepotrzebne istoty, gdyż Jim zupełnie nie miał apetytu, a tamten azi pewnie też nie. Tyle, że dbanie o zdrowie należało do ich obowiązków. —,

Wreszcie nadeszła kolacja. Gorączkowy ruch w ogrodzie nie ustawał przez cały dzień, tak samo jak praca w piwnicy. Zbliżała się noc. Jim wolał o tym nie myśleć.

-- Meth-maren.

W drzwiach stanął Wojownik i domowy azi odskoczył od stołu pod ścianę, w panice zrzucając talerz.

- Uspokój się - rzucił mu szorstko Jim wstając - Twój kontrakt jest tutaj i majat nie robi ci krzywdy.

Wojownik podszedł bliżej szukając dotyku i smaku. Jim dał mu je.

- Azi Meth-maren - rozpoznał go majat. - Jim. Ta-jednostka szuka królowej Meth-maren.

- Nie ma jej tutaj - odparł, starając się przygotować na kolejny dotyk kleszczy, na muśnięcie warg czułkami spomiędzy potężnych szczęk. Zadrżał mimo woli, lecz pewność, że majat nie robi mu krzywdy, pomogła znieść wszystko spokojnie. Nawet więcej: gdy ona

odjechała, mająt byli przynajmniej czymś, co się z nią wiązało. Dotknął Wojownika tak, jak widział to u niej, by go uspokoić.

**- Potrzebna Meth-maren - nalegał mająt. -
Potrzebna. Potrzebna. Zaraz.**

- Nie wiem, gdzie jest - wyjaśnił Jim. -

Odjechała. Powiedziała, że wkrótce wróci. Nie wiem.

Wojownik wybiegł z kuchni, przemknął przez korytarz do ogrodu, w pośpiechu uszkadzając futrynę. Jim podążył za nim, zostawiając przerażonego azi. Wyjrzał do zniszczonego ogrodu, gdzie w ziemi pogłębiał się wielki otwór, tam gdzie podkopano mur sąsiedniej rezydencji. Azi strażnicy stali na posterunkach, lecz jak najbliżej własnych kwater. Jim wyminął dół i przeszedł obok straży. Szukał Maxa. Znalazł go w kwaterze i powiedział o żądaniach

Wojownika. Nie wiedział, co chciałby usłyszeć.

- Musimy tu zostać, tak jak nam polecono - oświadczył Max. Jego kwadratowa twarz pozostała bez wyrazu, jedynie w oczach pojawił się cień dezaprobaty dla azi, sugerującego naruszenie otrzymanych instrukcji. Jim dostrzegł ją, powstrzymał się od riposty i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach

zawahał się. Niepewność zaatakowała go z taką siłą, że poczuł ostry ból brzucha. Kopiec pragnął; Raen nie zlekceważyłaby pilnej wiadomości. Musiała się dowiedzieć. ^ ~

A jego zadanie polegało tylko na utrzymaniu porządku w domu.

Lecz teraz Raen potrzebowała czegoś innego. Pamiętał, jak na niego spojrziała przed odjazdem - zmartwiona i niespokojna, gdyż musiała zostawić wszystkie sprawy jemu, który nie rozumiał nawet połowy tego, co powinien. Obejrzał się.

- Max - zawołał niepewnie. Potężny strażnik czekał.

- Rozkazy? - zapytał, gdyż takie otrzymał polecenia.

- Idę na górę. Ty dowodzisz na dole.

- Mówiła, że to twoje zadanie.

- Mówiła, że mam wszystkiego dopilnować. Idę na górę. Muszę coś dla niej zrobić. Ty zajmiesz się sprawami tutaj. Taki daję ci rozkaz. Ja za to odpowiadam.

Max schylił głowę, akceptując polecenie. Jim odszedł drogą, którą przyszedł, przez zdewastowany ogród, obok domowego azy, który sprzątał szczątki rozbitego talerza, obok komputera z ekranami wyświetlającymi czekające na Raen wiadomości. Ściany domu wibrowały pieśnią majat; Wojownicy stali nieruchomo w ciemnych zakamarkach hallu. Z drzwi do ,piwnicy wybiegła azy majat, naga, niosąc niebieskie, lśniące słabo w mroku światełko. Uśmiechnęła się i przechodząc musnęła palcami jego ramię, a on zadrżał, widząc szaleństwo na tej roześmianej twarzy.

Zjawił się mężczyzna, młodszy niż ci, co opuszczali klatki dla jakiegokolwiek innej służby. W oczach miał ten sam obłęd. Za nim wysypała się cała grupa, a idący z tyłu Wojownik popędzał ich gwizdem.

Jim uciekł przerażony, że przez pomyłkę pociągną go za sobą, wepchną do ciemnego dołu w ogrodzie. Pognał po schodach, wpadł do sypialni, sprawdził, czy jest pusta i zaryglował drzwi.

Minęło kilka minut, nim zdołał rozprostować zaciśnięte palce. Część jego umysłu nie chciała iść dalej.:. wołała raczej znaleźć jakiś ciemny kąt, skulić się tam i znieruchomieć.

Jak azi na dole, gdy osiągnęli granicę swych możliwości.

Raen potrzebowała czegoś więcej. Ten wysoki, chudy Kontrin przybył i rozmawiał z nią. Potem była niespokojna. Niezwykły urodzony człowiek azi zaniepokoił ją jeszcze bardziej. Jim wiedział, że istniały powiązania, których nie rozumiał, domyślał się, że może ona jest teraz gdzieś z tamtym, pochodzącym z jej rodzaju. I że w tak ryzykownych sprawach azi wyszkolony jak on jest bezużyteczny.

Pilnować porządku w domu.

Na pewno potrzebowała czegoś więcej, lecz taka była granica jego możliwości. Widywał już bety, które potrafiły wymyśleć, co trzeba robić. I Kontrin, którzy po prostu wiedzieli, choć nie miał pojęcia skąd. Widział też cele w Biurze i

znał siebie.

i8o

Zdawał sobie sprawę, że jeśli ona zginie, on zostanie uśmiercony. Ktoś mu mówił, że Kontrin nie przekazują nikomu swoich azi. Jakoś nie czuł z tego powodu strachu. Pomyślał, że kiedy to nastąpi, siądzie pos prostu i zaczeka na śmierć. Nic już nie będzie go interesować. Utraci swą użyteczność.

Czuł niezwykle, obcy ucisk w krtani. Przez cały dzień nie mógł się go pozbyć, dowód stresu, którego nie umiał rozładować.

Bądź spokojny, odezwało się w pamięci echo dawnych taśm. Spokój ^aws^e jest dobry, jeśli nie potrafisz być spokojny, jesteś bezużyteczny, bezużyteczny aż} jest niczym. Odrzuć wszelki niepokój. Instrukcje nadejdą. Jesteś bez winy, jeśli pozostajesz spokojny i czekasz na instrukcje.

Potem nadeszła kara, gdy emocje osiągnęły zbyt wysokie natężenie - wbudowane w organizm mdłości. Trząśł się cały, rozdarty między uciskiem w krtani a podchodzącym do gardła żołądkiem. Wiedział, że jeśli zwalczy jedno, drugie także zniknie. Nie miał czasu. Uciszył wzbierającą w nim histerię prostym ćwiczeniem odwracania uwagi; myślał o czymś innym, niż nakazywały mu uczucia. Spokój, spokój, spokój. Spokojny jest dobry. Dobry jest szczęśliwy-
Szczęśliwy jest użyteczny. Dobry azi zaJl>s%
eJest użyteczny.

Natychmiast wziął się do pracy. Wyjął z szafki zestaw hipnostudyjny, otworzył pudło z taśmami. Spokój, spokój, spokój, powtarzał sobie, gdyż dłoń mu drżała, gdy świadomie wybierał zakazane taśmy w czarnych pudełkach. Nieposłuszeństwo wzmocniło bóle żołądka. To dla niej, przekonywał sam siebie; i dobry azi jest zawsze użyteczny. Jeśli przesłucha jej taśmy, będzie wiedział tyle, ile ona. A jeśli będzie wiedział tyle, ile ona, zrozumie, co trzeba robić.

Wyjął ściankę z pudła i podparł nią stos taśm, jaki ustawił przy podajniku, gdyż było ich o wiele więcej, niż przewidziano w konstrukcji zestawu. Skup się,' skoncentruj tylko na działaniach fizycznych. To był sposób zachowania spokoju w chwili kryzysu. JV/V myśl o tym, po co pracujesz, P° Prostu działaj, aż wykonasz zadanie.

Przygotował maszynę. Przygotował fotel, rzuciwszy na niego koc, by było wygodniej. Na końcu przygotował siebie, rozebrał się do naga, wygładził koc tak, by żadna fałda nie uciskała skóry podczas długiej utraty przytomności. Zrfalazł butelkę z tabletkami tam, gdzie zostawił ją poprzednim razem, w łazience. Usiadł z pigułką w zębach i umocował przewody. Potem naciągnął jeszcze na siebie brzegi koca, połknął pigułkę i czekał, aż przyjdzie odrętwienie. Zmienię się, pomyślał czując, jak wzbiera w nim panika. Zawsze lubił tego osobnika, którym był,

a to, co robił teraz było jak samobójstwo. Czuł, że zaczyna tracić przytomność, więc powiedział sobie Ze&naJ i wcisnął wyłącznik. Potem opuścił ręce, oparł się wygodnie i czekał. Maszyna zaczęła działać.

Jim nie był nieświadomy; był hiperświadomy, lecz nie tego, co go otaczało. Pochwyciła go oszalamiająca obcość przyswajanych informacji.

Zachowania. Dane. Sprzeczności. Umysły nieśmiertelnych, twórców Regionu. Wchłaniał je, aż jego ciało zaczęło krzyczeć o zagrożeniu, lecz nadal absorbowowało dane.

'181

Nie mógł tego przerwać. Tylko w krótkich pauzach, gdy cichł potok instrukcji, próbował krzyczeć o pomoc. Nie był jednak przytomny i ciało nie reagowało. Potem instrukcje płynęły na nowo i wszelka wola zamierała.

- Meth-maren - zaintonowała Matka. - Znaleźć, znaleźć tę królową.

Robotnice próbowały ją uspokoić, Trutnie śpiewały pieśń o zamęcie. Trwało wrażenie rozdzielenia, połączona na pewien czas świadomość kopca zanikała. '

Potem katastrofa.

Robotnice pracowały gorączkowo. Kopiec sięgał do kopca Meth-maren, z którym tworzył jedność. Robotnice umierały z wysiłku, ścierając szczęki i wyczerpując ciało, a ich zwłoki odciągano do tyłu. Praca trwała. Azi padali pod

ciężarami, pili, odpoczywali i zataczając się, wracali do pracy, by tam umrzeć.

W kopcu krążył zalękniony smak zielonego zwiadowcy, pochwyconego przez Wojowników. Tamten kopiec także był zdezorientowany, także pamiętał Meth-marenów z minionych wieków, zanim jeszcze słońce weszło pod takim kątem i świat zmienił kolory.

Tamten kopiec z kolei smakował umysły złotych, którzy smakowali czerwonych. Ich gwałtowność miała teraz odcień wahania, mniej naporu, a więcej lęku.

- Zabić - przynagliła Wojownicza część niebieskiego Umysłu. - Przywrócić zdrowie.

Usunąć szkodliwych.

Trutnie śpiewały o pamięci, a równowaga kopca odchyliła się w stronę myśli Wojowników.

Potem powróciła do Matki, bardziej bojowej niż oni, gdyż ona dbała o jajeczka, o przetrwanie.

BUDOWAĆ, popłynął rozkaz i Robotnice przyspieszyły pracę.

Wycieńczeni skulili się w cieniu kępy krzewów.

Raen wsunęła palce pod wizjer, otarła pot z powiek, przesunęła krawędź szkła w inne miejsce, po czym zmarszczyła nos tak, by opadła z powrotem. Odrzuciła kaptur solskafu, zdjęła rękawice, rozpięła rękawy aż do łokci. Zbliżał się wieczór, lecz powietrze wciąż atakowało żarem niby wygaszone niedawno palenisko.

Kombinezony chroniły od oparzeń'dzięki wentylacji przez wstawki z jedwabiu mająt, lecz

skóra była lepka od potu i materiał kleił się przy każdym ruchu. Na kolanach trzymała karabin po martwym azi - dodatkowy ciężar dla obolałych mięs'ni. Miała żywnos'ć i pojemniki z zapasów awaryjnych, ale nie piłą, torturując się myślą o wodzie. Zapasy przeznaczone były dla dziesięciu osób, a wokół niej siedziało ponad pół setki spragnionych ludzi. Żaden z nich nie pił. Będąc azi, czekali. Ranni w milczeniu znosili ból i insekty. Azi tylko w zaskoczeniu krzyczeli czasem, lecz tutaj nic nie mogło ich zaskoczyć. Znali sytuację. Grupa zmniejszyła się o dwóch najciężej rannych; niosący ich cieszyli się z tego, nie miała złudzeń. Tego dnia inaczej oceniała litość, która kazała jej zabrać wszystkich. Z troską spoglądała na dwóch innych w równie fatalnym stanie i na otaczający ich ze wszystkich stron bezkresny step. Niewiele brakowało, by zastrzeliła ich obu. Zamiast tego dała im po łyku wody, co dopełniło miary głupoty. Tak samo potraktowała azi dźwigających nosze. Ona sama i pozostali mogli tylko zwilżyć usta i wypluć płyn, co uczynili posłusznie. Ona jednak była dawno temu na Cerdinie^ którego słońce paliło równie mocno. To, co przeżywali, dla niej nie było niczym nowym, w przeciwieństwie do pozostałych. Miała u boku Merry'ego, biednego Merry'ego z posiniaczoną, podrapaną twarzą. Ufała mu bardziej niż innym, tym żółtodziobom świeżo z cel Biura. Merry pomagał, starał się myśleć; tamci tylko słuchali.

Nastąpiło jakieś zamieszanie, usłyszeli czyjś pisk. Azi chwycili karabiny, lecz był to tylko Wojownik, ich własny, z białą szmatą zawiązaną na przednim odnózu, by łatwiej go było rozpoznać. Przybiegł skulony, wyciągając czułki i szukając zapachu.

- Tutaj - zawołała Raen, wyciągając ku niemu dłoń. Podeszedł i ofiarował smak, słodkie płyny jego ciała. Przyjęła je z wdzięcznością. Dotknęła plam zapachowych, by go uspokoić, gdyż biegł szybko i powietrze z sykiem wylatywało z komór głosowych tak, że miał kłopoty z ludzką mową. /

- Luuudzie. Ludzzzki kopiec.

Odetchnęła z ulgą. Wszystkie twarze zwróciły się ku niej, a na każdej malowała się nadzieja.

Raen pogładziła czułk^ majat.

- Wojownik dobry, bardzo dobry. Gdzie inni?

- Pilnują ludzi.

- Daleko?

Zadrzał lekko. A więc niedaleko.

- Zostawiamy tu rannych i pięciu ludzi do pomocy - oznajmiła. - Wrócimy po nich, gdy tylko zdobędziemy jakiś transport. Obiecuję.

Zrozumiano?

Pochylili głowy, wszyscy razem.

- Chodźmy - zwróciła się do Merry'ego. -

Wyznacz tych, którzy mają zostać i ruszajmy.

Wojownik pędził przed nimi - czarny kształt w świetle gwiazd. Pewnie krzyczał coś do swoich, lecz ludzkie uszy nie mogły tego pochwycić. Po chwili cała trójka podeszła do żywopłotu,

cmokając z podniecenia.

- Strażnicy - oznajmił Wojownik, wskazując głową pozycje. W chłodną noc wzrok majat bez trudu wykrywał ludzi.

- Żadnych majat? - upewniła się Raen.

- Ludzie. Ludzki kopiec.

Pięćdziesięciu ludzi ustawiało się za plecami Raen. Zobaczyli światła, reflektory wokół pól i farmy. Baraki azi także płonęły światłami. Okna w domu i baraku były zakratowane - zapewne ochrona przed majat.

- Drzwi to głupstwo - oświadczyła Merry'emu Raen. - Jeden strzał je rozwali. Azi nie będą się bronić, jeśli najpierw schwytemy bety.

- Zdejmijcie strażników - polecił Merry. - Trójka na każdego. I żadnych pomyłek. Ja zajmę się jednym. Raen pokręciła głową.

- Podejdiesz ze mną do drzwi. Rozbiję je, dziesięciu ludzi wejdzie ze mną do środka, dwudziestu zablokuje boczne wyjście. Ty staniesz pod gankiem i zajmiesz się azi, gdyby próbowali atakować od strony baraku.

- ' Tak jest - odparł Merry, po czym wydał rozkazy oddziałom.

- Strzelać tylko w samoobronie - dodała Raen.

Chwyciła najbliższego majat za odnóże. - Wojowniku, wy zostaniecie tutaj. Pilnujcie tego miejsca, dopóki was nie, zawołam. . '

- Funkcja Wojownika: iść - protestował.

- Rozkazuję. Jestem Meth-maren, przyjaciel kopca. Konieczność.

- Tak - westchnął.

- Idę pierwsza - oznajmiła, ku zaskoczeniu Merry'ego i pozostałych. Nie protestowali jednak. Wstała, chwyciła karabin za lufę i kulejąc wyszła na drogę. Szła ze spuszczoną głową, spoglądając dyskretnie w stronę żywopłotu, gdzie - jak. wiedziała - kryli się strażnicy.

- Stój!-- krzyknął ktoś.

Posłuchała. Odwróciła głowę w stronę wołającego i nie próbowała unieść broni.

- Wypadek - wyjaśniła. - Samolot spadł... - wskazała ręką za siebie. Obaj azi naiwnie wyszli z ukrycia. - Potrzebuję pomocy - dodała. - Muszę wezwać pomoc.

Jeden z nich zdecydował się iść razem z nią, drugi miał zostać. Kulejąc zbliżyła się do domu, stanęła przed drzwiami. Cały czas obserwowała rozkład zabudowań, położenie okien. Barak stał z tyłu, ganek był przed nią.

Azi wszedł na stopnie, wcisnął dzwonek, uruchomił domowy interkom.

- Ser?

Ktoś przeszedł obok okna, podszedł do drzwi.

- Ser, jest tu kobieta...

- Katastrofa promu z Istry - krzyknęła. - Są ranni. Musimy wezwać pomoc.

Odskoczył zamek, w drzwiach stanął siwiejący beta. Wsunęła się do środka, oparła o ścianę i podniosła karabin do biodra.

- Niczego nie dotykaj, ser. Nie ruszaj się.

Beta zamarł z otwartymi ustami. Strażnik azi podobnie. Ludzie Raen przemknęli przez podwórze, strażnik odwrócił się, dostrzegł ich, strzelił na oślep. Biegący odepchnęli go, wbiegli do domu, pchnęli betę na ścianę i wymierzyli karabiny. Następni pobiegli dalej i z wnętrza domu rozległy się krzyki i strzały.

- Nie zabijać! - krzyknęła. - Zabezpieczyć dom. Idźcie, przypilnuję S0' .

Nie opuszczała karabinu. Azi pobiegli za towarzyszami.

Cała akcja trwała tylko chwilę. Do salonu wprowadzono przerażoną rodzinę beta i służbę azi, w tym jednego lekko rannego.

, Merry zajął pozycję na ganku. Pierwszy strzał w stronę baraku przekonał tamtych azi. Ludzie Raen przegrupowali się, blokując wyjście.

- ' Ser - odezwała się Raen do farmera. - Chron swoich azi. Każ im wyjść bez broni. Nikomu nie stanie się nic złego.

Posłuchał jej. Stał na ganku, otoczony zbrojnymi ludźmi w takiej ilości, by nawet nie myślał o oporze. Wewnątrz czekała rodzina właściciela, żona, młoda para, zapewne spokrewniona ze starym beta, i ich dziecko.

Niemowlę płakało, więc próbowali je uciszyć.

Azi wychodzili lekliwie z baraku. Raen poleciła Merry'emu przeszukać ich i budynek.

Najważniejsza jednak była woda i żywność.

Natychmiast wydała zgodę i każdy napił się do

woli. Przynieśli jej kubek, który przyjęła z wdzięcznością, tak samo jak garść suszonych owoców. Zjadła kilka, resztę wsunęła do kieszeni, popiła wodą. Potem odprowadziła farmera do salonu, do rodziny.

- Ser - zaczęła Raen. - Proszę o wybaczenie. Mówiłam prawdę: mamy rannych. Potrzebuję żywności, wody, środków transportu i waszego milczenia. Znaleźliście się w samym środku sporu Kontrin. Jestem Kont' Raen, seri, i serdecznie was przepraszam. Niczego nie zniszczymy, o ile nie będziemy zmuszeni.

Twarze bet zwróciły się ku niej, poszarzałe z przerażenia, czy to z powodu napadu, czy też tego, co im powiedziała - nie była pewna.

- Zabierz co chcesz - odezwał się mężczyzna. Dziecko wybuchnęło płaczem. Raen spojrzała na nie krótko. Kobieta przytuliła je do siebie, a ranny azi starał się je uspokoić. Raen odetchnęła głęboko, próbując nie tracić cierpliwości.

- Macie tu ciężarówkę?

Kiwnęli głowami.

Poszła dalej w głąb domu, szukając komputera. Znalazła go po chwili - żalosaną, małą maszynę oblepioną listami zakupów i numerami bez podpisów. Włączyła się do sieci i wystukała^ ustalony dla sytuacji alarmowych numer domu w Nowej Nadziei.

- Jim! - zawołała. I jeszcze raz: - Jim!

Nie było odpowiedzi.

Dłoń oparta o klawiaturę zadrżała. Zacisnęła

palce i podniosła je do ust. Zastanawiała się rozpaczliwie, czy może zaufać Dain albo Itavvy'emu, albo komukolwiek w ITAK.

-- Jim - powtórzyła błagalnie i zaklęła.

- Odpowiedź wciąż nie nadchodziła. JIM, wystukała, by zostawić wiadomość, UWAŻAJ. NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Kolejną wiadomość wysłała do rezydencji Isana Tela, gdzie kilku azi podtrzymywało fikcję zamieszkałego domu - azi bez nadzoru i horda strażników. UWAGA.

NIEBEZPIECZEŃSTWO.

NIEBEZPIECZEŃSTWO. I trzecią, do Biura Pracy. NIEBEZPIECZEŃSTWO.

KONTRAKTY TELA. PROSZĘ SIĘ PRZYGOTOWAĆ.

I85

Nie użyła swojego nazwiska. Nie odważyła się.

Wstała, wzięła ze sobą dwóch azi, przeszła obok grupy Merry'ego i ruszyła drogą do miejsca, gdzie zostawiła Wojowników. Czekali, nerwowi i niespokojni.

- Wszystko w porządku - powiedziała. Każdemu dała po dwa kawałki suszonych owoców, które bardzo lubili. - Potrzebuję jednej jednostki, by została ze mną, dwóch do przesłania wiadomości.x

- Tak - zgodzili się chórem.

- Po prostu opowiedzcie Matce, co się zdarzyło. Powiedzcie, że wracam do Nowej Nadziei, ale powoli. Potrzebuję pomocy, azi niebieskiego

kopca, broni. Szybko.

Wymienili wielotonowe piski.

- Dobrze - odezwał się jeden z nich. -- Iść zaraz?

- Iść - przytaknęła. Dwójka Wojowników ruszyła z oszalamiającą szybkością, w jednej chwili ginąc z oczu wśród krzaków i ciemności. Trzeci został i wolnym krokiem odprowadził ją ze strażnikami do domu.

- Merry - odezwała się, gdy dotarła do ganku, gdzie zmęczeni ludzie z jego grupy siedzieli, opierając karabiny na kolanach, lufami w stronę baraku. Merry wstał. Ubranie miał w strzępach, padające z otwartych drzwi światło ukazywało ciemną plamę krwi na policzku, jasne włosy sklezione kurzem i potem.

- Jedno z nas - powiedziała chrapliwie - musi pojechać ciężarówką po rannych. Masz niezłą orientację. Potrafisz to zrobić? Będiesz w stanie? Chcę, żebyś wrócił. Jesteś mi potrzebny. Bardzo na tobie polegamy.

W oczach azi błysnęła duma.

- Wrócę.

Nigdy nie sądziła, że zobaczy w oczach spokojnego Merry'ego taką pasję, niemal namiętność. Nagle uświadomiła sobie, że nie tylko u Merry'ego; lecz u pozostałych azi także. Nie rozumiała tego. Miało to jakiś związek z taśmami, lecz nie było przez to mniej prawdziwe i dlatego ją niepokoiło.

- Wóz jest pewnie w szopie ze sprzętem. Uważaj, kiedy będziesz tam szedł. Sądzę, że mamy

wszystkich, ale nie miałam czasu sprawdzić w komputerze.

- Potrzebuję trzech ludzi.

Skinęła głową. Merry wybrał trzech strażników i razem zniknęli za rogiem budynku. Raen zostawiła Wojownika przy ganku, kulejąc weszła po schodach do domu. Raz tylko rzuciła okiem na jeńców. Nogi jej drżały, organizm wyczerpał rezerwy adrenaliny. Opadła na fotel i grzbietem dłoni otarła czoło.

- Przynieś pojemnik z wodą - poleciała jednemu z azi. - Gdzie jest klucz do ciężarówki? - spytała betę.

- Przy drzwiach.

Obejrzała się i dostrzegła go od razu.

- Zanieś Merry'emu - rzuciła w stronę azi. - I trochę suszonych owoców. Jest tam kilku, ludzi, którym bardzo się przydadzą.

Strażnik zabrał wszystko, wyszedł i wrócił po chwili. Z zewnątrz doleciał warkot silnika cichnący gdzieś na drodze. Merry odjechał.

i86

- To prawda, że prom się rozbił? - spytała kobieta beta. Raen kiwnęła głową.

- Masa połamanych rąk i nóg. Byli też zabici. Mieliśmy na pokładzie setkę ludzi.

Na twarzach bet pojawiło się współczucie.

- Przykro mi, że musieliśmy się tu wedrzeć - zapewniła Raen. - To było konieczne. Jak się nazywacie, seri? Gdyby nie zagrożenie, wypłaciłabym wam rekompensatę. Niestety, w

tej chwili to niemożliwe.

- Ny - przedstawił się mężczyzna. Wskazał swoją żonę. - I Berden. To mój syn i jego żona. Wnuk. Kontrin, możesz zabrać co zechcesz, tylko nie rób nam krzywdy.

- W okolicy są mająt - dodał młody człowiek. - Musimy mieć coś do obrony. Musimy, Kontrin.

- Słyszałam, jak to wygląda. Słyszałam też, że farmy nie chcą oddawać azi.

- To nasza jedyna obrona - odparł Ny.

Raen spojrzała na niego, rozejrzała się, przypomniała sobie wygląd pól i zabudowań.

- Przecież moglibyście całkiem dobrze żyć w tym miejscu, prawda? Macie własną żywność i energię. ITAK i ISPAK wiedzą o tym. Nie musicie oddawać ziarna. O tym także wiedzą,

- Potrzebują go -- wyjaśnił Ny. -r My potrzebujemy azi; azi też nie mają ochoty wracać do cel. Nie oddajemy ich, Kontrin. To prawda. Nie oddajemy. Jak na betę mówił bardzo odważnie. Nie czuła się urażona.

- W istocie - rzekła - macie tu piękną ziemię. Miałam zamiar zniszczyć przynajmniej komputer; ale wy nie jesteście ludźmi ITAK ani ISPAK, prawda? Macie jakąś mapę?

- W pokoju komputera - odparła Berden. - Szuflada pod biurkiem.

- Dziękuję - powiedziała cicho Raen, wstała i powłócząc obolałymi nogami, przeszła do małego pokoik,u.

Mapa była na miejscu. Usiadła i przestudiowała

ją dokładnie, znalazła wyraźnie zaznaczoną farmę, jakieś dwieście kilometrów >od sporego dopływu Rzeki i prawie tysiąc od Nowej Nadziei.

Zawahała się przez chwilę, po czym zakodowała zlecenie w imieniu jednego ze swych męskich wcieleń. Chodziło o wykupienie przelotu; program na to nazwisko znajdował się już w pamięci. Jeden przelot dla stworzonej przez nią osoby Mereka Seda z rodziną - sprawa honoru. Drugi dla kogoś rzeczywistego - sera Tola Errina, lozSD, Przybrzeże, rzeźbiarza w szkłe i jego rodziny, z propozycją podjęcia pracy na Meronie zaraz po przybyciu. Przelot frachtowcem.

Szalony gest. Zachcianka. Ale niektóre rzeczy warto było ocalić.

Wszystko to trwało tylko chwilę. Zacisnęła zęby i ponownie spróbowała alarmowego numeru w Nowej Nadziei.

- Jim - zawołała. Potem podała instrukcje na wypadek, gdyby słuchał jakiś inny azi. Kazała mu odpowiedzieć. Znowu nic. Szybko przerwała połączenie.

Przez długą chwilę siedziała, przyciskając palce do ust, patrząc w roztargnieniu na klawiaturę i próbując wymyślić, co robić dalej.

Wokół zbierali się azi, którzy nie mieli nic do roboty. Siadali na podłodze, na meblach, gdzie kto mógł. Kiedy spojrzała, wszyscy patrzyli na nią z przejęciem.

Wszyscy mieli wyraz twarzy Merry'ego.

iv

Nawiedzały go koszmary, a w jednym z nich wysoki, chudy cień pochylał się nad nim przesłaniając światło.

Potem chwycił go za ramiona i potrząsnął, a Jim wyrwał mu rękę, próbując sięgnąć do kabli, których już nie było, uwolnić się z kosmaru.

Nie miał siły. Cień trzymał go w mocnym uścisku i przez pewien czas jedyną realnością były uderzenia serca, huk w uszach i mętna czerwień przed oczami. .

- Zaczekajcie na zewnątrz - odezwał się nad nim jakiś szorstki głos.

- Umiera - te słowa były pieśnią, głęboką i smutną.

- Zaczekajcie na zewnątrz - to był Szorstki. - Wyjdźcie.

- Obcy - odpowiedziała pieśń. - Obcy, obcy, zielony kopiec.

Ale wycofała się do drzwi. Słyszał stuk kleszczy. Ręce ujęły jego twarz.

- Azi - odezwał się męski głos. - Azi, wracaj, wracaj, obudź się. Spokojnie. Czy to było samobójstwo? Czy ona kazała ci to zrobić?

Z trudem pojmował znaczenie słów. Znow tracił kontakt ze światem, ciało było ciężkie i bezwładne. Poczul ostry ból i przebudził się. Czul go, lecz nie potrafil określić, skąd pochodzi.

- Wyjdzie z tego - oznajmil głos. - Cofnijcie się.

Zostawcie go w spokoju.

- Zielony kopiec - odparł drugi, ale oddalił się, dźwięcząc niską, niespokojną nutą.

Odwrócił głowę, otworzył usta, by zawołać o pomoc.

- Nie - poczuł ucisk dłoni na wargach. Próbował walczyć. Zaczynał odzyskiwać wzrok. Znał tę pochyloną nad nim twarz. Nie rozpoznawał, ale znał.

Znał Haldów i tego mężczyznę, Pola. Był niebezpieczny. Jego Klan i sept miały dość powodów, by nienawidzić Meth-marenów. Chciał odepchnąć dłoń zakrywającą mu usta, ale jego ręce były zbyt słabe. Ledwie potrafił je podnieść.

- Siedź spokojnie - Poi pochylił się niżej, czuł jego oddech na policzku. - Przekonałem ich, żeby mnie wpuścili, ale mają patrzeć na nas; przynajmniej na to, co potrafi zobaczyć.

Słyszysz mnie, azi?

Próbował kiwnąć głową, lecz dłoń ograniczała jego fuchy. Oddychał z trudem. Słowa znowu traciły sens.

- Kazałem ci zostać na dole.

- Zostaw go - to był głos Maxa. J im wysiłał umysł, by słyszeć i rozumieć. - Nie powinienem cię wpuszczać.

- Ale wpuściłeś. Zabierz stąd Wojownika. Pilnuj drzwi, jeśli masz ochotę. Ale zostaw mnie z nim samego.

Max, chciał zawołać Jim. Wymamrotał coś, ale

Max nie odpowiedział.

- Idź na dół - powtórzył Poi Hałd. - Słyszysz? Jego głos przywykł wydawać rozkazy. Jim skrzywił się. Max wyszedł. Trzasnęły drzwi. Poi Hałd odszedł, by zamknąć je na zamek, a Jim odwrócił się na bok, chwycił poręcz fotela, usiłował się podnieść. Poi wrócił, chwycił go za ramiona i szarpnął. Głowa Jima odskoczyła do tyłu - nie panował nad mięśniami. Nie potrafił nawet jej podnieść.

- Prom wylądował - oznajmił Poi. - Ale nie na żadnym z lotnisk. Gdzie ona jest? Oprzytomnij i powiedz mi.

Nie potrafił. Spróbował pokręcić głową, by mu o tym powiedzieć. Poi pchnął go na oparcie i odszedł. Jim słyszał kroki, oddalające się, potem znów coraz bliższe. Poi podciągnął go i przytknął do warg kubek wody.

- Wypij to, słyszysz? Czy jeszcze możesz myśleć? Czy to był jej rozkaz, żebyś to zrobił?

Wypił. Woda łagodziła ból w krtani. Poi puścił go i przytknął mu do skroni wilgotne palce. Jim zamknął oczy. Świadomość odpływała. Wróciła, przywołana trzaskiem plastiku.

- Taśmy Kontrin - mruczał Poi. - Historia.

Prawo. Teoria komputerów7... Niech to diabli! Skąd ona to wzięła?

Pomyślał, że może teraz odpocząć, skoro głos mówił o czymś innym, lecz nagle palce tamtego znów chwyciły jego bezwładne ramiona i ścisnęły mocno.

- Dlaczego, azi?

Leżał nieruchomo i patrzył na Pola.

- Znasz mnie - powiedział Poi. - Prawda? Znasz mnie.

Mrugnął; nic .więcej. To była prawda. Poi zrozumiał. Powoli usiadł na stojącym obok krześle. Położył mu dłoń riał ramieniu, tym razem delikatnie.

- Jesteś zdrowy na umyśle. Nie myśl, że uda ci się mnie oszukać. Nie próbuj udawać wariata. Widziałem już samobójstwa poprzez hipnostudia. Rozumiesz mnie. Leżysz i nie chcesz mówić, ale ja wiem, co się z tobą dzieje.

Słyszysz? Słuchałeś tego, czego nie powinienes.

Nie rozmawiam już z azi, prawda? Jesteś czymś innym. Jak długo słuchałeś tych taśm?

Nie odpowiedział. W pamięci znalazł wiedzę o Rodzinie i o tym, czego może się spodziewać po Haldach.

- Ona ci to poleciła? Kazała popełnić samobójstwo?

- Nie samobójstwo - nie mógł znieść oskarżenia pod jej adresem. - Nie. To ja. Mój wybór. Żeby wiedzieć.

- I czego się dowiedziałeś, azi?

- Mam na imię Jim.

- Dowiedziałeś się, prawda?

Pomyślał, że Poi go zabije. Spodziewał się tego, lecz nic nie mógł poradzić. Spróbował się podnieść, a Poi pomógł, zamiast przeszkodzić, pociągnął go do przodu, na krawędź fotela,

wsunął w ręce szklankę. Oczekiwał wody, lecz w szklance był sok. Zakrztusił się.

- Pij - warknął Poi, a kiedy posłuchał, zaciągnął go do łazienki, wrzucił pod prysznic i odkręcił wodę. Jim był zbyt słaby, by ustać. Pochylił się i oparł o szklaną ściankę.

To Max wyciągnął go spod prysznica. Silne ręce Maxa uniosły go za ramiona i zaciągnęły na łóżko,

- Poi - zaprotestował. - Gdzie on jest?

- Na dole - strażnik spojrzął na niego z niepokojem. - Przyszedł pod bramę i powiedział, że ona ma kłopoty. Co robimy? Jakie są rozkazy?

Max go pytał. Spojrzął nie rozumiejąc. Nic już nie miało sensu. Istniało tylko jedno słowo: ona. Sięgnął po porzucone ubranie i obejrzał się, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch w drzwiach.

Przyszedł Poi i stał tam, ciemna sylwetka wśród cieni..

- Umysł pracuje, co? Lepiej niż u tych, którzy dali się przekonać, żeby mnie tu wpuścić.

To fakt. Jim spojrzął z wyrzutem na Maxa.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że między nimi rozwarła się otchłań. Nie dowiedział się tego, czego chciał, lecz wiedział za dużo, by zachować spokój. Kolana ugięły się pod nim i musiał przytrzymać się krzesła.

- Jesteś w szoku - stwierdził Poi. - Organizm nie wytrzymuje takich obciążeń. Cały metabolizm wariuje. Pomóż mu, azi. Max pochwycił go,

usadził, potrząsnął za ramię.

- Co robimy? - zapytał. - On nie ma broni.

Dopilnowaliśmy tego

- mówiąc wciągał na Jima kolejne części ubrania. - Wszędzie są Wojownicy. On nie może zaszkodzić. Prawda, Jim? Stale mówi o niej i o jakichś kłopotach. Co powinniśmy zrobić?

Miałeś wydawać rozkazy. Więc co? Jim zwalczył falę mdłości, spojrzał na Hałda.

- Przede wszystkim nie wolno mu ufać. Jest starszy i mądrzejszy od nas. Poi wyszczerzył zęby.

- Studiowałeś taśmy Raen. To jej układ myślowy. Zauważyłeś to, aże? Że jesteś jej układem myślowym?

- Po drugie - mówił Jim, nie zwracając uwagi na cichy głos Pola

- trzeba się jeszcze raz upewnić, że nie ma broni.

- Przysięgam - Poi rozłożył ręce.

- I nigdy mu nie wierzyć.

Dygotał gwałtownie. Starał się siedzieć nieruchomo, by zachować siły, starał się myśleć, mimo bólu stawów i skurczów żołądka.

Ciśnienie krwi, wypłynął w myślach jakiś zapomniany strzęp informacji, tłumacząc wrażenie, że głowa rozpada mu się na kawałki.

- Myślisz, że opanujesz ten dom. Nie uda ci się. Był pewien, że Rodzina go zabije. Jeśli Raen zginie, on umrze także. Jeśli przeżyje, całkiem możliwe, że każe go zabić za to, co zrobił. W tej chwili nie

miało to znaczenia. Najważniejsze to nie pozwolić Hałdowi zapanować nad ludźmi.

- Przeszukaj go, Max - polecił.

Poi zjeżył się wyraźnie. Max zbliżył się do niego ostrożnie - dowód, że pierwsza rewizja była raczej pobieżna. Lecz Poi nie protestował i Max zaczął go przeszukiwać, bardzo dokładnie.

- Nie jestem już sam - oświadczył Poi. - Przybył jeszcze ktoś z Rodziny. Muszę się skontaktować z Meth-maren. Rozumiesz? Czas nadszedł. On tu przyjdzie. I nie będzie subtelny. Nie musi.

Ten dom nie wytrzyma.

- Kto? - spytał Jim.

- Morn. Morn a Ren hant Hałd.

To imię znał także. Cioteczny brat Pola.

Towarzysz wielu podróży. Doświadczony zabójca.

- Często pojawiaacie się razem - stwierdził Jim. - Ty żartujesz. On zabija.

Poi skrzywił się, czy to z powodu rewizji Maxa, czy też" słów azi. Zmarszczył czoło i wolno kiwnął głową.

- Nie można lekceważyć Morna. Przynajmniej tyle rozumiesz. Zabiorę ją stąd. Musisz mnie posłuchać, azi.

- Jim. s

- Mogę ją zabrać z tej planety. Gdziekolwiek. Poza zasięg Rodziny. Mój statek czeka w porcie. Muszę ją znaleźć, póki nie będzie za późno. Jim pokręcił głową.

- Ty wiesz - powiedział Poi. Max zakończył

rewizję i Poi z niesmakiem .poprawił ubranie. -
Wiesz, gdzie ona jest. / - Nie, ser. Wiesz
dobrze, że by mi nie powiedziała.

- Na pewno ma tu inne kontakty. Inne kryjówki.
Numery, rejestry. Nazwiska.

- Nie zwierzyłyby mi się z nich.

- Muszą być jakieś zapisy.

- Max! - zawołał Jim. - Niech Wojownik obejmie
wartę przy centrali komputera. Natychmiast!
Działaj! Wojowniku!

Max cofnął się, wyrwał z kabury miotacz. Poi
znieruchomiał w połowie ruchu, potem odstąpił.
Cień pojawił się w drzwiach, wypełnił je,
fasetowe oczy objęły spojrzeniem cały pokój.

- Ta-jednostka strzeże - oznajmił Wojownik.

- Ten obcy nie ma prawa zbliżać się do
komputera.

- Rozumiem. Centrala komputera: dużo
maszyn. Bezpieczna. Poi spojrział ponuro.

- Zabijasz nas wszystkich. Morn nie zawaha się
przed zrównaniem tego domu z ziemią. Czy to
rozumiesz?

- Bardzo dobrze rozumiem. Przecież jesteśmy
tylko azi. Może Poi wyczuł ironię, gdyż spojrział
na niego przeciągle.

- To układ myślowy Raen - stwierdził. - W
męskiej postaci niczym się nie różni.

Jim przełknął ślinę. Spokój, spokój, spokój
powtarzała stara taśma gdzieś w głębi jego
mózgu. Zmiana tematu jest argumentem nie

wymagającym logiki informowała inna, taśma Kontrin. Ppl opanował tę taktykę doskonale. Jim uśmiechnął się z przymusem i naciągnął na nogi róg koca. Było mu chłodno. Uznał, że to, co go czeka, nastąpi przynajmniej szybko, chyba że Poi albo Morn pochwycą go w swoje ręce.

- Służba zapewni ci wszelkie wygody, ser -- powiedział.'- Ale trzymaj się z dala od komputera.

- Zdajesz sobie sprawę, że bezpośrednie trafienie zetrze z powierzchni ziemi cały dom. Wobec stawek, o jakie toczy się gra, Rodzina nie będzie się przejmować, czy przy okazji nie zginą jakieś bety, albo i Kontrin - skrzywił się, jakby własne słowa miały go zadławić. - Nie obchodzi mnie garstka bet albo dom pełen azi i majat. Ale ona to coś zupełnie innego, przynajmniej dla mnie. Słyszałeś, co mówię. Nie powstrzyma mnie banda azi.

- Są także majat.

Twarz Kontrin skamieniała.

- Służba - powtórzył Jim - zapewni ci wszelkie wygody w tym pokoju. Ale nie wolno ci go opuszczać. Poi skrzyżował ręce.

- Ona wróci - oznajmił Jim.

- Wątpię, czy się jej uda, azi - pokręcił głową Poi. - Ten prom-nie był przystosowany do lądowania poza portem^ Ona umrze, o ile już nie zginęła.

Te słowa podkopały w nim wiarę, a to odbiło się na jego twarzy.

- Wiesz przecież - mówił dalej Poi - że sama mnie tu wpuściła. Nigdy nie dopuściłaby wroga tak blisko. Masz jej umysł. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie wpuściłaby mnie nawet na próg, żebym nie zobaczył systemu obrony, gdyby nie była pewna, że nie jestem jej wrogiem.

- Nie staram się myśleć tak jak ona - Jim otulił się kocem. - Nie posiadam wystarczających informacji. Wiem tylko tyle, ile mi powiedziała: że mam tu zostać i pilnować domu. Możesz mówić co chcesz, ser, jeśli to cię bawi. Nic to nie zmieni.

Poi zaklął i Wojownik poruszył się w drzwiach. ;

- Zielony kopiec - syknął.

- To jeszcze jeden powód - rzekł Jim. - Po prostu poczekamy na nią. Kiedy wróci, może mi powie, że się myliłem.

- Nie będzie miała tej szansy. - Jim wzruszył ramionami, podciągnął nogi i usiadł po turecku na łóżku.

- 'Jak spędzimy ten czas, ser? Całkiem nieźle'gram w Sej.

Wstrząsy przy dokowaniu obudziły dziecko. Wes Itawy przytulił córkę do siebie, milcząc spojrział na żonę. Myślał o rzeczach, które powinien powiedzieć. Meris siedziała między nimi, trzymała ich za ręce i nie odzywała się. Prom leciał niemal pusty - ich troje i pięcioosobowa rodzina z Przybrzeża, równie

niespokojna. W porcie roіło się od policji. Sprawdzali dokumenty, a Itawy drżał ze strachu, że lada chwila ktoś w tłumie pozna jego twarz, wykryje fałszywe numery na bezcennych biletach.

Przeszli. W pośpiechu nie zabrali niemal niczego. Katastrofa wisiała w powietrzu. Czuli ją niemal dotykając w mieście, w podziemnych korytarzach patrolowanych przez uzbrojonych po zęby policjantów z bronią gotową do strzału, w zamkniętych sklepach, cenzurowanych wiadomościach i wycofanych programach.

Udało się im. Stacja zezwoliła na dokowanie. Procedura dobiegła końca i załoga otworzyła luki.

- Chodźcie - powiedział macając kieszeń, gdzie miał dokumenty. Frachtowiec już czekał... powinni tam iść jak najszybciej, bez kręcenia się po stacji. Wynieśli bagaż, w biegu potrącili któregoś z Przybrzeżan.

Policja.

I jeszcze ktoś - uzbrojeni mężczyźni z emblematem węża na kombinezonach, celujący do nich z karabinów.

- Papiery - odezwał się jeden z nich.

Itawy wyjął dokumenty. Przez jedną chwilę miał nadzieję, że pozwolą im przejść, lecz tamten sprawdził dokładnie, tak samo jak papiery tych z Przybrzeża.

- Jedni i drydzy na Phoenixa - powiedział przez komunikator.

- Jak twarze? - spytał czyjś głos.

- Żadnego podobieństwa.

Itawy wyciągnął rękę po papiery, lecz człowiek w masce zatrzymał je. Skinął lufą karabinu.

- Do poczekalni - rozkazał.

- Spóźnimy się na statek - zaprotestował młody człowiek z Przybrzeża.

-!- Nic nie odlatuje - odparł tamten.

A%i, pomyślał z oburzeniem Itawy. Zatrzymał ich nie Kontrin, ale oddział azi. Otworzył usta, by zaprotestować, lecz tamci pochylili lufy i zamknął je od razu. Meri rozplakała się; żona wzięła ją na ręce, a on odebrał jej dziecko i razem ruszyli za Przybrzeżanami do sali, gdzie kazano im czekać.

DOK 6 STANOWISKO 9, przeczytał tablicę za szklanymi drzwiami, przez które ich wprowadzono. Na stanowisku jedenastym czekał ich statek.

Od bezpieczeństwa odgradzały ich karabiny azi. Spojrzał na rodzinę z Przybrzeża, na swoją żonę, przytulił Meris. Strażnik postawił bagaże przy drzwiach i zdjął maskę, by nie przeszkadzała w kontroli. Wyjął rzeczy z jednej walizki, potem przeszedł do następnej. Niczego nie wkładał z powrotem.

vi

- Nic - zameldował azi i Morn zmarszczył brwi.

- Od tej chwili żadnych lotów - oświadczył, patrząc na prezesa ISPAK.

- Nic się stąd nie wydostanie, nic nie przyleci.
- Kont' Morn - sapnął zaszokowany beta.
Morn nie dbał o niego. Nie ufał ITAK ani trochę, a ISPAK tylko wtedy, gdy jego ludzie trzymali ich na muszkach.
Poi wciąż się nie odzywał. Poi był w Nowej Nadziei; to przynajmniej było pewne. Jego statek nadawał serie sygnałów postojowych, lecz na pokładzie byli jedynie azi.
Meth-maren miała do dyspozycji dość broni, jeśli tylko skorzystała z rezerw ITAK. Wciąż dysponowała możliwościami Rodziny wystarczającymi do kupienia lojalności bet. By odebrać jej te przywileje, niezbędna była zgoda Rady.
Wyjątkiem była tylko jedna procedura.
- Ona nie żyje - powiedział nagle Morn. Bety drgnęły zaskoczone.
- Wprowadzę informację, że Meth-maren nie żyje. ISPAK poświadczy. Wtedy będzie to prawdą, według prawa. Zgadzasz się, ser?
- Tak, Kont' Morn - odparł mężczyzna; pewnie tak samo powtarzał tak, Kont' Poi i tak, Kont' Raen.
- Wszyscy Kontrin i korporacje planetarne wystarczą jako świadkowie
- spojrzął na betę, by sprawdzić, jak zareaguje, ale beta był tylko przerażony. Wskazał mu konsolę. - Połącz się z ITAK. Przekonaj ich. Mężczyzna zajął miejsce i zakodował wiadomość. Morn stanął przy nim, oparty jedną

ręką o oparcie krzesła, drugą o krawędź biurka. Palce bety drżały nad klawiszami, nie popełnił jednak żadnego błędu. ITAK zaprotestował. NIE MAMY WYBORU, odpowiedział beta z ISPAK. To było niepotrzebne; zapis pozostawał w interkompie i można było do niego dotrzeć. Morn zmarszczył brwi, ale nie zareagował. Zapisy były tak niebezpieczne, za jakie uznała je Rada, a Rada... jak to Rada. Trzeba było ryzykować.

ITAK ustąpił przed groźbą, wysyłając oficjalny protest. Dzielne małe bety, pomyślał Morn. Meth-maren opanowała je w sposób godny podziwu. Bawiło go to. Obserwował, jak beta z ISPAK drży od zawartego w psychosecie poczucia winy, co rozbawiło go jeszcze bardziej. - Odsuń się - polecił, popchnął go i patrzył groźnie, póki beta nie stanął daleko, pod samymi drzwiami. Wtedy oparł dłonie o klawiaturę. Wobec potwierdzenia ITAK i ISPAK wprowadził własny numer... i numer Pola, zdobyty dawno temu i przechowywany w pamięci. Środek ostrożności; Morn nie tolerował wokół siebie niczego, co nie podlegało jego kontroli. Oprócz Pola. Wszyscy Kontrin na planecie i obie korporacje; potwierdzenie tych ostatnich można było podrobić używając kodów K, lecz tylko na Istrze sprawa ograniczała się do tak niewielkiej liczby członków Rodziny. Komputer planetarny zaakceptował informację i przekazał ją do interkom-pu. Morn uśmiechnął

się, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

Meth-maren stała się oficjalnie martwa, przynajmniej na Istfze; będzie martwa wszędzie za osiem do szesnastu dni. Tyle potrwa, zanim wiadomość dotrze na Cerdin i stamtąd do wszystkich innych światów. Jej kody i kredyty zostały skasowane. Nie mogła już z nich korzystać.

Odsunął krzesło i wstał.

- Przygotować prom - poleciał oczekującym azi. - Mój osobisty.

Jeden z azi wyszedł. Morn odwrócił się do bety z ISPAK.

Wtedy nagle ekran komputera zamigotał alarmująco. Morn natychmiast znalazł się przy konsoli, nadał pytanie.

Nie otrzymał odpowiedzi. Usiadł i wciskał kolejne klawisze, lecz odpowiadał mu tylko bełkot. Poczul, że ogarnia go panika. Jak tylko mógł najszybciej wysłał kod K, przerywając kontakt z interkompem, odcinając go od szerzącej się w sieci Istry pustki.

Lodowate zimno objęło mu żołądek. Dane planetarne zostały starte, zapisy, finanse, wszystko. Zero.

Przez wiadomość o śmierci Meth-maren.

Tak to zaprogramowała, a on nadał tę wiadomość.

- Przerwać dopływ energii! - krzyknął, odwracając się do bety z ISPAK. - Całej energii

na Istrze! Wszystko! Zrozumiałeś?

Zapadła cisza. Nigdy jeszcze nie próbowano czegoś takiego. Dawna groźba nigdy nie została spełniona - groźba pozbawienia planety energii.

- Tak, Konttin - wybełkotał wreszcie beta. - Ale jak długo, jak długo to potrwa?

- Dopóki ci nie powiem. Odciąć wszystko - wrócił do konsoli, nadał wiadomość na swój statek, by przysłali do centrum więcej azi. - Lecę na dół - poinformował swoich ludzi i Lea, który nimi dowodził. Azi zaniepokoił się lekko, nic więcej. - Nie mamy już czasu. Znacie procedury. Leo przytaknął. Służył u Morna już dwadzieścia lat, ostatnie pięć jako oficer. Inteligentny i skuteczny w działaniu. Kiedy obejmie wartę, żaden beta nie przedostanie się do instrumentów.

Trzydziestu azi stało pod ścianami, uzbrojonych i w kombinezonach ochronnych, bezosobowych jak majat. To podobieństwo nie było dziełem przypadku. Psychosety bet gwarantowały lęk przed nimi. Nikt nie odważy się ruszyć.

Spojrzał na ekrany kontrolne kolektorów energii. Olbrzymie płyty odwracały się wolno, wszystkie równocześnie wchodziły w cień.

- My musimy mieć energię - odezwał się beta z ISPAK.

- Naturalnie - zgodził się Morn. Beta był obrzydliwie wdzięczny.

Morn nie zwracał na niego więcej uwagi. W towarzystwie dwóch azi wyszedł z centrum.

Na powierzchni był jeden statek Kontrin - Pola. Lecz Poi milczał. Jedyne azi odpowiadali na próby kontaktu.

Pierwszym prawem Rodziny było: nie ufać nikomu.

vii

Liczby migotały na ekranie komputera. Raen spostrzegła, że znikają nagle i zaklęła głośno. Martwa. Posunęli się do tego, byle tylko cofnąć jej przywileje.

I wszyscy Kontrin na planecie musieli się zgodzić.

Poi, pomyślała. Ty sukinsynu.

Zaklęła głośno i pracowała dalej. Podawała numer Nowej Nadziei.

- Jim - powiedziała. - Jim. Albo ktokolwiek ze służby. Nacisnąć piątkę i odpowiadać.

Nie było odpowiedzi.

JIM, nadała, STRZEŻ SIĘ POLA HAŁDA.

Na ekranie zapanował chaos, błysnęły jakieś bezsensowne teksty, wreszcie komputer zgłaszał tylko funkcje domowe.

:- Brak energii w głównych rejestrach - stwierdziła, patrząc na starszego azi z bronią, który chodził za nią jak cień. Wyłączyła maszynę i wróciła do salonu, gdzie czekali Ny-Berdenowie, ich rodzina i domowi azi.

- Komputer światowy nie działa - oznajmiła.

Patrzyli na nią z tępym zdumieniem. - Niedługo odetną energię. Macie tu kolektory. Czy

wystarczą, by farma mogła funkcjonować?
Patrzyli w milczeniu.

- W waszym własnym interesie mam nadzieję, że wystarczą - spojrzała na niewielkie pomieszczenia wykańczane ręcznie, na proste meble. Podniosła głos. - Rozumiecie mnie? Istra jest odcięta. Nie będzie energii. Komputer planetarny nie istnieje, został skasowany. Żadnych zapisów, żadnej komunikacji, nic już nie ma.

Ser i sera siedzieli razem z synem, synową i wnukiem blisko siebie i patrzyli na nią. Twoje dzieło, mówiły ich spojrzenia. To była prawda. Jej azi siedzieli nieruchomo. Azi z farmy czekali na zewnątrz, siedzieli równymi rzędami w cieniu baraku, pilnowani przez jej ludzi. Trzeba będzie ich nakarmić, pomyślała. Nie mogą tak trwać be% c% ynnie. Wszędzie, w domu i na podwórzu, panowała całkowita cisza.

- Czy wasze kolektory wystarczą? - spytała jeszcze raz Raen.

- Jeśli nic nie jest uszkodzone - szepnął wreszcie ser Ny.

- Niech to diabli, przecież nie chcę was skrzywdzić! Nie robię takich rzeczy. Zostawimy wam wszystko, akumulatory i maszyny. Martwię się, czy przeżyjecie. Możecie to zrozumieć?

Chyba poczuli się pewniej. Dziecko zapłakało, młoda matka uspokoiła je.

- Dziękujemy - powiedział sztywno ser Ny.

Azi podszedł do Raen i podał jej kubek soku. Do licha, co go do tego skłoniło? zastanawiała się zaniepokojona jego równowagą psychiczną. To nie było jej polecenie. Mimo wszystko wypła z wdzięcznością. Niedługo nie będzie klimatyzacji, chyba że kolektory farmy wytrzymają. Prawdopodobnie jednak trzeba ją będzie poświęcić, by zyskać energię dla ważniejszego sprzętu: pomp irygacyjnych i chłodzenia żywności.

Z daleka dobiegł dźwięk silnika.

- Sera! - krzyknął azi z ganku. - Ciężarówka wraca!

Wszyscy siedzący zerwali się na nogi z wyjątkiem Ny-Berdenów i ich rodziny.

Pilnujący ich azi nie drgnęli nawet. Ciężarówka warczała i prychała, podjeżdżając pod drzwi domu. Raen umocowała przeciwsłoneczny wizjer, chwyciła karabin i wyszła jej na spotkanie.

Ciężarówka załadowana rannymi przedstawiała ponury widok. Ludzie owinięci w zakrwawione bandaże, w szoku, próbujący osłaniać połamane kości. Wojownik kręcił się niespokojnie, wyczuwając płyny życiowe.

- Odejdź, nie przeszkadzaj - poleciła mu Raen.

Merry wysiadł z kabiny, a trzech azi, których wziął do pomocy zeskoczyło ze skrzyni. Byli wycieńczeni upałem i ślaniai się na nogach.

Raen kazała przynieść im wody, popędziła pozostałych do pracy. Merry i jego towarzysze

usiedli ciężko w cieniu wozu.

Azi szybko przenieśli rannych do klimatyzowanego wnętrza, kładąc ich w sypialniach, na dywanach, wszędzie, gdzie tylko było miejsce. Niektórzy z rannych umierali. Inni cierpieli w milczeniu, póki zachowywali choćby resztkę świadomości. Kilku nieprzytomnych jęczało.

Raen wróciła do salonu, gdzie rzucony na krzesło leżał jej solskaf. W drzwiach kuchni stał Merry, z podkrążonymi oczami, posiniaczony i pokrwawiony.

- Nie możemy ich zabrać - powiedziała chrapliwie. - To zbyt okrutne. Może niektórych. Kilku - spojrzała na Ny i Berden,- Powiedzcie, seri, co stałoby się z tymi ludźmi pod waszą opieką? Mogę zlikwidować najciężej rannych, mogę ich tu zostawić. Ale nie po to, byście sami to zrobili. Powiedzcie.

- Damy sobie radę - odparł Ny. - Z chęcią - ścisnął dłoń Berden. - Nikogo nigdy nie zabiliśmy. Nie chcemy, by ktoś zginął w tym domu. Uwierzyła mu, choć ta wiara nie miała nic wspólnego z logiką.

- Czy zostawisz nam naszych azi? - spytała Berden.

Aż do tej chwili zamierzała ich zabrać. Spojrzała na betę i kiwnęła głową.

- Zatrzymajcie ich. Będą potrzebni do pomocy, a w walce i tak nie byłoby z nich pożytku.

Młody człowiek wstał nagle, wywołując

nerwową reakcję żony i uzbrojonych strażników.

- Idę z tobą - oznajmił. - Jedziesz do Miasta i będziesz walczyć. Idę. Inni też, z sąsiednich farm.

Raen była zaskoczona, dostrzegła, że żona i rodzice chłopaka chcą zaprotestować, ale powstrzymują się. Ser Ny wolno pokiwał głową.

- Ja muszę pilnować domu - powiedział z żalem.

- Ale Nes może iść, jeśli chce. Zabierze ze sobą kilku strażników azi, naszych własnych.

Poradzimy sobie bez nich. Niech pomoże załatwić sprawy z tymi miastowymi i Obcymi.

- Nic nie rozumiecie - zaproponowała Raen. - Tu nie chodzi o ITAK ani o ISPAK.

- Więc o co? - spytał młody Ny, marszcząc czoło.

- Z kim chcesz walczyć, Kontrin?

To było dobre pytanie, lepsze niż przypuszczał.

Raen obrzuciła spojrzeniem ich dom, farmę, która zdoła może przetrwać chaos, jaki zapanuje... Wzruszyła ramionami.

- Sprawa kopców. Pewne kwestie już zbyt długo domagały się rozwiązania.

- Ludzie pójdą z tobą - upierał się młody beta. -

Farmy, takie jak nasza i wielkie posiadłości mają już dość rządów ITAK. Pójdą za tobą, Kontrin, by załatwić to raz na zawsze.

- Nie.

- Sera - wtrącił Merry. - On mówi rozsądnie.

- To taśmy - oświadczyła, patrząc na ich twarze, twarze bet i azi. - Taśmy... rozumiecie? Nie

**macie wobec mnie żadnych zobowiązań.
Siedemset lat temu wprowadziliśmy to w umysły
waszych przodków: waszą lojalność, wasz lęk
przed nami, pragnienie posłuszeństwa.
Wszystko to psychosety. Azi wiedzą, skąd się
biorą ich myśli. Teraz i wy wiecie, skąd się biorą
wasze. Realizujecie program. Przestańcie, zanim
on was zniszczy.**

**Zaległa absolutna cisza. Młody człowiek stał
nieruchomo, zaszokowany, kobieta przytuliła do
siebie dziecko.**

**- Bądźcie wolni - powiedziała Raen. - Macie
swoją farmę. Niech miasta się wałą. Nie sądzę,
by jeszcze przybyli jacyś azi. Ci są ostatni.
Odejdą, gdy skończą czterdzieści lat. Miejcie
dzieci. Nie czekajcie na pozwolenie. Miejcie
dzieci i zapomnijcie o azi i o nas.**

- To zdrada - szepnął starszy Ny.

**- My was stworzyliśmy. Czy to powód, by z nami
umierać? Obcy opuścili Region na długo,
według waszej rachuby czasu. Stara kobieta,
która rządzi na Cerdinie, upadnie wkrótce,
może już upadła. To, że przybyli po mnie tak
otwarcie, może o tym świadczyć. Potem
zapanuje chaos. Ratujcie, co się da. Nie liczcie
na nikogo.**

**- Więc zostań - odezwała się Berden. - Zostań z
nami, sera. Spojrzała na kobietę urażona. Jej
łagodna twarz rozbudziła bolesne wspomnienie
Lii.**

- To taśmy - stwierdziła. - Chodź, Merry. Ładuj

ludzi na ciężarówkę. Raz jeszcze spojrzała na Ny-Berdenów.

- Przykro mi, że zabieram wam wóz. W zamian mogę dać tylko radę: macie do dyspozycji czas życia tych azi. Przygotujcie się na lata, gdy ich zabraknie, gdy tylko wasze dzieci będą uprawiać ziemię. I nigdy, nigdy nie mieszajcie się do spraw kopców.

Azi zaczęli pakować żywność i pojemniki z wodą, zbierali się przy ciężarówce. Raen odwróciła się plecami do bet, włożyła solskaf, chwyciła karabin i zbiegła po schodkach.

Wojownik stał przy ganku i cmokał nerwowo.

Merry mocował kanistry z paliwem, jeden pełny, jeden do połowy opróżniony.

- Wszystko co mamy? --~ spytała.

fl:

- Wszystko, sera - wzruszył ramionami Merry. - Wyczyściłem zbiornik do sucha.

Jej azi wskakiwali na skrzynię: wszyscy, którzy mogli jechać i kilku, którzy nie powinni.

Upierali się, że są strażnikami, nie rolnikami.

Tych było jej żal - ludzi, którzy nie mogli sobie wyobrazić nic lepszego, niż ruszenie za nią.

Nawet niektórzy miejscowi azi wstali i podeszli, jakby sądząc, że także powinni jechać. Kazała im odejść i posłuchali bez sprzeciwu.

Merry wsiadł do kabiny, zaczekał na nią.

Spostrzegła dwóch azi, stojących przy burcie... patrzyli ponuro na wypchaną skrzynię. Skinęła

na nich. Wsiedli do kabiny: kolejna dwójka, którą zdołali zabrać. Z tyłu ludzie siedzieli jedni na drugich, kładąc karabiny na podłodze albo stali, trzymając się plandeki. Fale gorąca unosiły się z gruntu.

Wcisnęła się obok Merry'ego i dwójki azi, z trudem zatrzasnęła drzwi. Nie włączyła klimatyzacji - potrzebowali paliwa. Usłyszała jeszcze stuk i zgrzytanie na dachu; Wojownik miał ochotę przejechać się kawałek i wskoczył w chwili, gdy Merry ruszał już z miejsca. Ciężarówka warcząc i kołysząc się z wysiłkiem wyjechała na polną drogę.

- W lewo - poleciała Raen, gdy dotarli do rozwidlenia, kierując się w stronę Rzeki, porzuconych magazynów i Miasta.

Na kolanach trzymała mapę. Miała nadzieję, że pojazd wytrzyma wystarczająco długo.

Spojrzała ponad ramionami dwóch azi na Merry'ego. Jego rwarz była spokojna i opanowana jak zawsze, bez śladu lęku przed tym, co ich jeszcze czekało.

Jak to możliwe, zastanawiała się, by tacy jak on, którzy znali własne ograniczenia, wiedzieli, że są zaprojektowani i wyhodowani dla konkretnych zadań, jednak wykonywali je dobrze?

Nie znali nawet luksusu wątpliwości.

Stajemy są przestarzali, oni i ja, pomyślała, zaciskając palce na gładkiej kolbie karabinu. To słuszne, %e odejdziemy razem.

KSIĘGA DZIEWIĄTA

Ktoś stał za hermetyczną, stalową płytą drzwi. Nie był to powód, by zacząć się spieszyć i Moth spokojnie nalala wina do kryształowego kielicha. Butelkę trzymała w pewnej, lewej ręce. Prawa zwisała bezużytecznie. Czuła w niej pulsujący ból, a palce zbyt spuchły, by mogła je zgiąć. Nie patrzyła na nie. Bandaże zupełnie wystarczały, płaszcz skrywał opatrunek. Poruszała się w miarę swobodnie, świadomie ignorując ranę.

Coś syknęło przy drzwiach. Pochwyciła wzrokiem migotanie konsoli, potem zawył alarm. Szybko odstawiła butelkę i uruchomiła nagłośnienie hallu.

- Przestańcie - warknęła. - Nawet nie próbujcie, jeśli chcecie dostać systemy w całości.

- Ona żyje - zawołał ktoś.

- Najstarsza - zagłuszył go inny głos, starszy, znajomy. Poprzez mgiełkę bólu starała się go zidentyfikować. Thon. To był Nel Thon. -

Najstarsza, są tu tylko twoi przyjaciele. Otwórz. Proszę cię, otwórz drzwi.

Nie odpowiedziała.

- Oszalała - stwierdził ktoś stojący dalej od mikrofonu. - Straciła rozum.

Ktoś inny syknął, by go uciszyć.

- Wcale nie - odpowiedziała. - Jestem całkiem normalna. To ty, Nel?

- Najstarsza! - w głosie zabrzmiała ulga. - Proszę cię, otwórz drzwi. Wszystko skończone. Siły lojalne wobec ciebie zwyciężyły. Sprawdź w inter-kompie, jeśli mi nie wierzysz.

- Lojalne wobec mnie? - ból sprawiał, że słowa brzmiały chrapliwie. Usiłowała mówić spokojnie. - Wracaj do kopców, Thon. Im opowiadaj o lojalności.

- Panuje spokój, Najstarsza. Otwórz drzwi.

- Odejdź, Nelu Thon. Rządź sobie Radą beze mnie. Sprawdź swoje terminale interkompu. Będą działały... na razie - odetchnęła głęboko. Nie dbała już, jak brzmi jej głos. - Te drzwi 'otwierają się do środka, kuzyni. Spróbujcie je wyważyć, a uruchomicie program kasacji. Z zewnątrz zabrzmiał chór głosów. Nie rozróżniała słów.

- Proszę cię - powtórzył Nel Thon. - Czy masz może jakieś warunki? Żądasz gwarancji?

- To samo dotyczy prób dostępu do rejestrów, drodzy kuzyni - mówiła dalej. - Mój kod uruchamia rozkaz destrukcji. Kiedy ja ginę, ginie inter-kómp. Spróbujcie sobie z tym poradzić, kuzyni.

Na zewnątrz zapanowała pełna napięcia cisza. Z czasem poirytowane szepty ucichły, gdy wszyscy wycofali się spod drzwi. Nie wyłączając komunikatora, Moth usiadła na fotelu,

podniosła kielich i napiła się, sącząc powoli, gdyż wino musiało wystarczyć na długo. Statek stał na płycie, smukły, znajomy kształt, zbyt pełen gracji, by pozostawać na ziemi. Morn poświęcił chwilę, by mu się przyjrzeć, zanim wrócił do manewrów lądowania. Jego prom nie nadawał się do precyzyjnych podejść. Koła dotknęły ziemi. Nie zwracał uwagi na pasy; wieża była jak martwa, żadne światła nie rozpraszały porannej mgły. Uruchomiwszy napęd podwozia, ustawił prom za statkiem, poza zasięgiem jego uzbrojenia.

- Odpowiadają - poinformował azi obsługujący komunikator. - To azi Haldów. Są niespokojni.
- Najwyższy czas, żeby odpowiedzieli - mruknął Morn. Po kolei wyłączał systemy promu. -
- Procedury standardowe - polecił. Spojrzał na dwunastu uzbrojonych ludzi, których zabrał ze sobą. W słuchawce odezwały się głosy - nie kontrola portu, ale istrański prom lecący z tyłu z dalszą trzydziestką. - Spytaj, gdzie jest Poi.
- Mówią - meldował wolno i wyraźnie azi - że jakiś czas temu odjechał do miasta, by osobiście szukać Meth-maren. Nie wiedzą, czy mu się udało ani gdzie jest.
- Czy jest z nim Sam? - spytał Morn, gdyż ten azi Pola był najbardziej godny zaufania.
- Nie. Właśnie z Samem rozmawiam.
- Każ mu otworzyć luk - Morn wstał, schylił głowę, by nie uderzyć o niski sufit, sprawdził miotacz w kaburze. Zabrał solskaf i karabin.

Pierwszy oddział przygotował się, by mu towarzyszyć.

- Sam mówi - krzyknął za nim azi - że nie chce otwierać. Nie jest pewien, czy powinien.

Morn obejrzał się wściekły.

- Powiedz mu, że nie ma wyboru.

Na zewnątrz huczały silniki lądującego promu.

- Każ im ustawić się obok nas - polecił dowódcy drugiego oddziału, po czym zjechał na płytę.

Pierwszy oddział postępował tuż za nim.

Morn czuł dreszcz na karku, kiedy stał na otwartym terenie, w pobliżu budynków terminalu. Bety mogły zająć ten budynek, czekać na płaskim dachu, bety z ITAK, zapewne należące do niej, co do jednego. Szybko ocenił, gdzie mogą się kryć snajperzy i nie dbając o godność, biegiem przebył przestrzeń dzielącą go od Moriaha Pola. Sam odzyskał rozsądek i skapitulował. Właśnie opuszczał rampę.

Morn wszedł po niej z połową swojej eskorty, zatrzymał się wewnątrz, wdychając chłodne powietrze korytarza statku. Zebrała się tu cała służba Pola. Od razu zauważył Sama - jasnowłosego azi z blizną na czole.

- Z drogi - warknął Morn i łokciem odepchnął go na bok. Pozostali rozsunęli się przed jego strażnikami. Sam starał się dotrzymać mu kroku, gdy szedł na mostek. Usiadł przy konsoli i przeczytał, co było do przeczytania.

To znaczy nic. Odwrócił się i zmarszczył czoło.

- Sam, co on tam próbuje osiągnąć? Ilu ludzi ze

sobą zabrał?

**- Nikogo, ser - azi był wyraźnie zdenerwowany. -
Poszedł sam.**

**Morn westchnął, przeliczył wzrokiem załogę
Moriaha. Było ich dużo, za dużo, więc pewnie
Sam mówił prawdę. Strażnicy. Ciemnowłosa
Hana, kobieta azi, będąca dziwactwem Pola,
nawet nieszczerólnie piękna. Tim, tak jak Sam,
najczęściej towarzyszył Polowi.**

**- Gdzie zatrzymała się Meth-maren? - spytał
Morn. - W Mieście? W centrali ITAK?**

- Nie wiemy.

**To była prawda. Sam niepokoił się, tak samo jak
cała załoga.**

**- Zostańcie tu i pilnujcie statku - polecił Morn
swoim ludziom. - Gdyby Poi się pokazał, kaźcie
mu czekać.**

**Miał nieprzyjemne wrażenie, że coś poszło źle.
Zszedł na płytę, gdzie czekała reszta pierwszego
oddziału. Pasażerowie wysiedli już z
istrańskiego promu i trzydziestu dodatkowych
ludzi czekało na jego rozkazy.**

**Już czterdzieści lat trwała jego znajomość z
Polem. Wiele razem przeżyli, wiele polowali i to
nie tylko dla sportu. Tolerował żarty Pola, a Poi
jego bardziej ponure rozrywki.**

**Żarty Pola... Zmierzył spojrzeniem martwe
budynki, puste niebo. Jedynym dźwiękiem był
wiatr szarpiący poły jego płaszcza i zgrzyt
stygającego metalu. Czas ani miejsce nie
nadawały się do ulegania kaprysom, nawet**

kaprysom Pola.

Wysłał tu Pola, zanim otrzymał rozkaz odlotu.

Poi prosił go o to, co uznał za zwykły kaprys.

Poi... ostatnio unikał Cerdina, unikał w^elu dawnych znajomych i posiadłości Ehlvillon... a także Moth, o której mówił, że jest nudna.

Oddychał ciężko. Raz jeszcze spojrzął na Moriaha. Poi twierdził, że nie ma poczucia humoru. Teraz doprowadził do tego, że stracił opanowanie.

Krzyknął na azi i ruszył w stronę budynków terminalu. Strażnicy podbiegli, by go otoczyć, osłonić swymi pancerzami i ciałami. Nie zwracał na nich uwagi; taką mieli przecież funkcję. W Barwie, którą nosił, stanowił zbyt łatwy cel. Blask słońca odbijał się w szybach, lecz Morn spostrzegł, że wiele z nich brakowało. Widocznie nie wszystko przebiegło tu spokojnie.

Przyspieszył. Miał nadzieję, że wkrótce pozna przebieg wydarzeń w Mieście.

Wewnątrz, na wypolerowanej posadzce leżeli zabici, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety.

I żywi majat.

- Nie strzelać - rzucił przez ramię. Jeden z majat wyszedł im na spotkanie. Spojrzął na jego znaki: czerwony. Haldowie nigdy nie mieli kłopotów z czerwonymi.

- Kontrin - zaśpiewał majat, gdy Morn podniósł dłoń. -JL- Zielony kopiec.

- Hałd. Morn a Ren hant Hałd. Majat wysunął czułki.

- Hałd. Przyjaciel. Dary.

Ton tych słów sprawił, że zimne dreszcze przebiegły Mornowi po plecach. Ale skoro Rodzina zawiodła, trzeba brać takich sprzymierzeńców, jacy się trafią.

- Wystarczy mi Meth-maren. Chcę wiedzieć, gdzie jest. Gdzie jej kopiec. Zrozumiałeś?

- Tak. Rozumiem - majat ruszył naprzód i azi odstąpili, nie mogąc wybrać między przerażeniem a poczuciem obowiązku. Majat wysunął odnóże i dotknął Morna, który zniósł to, tłumiąc odragę. Wiedział, że jeśli zajdzie potrzeba, zniesie i gorsze rzeczy.

- Czerwony kopiec zna kopiec Meth-maren, tak. Niebiescy pilnują. Ta -jednostka przywoła innych, dużo, dużo, dużo Wojowników, czerwonych, złotych, zielonych. Wszyscy ruszą. Pójdą zabić, tak.

- Tak - potwierdził Morn. Nie dotykał majat; na takie ryzyko wolał się nie narażać, a Wojownik nie nalegał.

Na pisk rozkazu, tylko częściowo mieszczący się w zakresie ludzkiej słyszalności, majat zaczęli wysuwać się ze wszystkich wnęk terminalu - żywe morze chitynowych pancerzy.

- Tunele - powiedział Wojownik. - Tunele dla maszyn beta. Podziemne przejścia.

Dom wibrował. Nawet na górnych piętrach słyhać było liczne kroki i pieśń majat. Jim siedział nieruchomo w półmroku, na łóżku pod

kopułą, z rękami opartymi na kolanach skrzyżowanych nóg. Kontrin usiadł zagniewany naprzeciwko. Milczał, co Jim przyjął z ulgą, gdyż Poi Hałd potrafił przekonywać. A jego słowa raniły dokładnie wtedy, kiedy to zaplanował.

Energii nie było już od wielu godzin i Jim powoli tracił wiarę, że znowu popłynie.

Komputer nie działa, mówił mu Poi. Nic nie działa. Gdybyś mnie wcześniej posłuchał, można by jeszcze coś zrobić. Motę nie wszystko stracone. Posłuchaj mnie.

Nie odpowiadał. Nie potrafił dyskutować z tak sprawnym umysłem. Mógł tylko odmawiać uparcie. Max, na dole, zapewnił mu środki na to, by odmowa miała swoją wagę. Wojownik przy drzwiach był strażnikiem, którego nawet błyskotliwe wywody Pola nie mogły przekonać. Nowa Nadzieja jest martwa, powiedział Poi. Nie powstało tu nic, co byłoby dla niej warty. Tylko kłopoty. On tu jest; Morn. Przejdzie. Ona będzie wiedzieć.

Nie potrafił pokonać jego logiki. Miała sens. Na dole roili się majat, biegali i podkopywali fundamenty.

Przez szklaną kopułę nad głową widział, jak na ciemniejącym niebie pojawiają się gwiazdy.

Pieśń majat zabrzmiała głośnie.

- Czy oni nigdy nie przestają? - spytał Poi. Jim pokręcił głową.

- Rzadko.

Nagle Poi zerwał się na nogi. Jim wstał, zaskoczony.

- Spokojnie - powiedział Poi. - Zmęczyłem się siedzeniem.

- Usiądź - polecił Jim. Poi obrzucił go chłodnym, ironicznym spojrzeniem. Cała sytuacja wydawała się pozbawiona sensu. Nagle pieśń rozpadła się na ostre piski. Wojownik przed drzwiami skoczył do schodów, zbiegł na dół.

- Wracaj! - krzyknął Jim. Wyrwał z kieszeni miotacz, który trzymał dla obrony - azi przeciw Kontrin. Poi zauważył to i podniósł ręce. Jim trzymał miotacz w obu dłoniach, by lufa nie drżała.

- Max - krzyknął, czując, jak ogarnia go panika.

- Opanuj się - prosił nerwowo Poi. - Nie chciałbym zginąć przez pomyłkę.

Na schodach zabrzmiały kroki, ale nie ludzkie, lecz mająt, którego stopy zaczepiały o włókna dywanu. Jim słyszał jego płytki oddech. Po chwili Wojownik pojawił się w drzwiach.

- Dużo, dużo - oznajmił. -- Kłopoty.

Jim nie spuszczał wzroku z Pola. Lufą miotacza wskazał krzesło. Poi usiadł. Na jego chudej twarzy pojawił się wyraz irytacji.

-- Gdzie jest Max? - spytał Wojownika Jim.

- Na dole. Wszyscy na dole. Azi-Wojownicy, tak. Niebezpieczeństwo. Czerwoni, złoci, zieloni się grupują. Niebiescy są tutaj jednostko-Jim. Zabić tego zielonego, zabrać smak do Matki, tak.

Poi chociaż raz był poważny. Trzymał ręce tak, by Jim mógł je widzieć.

- Nie zgadzaj się, azi.

- Siedź spokojnie - Jim starał się uspokoić oddech, odzyskać zdolność myślenia. - Ja tu dowodzę - oświadczył. - Nie, Wojowniku. To miejsce należy do Raen. Zrozumie, kiedy wróci.

- Królowa - Wojownik zdawał się uznawać jego argumenty. - Gdzie? Gdzie jest królowa Methmaren, Jim?

- Nie wiem,

Wojownik cmoknął cicho, postąpił do przodu.

- Matka chce. Matka wysyła Wojowników, szukać, szukać, znaleźć. Ta -komora nie jest dobra, za wysoka. Chodź, ta-jednostka poprowadzi, na dół, na dół, gdzie bezpiecznie, dobre miejsca, dobre miejsca głęboko.

- Nie - odezwał się Poi cichym, nieco zaleknionym głosem.

- Bardziej ufam Wojownikowi niż tobie, ser. Wstawaj. Schodzimy.

Poi machnął ręką z demonstracyjnym rozdrażnieniem i wstał. Jim nie mógł zrozumieć, czemu ten człowiek nigdy nie jest poważny.

Kontrin ominął go i wyszedł z pokoju, a Wojownik poprowadził ich ku schodom. Jim szedł ostatni, przyciskając miotacz do pleców więźnia.

W hallu nie było okien, więc na dole panowała ciemność, rozjaśniana tylko niebieskimi światełkami, tańczącymi przy ścianach i

rzucającymi niezwykle cienie. Azi mająt przechodzili obok, dotykali ich, Pola także. Kontrin zaklął, a oni zaśmiali się i odeszli, zabierając światło.

W ciemności pozostali inni azi.

- Jim - odezwał się głos Maxa. - Kazali nam wejść do środka. Czy to dobrze? Sądziłem, że może nie powinniśmy, ale nas wepchnęli.

- Słusznie zrobiliście - uspokoił go Jim, choć wciąż przeżywał w myślach koszmar lęku, że zagarną go razem z azi mająt i popędzą w głąb tunelu. - Hałd jest z nami. Pilnuj go.

- Upór karmiony taśmami - oznajmił wściekle Poi, gdy chwycili go za ramiona. - Gdybyś mnie posłuchał...

- Nie posłucham.

- Sprawdź przynajmniej komputer.

Jim zawahał się. Poi nie próbował go chyba oszukać, po prostu radził. Macając przed sobą rękami, odszukał przejście do centrum. Zadrzał, gdy otarł się o niego azi mająt. Złapał szczupłe, kobiece ramię.

- Zostań, chodź - poprosił ze względu na światło i zabrał ją ze sobą przed martwe maszyny o ciemnych ekranach.

Lecz gdy komputer konał, papier był założony. Nagle Jim pojął, że Poi doradził mu coś, co powinien zrobić już dawno. Pociągnął azi do konsoli, oderwał taśmę papieru, położył na blacie.

- Światło - zawołał. - Światło.

Przysunęła się, oparła b jego bark i objęła ramieniem. Nie zwracał na nią uwagi. Czytał wiadomości najszybciej, jak tylko potrafił rozpoznawać szare litery w świetle azi. Większości nie rozumiał. Spodziewał się tego. Poi wiedziałby, o co chodzi i na pewno będzie go namawiał, żeby pokazać mu te wydruki. Ale nie ośmieli się, nie może. To nie ma sensu; klucza do tych informacji nie było na taśmach, które ukradł.

JIM, przeczytał nagle. UWAŻAJ. NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Nie było podpisu. Ale mógł to wysłać tylko ktoś, kto znał jej imię.

Może nadała tę wiadomość, zanim jeszcze zaczęły się jej kłopoty. Ta myśl zaboląła jak cios w żołądek: potrzebowała go, a on był na góTze i nie słyszał.

- Zostań - błagał azi, która znudziła się tym, czego nie rozumiała. Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął światło do papieru. Przebiegł wzrokiem pozostałe wiadomości. v

JIM, mówiła ostatnia. STRZEŻ SIĘ POLA HAŁDA.

Pomyślał, że trzeba sprawdzić czas transmisji. Nie było go na tej wiadomości, ale na poprzedniej, od ITAK... pierwsza nadeszła w nocy, druga rano.

Podniósł głowę zaalarmowany poruszeniem za drzwiami. Tańczące światła azi oświetlały

niebieskim blaskiem Pola Hałda, Maxa i resztę. Żyje, słyszał w uderzeniach serca. Żyje, %yje, ^yje.

Wpuścili Pola.

- Czy to od niej? - zapytał. - Czy to od niej?!

- Max, sprowadź go do piwnicy.

Poi opierał się; było dość azi, by go przytrzymać, choć mieli problemy ze zmuszeniem go do zejścia.

- Proszę - odezwał się ostrym tonem Jim, zwijając cenną wiadomość i szamotanina ustała. Czuł, jak dotykają go uparte ręce azi mająt. Chciała czegoś, ale nie zwracał na nią uwagi; była szalona.

- Idź - poprosił Kontrin. - Tak, to jej rozkazy. Ten dom nadal należy do niej.

Wtedy Poi odszedł, prowadzony przez strażników. Jim stał nieruchomo w mroku, świadom obecności innych, mająt. W całym domu panowało poruszenie, płynął nieprzerwany strumień ciał.

- Wojownik - odezwał się. - Wojownik? Raen żyje. Przesłała wiadomość przez komputer, zanim go wyłączyli. Rozumiesz?

- Tak - jeden z cieni wysunął się do przodu. - Królowa Kethiuy. Gdzie?

- Nie wiem. Tego nie wiem. Ale wróci tu - spojrzął na ciemne sylwetki, nieprzerwanym pochodem idące w stronę frontowych drzwi. - Gdzie oni idą?

- Tunele - wyjaśnił Wojownik. - Tunele kopca ludzi. Czerwoni ruszają do ataku, złoci, zieloni, wszyscy ruszyli. Szukają tutaj, szukają królowej Kethiuy. Walczymy w tunelach.

- Zbliżają się przejściami podziemnymi - domyślił się Jim.

- Z portu. Kontrin prowadzi, zielony kopiec. Smakujemy jego obecność w czerwonych. Ten-kopiec i niebieski kopiec już się stykają. Tunel skończony. Przychodzą. Walczą - wciągnął powietrze, wyciągnął czułki, dotknął go. Jim starał się go uspokoić, ale Wojownik nie czekał. Stuknął szczękami i odszedł, włączając się w mroczny strumień płynący do drzwi.

Azi szli także, azi mająt, niosąc niebieskie światła i broń, nadzy i szaleni. Jim próbował ich ominąć, niewiele brakowało, by zagarnęli go ze sobą, lecz wyrwał się i ruszył w przeciwnym kierunku, wzdłuż korytarza, potem po schodach w dół.

W piwnicy niebieskie światła azi zwisały na włóknach mająt, a lekki powiew dmuchał z dziury w ziemi. Na podłodze pełno było śladów zabłoconych stóp. Max i reszta azi czekali we wnęce obok schodów. Poi Hałd był razem z nimi.

Wstał i spojrzał na zbliżającego się Jima. Otaczali go uzbrojeni azi.

- Nie ma nic gorszego - oświadczył - niż ten, kto myśli, że wie co robi. Gdybyś sprawdził komputer, póki jeszcze działał, kiedy ci to

mówiłem, mógłbyś się z nią skontaktować i przydać się na coś.

Tak było i Jim o tym wiedział.

- Zgadza się - przyznał.

- Mimo wszystko ja mogę jeszcze jej pomóc.

- Nie, ser - Jim pokręcił głową. - Nie będę słuchał.

Usiadł tam, gdzie stał, na schodach. Niżej kulila się azi mając w oplakanym stanie. Jej podrapane dłonie krwawiły, a warstwa błota pokrywała splątane włosy i nagie ciało. To było niezwykle; Jim nigdy jeszcze nie widział tak zaniedbanej azi. Dyszała ciężko. Wyglądała na chorą. Może zbliżała się do kresu życia, gdyż nie była już młoda.

- Zajmij się nią - polecił jednemu ze strażników.

Azi starał się, a po nim także inni, ale kobieta przyjęła tylko łyk wody i nadal siedziała nieruchomo.

Nagle Jim zdał sobie sprawę, że w domu jest o wiele ciszej niż poprzednio, że zniknęły wszystkie Robotnice, pracujące tu jeszcze niedawno.

Powiew dmuchał z tunelu tchnieniem ani ciepłym, ani zimnym, lecz wilgotnym. A z głębi dobiegał pomruk, bardzo odległy i niezwykle.

- Max - odezwał się chrapliwie Jim. - Oni poszli do tuneli miasta. Czerwoni się zbliżają.

Poi usiadł ciężko, kręcąc głową, i zaklął głośno.

Jim objął ramionami kolana. Chciałby pograć się w zero-pamięci, która zawsze była w

umysłach azi, gdzie tkwili czasem strażnicy, gdy czekali na rozkazy. Nie umiał jej znaleźć. Myśli z taśmy krążyły bez końca - otwarte problemy bez rozwiązań.

Patrzył na Maxa i Kontrin, przede wszystkim na Kontrin, gdyż w jego ciemnych, zagniewanych oczach dostrzegł coś w rodzaju zrozumienia. Po chwili spojrzenie to złagodniało, jak gdyby rozpoznali się wzajemnie.

- Jeśli masz jej układ myślowy - odezwał się Poi
- skorzystaj z niego. Siedzimy w najbardziej niebezpiecznym punkcie w całym mieście.

Jim wpatrzył się w ciemność i odpowiedział z głębi tego układu myślowego, lecz z pełną świadomością.

- Kopiec - stwierdził - to bezpieczeństwo.

Riposta Pola była krótka i pełna goryczy.

iv

Itawy wstał, podszedł do drzwi, wrócił i spojrzał na żonę, Velin, trzymającą w ramionach niespokojną i drżącą córkę. Nie wiedział, na jak długo wystarczy jej sił. Jedna z kobiet z Przybrzeża chciała zabawić małą, lecz Meris zaniósła się płaczem... była głodna. Za szklanymi drzwiami stali azi z bronią, identyczni w swej bezosobowości.

- Poproszę jeszcze raz - oświadczył Itawy.

- Nie - prosiła Velin.

- Oni nie mogą się złościć. Nie potrafią. Są sposoby, by ich przekonać. Zajmowałem się... - przerwał, przypomniawszy sobie, że jest teraz

Merekiem Sedem, który powinien mieć niewielkie pojęcie o azi. Nerwowo przełknął ślinę.

- Ja spróbuję - młody Przybrzeżanin, który cały czas siedział w kącie ze szkicownikiem na kolanach, wstał teraz, podszedł do drzwi i zastukał.

Azi nie zareagowali. Młody artysta pchnął drzwi; strażnicy natychmiast wysunęli karabiny.

- Dziecko jest słabe. Potrzebuje mleka, jedzenia, czegokolwiek. Azi stali nieruchomo, mierząc do niego... Stracili pewność siebie, pomyślał Itawy. Sytuacja kryzysowa. Dobrze to wymyślił.

- Gdybyście zawiadomili kuchnię - mówił dalej artysta - ktoś mógłby przynieść jedzenie.

Meris płakała ciągle. Azi zawahał się i z irytacją skierował broń w jej stronę. Serce Itavy'ego zatrzymało się na chwilę.

20J

i nie rozumieją, pojął nagle. Nie mają dzieci. Nie płaczą. Przesunął się do przodu i stanął przed lufą karabinu.

- Proszę - zwrócił się do zamaskowanej twarzy. - Uspokoi się, kiedy ją nakarmimy.

Azi cofnął się, podniósł karabin, zatrzasnął drzwi. Itawy przymknął oczy. Czuł mdłości.

Młody artysta oparł mu rękę na ramieniu.

- Proszę usiąść, ser - powiedział. - Niech pan ją jakoś uspokoji.

Tak zrobił. Zmęczona płaczem Meris zasnęła jęcząc czasem. Velin tuliła ją mocno do siebie.

Po pewnym czasie azi w mundurze ISPAK przyniósł tacę i pod strażą wniósł ją do środka. Coś do picia, kanapki, suszone owoce.

Obudzona Meris zjadła i usnęła znowu, spokojna teraz, z pełnym żołądkiem. Itawy jadł, gdyż było to jakieś zajęcie.

Wy kryj a, że nie nazywa się Merak Sed. Zatrzymali ich pewnie dlatego, że sprawdzają dokumenty. Może już wiedzą, że jego są fałszywe. Zginą tutaj.

Meris także. Azi nie sprawi to różnicy.

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Ciężarówka wspinała się z wysiłkiem, mieląc oponami grunt wyschniętego koryta, szukając w świetle reflektorów suchego szlaku. Na grzbiecie Raen zwolniła bieg, by ci, którzy wysiedli, mogli wskoczyć na skrzynię. Wóz osiadł na amortyzatorach pod zwiększonym ciężarem.

Rzuciła okiem na miernik(paliwa i hodometr, spojrzała na Merry'ego, który otworzył drzwi i wysunął głowę na zewnątrz.

- Wszyscy wsiedli - oznajmił.

- Śpijcie dalej - powiedziała do niego i do dwóch azi, którzy wcisnęli się między nich. Ruszyła, powoli przejeżdżając przez koleiny. Samochód podskakiwał szaleńczo, kierownica wyrywała się z obolałych rąk. Tysiąc kilometrów. Inaczej wyglądało to na mapie, a zupełnie inaczej na drogach budowanych przez Istran. Szlak był ledwie tak szeroki jak ciężarówka, światła ukazywały bruzdy i kamienie, a na poboczach

trawa wysoka jak człowiek przesłaniała widok. Koszmarna sylwetka pojawiła się przed nimi i zaraz zniknęła - wstrząsy na tym odcinku skłoniły Wojownika, by przejść kawałek na własnych nogach.

Według mapy była to jedyna droga. Kończyło się zabrane w kanistrach paliwo; już dawno zużyli to, które mieli w głównym i zapasowym zbiorniku. Kiedy braknie benzyny, mogą pociągnąć jeszcze kilometr na akumulatorach. Zapaliła się lampka w kabinie. To Merry jeszcze raz sprawdzał mapę i liczył coś na palcach, dochodząc do oczywistych wniosków.

- Jeszcze sześćset kilometrów - mruknęła Raen. - To pudło za dużo pali. Jesteśmy za bardzo obciążeni. Nie dociągniemy.

- Według mapy za magazynem zaczyna się dobra droga.

- Łatwiej będzie iść - Raen odwróciła wzrok, gdy ciemne ciało uderzyło o drzwi i wdrapało się na dach. Wojownik postanowił znowu się przejechać. Jeszcze sześćset kilometrów... nic trudnego na dobrej drodze, w nieobciążonym wozie. Wykończonym ludziom zajmie to wiele dni.

- 'Może znajdziemy tam paliwo - pocieszył ją Merry.

- Miejmy nadzieję. O ile dojedziemy.

- Poprowadzę, sera.

- Zmienimy się przy magazynie. Wypoczywaj. Merry zgasił światło. Nie spał, ale nic nie mówił.

Zapadł w znajomy stan bezwładności: on, ta dwójka w kabinie i pewnie wszyscy z tyłu. Azi roztapiali się w zeropamięci i może znajdowali tam ukojenie.

Ona tego nie potrafiła. Czowała kurcze w plecach, z wpływem godzin coraz silniejsze, a walka z kołem kierownicy jeszcze pogarszała sytuację. Prawe ramię bolało ją tak bardzo, że w końcu położyła rękę na kolanie, choć lewa męczyła się przez to o wiele szybciej. To pewnie uderzenie przy lądowaniu, pomyślała. Już dawno nauczyła się ignorować ból. Przy fotelu stała butelka.

Raen podniosła ją, zrzuciła kciukiem kapsel, wypila łyk wody i zamknęła na powrót. To pomagało nie zasnąć. Z trudem wyjęła z kieszeni kawałek suszonego owocu, odgryzła trochę i przeżuwała wolno. Cukier też pomagał.

Po krótkim odcinku równej nawierzchni droga znów się pogorszyła. Raen chwyciła kierownicę obiema rękami, by po chwili znów położyć prawą na kolanie, gdy tylko szlak stał się lepszy. Wyobraziała sobie ludzi na skrzyni ściśniętych tak, że niektórzy musieli stać, niektórzy leżeć na innych, z zesztyniałymi stawami i mięśniami szarpanymi przez kurcze, podrzucanych do góry na każdym wyboju, którego nie zdołała ominąć, rzucanych na boki przy każdym skręcie.

Na hodometrze czerwone cyfry zmieniały się w wolnym, zbyt wolnym tempie. Wskaźnik paliwa opadał wciąż niżej. Od ostatniego tankowania

nie pozostało już prawie nic.

Droga wyrównała się. Byli na tyle wysoko, że nie groziło im zalanie. Przyspieszyła. Merry ocknął się z transu i zmienił pozycję. Dwaj pozostali musieli zrobić to samo.

- Chyba zbliżamy się do magazynu - stwierdziła. Merry pochylił się, by rzucić okiem na wskaźnik paliwa i milczał.

Z dachu rozległo się drapanie, za szybą pojawiło się skórzaste odnoże - Wojownik prosił o zatrzymanie. Raen zaklęła, gdyż nie mieli czasu na zwłokę. Majat stuknął w szkło, by zwrócić jej uwagę. Zrozumiała, że stało się coś ważnego i serce zabiło jej szybciej.

Zwolniła akcelerator, zjechała na pobocze i lewą ręką odsunęła boczną szybę. Majat zeskoczył, gdy zwalniali, biegł obok. Reflektory oświetlały tylko wyboje i gęste zielsko. -. .

- Inni - tchnął Wojownik. - Słyszysz. Słyszysz? Nie słyszała. Wcisnęła hamulec, zwolniła bieg. Silnik przycichł.

- Dużo - poinformował Wojownik. - Wszędzie dookoła.

- Opanowali magazyn - odezwał się schrypniętym głosem Merry. Raen poczuła ucisk w żołądku.

- Wyprowadź ludzi - poleciła. - Lepiej niech podejną i przygotowują broń. Ale niech będą też gotowi, by natychmiast skakać do wozu, gdybyśmy mieli uciekać. Trzeci pierścień

tułowia, ten środkowy, albo górny pierścień kołnierza. Powiedz im, jeśli jeszcze nie wiedzą, gdzie celować.

Merry zeskoczył na ziemię, zachwiał się i przeszedł do tyłu, opierając się o burtę. Dwaj azi wysiedli i poszli za nim.

- Jak daleko? - spytała Raen. Wojownik zadygotał bardzo szybko. Więc blisko. Czują, jak zmniejsza się obciążenie wozu. Zwolniła hamulec, wrzuciła bieg, ruszyła, by nie marnować cennego paliwa. Drzwi ze strony Merry'ego zostały otwarte; nie zamykała ich - przy wsiadaniu Merry może nie mieć czasu.

- Wojownik, posłuchaj: nie wolno ci walczyć. Jesteś posłańcem. Rozumiesz?

- Tak - zaakceptował polecenie. Taka była strategia majat. Żadnego heroizmu, pomyślała nagle. Jedynie funkcjonalność i zdrowy rozsądek, celowość doprowadzona do granic. Wojownik był w tej chwili podniecony i bardzo niebezpieczny. Szedł obok jadącej wolno ciężarówki, dostosowując swoje kroki do ludzkich. - Daj wiadomość.

- Jeszcze nie. Nie chcę, żebyś już odchodził. Droga skręciła, opadła nieco w dół, wspięła się znowu. Potem-w świetle gwiazd wzniosły się prostopadłościennie budowle pomiędzy łatwo rozpoznawalnymi konstrukcjami kolektorów: magazyn. Szlak biegł pomiędzy budynkami, w których pewnie urządzili zasadzkę. Ciężarówka toczyła się wolno; Raen nie spuszczała wzroku z

miernika paliwa. Strzałka stała tuż powyżej zera. Może wystarczy, żeby przejechać. A może nie.

Z lewej strony drogi rozległy się nagle piski Wojowników. Raen poczuła kołysanie, gdy ludzie w pośpiechu wskakiwali do wozu. Nadal jechała powoli.

- Wojowniku - powiedziała. - Nie odpowiadaj.

- Tak - zgodził się. - Jestem cicho, królowo Kethiuy.

- Potrafisz... - koła wpadły w koleinę i musiała mocno szarpnąć kierownicą. - Potrafisz rozpoznać ich kopiec? /

- Złoci.

To się zgadzało. Nawet na Cerdinie złoci szukali otwartych przestrzeni i pól. Unikali ludzi.

Kiedyś czerwoni zachowywali się podobnie.

W blasku reflektorów zamajaczyły dźwigary, krata kolektora, poobijana ściana budynku z zakratowanymi oknami bez szyb. Światło odbijało się od resztek szkła w ramach.

Tam, gdzie droga wbiegała między konstrukcje magazynu i stawała się szersza, na ziemi leżały jakieś kształty. Ciało, rozpoznała Raen, wymijając jedno. Trupy wysuszone słońcem, wskazujące swym ułożeniem kierunek ucieczki ludzi z głównego budynku. I inny kształt, prostokątny - ciężarówka z otwartymi drzwiczkami.

210

Merry przemknął obok kabiny, podbiegł do

niej, a za nim kilku azi. Raen dostrzegła coś ciekawszego: pompy, dystrybutor paliwa w cieniu tamtego wozu, pajęczynę nie pozrywanych przewodów.

Podjechała, zaciągnęła hamulec, wyskoczyła i podbiegła do burty. Merry już tam był z węzłem paliwowym w ręku.

- Trzeba pompować - oznajmił zirytowany.

Nagle podniósł głowę i spojrzął na kolektory.

Raen wpadła na ten sam pomysł.

- Idź - poleciała najbliższemu stojącemu azi. - W budynku na pewno jest przełącznik. Powinien działać.

Azi ruszył biegiem. Coraz bliższe piski mająt rozlegały się już ze wszystkich stron.

- Złoci! - huknął nagle Wojownik. - Tutaj, tutaj, uwaga! Podbiegł, tańcząc w podnieceniu. W budynku rozległ się strzał.

- Uważajcie! - krzyknęła Raen, pędząc do drzwi. Merry dotrzymywał jej kroku.

Z boku wyskoczył Wojownik; strzeliła z biodra, raniła go. Dwóch innych roznieśli swym ogniem azi. Raen mocniej chwyciła karabin, kopnięciem otworzyła drzwi. W ciemnym pomieszczeniu na podłodze leżał wstrząsany konwulsjami azi, ukąszony przez mająt. Poza tym nie było, nikogo. Niebieski Wojownik wsunął się przed nią. Merry znalazł komputer, przywołał ją. Wcisnęła przełącznik mocy. Światła zapłonęły oślepiająco, na zewnątrz i w środku... lokalna rezerwa energii z kolektorów.

- Działa! - usłyszała krzyk azi: - Działa! Piski rozbrzmiewały coraz bliżej.

- Moglibyśmy wziąć tę drugą ciężarówkę - zauważył Merry.

- Nie bądź zachłanny.

- Mniejszy ładunek, krótsza podróż.

- Spróbuj - zgodziła się Raen. - Ale szybko. Wybiegł. Wyszła za nim. Dla majat byli równie trudno widoczni w świetle jak w ciemności, ale sam żar lamp ogłaszał ich obecność. Złoci z pewnością już wiedzieli, może czekali tylko na zakończenie Grupowania. Wojownik wyskoczył na zewnątrz, pozostawiając ciało złotego. Stuknął szczękami.

- Inni niebiescy - przetłumaczył jej smak. - Obaj martwi. Złoty kopiec zabił niebieskich posłańców. Straceni. Wiadomość teraz w złotym kopcu. Źle, królowo Kethiuy, bardzo źle. Ta-] ednostka pójdzie zaraz.

- Czekał - rozkazała. Nie miał szans, by przedostać się przez pierścień złotych. Przygryzła wargi, wpatrując się w ciemność poza zasięgiem lamp. Tam, gdzie nie sięgało światło, była praktycznie ślepa.

Od majat oddzielały ich budynki. Pewnie dlatego jeszcze nie atakowali. Próbowali odszukać ich wizualnie, a mury przeszkadzały. Umysł grupy musiał zyskać informacje, określić cel.

Podeszła do azi, dotykała ich, cicho wydawała polecenia. Mieli wsiadać do wozu. Zbiornik był

już prawie pełen. Wojownik tańczył wokół niej niespokojnie, oczekując instrukcji.

- Ty też - poleciała. - Właź do środka, z przodu, po tej stronie. Rozumiesz? Merry, chyba będziemy musieli zrezygnować z tamtej ciężarówki.

- Zbiornik pełny - Merry odsunął końcówkę węża, podał ją innemu azi. Tamten przeciągnął przewód do drugiego wozu. Merry zakręcił wlot paliwa.

- Zdążymy, sera. A gdyby któraś miała się zepsuć po drodze...

- Kazałam ludziom wsiadać do mojej. Rozdzielimy ich, jeśli oboje się stąd wydostaniemy.

- Dobrze, sera. Zostaw mi dwóch ludzi, to wystarczy.

- Wsiadaj i upewnij się, że silnik zaskoczy - zawołała, przekrzykując coraz głośniejsze piski mająt. Wojownikowi udało się wcisnąć swe sztywne ciało do kabiny. Zatrzasnęła za nim drzwi, obiegła samochód dookoła, by wydać ostatnie rozkazy ludziom stłoczonym na otwartej z tyłu skrzyni.

- Jak tylko się przedostaniemy, strzelajcie w zbiorniki - krzyknęła.

- Nie spieszcie się, byle celnie.

- Sera! - krzyknęło nagle kilku z nich.

Spojrzała przez ramię. Migocąca fala przelewała się wokół dźwigarów i słupów oświetlenia, niemal zbyt szybka, by oczy mogły

za nią nadążyć.

- Merry! - wrzasnęła, pobiegła, skoczyła na swoje miejsce, zatrzasnęła drzwi, wciskając rozrusznik zakręciła szybę. Silnik zaskoczył. Cofnęła samochód, wykręciła osłaniając na moment Merry'ego, dostrzegła, że wraz z dwójką towarzyszy wsiadają i zamykają drzwi. Ciężarówka zakolysała się i nagle majat byli wokół nich, szarpiąc metal i stukając w szyby. Niektórzy mieli broń i swymi niewidzącymi oczami szukali celów.

Wóz Merry'ego ruszył z miejsca, potem z pełną szybkością skoczył do przodu. Raen wcisnęła akcelerator. Dystrybutor przewrócił się przygniatając majat. Ściśnięty obok Wojownik poruszył się i krzyknął we własnym języku, przenikliwie i ogłuszająco. Przez szyby praktycznie nic nie widział.

- Uspokój się - krzyknęła Raen, próbując zgnieść majat o ścianę budynku.

Nagle wszystko rozbłysło oślepiającym blaskiem.

Zbiorniki. Któryś z jej ludzi musiał trafić. Majat zaprzestali pościgu; w lusterkach wstecznych widziała piekło ognia i ciemne sylwetki oślepiionych żarem majat. Płomienie splatały się wysoko oświetlając drogę. W całej okolicy zrobiło się jasno. Budynki płonęły czerwienią. Odetchnęła z ulgą, napierając na kierownicę, by utrzymać się za Merrym. Wóz był przeciążony, ale jechał. Piskliwy krzyk niemal ją ogłuszył - to

głos Wojownika, zniżający się do progu słyszalności.

- Zabić - powiedział z wyraźną satysfakcją. Nawierzchnia poprawiła się. Przyspieszyła, choć niemal nic nie widziała" .w chmurze kurzu unoszącego się spod kół pierwszej ciężarówki. A kiedy nie widzieli już pożaru, przesłoniętego kilkoma wzgórzami, uruchomiła komunikator i wywołała Merry'ego.**
- Dobra robota. U ciebie wszystko w porządku?**
- Tak - potwierdził.**
- Zatrzymaj, ale nie gaś silnika.**

Zjechał na pobocze i stanął. Zahamowała za nim i natychmiast pobiegła otworzyć drzwi po drugiej stronie, zanim Wojownik wpadnie w panikę. Wyplątał się jakoś, zszedł na ziemię, z niesmakiem oczyścił pancerz, mrużąc o zapachu złotych.

- Płyny życiowe - powiedział. - Zabić dużo.**
- Idź teraz - poleciała. - Powiedz Matce wszystko, co wiesz. I powiedz, że ci azi i ja jedziemy do Wzgórza niebieskiego kopca. Tego, który leży najbliżej domów ludzi. Niech Wojownicy na nas czekają.**
- Znam miejsce - potwierdził majat. - Dziwni azi.**
- Powiedz to wszystko Matce. Biegnij jak najszybciej.**
- Tak - schylił się po smak, gdyż dla jego gatunku była to najistotniejsza część wiadomości. Dała mu go owym gestem tak**

podobnym do pocałunku.

- Królowa Kethiuy - powiedział. I dodał zaskakująco: - Słod-ka

-woda.

Potem pobiegł.

- Sera - odezwał się z tyłu Merry. Obejrzała się. Dostrzegła, że wraz z dwoma towarzyszami rozdziela ludzi do obu ciężarówek.

- Jakie straty?

- Ośmiu zabitych, żadnych rannych. Skrzywiła się i pokręciła głową.

- Zostaw ich - poleciała. Kazała kilku ludziom objąć wartę, gdyż reflektory oświetlały jedynie trawę, a i to niezbyt daleko. Łuna nad wzgórzami wciąż była wyraźnie widoczna.

- Zabitych ułożono w równym rzędzie przy drodze - to miała być ich jedyna ceremonia pogrzebowa. Oddziały ustawiały się w szyku przy samochodach.

- Sera! - syknął wartownik wyciągając rękę. Niebieskie światła płynęły ponad trawą.

- Azi kopca - zawołała. - To nie jest dobre miejsce. Pospiesz się, Merry!

Ludzie pobiegli do samochodów. Raen skoczyła za kierownicę, zatrzasnęła drzwi, wyprzedziła wóz Merry'ego - to ona miała mapę.

Pozbawiona połowy ładunku ciężarówka toczyła się lekko.

Nagle pojawiła się długo oczekiwana utwardzona nawierzchnia - dojazd do magazynu łączył się ze Szlakiem Południowym. Raen

wcisnęła hamulec, wolno wjechała na szosę, skręciła kierownicę i przyspieszyła. Zaczynała odzyskiwać nadzieję.

Za sobą, w lusterku, widziała, jak pożar sięga pól.

vi

Stuk uderzeń odbijał się echem w korytarzach biur ITAK. Stalowe zapory wsuwały się na miejsca: bariera dla tego, co działo się na zewnątrz. Huk młotów docierał nawet na najniższe piętra, poniżej poziomu gruntu. Klima

tyzacja i oświetlenie nie działały i dolne pomieszczenia nabrały dziwnego wyglądu: luksusowe meble z górnych pięter ściśnięto tam, gdzie kiedyś mieściły się biura niższych urzędników. Przy blasku pochodni nalewano cenne trunki.

Enis Dain podniósł szklankę, by dać przykład pozostałym - członkom rady, ich rodzinom i urzędnikom, wszystkim, którzy mieli prawo schronić się, tutaj. Z góry wciąż dochodził stuk młotów.

Niektórzy starali się uciec do portu. Było to nierozsądne posunięcie. Mieli meldunki, że jest tam Kontrin, Wróg, przed którego przybyciem ostrzegała Meth-maren. Najpewniej spotkali się z nim, na swoje nieszczęście. Dain wypił, a za nim pozostali członkowie rady, jego córka siedząca obok Prosserty'ego... nieudacznik, ten Prosserty, Dain nigdy go nie lubił.

- Ciasno tutaj - poskarżył się. Dain spojrział tylko na niego, po czym, pamiętając o rezerwie energii, zgasił pochodnię. Świeciła tylko jedna, umieszczona pośrodku stołu. Zaczął przeliczać, jak długo potrwa ta noc.

- Mniej więcej szesnaście dni - oznajmił. - Wtedy Rada powinna otrzymać wiadomość od Methmaren. Przetrwamy tak długo. Coś zrobią. Wytrzymamy do tego czasu. Niczego nie powinno nam zabraknąć.

Uderzenia młotów ucichły.

- Na górze już skończyli - zauważyła Hela Dain.

- Teraz zaczną zamykać przejścia tutaj. \ Wtedy gdzieś wysoko rozprysnęło się szkło. Ktoś krzyknął przeraźliwie.

Światła pogasły. 117-789-5457 siedziała skulona na materacu, pogrążona w zeropamięci.

Ciemność panowała od subiektywnie długiego okresu, a temperatura wzrastała. Docierały jakieś dźwięki, lecz żaden z nich nie był normalny. Czowała lekki niepokój myśląc, czy pożywienie zjawi się w porę. I woda... bo woda nie leciała już z kranu, jak leciała zawsze, niezależnie od celi, w jakiej się znalazła.

Zawsze nad głową świeciły światła i powietrze nadawało się do oddychania.

Teraz nie było nic.

Głosy. Głosy pozbawione znaczeń. Szybki tupot bosych stóp. 117-789 -5457 podniosła głowę. W górze lśniło coś dziwnie, niebieskie światła przesuwały się i podskakiwały, nie na

**pomostach, ale na samych brzegach klatek.
Twarze w błękitnym świetle; nagie ciała;
splątane włosy - ludzie przykucnęli nad jej
własną celą i patrzeli na nią uśmiechnięci.
Wyciągali ręce. Ich oczy migotały.**

- Chodź - wołali nierównym chórem. -

Pomożemy. Chodź, azi.

**Wstała. Jeden z nich wychylił się w dół,
podtrzymywany przez innych, chwycił ją za
ręce. Wspólnym wysiłkiem podciągnęli ją do
góry.**

**117-789-5457 rozejrzała się, próbując utrzymać
równowagę na wąskiej krawędzi ściany.**

**Wszędzie tańczyły niebieskie światła, śmiech
rozlegał się tam, gdzie dotąd panowała cisza. Ze
wszystkich klatek wyciągano azi.**

**- Bierzcie wszystkich, starych, młodych, tak -
zaśmiał się jeden z przybyszów i odbiegł
tanecznym krokiem. - Chodź, chodź, chodź.**

**117-789-5457 ruszyła za nim, gdyż nigdy nie
sprzeciwiała się rozkazom. Uśmiechnęła się,
gdyż miała wrażenie, że zadowoli to tych, którzy
wydawali jej polecenia.**

**- Pożar w mieście - mówił zimno i spokojnie głos
azi z powierzchni planety. Leo K14-7 5 6-4806
słuchał nie odwracając głowy. Dobrze
zapamiętał instrukcje: miał pilnować porządku
w centrali stacji. Morn na nim polegał. Słuchał z
pozorną obojętnością., choć to, co słyszał,
budziło niepokój.**

Nie wiedział, co czują jego ludzie - wszyscy nosili

maski, zgodnie z zaleceniem Morna. Nie potrafił odczytać ich reakcji na ten głos z promu, niosący złe wieści. Jednak wśród jeńców beta nastąpiło pewne poruszenie, obejmujące także strażnika azi należącego do stacji, który razem z betami stał pod lufami gotowych do strzału karabinów.

- Trzeba wznowić dostawy energii - odezwał się któryś beta. - Miasto musi ją mieć.

- Widać ognie we wszystkich dzielnicach - meldował dalej obojętny głos. - Nie mamy kontaktu z Mornem, odkąd wszedł do budynku terminalu. Co mamy robić, Leo?

- Czekać na rozkazy - odparł, rozglądając się po centrali. Nikt się nie ruszał - bety nie śmiały, azi stacji nie otrzymał poleceń.

- Tu Moriah - włączył się inny głos. - Nie odbieramy nic na kanałach komunikacyjnych miasta. Wszędzie panuje kompletny chaos.

- Nie schodzić z posterunków - nakazał Leo. Nic więcej nie mógł powiedzieć. Założywszy ręce, spacerował po pomieszczeniu centrali. Spoglądał na bety, jakby wyzywając ich do przedstawienia innych swoich pomysłów.

Żaden się nie odważył.

Wojownicy wrócili, pędzili korytarzami domu, piszczeleli i huczeli do siebie, raniąc uszy ludzi.

Jim wszedł na schody aż do zakrętu, spotkał kilku schodzących na dół i odskoczył natychmiast, gdyż Wojownicy spieszyli się i nie mieli ochoty rozmawiać. Przekleństwo Pola

dobiegło z rozjaśnionych niebieskim blaskiem głębin piwnicy.

- Uciekają - stwierdził Kontrin.

- Max - jęknął Jim walcząc z paniką. - Max... Max przyszedł, a za nim pozostali azi, prowadząc między sobą Pola. Wspinali się na schody pod prąd strumienia majat. Słysząc było trzaski pękających pod naporem ciał mebli. Dom był pełen Wojowników; mroczne pokoje rozbrzmiewały pomrukiem niepokoju i gniewu. Przez okna widzieli ognie pożarów i kłęby czerwonego od płomieni dymu.

- W ogniu nic nie widzą - wyjaśnił Poi. - Jacyś beta wymyślili jedyną metodę walki z nimi.

- Do okien - rzucił Max. - Zająć pozycje. Azi ruszyli szybciej. Strzelcy ustawili się przy oknach.

- Twoi niebiescy są rozbici - stwierdził Poi, przekrzykując szum głosów majat. - Proponuję, żebyśmy się stąd wynieśli.

Jim gwałtownie potrząsnął głową, przeszedł korytarzem i wyjrzał przez otwarte drzwi. W ogrodzie poruszały się mroczne kształty.

- Oni nie uciekają, przynajmniej nie wszyscy. Ciągle chcą bronić domu. Max wyjrzał także.

=- Moim zdaniem powinniśmy wyjść na zewnątrz - powiedział. - Okopimy się między skałami. W ten sposób trudniej nas będzie odepchnąć.

- Sam nie wiem - Jim przełknął ślinę. - Zróbmy

to. Nie sądzę, by mury ich powstrzymały.

- Posłuchasz rady?

Jim obejrzał się. Poi stał spokojnie pod ścianą między strażnikami.

- To zaczyna mnie interesować - oświadczył. - Ten człowiek ma rację. Ale trzymaj ludzi w oknach z dobrym polem ostrzału, od frontu i z tyłu. W razie potrzeby dadzą ci ogień zaporowy. I cofnij do tyłu własnych Wojowników, Twoi ludzie w ciemności nie odróżnią niebieskich od czerwonych.

- Rozsądne - mruknął Max.

Rozległ się dźwięk... zaczął się od wrażenia nacisku w uszach, tak że wielu azi zatkało je rękami; potem przyszedł ból, przenikliwy pisk zgrzytający o kości.

Był wszędzie. Wojownicy w domu zebrali się razem, pohukując do siebie w panice.

- Wojowniku! - krzyknął Jim. - Zostań!

Cmokali i gwizdali w odpowiedzi, wymachując czułkami. Azi mająt, którzy przyszli wraz z nimi, odskoczyli na boki. Na ich twarzach malowało się przerażenie. Jim ruszył przed siebie.

- Nie! - krzyknął Poi, chwytając go za ramię. - Nie, do diabła, nie jesteś Meth-marenem! Nie zbliżaj się do nich.

To także było dobrą radą. Wycofał się za Maxem i przykucnął między skałami, obok Kontrin z Haldów. Potrząsnął głową, by pozbyć się bólu w uszach. Ciśnienie nie zniknęło.

Zginiemy, pomyślał, i przerażenie ogarnęło go bez reszty, gdyż była to myśl urodzonego człowieka, strach urodzonego człowieka...

Taśmy mu to zrobiły, przygotowały tylko na to, na ten mdlący lęk. Twarz Maxa pozostała spokojna. Kontrin uśmiechnął się ironicznie, jak gdyby potrafił czytać w jego myślach i wyśmiewał się ze strachu, który czuli obaj.

Obląkańczy dźwięk rozbrzmiewał wokół nich coraz głośniejsze.

Ciężarówka podskoczyła mocno. Raen chwyciła klamkę, przetrzała zaspane oczy i spojrzała spode łba na azi, który - choć nie był dobrym kierowcą - jakoś utrzymywał stałą odległość za Merry'm.

- Jak paliwo? - spytała i pochyliła się, by sprawdzić. Jechali na zbiorniku rezerwowym, wciąż jeszcze w połowie pełnym. Mieli zapas.

Hodometr wskazywał dziesięć kilometrów od celu. Światła miasta powinny już być widoczne - gdyby działały, ale nie liczyła na to. Oparła się wygodniej i patrzyła w horyzont. Nie dostrzegała jeszcze żadnego znaku, nic, jedynie gasnące w blasku jutrzeńki gwiazdy.

Na północy nie było nawet gwiazd.

Wyprostowała się. Serce biło jej mocno. Przed chwilą się obudziła, ale nie czuła ani śladu senności.

- Merry - odezwała się do mikrofonu. - Merry! Zasnęłeś tam?

- Sera?

- Dym. Dym nad miastem.

- Tak, sera. Zauważyłem.

- Będziemy wyprzedzać. Zbliżamy się do rozjazdu. Przygotuj się. Wyprzedzaj, Will. Mamy jeszcze trochę miejsca.

Pięć kilometrów. Przyspieszyli, Merry został z tyłu. Cztery. Zaczęła obserwować prawe stronę drogi, niepewna, jak dokładna jest mapa.

Mijały kilometry. '

- Zwolnij - poleciała. Obok szosy stał słup z nieczytelnym numerem, dalej placek gołej ziemi, zwykle łyse miejsce obok brukowanej drogi. Ale ciężarówki jeździły tędy - widziała zgniecioną roślinność.

- Skręcamy - rzuciła. Kierowca wprowadził wóz na polną drogę. Prowadził ostrożnie, mimo to ciężarówka kołysała się i podskakiwała. Trawy ocierały się o drzwi kabiny.

Wiele by dała za wzrok i słuch Wojownika - w tym miejscu była jak ślepa. Mijali kolejne zakręty, tracąc z oczu drogę. Uspokajał jedynie widok samochodu Merry'ego w lusterku.

Znów zakręt, krótki zjazd, potem wspinaczka na wzgórze. Za grzbietem dostrzegła grupkę podniszczonych budynków, zapomnianych i pustych... ale ktoś przyciął trawę.

Itawy, pomyślała, s%c%gście twemu domowi. Z budynków wybiegli ludzie w solskafach, z karabinami wymierzonymi \F nadjeżdżające ciężarówki. Obok niej Will sięgnął po broń.

**Raen chwyciła miotacz'i otworzyła drzwiczki.
- Isan Tel - zawołała. - Kod wejściowy 579-4645-687.**

Jeden z ludzi skinął na pozostałych i uniósł lufę do góry. Pozostali zrobili to samo. Zdjęli maski solskafów i wizjery. Było wśród nich kilka kobiet, niektórzy bardziej przypominali urzędników niż straż, kilku nie miało broni.

- Mam wasze kontrakty - oznajmiła. - Wiecie, że teraz nie można tego sprawdzić. Spytajcie głównego azi: czy nie znaleźliście w komputerze rozkazu, by utrzymać ten dom i strzelać tylko do mająt, którzy was zaatakują?

- To prawda - potwierdził mężczyzna. Miał spokojny głos i spokojną twarz; przypominał jej Jima.

Wszyscy azi spojrzeli na nią z wyraźną ulgą, jak gdyby cały ich świat nagle został uporządkowany. Aż do tej chwili ów świat zbyt wiele od nich wymagał: bez żadnych dodatkowych instrukcji bronili domu. Widziała oczy wpat-

rzone w siebie z tym głębokim spokojem nie pasującym do sytuacji - kontraktowa lojalność.

- Kopce ruszyły - powiedziała. - Mielście tu jakieś kłopoty? Główny azi machnął ręką w stronę południa.

- Przyszli mająt. Zabiliśmy kilku. Potem odeszli. Wskazała na północny wschód.

- Nic od tamtej strony?

- Nic, sera. Kiwnęła głową.

- Jesteśmy na progu niebieskiego kopca, ale oni nie zabijają ludzi. Ci, co przyszli, to pewnie złoci. Już wykonaliście swe zadanie, siedząc tu i strzegąc niebieskiego kopca. Mam wasze kontrakty. Teraz pójdziemy dalej, ale tylko ci azi, którzy nie wpadną w panikę i których nie sparaliżuje strach.

Zaniepokoiłi się, słysząc o niebieskim kopcu. Zauważyła odruchy niechęci; odwróciła się i skinęła na Merry'ego.

- Wysiadać! Od tego miejsca idziemy na piechotę. Wszyscy, którzy zechcą i którzy dadzą radę.

Azi wysiadali bez wahania, z karabinami i sprzętem, jaki im jeszcze pozostał. Patrzyła na nich z nadzieją.

-- Będziemy walczyć o kopiec - oświadczyła. - Za niebieski kopiec, nasz. Musimy wejść między nich, do środka, w tunele, o ile zdołamy.

Zostańcie, jeśli to dla was zbyt trudne.

Ruszyła, wiedząc, że przynajmniej Merry pójdzie za nią. Dogonił ją natychmiast, a za nim inni, brudni i wycieńczeni. Obejrzała się; ani jeden nie został z tyłu. Azi z posiadłości Tela szli także, łatwi do odróżnienia po czystych ubraniach i energicznych ruchach. Na końcu maszerowali domowi i nadzór, może uznawszy, że niebezpiecznie będzie zostać w porzuconych budynkach.

Maszerowali, rozsuwając wysokie trawy.

Znaleźli zarośnięte, stare ślady.

- Tropy majat - stwierdziła. - Stare.

- Niebieski kopiec?

- Lepiej żeby tak było.

Poczuła ucisk w uszach. Wpatrywała się uważnie w skały i szczyty wzgórz.

Nagle huknęły ostrzegawczo głosy majat.

Odwróciła się. Azi unieśli karabiny, mierząc w Wojownika, wyraźnie widocznego na tle nieba.

Byli zdyscyplinowani - nikt nie wystrzelił.

Podniosła do góry prawą dłoń.

- Meth-maren - zaśpiewał majat.

- Wojowniku, stoisz za daleko dla moich oczu.

Podejdz. Zbliżył się o kilka kroków. Nie miała już wątpliwości, że to niebieski. Zza skał wynurzyli się następni, w podnieceniu poruszając szczękami.

- To są azi mojego kopca - poinformowała Raen.

- Do tej chwili bronili doliny. Teraz będą walczyć tam, gdzie są potrzebni.

Wojownik opuścił głowę, podając dotyk i smak.

Przyjęła je i oddała w zamian. Poruszała się wolno, by nie przestraszyć azi.

- Dobrze. Dobrze - oznajmił Wojownik. - Matka posyła. Chodź, chodź szybko, królowo Kethiuy. Bierz, bierz, bierz.

Obejrzała się. Nikt z jej ludzi nie rzucił się do ucieczki, nikt nie zdradzał chęci powrotu.

Wojownik tańczył niecierpliwie. Raen klepnęła Merry'ego po ramieniu i poprzez skały i krzaki ruszyli za majat.

Nagle odsłoniło się przed nimi wejście do kopca, czarny otwór, pozornie bez żadnej ochrony. Zaraz jednak zza krzaków, zza kamieni na wzgórzach, z ciemności tunelu wynurzyli się Wojownicy. Raen nie wahała się ani przez chwilę. Słyszała, jak ich przewodnik odpowiada na wezwanie strażników. Jeden z Wojowników dotknął jej. Poznała po tym, że musiał ją znać osobiście.

- Wojowniku? - spytała.

- Ta-jednostka poprowadzi. Chodź, weź azi. W tunelu zamigotały niebieskie światła. Bez pytania ruszyła w ich stronę, Merry tuż obok, inni z tyłu. Objęła ich ciemność, a azi mająt szli tuż przed nimi - żalosne kreatury, które nie śmiały się już, lecz potykały i chwiały z wyczerpania. Niebieskie światła oświetlały fragmenty ścian i wskazywały drogę. W mroku rozbrzmiewała pieśń Wojowników.

Azi mająt dotykali jej, przynaglali bez tchu, szybciej i szybciej.

- Matka - wołali. - Matka, Matka, Matka.

Raen dyszała ciężko, lecz szła dalej, potykając się na nierównościach, opierając o ściany.

Nagle niebieskie światła przestały wystarczać.

Znaleźli się w ogromnej, mrocznej przestrzeni.

Przed nimi majaczył wielki, białawy kształt.

Przesuwał się z wysiłkiem, olbrzymi, wypełniający sobą cały tunel.

To była Matka, która ruszyła.

Przesuwała się tunelem przygotowanym dla Jej

wielkiego ciała. Ściany odbijały echem szum Jej oddechu. Otaczali Ją niewielcy mająt błyszczący od klejnotów, a przed Nią płynął strumień ciał, nakrapiany światłami azi.

Mowa mająt rozbrzmiewała ogłuszająco. Potem, przerażająco potężny, napłynął Jej głos, wibrujący w fundamentach kopca.

Raen zebrała resztę sił i przebiegła obok wielkiego ciała szybciej, niż Matka potrafiła się poruszać. Z boku pozostało tyle miejsca, że ona i jej ludzie mogli uniknąć odnóży Matki, równymi ruchami pchających Jej tułów do przodu, w rytmie grzmiącego oddechu.

- Jestem tutaj! - krzyknęła Raen.

- Królowa Kethiuy - odpowiedziała. Wielka głowa nie odwróciła się; nie mogła. Matka wpatrywała się w swój cel.

- Czy dobrze, że przyszłam, Matko? Dokąd idziesz?

- Idę - odparła po prostu. Ziemia drżała od Jej poruszeń. Wciągnęła powietrze. - Idę. Szybko. Szybko, młoda królowo.

Podniecenie ogarnęło Raen. Przyspieszyła kroku, przeszła pomiędzy Trutniami, których piskliwe głosy raniły uszy. Minęła olbrzymią grupę Robotnic, a wśród nich azi; Opiekunki Jajeczek o dziwnie ukształtowanych szczękach porzuciły swe zajęcia i opuściły bezcenne jajeczka.

Obejrzała się. Matka zniknęła już niemal w mroku. W słabym, błękitnym świetle dostrzegła

poranioną twarz Merry'ego, poczuła dotyk jego ręki.

- Idziemy na północ - stwierdziła. Wspomniała Robotnice kopiące w piwnicy, przygotowujące drogę. Nagle zrozumiała.

- Walczyć dla nich? :- spytał chrapliwie i obejrzał się na ludzi, którzy wciąż szli za nimi. Może nawet wszyscy; rozciągnięty w tunelu szereg był niemal niewidoczny. Może niektórzy zemdleli z braku świeżego powietrza lub oszaleli ze strachu. A może szkolenie wystarczyło i nie bali się niczego.

- Moje miejsce jest tam - rzekła - gdzie to wszystko się łączy.

- Gdzie, sera?

- W domu.

viii

Tupot wielu nóg rozległ się za stalowymi drzwiami; chór przerażonych głosów. Moth drgnęła i podniosła głowę, choć czynność ta wymagała więcej wysiłku, niż miała ochotę poświęcić tym, którzy zakłócali jej sen.

- Moth! - z chóru wybił się jeden głos, drżący z lęku. Znała go także: stary Moran. - Moth! Thon odszedł... zginął. Władcy kopców nie mogli ich powstrzymać! Są w Mieście. Wszędzie... Dotknęła mikrofonu, stojącego na konsoli obok butelki wina i miotacza.

- Więc zarygluj drzwi, MoraYi. Skorzystaj z mojego przykładu.

- Potrzebujemy kodów. Moth, zrób coś.

Uśmiechnęła się. Była zbyt słaba, by siedzieć prosto.

- Czyżbyś się jeszcze nie domyślił, Moran?

Właśnie robię.

- Miasto leży w gruzach - informował głos z Moriaha. - Leo, wciąż nie mamy z nim kontaktu. Byli tu mająt, ale nawet oni odeszli. Już dawno powinien się z nami połączyć.

- Pilnujcie statków - powtórzył Leo, spoglądając na innych azi, jego własnych i tych ze stacji. Wszyscy byli wyczerpani. Nie mieli zmiany, nic nie jedli. Pomyślał, że powinien może posłać po coś do jedzenia, ale nie był pewien, czy ma apetyt.

Bety skupiły się przy drzwiach. Jeden z nich chyba był chory i przewrócił się, chwytając się za serce. To był stary beta. Dali mu lekarstwa i jakoś doszedł do siebie. Leo nie przejął się incydentem; beta nie był do niczego potrzebny, jak zresztą żaden z nich; przynajmniej pojedynczo.

- Wezwijcie kuchnię - polecił. - Niech przyniosą coś do jedzenia.

Jakiś beta wstał i podszedł do komunikatora. Powoli, wyraźnie przekazał polecenie i wrócił między jeńców. Leo obserwował ich ze spokojem.

Moriah i prom skontaktowały się znowu, kwadrans po pełnej godzinie. Potem jeszcze raz. Nad drzwiami zapłonęła lampka: przyjechał wózek wyładowany jedzeniem i napojami. Azi,

który go przyprowadził, rozładował górną tacę, potem schylił się do dolnej.

Nagle w jego dłoni pojawił się miotacz. Strzał rozbił jedną z konsoli. Leo strzelił i azi osunął się po futrynie. Inni znieruchomieli zaskoczeni.

220

Zamigotały światła. Zawyły syreny, a >na wszystkich tablicach zapłonęły czerwone lampki.

- Był podstawiony - powiedział ktoś, schylając się nad azi, który strzelał. Potarł palcem jego zbyt wyraźny tatuaż. - Oszust.

Syreny wyły coraz głośniej. Bety skoczyły do konsoli i zaczęły gorączkowo przyciskać klawisze. Leo nie wiedział, jak powinien zareagować. Tęsknił za zeropamięcią. Któryś z jego ludzi strzelił i jakiś beta skonał na głównej desce rozdzielczej.

Na górnym ekranie pojawił się napis.

**WSZYSTKIE STATKI MAJĄ OPUŚCIĆ
DOKI, nakazywał.**

Statek. Poczucie odpowiedzialności przywróciło mu sprawność umysłu. Strzelił, likwidując bety przy konsolach^ Potem pochylił się nad komunikatorem i uruchomił kanał otwarty.

- Załoga Erosa - jego głos dobiegał z korytarza i rozbrzmiewał na całej stacji. - Mówi Leo.

Natychmiast wracać na statek. Natychmiast wracać na statek.

Przede wszystkim należało utrzymać statek.

Tego oczekiwalby od nich Morn.

- Idziemy - krzyknął do swoich ludzi w centrali. A potem, ponieważ przyszło mu do głowy, że nie powinien zostawiać bet przy instrumentach kontrolnych, zabił ich wszystkich.

- Uciekają - stwierdził młody Przybrzeżanin, przyciskając twarz do szyby.

- Uważaj! - krzyknął starszy, gdy otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Strzały nie padły. Poczuli tylko podmuch chłodnego powietrza.

- Idziemy! - zawołał Itawy, wyrywając żonie Meris. Przybrzeżanie też skoczyli do drzwi i wszyscy rzucili się biegiem, porzucając bagaże. Reflektory migotały nierówno, czerwone światła lśniły ostrzegawczo, huczały syreny. Itawy wciągnął w płuca chłodną atmosferę doków i pognął za artystą. Spojrzał przez ramię, sprawdzając, czy Velin biegnie za nimi. Przez lzy ledwie mógł odczytać napis Phoenix. Przed nimi była rampa przesłonięta płataniną kabli. Ktoś z tyłu przewrócił się i wstał dysząc ciężko. Artysta wbiegł na pomost, po nim Itawy z Meris, krzyczącą mu prosto w ucho. To dlatego, dla niej, nie upadł, choć czuł ból w boku i piersi. Biegli oszronioną rampą po płytach, które powinny wwieźć ich na górę.

Luk był zamknięty.

- Wpuście nas! - wrzasnął. Inni przyłączyli się do niego i tłukli pięściami w stalową płytę. Itawy łkał, a lzy płynęły mu po twarzy. Velin objęła ich oboje, jego i Meris.

Dopiero starszy Przybrzeżanin znalazł interkom

ukryty w obudowie rampy. Krzyknął coś do mikrofonu.

- Zamknijcie się! - ryknął, gdy zaczęli krzyczeć.

- Uwaga, otwieramy - odezwał się głośnik.

Płyta luku odchyliła się z cichym szumem.

Załoga azi o spokojnych, obojętnych twarzach, czekała, by pomóc im wejść na pokład.

Stanęli oszołomieni, drżącymi rękami wyciągali bilety - dowód prawa przelotu.

Luk zamknął się za nimi.

- Przygotować się do startu - zgrzytnął ze ściany głośnik interkomu. - Wychodzimy z doku i wynosimy się stąd.

Pisk stał się jeszcze głośniejszy, dobiegał z przodu, z tyłu, ze wszystkich stron. To, co zaczęło się w nocy, nie chciało odejść za dnia, gdy blask słońca rozjaśnił ogród. Powinien odpędzić koszmar, lecz tylko uczynił go rzeczywistym, ukazując kształty wyczekujących Wojowników, pancerze martwych ma-jat i złożone w rogu ciała azi. I szpary w murze tam, gdzie odparto atak.

Jim otarł pot z czoła. Siedzieli z Maxem ukryci wśród głazów obok Pola i młodego azi, którego wyznaczyli, by cały czas trzymał go na muszce. Kon-trin bowiem miał doświadczenie w takich akcjach i mógł ich uprzedzić, mógł wiedzieć, co planują kopce... a przede wszystkim co planuje kryjący się za nimi ludzki umysł.

On ta Jest, powiedział Poi, gdy ostatni atak niemal się powiódł, kiedy pojawiły się pęknięcia

w murze, a ogień przy bramie odwrócił ich uwagę. To Morn się %a tym kryje. Tera% musimy uwaląć na tyły.

Jak się okazało, miał rację.

- Za długo już zwleka - stwierdził po pewnym czasie Poi. - Zaskakuje mnie. Powinien już coś wymyślić. To oznacza, że to, co planuje ze swoimi sprzymierzeńcami, wymaga czasu.

Jim przyjrzał mu się uważnie. Kontrin był znany ze swej skłonności do kpin; przez ostatnie kilka godzin zachowywał się jednak ze śmiertelną powagą. Jego chude policzki zapadły się jeszcze bardziej, podkrążone oczy zdradzały zmęczenie, nękające ich wszystkich. Przed południem miał się zacząć wielki upał. Wszyscy nosili solskafy, choć bez masek ^i wizjerów, z odpiętymi dla wygody rękawami. Azi wypoczywali, nie schodząc z pozycji, oparci o kamienie i mury. Starali się wykorzystać spokój i przespać choć chwilę. W nocy nie mieli możliwości. Poi oparł głowę na skale, zamknął oczy.

- Na co potrzeba czasu? - zastanawiał się głośno Max.

- Na tunele - powiedział nagle Jim. Ta myśl pojawiła się w jego mózgu nie wiadomo skąd. Przełknął ślinę i starał się przekonać sam siebie, że się myli. - Ale Wojownicy nie kopią, a Robotnice nie walczą.

Poi podniósł głowę.

- Azi robią jedno i drugie - stwierdził i obejrzał

się. - Popatrz na szczeliny w murze. Są szersze. Tak było. Jim przygryzł wargę, wstał i podszedł do czekającego z boku Wojownika. Dotknął plam zapachowych.

- Jim. Tak. - Wojowniku, tam pęka mur. Poi Hałd uważa, że mogą kopać tunel.

Wielka głowa obróciła się, ciało drgnęło zwrócone w stronę muru.

- Ludzkie oczy... Pewien, Jim?

- Widzę wyraźnie, Wojowniku. To pęknięcie w kształcie drzewa, rozgałęzione i długie. Jest szersze. Czułki musnęły jego policzek.

- Dobrze. Dobrze - zgodził się Wojownik i odbiegł. Odszukał i splótł kleszcze z innym, który ruszył do budynku. Majat tymczasem dotykał kolejnych, przekazując wiadomość. Jim wrócił zdyszany na stanowisko obok Maxa i Pola.

- Zaniepokoił się - oświadczył. Drżał mimo ciepła dnia. Nagle zdał sobie sprawę, że jest przerażony. Walczyli nocą, a on ani razu nie wystrzelił. Teraz trząsał się ze strachu na samą myśl o tym, że ich osłona może runąć.

- Spokojnie - Poi wyciągnął rękę i zacisnął palce na jego nodze. Zabolalo. Ból pomagał w koncentracji. Spojrzał na Kontrin. Nagle zauważył, że panuje cisza, że przenikliwe piski ucichły nagle.

- Zawsze będziesz po stronie Morna - stwierdził, gdyż zachowanie Pola nie pasowało do

informacji z taśm. - Jesteś z jego klanu. Nie wystąpisz przeciw niemu.

- Długo jesteśmy razem - odparł Poi. Nie cofnął ręki, choć uścisk zelżał. - Nieczęsty przypadek w Rodzinie.

Zdrada, ostrzegały taśmy. Patrzył na Kontrin sparaliżowany dotykem, do którego nie powinien dopuścić.

- To dziwne - zauważył Poi. - Czasem nawet wyglądasz tak, jak ona.

Piski wybuchnęły z nową siłą. Część ogrodu zapadła się, w czarnym otworze tunelu kotłowała się ziemia i ciała majat. Niebiescy skoczyli do walki, odezwały się miotacze azi. Mur runął w chmurze pyłu. Przez wyrwę wpadła horda majat i azi.

Jim podniósł miotacz, wymierzył, spróbował pociągnąć spust. Obok niego ktoś upadł bezwładnie.

To był Max. Strzał trafił go w głowę. Jim patrzył na ciało, sparaliżowany ze zgrozy.

Azi pilnujący Pola krzyknął ostrzegawczo i runął bez przytomności. Kontrin trzymał karabin Maxa, którym uderzył strażnika. Wymierzył i otworzył ogień, powalając azi i majat.

Jim także strzelał w zbliżający się tłum, niepewny, czy zadaje atakującym jakiegokolwiek straty. Oczy miał tak zamglone, że niczego nie widział wyraźnie.

Dźwięk narastał mu w uszach, potworny

świergot wznoszący się poza zakres słyszalności. Majat wybiegali z domu, więcej Wojowników, niż się spodziewał. Nowi przybywali z otworu w ziemi, wdzierali się przez wyrwę w murze, zbliżali się niby żywa fala. Poi strzelał bez przerwy; Jim także; nowi majat zastępowali poległych. Kolejna część muru runęła, odsłaniając ich flankę.

- Wracamy do domu! - krzyknął Poi. - Weź swoich ludzi!

Schylony przebiegł na nowe stanowisko.

Jim wydał rozkaz, przeczołgał się, przyklęknął obok Pola i strzelał dalej.

Niesamowite postacie pojawiły się wśród Wojowników, niby majat o ludzkim kształcie, każdy z insygniami na ramieniu.

Między nimi siedł ktoś, kto bez wątpienia był człowiekiem w Barwach Haldów.

- Morn - szepnął Poi i przerwał ogień.

Jim wymierzył do tamtego, chybił, strzał eskorty zranił go w ramię. Poi ściągnął go na ziemię, gdy w górze rozbłysła pajęczyna ognia.

Huknęły głosy majat, jedna z kolumn przed wejściem runęła pod naporem morza majat wysypujących się z domu. Między nimi biegli azi majat i azi w solskafach brunatnych od błota i krwi.

Strzały padały gęsto z obu stron. Majat i azi ginęli, deptani przez biegnących z tyłu. Jedna z postaci, drobniejsza od pozostałych, z

rozwianymi czarnymi włosami, trzymała miotacz w dłoni z chitynowym wzorcem. Azi obok niej runął na ziemię.

Jim chciał biec do niej, wychylił się, zobaczył Morna na środku ogrodu. Raen nie widziała go.

- Uważaj! - ryknął.

- Morn! - krzyknął Poi, zerwał się na nogi i strzelił.

Morn osunął się z wyrazem zdziwienia na twarzy. Tak samo zdziwiona była Raen... i przerażona, gdy odwracała lufę miotacza. Poi opadł na kolano, zaklął; Jim chwycił go za ramię, lecz Poi wstał już bez jego pomocy, stanął w rozkroku i wymierzył serię strzałów do okrytych pancerzami, zaszokowanych napastników.

Raen robiła to samo. Majat przemknęli między jej ludźmi bez przerwy prowadzącymi ogień i zderzyli się z obcymi Wojownikami. Potpczyły się głowy, ciała padały wstrząsane drgawkami. Runęła kolejna część muru, znów odsłaniając flankę. Jim odwrócił się w tamtą stronę, z przerażeniem spostrzegł coraz bliższą falę majat.

Precyzyjne strzały Pola powalały atakujących, jednego po drugim.

Ktoś stanął za Jimem - Merry, trafiający we wrażliwe punkty majat; za nim Raen, której strzały były równie celne jak Pola. Piski ucichły; majat wyskoczyli im zza pleców, w pędzie przebiegali obok. Ludzie kulili się za osłoną.

Poi przestał strzelać. Leżał z głową opartą o skałę i gasnącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Raen pochyliła się i delikatnie dotknęła wargami jego czoła.

- Pierwszy raz - szepnął Poi. Jego twarz znieruchomiała; ciało drgnęło jeszcze raz i zamarło.

Raen odwróciła wzrok. Atak był odparty, mając cofali się do muru.

Nagle zakłęła, zerwała się i pobiegła, za nią Merry i inni azi. Jim puścił ramię Pola, chwycił jego karabin i wyskoczył zza osłony skał.

Jakiś ciemny kształt powalił go na ziemię.

Przewrócił się. Wojownik za Wojownikiem przebiegali po nim, aż ustał wszelki .ból.

22A

Cierpienie... Matka istniała w nim, w każdym potężnym pchnięciu odnóży, przesuwającym Jej wielkie ciało o połowę długości. Trutnie otaczały ją, nie-przyzwyczajone do takich wysiłków.

Dyszały piskliwie. Robotnice biegały tam i z powrotem, ofiarując pożywienie - będące już na wyczerpaniu płyny życiowe ich własnych ciał - karmiąc Ją i Trutnie.

Zmieniły się ich kolory, łaty ciemnego i jasnego błękitu przetykane były czernią. Ten ;widok wzbudził w Niej niepokój. Jęknęła, pchając swe ciało wciąż naprzód nowym tunelem.

Matka, śpiewały Robotnice, Matka, Matka.

A Ona je prowadziła.

Otworzyłem drogę, zameldował Umysł

Wojownika. Któraś z jednostek dotknęła Jej. Wrogowie cofają się. Potrzebne Robotnice, %? by odsunąć gła^y.

Dobrze, pochwaliła, smakując płyny życia i zwycięstwo.

Wojownik odbiegł, potykając się ze zmęczenia i pośpiechu. Idźcie %a tą -jednostką, podawał smak Robotnicom. Chodźcie, chodźcie %a mną. - Sera?

Raen zatrzymała się zdyszana pod ścianą. Światło azi zwisało jej z nadgarstka. Mrugając mocno, wpatrywała się w mrok przejścia podziemnego, w trasy przejazdowe, po których szli teraz majat. Ktoś podał jej butelkę. Wypiła łyk, oddała ją innym - ponurym ludziom skulonym pod łukowym stropem tunelu. Dyszeli ciężko, zagubieni wśród niezwykłych dźwięków, wśród pędu okrytych chitynowymi pancerzami ciał, tupotu stóp z ostrogami. Jeden z nich, ranny, osunął się na ziemię. Raen klepnęła go w ramię. Podniósł głowę, spojrział na nią. Ktoś inny podał mu wodę.

Było ich dwunastu, tylko dwunastu, ze wszystkich, których zabrała ze sobą. Przelknęła ślinę, wsparła się na ramieniu Merry'ego.

Oddychała coraz spokojniej.

- Centrum jest tam - wyciągnęła rękę. -

Niebiescy trzymają odgałęzienie A. Czerwoni siedzą pewnie w E, na trasie do portu. Zieloni... nie wiem. Złoci... chyba w C, na południu.

Gromadzą się w Centrum, pod biurami ITAK.

- Trzy kopce przeciwko nim - mruknął Merry. - Sera, niebiescy nie mogą wygrać.

Ścisnęła go za ramię.

- Też tak sędzę, ale nic ich już nie powstrzyma. Walczyliśmy przy nich, ale teraz, Merry, weź ludzi i wracaj. Wycofajcie się stąd. Nie chcę stracić was wszystkich.

- Sera... pozwól mi zostać. Ich odeślij.

Inni protestowali także. W niebieskiej poświacie widziała skierowane ku sobie twarze.

- Kto tylko chce zostać, niech zostanie - powiedziała i ruszyła przed siebie, zarzucając na ramię pas karabinu.

Poszli wszyscy. Może popychał ich lęk przed majat. Tak myślała, choć podejrzewała coś innego, w co rozsądek nie pozwalał jej uwierzyć.

Podniosła dłoń do twarzy, otarła łzy. Nie czuła żalu ani bólu, po prostu była tak zmęczona, że oczy łzawiły. W tunelu unosiła się woń majat, podobna do zapachu wilgotnego papieru. W drodze oglądali rzeczy niezwykle, spotykali pojazdy znieruchomiałe na szlakach tam, gdzie brakło im energii; i rzeczy straszne, słodko-kwaśny odór śmierci, martwe bety na chodnikach albo w samochodach z wybitymi oknami, zabite ukąszeniami majat lub strachem. Idący nieprzerwanym strumieniem Wojownicy potracali ich zwłoki.

W tłumie pojawili się inni: azi niebieskiego kopca, zataczający się z wyczerpania, ogarnięci

szaleńczą potrzebą pośpiechu; za nimi Robotnice, krzyczące piskliwie i żałośnie.

-- Idą wszyscy, sera - szepnął Merry. - Nawet królowa przybędzie. Sera, czy to rozsądnie przebywać w tym miejscu?

- Nie - odparła szczerze. - Wcale nie.

Ale nie zatrzymała się. Wołania Robotnic przemieniły się w pieśń, która dzwoniła jej w uszach, płynęła włóknami nerwowymi, tłumiała wszelkie myśli.

Światło dnia pojawiło się daleko przed nimi, tam gdzie wirował tłum majat, pod olbrzymim terminalem centrum, kręgiem zero. Pieśń płynęła stamtąd, Wojownicy biegali we wszystkie strony, a Robotnice wspinały się na ciała innych.

Je s t ich więcej, pomyślała Raen. Nie tylko niebieski kopiec; wszystkie, wszystkie kopce spotkały się w tym miejscu.

Majat ginęli w tłumie, z wycieńczenia i ran, miażdżeni pod naporem ciał. Pieśń ogłuszała.

Merry zatkał uszy i krzyknął bezgłośnie; Raen także podniosła ręce. Szukała kryjówki wśród murów, jakiegokolwiek miejsca wolnego od tego nieprzerwanego potoku ciał.

Ziemia zadrżała, wibrowały mury.

W odległym, słabym blasku klejnotów i świateł nadchodziła Matka.

Matka odetchnęła, pchnęła swe ciało do przodu, odetchnęła znowu. Jej odnóża, pojawiające się z przodu i zaraz znikające z pola widzenia, były

teraz plamiste, ciemno- i jasnoniebieskie. Wokół Niej szalał chaos, Wojownicy w zwariowanych kolorach, których tułowia lśniły błękitem, a odnóża na końcach czerwienią, u nasady złotem, a wszystko w zielone plamy.

Królowe były blisko; słyszała Je, inne, z innych kopców. Ogarnęła Ją desperacja; instynkt pewnie wskazywał kierunek. Rozpłynęły się wszelkie uczucia.

Dostrzegła Je wśród kipieli barw, między oszalałymi Wojownikami, Robotnicami i Trutniami. Jedna z królowych była czerwona, w ciemniejsze plamy - ta najdziksza; druga złota, zabarwiona czerwienią; i zielona z odcieniem błękitu.

Czerwona królowa przesunęła się do przodu, groźnie ruszyła ku zielonej, stojącej najbliżej. Dyszała nienawiścią.

Czerwona była zabójcą, częścią Wojowniczą, gdy zielona miała umysł Robotnic.

Matka zawahała się drżąc. Zobaczyła, jak umiera zielona, jak tamta pije Jej płyny życia.

Niebieska, tchnęła czerwona królowa i Wojownicy odbiegli na boki, odsuwając się z drogi.

Druga królowa nie żyła. Raen zadrżała; azi stali wokół, własnymi ciałami oddzielając ją od tłumu majat - maleńki fragment ludzkości w niebieskiej poświacie. Inni azi zbierali się dookoła, nagie stworzenia, mężczyźni i kobiety;

rozdygotani zasłaniali uszy przed grzmotem. Majat wspinali się na nich - niewielkie Trutnie, lśniące od klejnotów, pewnie łączące własne krzyki z hukiem bitwy królowych.

Merry drżał. Raen chwyciła go za rękę i ścisnęła z całej siły. Pewnie nawet nie zauważył.

Walka trwała, ciężka i powolna. Mgliste światło słońca otaczało królowe na szczycie żywego wzgórza, odbijało się w klejnotach. Siła trwała przeciwko sile; potem nastąpił błyskawiczny atak.

Trzecia królowa zginęła, z odciętą głową. Wzgórze ciał rozpląnęło się pod zwyciężczynią, majat rozbiegli się wokół. Trutnie przeciskały się, by stanąć obok innych Trutni, Robotnice z Robotnicami, a Wojownicy wśród Wojowników, wszyscy otaczali żywą królową. Martwe odciągnięto na bok. Żywe kręgi rozciągały się i rozszerzały wokół centrum.

Królowa poruszyła się, a wszyscy inni wraz z nią. Zagrzmiała nutą, od której zadygotały mury. Potem zapadła cisza.

Raen ścisnęła Merry'ego za rękę, potem wstała, wyminęła azi - poszła pomiędzy nieruchomymi majat, Wojownikami i Robotnicami o znakach niebieskiego kopca, czerwonego, zielonego i złotego, stojącymi razem. Karabin wciąż zwisał jej z ramienia. Zauważyła to i odrzuciła broń; kolba stuknęła o bruk. Mogła nim co najwyżej zabić królową, ostatnią Matkę tego świata, a tego nie potrafiłaby uczynić.

Podeszła do Niej, bezbronna, spojrziała w wielką, wysadzaną klejnotami głowę, fasetowe oczy, słyszała szum Jej oddechu.

Była złota. Wzorzec na Jej pancerzu mówił to tym, którzy potrafili go odczytać.

- Matko - odezwała się. - Jestem Raen a Sul, Meth-maren.

- Meth-maren - tchnęła Matka. Ogromna głowa pochyliła się szukając smaku.

Raen pocałowała Ją, dotknęła plam zapachowych, czekała, aż zatrzasną się potężne szczęki. Nadaremnie.

- Meth-maren - powiedziała Matka. - Królowa Kethiuy. To była pamięć niebieskiej królowej.

22J

Słońce paliło straszliwie. Jim poczuł jego żar i z wysiłkiem próbował zakryć twarz. Nie mógł się ruszyć, musiał pomyśleć, jak odwrócić ciało. To oznaczało, że jest przytomny.

Jego dłonie trafiały na skórę, włosy i chitynę. Skoncentrował się i z przerażeniem zepchnął z siebie sztywniejące kończyny, przygniatające go splecione ciała mająt i azi.

Wokół leżały zwłoki. Przez załzawione oczy widział je jak przez mgłę. Z trudem nasunął zwisający z szyi wizjer. W ogrodzie nie pozostał nikt żywy.

Dom leżał w gruzach; ciała zaścielały cały ogród, z wyjątkiem szerokiego pasa, prowadzącego do zburzonego muru... ciała mająt i ludzi, nagich i ubranych. Owady unosiły

się wokół, siadały na trupach. Odganiał je, zapinając solskaf sztywnymi od słonecznych oparzeń palcami.

Jakiś kamień pod murem poruszył się nagle. Jim podniósł karabin, zataczając się ruszył w tamtą stronę. Z trudem koncentrował wzrok. Wspiął się na stos gruzów, mrugnął, dostrzegł cień na ziemi i odwrócił się, unosząc karabin, lecz mająt był szybszy. Wyrwana z rąk broń upadła na ziemię. Drugi mająt pociągnął go do tyłu. Kleszcze chwyciły ramię, rozcięły skórę. Czerwony - rozpoznał znak i spróbował się wyrwać. Ten drugi nosił wzorzec zielonych. Pochylił głowę rozsuwając szczęki, musnął czułkami jego twarz i wargi.

Potem się cofnął.

- Jim - zaśpiewał.

Żył. To go oszołomiło. Zaprzestał walki; teraz już niczego nie rozumiał.

- Meth-maren przyszyła - oznajmił czerwony Wojownik.

- Puść mnie - poprosił czując mocne uderzenia serca. - Puść mnie, Wojowniku. Pójdę z tobą. Ucisk kleszczy zelżał. Jim ścisnął zranioną rękę i ruszył między dwoma mająt na ulicę, ku czarnemu otworowi wejścia do tunelu, w podziemia miasta, gdzie panowała ciemność. Potykał się czasem, a jego wyciągnięte ręce trafiały na miękkie ciała azi i twarde pancerze mająt. Kleszcze popychały go, popędzały, podnosiły za każdym razem, gdy się przewracał.

Niebieskie światła płynęły w jego stronę. Z początku przestraszył się, lecz potem dostrzegł ją, niosącą takie światło, przecisnął się obok Wojownika i pobiegł.

Stali naprzeciw siebie, a ona przyglądała mu się badawczo.

- Nic ci się nie stało? - spytała swym zwykłym, niecierpliwym tonem, lecz głos jej drżał. Obok stał Merry i inni, których znał.

Przycisnęła go do siebie, a on niemal zapłakał z radości. Nie wiedziała jeszcze tego, co musiał jej wyznać, o wiedzy, którą ukradł i o tym, kogo z siebie stworzył.

Próbował jej powiedzieć.

- Przystudiowałem wszystkie taśmy. Nawet te czarne. Nie wiedziałem, co mam robić.

Dotknęła jego twarzy i ruchem oczu wskazała Merry'ego i innych, nakazując milczenie.

- Dom jest zrujnowany - powiedział wtedy. - Wszystko w gruzach. Gdzie teraz pójdziemy?

- W dół, na pewien czas. Dopóki cykl się nie dopełni - czuł jej dłoń w swojej, dotykał palcami szorstkich, ciepłych klejnotów. Skinęła ręką i pewnym krokiem ruszyła w stronę, z której przyszła. Wokół nich maszerowali Wojownicy i uzbrojeni azi majat. - Minie jakiś czas, zanim znów pomyślę o wyjściu na zewnątrz. Może nawet długi czas. Według rachuby majat.

- Mam jeszcze dziewiętnaście lat - stwierdził z zadowoleniem, już teraz ciesząc się na te lata.

**Mocniej ścisnęła jego dłoń.
Cicha pieśń zabrzmiała w tunelu, spokojny głos
Robotnic maszerujących z innymi.
- Pieśń kopca - stwierdziła Raen. - One żyją
długo. Krąg natury, jeden puls cyklu,
zmieszanie wszystkich kolorów, by podzielić się
na nowo. To-s/ońce, mówią teraz. Rodzinny--
kopiec. Wobec tych cykli moje życie jest niczym.
Zaczekaj ze mną.
Był tu statek, pomyślał wspominając Pola. I
bety, które mogły przeżyć, mogły jej służyć.
Mówił o tych rzeczach, a ona w milczeniu
kręciła głową.
Nie pytał więcej.
Moth, krzyczały głosy. Moth, 'Moth!
Jajec^ka, pomyślała w odpowiedzi, nazywając
ich tak, jak na to zasługiwali.
Potem z głośników dobiegły inne dźwięki:
przenikliwe głosy majat, trzask metalu i
drewna.
Z wentylatorów płynął dziwny zapach
papieru. Głosy ludzi umilkły dawno temu.
Moth nalala sobie resztę wina. Wypiła. I wdusiła
przycisk.**

KSIĘGA DZIESIĄTA

Kłapa luku odchyliła się, wpuszczając wieczorny wiatr i łagodny blask zachodzącego słońca.

Uwaga, usłyszał Tallen. Ser, łapiemy jakieś poruszenie.

- Ucieczka nic nam nie da - rzucił do mikrofonu.

- Cokolwiek się stanie, nie reagować. Słyszycie?

Pros[^]g być ostrożnym.

Majat. Usłyszał groźny świergot i bardzo powoli ruszył przed siebie.

Kiedyś była tu Nowa Nadzieja. Zielsko porosło ruiny. W samym środku wznosiło się ogromne wzgórze, tam gdzie przedtem nie było żadnego wzgórza. Oglądał przemycone fotografie, czytał raporty i znał je na pamięć, jak historie rodzinne.

Przez długie lata, gdy dogasały Wojny, to czekało tam, gdzie nikt z Obcych nie ośmielił się wkroczyć. Do dzisiaj.

To był błąd, twierdzili niektórzy, że w ogóle na nich polegaliśmy.

Lecz rządy powstawały, padały i powstawały znowu, a plotki powtarzano ciągle... o tym, że w zakazanym Regionie wciąż tli się życie, że skarby, które uczyniły ze Sprzymierzenia to, czym było, ciągle czekają na potęgę, która znajdzie sposób, by je zdobyć.

Na Istrze byli ludzie, farmerzy, zamieszkujący szerokie równiny. Opowiadali niesamowite historie i czasem handlowali klejnotami i belami jedwabiu majat.

Tallen rozmawiał z nimi. Byli posępni,

tajemniczy, podejrzliwi wobec każdego lądującego statku. Widywał też, stojące na polach niby ostrzeżenie, opuszczone kadłuby statków.

Minęło sześćdziesiąt lat ruin, chaosu i wojen. Światy w panice odrywały się od Sprzymierzenia, okręty zmuszały je do powrotu, a wszystko z powodu braku pewnych artykułów i powszechnych plotek o ekspansji majat. W rodzinie Tallena opowiadano, że kiedyś ludzie i majat współistnieli tutaj, rażeni chodzili po ulicach miast, współpracowali ze sobą. Gdzieś w aktach Sprzymierzenia te historie miały potwierdzenie.

Dźwięk zabrzmiał bliżej. Tallen kroczył ostrożnie, wreszcie stanął, gdy lśniący stwór wyłonił się zza skał.

Poczuł, że drży, a jego wola słabnie. To naturalne, pomyślał, wspominając historie, jakie opowiadał mu dziadek. Twierdził, że kiedyś stał blisko nich. W spotkaniach % nimi reakcjami ludzi r^ęd^ą głęboko zakorzenione instynkty. Trzeba je przewyciężyć.

Oni widzą inaczej. To także mówił stary Tallen i raporty skryte głęboko w archiwach. Rozłożył szeroko ręce, by pokazać, że nie ma broni. Stwór zbliżył się. Tallen zamknął oczy, gdyż patrząc na niego z tak bliska, zupełnie tracił odwagę. Słyszał głośny oddech, czuł szorstki dotyk odnóży.

Cień padł na jego zamknięte powieki; coś dotknęło jego warg. Zadrżał kon-wulsyjnie, a dotyk i cień zniknęły.

- Obcy - powiedział stwór; harmonia dźwięków ułożyła się w słowo.

- Przyjaciel - zapewnił otwierając oczy.

Wciąż stał tuż obok; fasetowe oczy badały widmo za każdym drobnym poruszeniem głowy.

- Człowiek beta? - zapytał.

W kopcu zapanowało poruszenie. Raen podniosła głowę, odczytywała je z głosów, z ruchów ciała; w ciemności wzrok nie był jej potrzebny.

Człowiek-obcy, nadeszła wiadomość, na nowo budząc ciekawość. Bety nigdy nie docierały tak blisko; handlowały ziarnem daleko, na brzegu rzeki, tam też przynosiły swych chorych, których mająt mogli wyleczyć.

Azi odeszli wiele lat temu.

Tęskniła za nimi. Kopce pieśniami Trutki także głosiły swoją żalobę.

Umarł Merry, ani pierwszy, ani ostatni, powalony atakiem serca. Płakała po nim, choć Merry by tego nie pojął. Jestem a^i, powiedział kiedyś i nie chciał zostać kimś innym. Nie chciał być po^a swój czas. Tak samo wybierali inni, jeden po drugim.

To dziwne, że beta odważył się przyjść aż tutaj, pod wielkie Wzgórze.

- Jim - odezwała się.

- Słyszę - odszukał jej dłoń. On również nie

potrzebował wzroku. W innych sprawach też dysponował jej umiejętnościami.

Z nich wszystkich pozostał tylko Jim , cenny dar życia Robotnic i jego własnej woli, silniejszej niż wola Merry'ego. Merry wolał, by wszystko toczyło się jak kiedyś, według dawnego wzorca, w pojęciach, które rozumiał.

Przez długi czas istotna była tylko świadomość, że ma przy sobie człowieka, który dzieli z nią mrok.

Teraz przybywał Wojownik, nieśmiertelny jak ona, jak Jim, w jednym ze swych wcieleń.

- Obcy - powiedział niespokojnie, być może przeczuwając nadchodzące zmiany. - Jednostka zwana Tallen.

Tallen zamrugnął w mroku, widząc, jak podchodzą... dwoje, kobieta i mężczyzna, ubrani w delikatny jedwab mająt. Nosili bezcenny materiał, jakby byli nadzy, jakby własna godność okrywała ich wystarczająco.

Zatr; -rmali się przed nim. Tallen zadrżał pod ich spojrzeniami, zdumiony spokojem i tym, że nie czują lęku. Mężczyzna miał znak pod okiem i na ramieniu: a%i. Stary Tallen opowiadał o nich, leczenie o takich, których wzro-

ku nie potrafiłby wytrzymać. Kobieta nosiła inny znak - klejnoty. O jej rodzaju także pamiętano.

- Ab Tallen - odezwała się z niezwykłym akcentem - byłby już starym człowiekiem.

- Nie żyje - odparł. - Jestem jego wnukiem. Czy twój lud go pamięta?

Spojrzała na niego wzrokiem, który zdawał się skrywać tajemnice. Wyciągnęła dłoń, którą uścisnął z wahaniem, zaskoczony niezwykłym ciepłem pokrywających ją klejnotów.

- Raen Meth-maren - przedstawiła się. - Tak, pamięć o nim żyje. Wdzięczna pamięć.

- Nosisz imię tej, którą wspominał.

Uśmiechnęła się lekko i nie śmiała już pytać o pokrewieństwo.

- Jim - powiedziała wskazuując mężczyznę. Tylko Jim. Nic więcej. Tallen podał mu rękę.

Przyglądał im się nieco zalekniony, gdyż w pobliżu stali mająt. Eskorta, straż, żołnierze? Nie mógł zgadnąć.

- Czekaliście dłużej, niż należało - stwierdziła.

- Mieliliśmy własne kłopoty. Obawiam się, że dokonywano tu lądowań, na które nie udzielilibyśmy zezwolenia. Wybaczcie nam te najścia. Wzruszyła ramionami.

- Większość dostała nauczkę.

To była prawda. Ale ton głosu tej kobiety wywoływał dreszcze.

- Byliśmy tu dwukrotnie. Szukaliśmy kontaktu.

- Teraz odpowiemy wam z przyjemnością - rzekła. - Czy chcecie handlować?

Kiwnął głową. Pod jej badawczym wzrokiem zapomniał przygotowanej starannie przemowy.

- Jestem Meth-maren. Przyjacieł kopca.

Pośrednik. Zorganizuję to, czego wam trzeba -

- rozejrzała się. - Mówię i tłumaczę - dodała.
- Potrzebujemy produktów laboratoryjnych, nie tylko klejnotów, które kupujemy od farmerów.
 - Więc dajcie nam komputery. Dostaniecie swoje produkty.
 - I jakąś licencję uprawniającą do regularnego handlu. Skinęła głową w stronę siedzib bet na równinach.
 - Tam są ci, którzy będą z wami handlować, tak jak to ustalimy.
 - Nie ma już stacji. Zniknęła.
 - Spadła. Widzieliśmy to z Jimem. Runęła do morza, dawno temu. Ale stację można odbudować.
 - Chodź na mój statek - poprosił. - Ustalimy szczegóły. Pokręciła głową i uśmiechnęła się.
 - Nie, ser. Zabierz statek z terenu kopca. Masz na to godzinę. Wylądujcie na brzegu rzeki. Znajdę was. Nie zostawajcie w pobliżu kopca. Potem odeszła. Majat zostali jeszcze. I mężczyzna, który przyglądał mu się z zaciekawieniem, nim także odszedł.
 - Wszystko ma swój koniec - powiedziała. - Czy Zewnętrzne uę przeraża, Jim?

 - Nie - odparł. Chyba mówił prawdę. Ich umysły były bardzo podobne.
 - Tam czeka Moriah - skinęła głową w stronę portu, gdzie stały jedyne ocalałe budynki Nowej Nadziei. - Jest Region i Zewnętrzne. Jesteśmy ludźmi. Czas, by sobie o tym przypomnieć.

Patrzył na nią w milczeniu.

Ujęła jego dłoń, ścisnęła - ludzką dłoń w swojej, okrytej chityną.

- Wszystko zaczyna się na nowo - powiedziała.